

Chłędowski Kazimierz

ZWIERCIADŁO GŁUPSTWA

POWIEŚĆ

WSTĘP.

Dziwaczne odwiedziny.

Jedynym przyjacielem pana Jana Bogoryi był jeszcze stary pies. Obydwaj zamieszkali opuszczony klasztor w górach, obydwóch z równą starannością obsługiwał niemy Andrzej, gdyż pan Jan tak sobie świat zmierzył, że głosu ludzkiego nie chciał słyszeć, i dlatego niemowę wziął w swoje usługi.

Pan Jan był w całym tego słowa znaczeniu pustelnikiem i tern się tylko różnił od średniowiecznego ascety, że z wszelkimi wygodami urządził sobie ustronie i że w Andrzeju miał wybornego kucharza. Pustelnik żadnych z zewnętrznym światem nie miał stosunków, sprawy majątkowe uporządkował przed dobrowolnym zamknięciem się w klasztorze, listy go nie dochodziły, gazet nie trzymał, a jedyną jego umysłową rozrywkę stanowili starożytni autorowie, których miał zbiór niepospolity. Książka napisana po narodzeniu Chrystusa choćby najlepsza, wykluczona była z biblioteki. Plato leżał zawsze otwarty na stole....

Pan Jan zapomniał o świecie, świat też przeszedł nad nim do porządku dziennego; powiedziano, że dziwak z Bogoryi i nikt się o niego nie troszczył

Pomyślicie zapewne że pustelnik był człowiekiem zgrzybiałym, który wielkie przeszedł nieszczęścia i zdała od ludzi szukał wytchnienia po nie jednej burzy?

Bynajmniej, pan Jan liczył zaledwie lat trzydzieści, cieszył się n aj lepsze m zdrowiem i znakomitemi był obdarzony zdolnościami, bystry, wykształcony, majątny, mógł w swem życiu wiele dobrego zdziałać dla społeczeństwa i do znakomitego kiedyś dojść wpływu. Przeszkoda jednak do tego było wielkie rozumienie o sobie i lekceważenie wszystkiego co nie stało na wysokości jego mniemanej umysłowej potęgi, a nadto brak tej sprężystości charakteru, która nie zadawalnia się marzeniami, ale stara się je urzeczywistnić.

— Głupi świat, a jeszcze głupszy ludzie na nim! głupstwo światem rządzi t oto najmilsze były zdania Bogoryi, których nie omieszkął powtarzać przy każdej sposobności. Szydarczy uśmiech ust jego nie opuszczał, nie jednemu dawał uczuć swą wyższość umysłową, wyśmiewał się z mędrców, z kochanków, z królów i żebraków, nie cenił męstwa, piękności, cnoty, gdyż zewsząd wyglądał ku niemu jakiś demon uśmiechnięty, przedrzeźniał się, mówił:

— Przypatrz się jacy oni nie mądrzy — ty jeden widzisz jasno i trzeźwo, a bielmem ci oczy nie zaszczyły... czyż warto, abyś swe znakomite zdolności marnował dla tego nędznego świata? czyż możesz się wdawać z tym rojem półgłówków, który kręci się i biega nie wiedząc po co i dla czego?

Czasem się zrywał do czynu, zdawało inu się, że coś zdziałać potrafił, ale jak młodemu ptakowi zabrakło mu siły w skrzydłach, zapadał w apatyę wmawiając w siebie, że nie warto działać dla głupiego świata.

Po każdym nowem spostrzeżeniu ludzkich niedorzeczności, po każdej bytności w towarzystwie czuł się pan Jan wyższym nad poziom zwykłych umysłów, a porównywając swoje zasady i przekonania z obcemi zdaniem puszył się, nadymał, w profesorską stroił się togę, mówił jak z katedry, marzył o swojej wielkości, widział dla siebie przeznaczone jakieś kurulskie krzesło w społeczeństwie, wyższe nad wszystkie ławy i trony, które mu się słusznie należy. Nie mądre społeczeństwo nie umiało jednak ocenić jego wyższości, przybliżało się do niego jakby do równego sobie półgłówka, traktowało go z dziwnem

lekceważeniem i niezrozumiałą obojętnością. W sercu Bogoryi gnieździły się z tego powodu jad i gorycz, a społeczeństwo nie zdawało się nawet tego spostrzegać, goniło za niebieskim ptakiem swych fańtazyj, popełniało niedorzeczności jak piętnastoletni niedorostek, nie zważający na poważną minę profesora.

Rozwielmożniająca się gorycz w sercu, pana Jana była pierwszym wynikiem umysłowego nastroju ; zdawało mu się, że się ciągle przechadza po jakimś kraju z podróży Guliwera, w którym on jeden wyższy sercem i rozumem i nie ma nawet tej pociechy, aby znaleźć towarzystwo nieobafcczone ciężarem śmieszności.

Skeptycyzm jak zły robak toczył jego duszę; nie było rzeczy, o którejby był niezważny, negacya jak potwór apokaliptyczny pożerała każdą myśl, zanim się takowa w czynność wyrodzić zdołała. Wziął się razu pewnego do /historycznych studyów, miał zamiar napisać dzieło o upadku społeczeństwa rzymskiego, przyszedł jednak do przekonania, że Cicero nie miał racji nazywając historję nauczycielką życia, gdyż ludzie są niepoprawni i z dobrego przykładu nigdy korzystać nie umieją.

Swemi wyobrażeniami skłaniał się do materyalizmu, to co mógł okiem zmierzyć, ręką dotknąć, najbardziej trafiało mu do przekonania. Myślał i czytał dużo, miał przez jakiś czas młodzieńcze iluzje, że coś nowego zbudować potrafi, żył gorącym pragnieniem odkrycia prawdy. .. Pewnego razu wpadły mu do rąk dzieła Lukrecyusza;- zrazu się uradował spotkawszy się w wieku przed Chrystusem z mniej więcej temi samemi wynikami , do których dzisiejszy dochodzi materya- lizm— kończąc jednak książkę, rzucił ją z niecierpliwością i z boleścią zawołał:

— Dwa tysiące lat minęło a filozofia nic nie postąpiła! ludzka myśl zawsze do jednej i tej samej dochodzi mety. I tak się zniechęcił do wszelkiego badania, że już odtąd z przyjemnością tylko powtarzał zdanie Macaulaya, że w rzeczach pierwotnych zasad, na których się świat opiera, tyle wie czerwony Indyanin, co Europejczyk opatrzony w teleskopy i otoczony mądrymi księgami.

Statystyka uczyła go , że corocznie powtarza się jedna i ta sama cyfra morderców? podpalaczy, a nawet ludzi zapo

minających położyć adres na liście; dzieje mówiły o tem, że namiętności i nedorzecznosci ludzkie tem samem płyną zawsze korytem — zewsząd więc hydra zwątpienia wychylała swe blade oczy i zwiędłe oblicze i wprowadzała go w coraz większą apatyę, w stan moralnego odrętwienia. Serce mimowiednie stygło, umysł tracił ostatnią szczyptę sprężystości i energii; pan Jan zapadał prawie w sen zimowy zubożenia. Sarkazm tylko wojował jeszcze w tej duszy, budził ją na chwilę, aby tem większą w niej zrodzić gorycz.

Naturalnym tego stanu wynikiem było, że pan Jan* znenawidził ludzi, a ludzie również dlań nie żywili przyjaźni; sam się więc nie spostrzegł, kiedy stanął osamotniony pomiędzy niezliczonymi mu żywiołami, a nie mogąc długo znieść tego . niemiłego życia, zamknął się w opuszczonym klasztorze.

— Świat był i będzie jednaki — powtarzał sobie Bogorya — stek głupców, którzy zółć tylko we mnie pobudzają; trzeba sobie oszczędzić nieprzyjemności i nie żyć wśród niego.

Bogorya wytrwał w swym zamiarze; rok drugi dobiegał, jak się sprowadził do swego ustronia; żył z przyrodą: w lecie śledził lotu każdego ptaka co w borze gniazdo swe ścielił, wiedział o drogach, kędy łasica łupy swe znosi do nory; w zimie karmił króliki, wpuszczał ptaki do pokoju, aby się ogrzały, a chwilami powtarzał sobie ustępy z Homera, albo po raz dziesiąty czytał dzieje Tacyta i Tukididesa.

Do okolonego wysokim murem klasztoru nikt prócz Andrzeja nie miał przystępu; głos ludzki zamarł w tych ścianach, a świerszcze swobodnie mogły ze sobą rozmawiać, pewne, że żaden natręt nie przerwie im wieczornej pogadanki.

Jednego wieczora, w późnej już jesieni siedział Bogorya w głębokim krześle i dumał swobodnie nad głupotą świata, bo Andrzej i stary pies od dawna oddali się sennym marzeniom. Zdawało mu się, że jakiś szmer koło siebie usłyszał, spojrzął — i powstał szybko, bo nieznamy mężczyzna rozsiadał się wygodnie na kanapie.

Pan Jan cofnął się kilka kroków, nie chciał zrazu oczom wierzyć, wreszcie zapytał:

— Kto pan jesteś, czego żądasz ?..

— Widziałem, że pan ziewasz—ja się także nudziłem— przychodzę na chwilkę pogadanki*

— Proszę nie żartować — którądy Waść przyszedłeś, skoro wszystkie drzwi zamknięte, a dom murem obwiedziony?

— Nie potrzebowałem kluczków i drabin, panie Bogoryo — bo mieszkam w bliskości ciebie od dawna i ze smutkiem spostrzegam, że dziwaczniejszy.

— Ależ z kąd się wziąłeś u licha?— dość tych żartów, zawołał zniecierpliwiony gospodarz, który nie wierzył dotąd w duchy i nadnaturalne postacie, ale obecnie dziwny w swej duszy uczuł niepokój.

Siedzący na kanapie mężczyzna mógł mieć około lat pięćdziesięciu, zdawał się należeć do wyższego świata, i robił wrażenie południowca, do czego nie mało się przyczyniała śniada cera i czarna hiszpańska broda. Oczy miał dziwnie przenikliwe a ludzie zabobonni chętnieby mu byli przypisali pokrewieństwo z szatanem.

— Bądź cierpliwy — odrzekł nieznamy — z czasem dowiesz się, kim jestem; obecnie siadaj i nie pytaj więcej.

— Ależ w moim domu! krzyknął Bogorya, niedokończył jednak zdania, bo wzrok nieznanego takim ołowianym przygniatał go ciężarem, że mimowoli usiadł i zamilkł.

— Masz papierosa? zapytał natręt — może zagramy w pikietę?

Bogorya machinalnie podał cygara, a na wspomnienie pikiety twarz rozpozgodził, bo od dwóch lat kart nie widział, pomimo, że dawniej namiętnym był graczem.

— Głębniebym zagrał, ale kart nie mam — pogodziwszy się z losem odrzekł pan Jan.

— A i to najmniejsza — zauważył gość, podniósł rękę do góry, a dwie talie doskonałych kart francuskich spadły z sufitu.

Bogorya oniemiał, widząc jednak uśmiechniętą twarz swego towarzysza tasującego karty i najspokojniej palącego papierosa przyszedł prędko do siebie, tembardziej, że gra miała dzisiaj dla niego niepospolity urok. Chcąc zaś dorównać gościowi z zimną krwią zapytał go:

— Może się pan napijesz herbaty ? chociaż mieszkam na ustroniu, mam wyborną, prawdziwą karawanową.

— Na teraz dziękuję — przyszedłem właśnie po objedzie; jeżeli masz dobre wino, później się napijemy.

Gra się rozpoczęła, pan Jan trochę się pogodził z improwizowanym gościem, który się okazał wybornym partnerem, a po chwili wyniósł nawet starego węgrzyna, nie pytając już o to, jakim sposobem znalazł się intruz w jego domu. Czarnoksiężnik! jakiś Bosko zapewne! ale przyjemny — pomyślał Bogorya.

— Powiedz mi kochany sąsiedzie — zapytał nieznajomy, korzystając z przerwy w grze — dlaczego wiesz taki pustelniczy żywot?

Bogorya uśmiechnął się ironicznie z miną wyższości, ale nieznajomy mu przerwał:

— Czyż rzeczywiście sądzisz się być lepszym od innych ludzi i mieć tym sposobem prawo do odłączania i wywyższania się nad nich?

Bogorya trochę się zamyślił i odpowiedział:

— Straciłem wiarę w siebie i w ludzi, a nic jej już wskrzesić nie zdoła.

— Tak ci się tylko zdaje przyjacielu; żyj z ludźmi, schyl do nich dumne swe czoło, rzuć się w wir codziennych trosk i zabiegów, a wnet pierzchnie czarna apatya jak zorza przed promieniem słońca.

— Wierzaj mi, że gdybym mógł ufać w prawdę twych słów, nie ociągałbym się i chwili, szukając w czynnym życiu odrodzenia; ale niestety zanadto dobrze znam Świat, abym mógł mieć jeszcze jakąkolwiek ułudę.

— Otóż ja ci udowodnię, że go nie znasz, żeś się odział płaszczem zarozumiałości i jak dumny hidalgo nie chcesz wyjrzeć po za ciasny widnokrąg swych omszałych murów.

— Kimże jesteś, że się takim mędrcom być mienisz, odezwał się trochę dotknięty Bogorya, i z taką ufnością możesz duchowi memu na przyszłość przepisywać drogi?

— Nie potrzebuję się przed tobą ukrywać, jestem Baliel; duch zły czy dobry, o tem się później przekonasz... oddaj mi się na kilka lat życia, pozwól mi, abym rządził twemi losami, a wrócisz bez uprzedzeń do ludzi i świata. Jeżelibym nie zdołał przełamać twej apatyi, w takim razie pozwolę ci wrócić w te mury; w każdym razie wyjdiesz z mojej wędrówki z zasobem nowych doświadczeń...

— Jakiegoż to sposobu zamysłasz użyć, aby w niwecz obrócić zasady, do których przyszedłem zastanawiając się nad moją przyszłością?

— Dowiodę ci przedewszystkiem, że błędy i głupstwa, które cię do ludzi zrażają i w twojej tkwią naturze, że przeto nie tak ostrym winienesz być sędzią. Dowiodę ci także, że świat samym rozumem ostać się nie potrafi, że niejedno, co się głupstwem być zdaje, jest tylko wynikiem fantazyi, uczucia, a bez nich niema życia; przekonam cię, że dla głupstwa trzeba być pobłażliwym i że nie masz takiego człowieka, którego z korzyścią dla społeczeństwa wyzyskaćby nie można.

Wzrok przekonywujący i pewność Biebie, z jaką Baliel te wyrazy mówił, zrobiły na Bogoryi pewne wrażenie; słuchał ich z chciwością.'

— Daję ci trzy dni do namysłu, powiedział po chwili Baliel, po trzech dniach wrócę o tej samej godzinie i postawię ci to samo pytanie. Rozważ, że zamknięty w tych murach straconym jesteś dla siebie i dla świata, że obrastasz grubą pleśnią samolubstwa; w społeczeństwie możesz być jeszcze pożytecznym, a przynajmniej dobrym dla drugich przykładem.

To mówiąc znikł Baliel jak nocne widmo i pozostawił samotnika w zamyśleniu.

Po trzech dniach oddał się Bogorya pod rozkazy swego opiekuna.

I.

Monarsze kłopoty.

Cesarz Brazylii najlepszymi dla swego kraju był ożywiony chęciami, a ponieważ opróżniła się posada prezydenta miasta Buenos A/res, przeto dzień i noc myślał nad tem, aby tak ważny urząd powierzyć człowiekowi, któryby go sprawował z prawdziwym poświęceniem i znajomością stosunków.

Rzecz to wszakże nie łatwa: cesarz zwołał radę ministrów i polecił jej zastanowić się nad tem, jakich właściwości rozumu i serca wymagać trzeba od prezydenta stolicy. Ministrowie trzy dni nad tem myśleli i przyszli do przekonania, że ideał prezydenta powinien odpowiadać temu kandydatowi, którego każdy z nich chciał widzieć na ważnej posadzie.

Prezesem ministrów był książę de las Rosas, człowiek rozważny, nie wielki polityk, ale pożyteczny swą miernością. Nie lubił on myśleć, przeczucie jednak mówiło mu, że przyszłym naczelnikiem miasta powinien być mąż, któryby jak najmniej sprawiał kłopotu i nie wprowadzał go nigdy w nieprzyjemne kolizye. Pan prezydent nie lubił wydawać sądów jak Salomon, chciał więc mieć rozumnych urzędników obchodzących się własnym rozsądkiem. Takim zdawał się być hrabia di Rio, człowiek wielce stanowczego charakteru, umysł jasny, spokojny, wypróbowany długim doświadczeniem w publicznych sprawach. Jedną wadę tylko można mu było zarzucić, że był zanadto hardym i niezależnym; prezydent ufał jednak w swój takt, że w razie danym potrafi ułagodzić zbyt twarde usposobienie.

Innego kandydata miał na myśli hr. Brasilia, minister finansów. Objął on skarb w nader bmtnym stanie i wziął sobie za zadanie życia spłacić dług państwa. Człowiek bezwzględny, zręczny, niczem się nie zrażający, nie przebierał w środkach, aby tylko państwo stało się finansową potęgą; co nie dążyło do tego celu, nie miało dlań najmniejszego znaczenia. A ponieważ gospodarstwo miasta Buenos Ayres w najgorszym znajdowało się stanie, więc minister chciał skorzystać ze sposobności i wynieść na urząd prezydenta człowieka, któryby działał w jego myśli. Miał on na oku barona Capo, który za młodu był komisantem jakiegoś domu handlowego, a obecnie najznakomitszym bankierem stolicy. Wprawdzie mówiono o nim, że otrul pierwszą żonę, że rozwiódł jakąś baletniczkę z mężem, ale takie drobnostki nie obchodziły finansisty.

Minister dróg i komunikacji pan Reverta był inżynierem z powołania, o jego fachowych zdolnościach różnie jednak mówiono, a powszechnie uchodził za karyerowicza, za człowieka niepewnej sławy i miał to nieszczęście, że był ojcem ośmiu dorosłych i dorastających córek, Obecny wiceprezydent miasta bywał w jego domu i śpiewał duety z panną Aglają.

— Wyrobię mu krzesło prezydenta, pod warunkiem, że się ożeni z Aglają — pomyślał pan Reverta i do tego celu bardzo energicznie dążył.

Minister spraw wewnętrznych i policji hr. Canossa, człowiek zdolny, ale cierpiący na podagrę i pragnący przedewsz- stkiem spokoju, wymagał od kandydata następujących warunków :

1) Przedewszystkiem, aby przyszły prezydent był miłym Jfażdemu stronnictwu, aby tak hiszpańska szlachta, jak ludność mulacka i koloniści plantatorzy dużo się od niego spodziewali: jedni, że im pozwoli szybko jeździć i rozbijać ludzi po ulicach, że będzie dawał sute przyjęcia i synów zubożałych magnatów będzie umieszczał na intratnych miejskich urządach; drudzy, że da im nie mało zarobić, i że nie będzie ściśle przestrzegał miar i wag, a nadto będzie za politycznem i religijnem równouprawnieniem; ostatni nareszcie, że któremu z nich wydzierżawi wywożenie śmieci z miasta, naprawianie dróg i że niski czynsz ustanowi za miejskie folwarki.

2) Aby nie dążył dó reform i nie był tak zwanym czło wiekiem inieyatywy, bo ci ludzie, którzy się tylko noszą zja- kiemiś projektami, muszą sprowadzać rozruchy. Każda nowość pociąga za sobą opozycją, roznamiętnia umysły — słowem mąci miły spokój;

3) aby jednak nie był i wstecznikiem, człowiekiem skrajnych politycznych wyobrażeń lub religijnym fanatykiem, gdyż niebawem wywołałby z jednej lub z drugiej strony burzę przeciwko sobie, a dziennikarze wzięliby go na swe pióra. Tego rodzaju człowiek mógłby rządowi tysiączne sprowadzić nieprzyjemności: konfiskaty dzienników, więzienie redaktorów, głośne procesy, deputacje do króla, burze w rodzinach, gdyż kobiety chętilie w takich razach biorą stronę dziennikarzy i t d. i t. d.;

4) aby umiał w potrzebnym splendorze utrzymywać znakomity urząd: dawał wyborne objady, świetne bale i aby tym sposobem miały zajęcie tysiączne miejskie języki— osobliwie kobiece, które nie mając tej najmilszej dla siebie strawy, nie mogąc mówić o recepcjach, rautach, strojach, towarzyskich intrygach, teatrach na cele dobroczynne, rzucają się na inny przedmiot, a wtedy ważniejsze sprawy państwa; nadużycia administracyi, stosunki polityczne mogą się stać ich pastwą.

5) Przy tem wszyskiem, aby na dworze dobrze był widziany, aby się liczył do kamarylli i tam go uważano za swego, w przeciwnym bowiem razie uszy królewskie musiałyby ciągle słuchać skarg, a intrydze szerokie byłoby pozostawione pole.

6) Wreszcie, aby miał tyle taktu, iżby szczyptą mógł się tylko obejść rozumem. Minister wiedział, że człowiek zupełnie rozumny nie może odpowiedzieć wszystkim powyższym warunkom, gdyż musiałby mieć wielu głupców przeciwko sobie, a daleko niespokojniejsza

opozycją jest przeciw człowiekowi rozumnemu, aniżeli przeciw głupcowi; przeciw pierwszemu bowiem krzyczą i wrzeszczą w niebogłose wszyscy głupcy, a tym jak wiadomo Pan Bóg dobre dał gardło, przeciw drugiemu ruszają palcami w butach ludzie rozumni, niechętnie przybliżający się tam gdzie gwar i zbiegowisko.

Tylu warunkom nie łatwo było odpowiedzieć, a pomimo, że wielu kandydatów przerzucił minister, *przecież każdemu coś niedostawało. Hrabia Juan di Oporto zdawał się wszystkich prześcigać w zręcznym zyskiwaniu sobie przyjaciół i stron

ników, miał znaczną fortunę i niczem się w życiu nie odznaczył; ale niestety był zyzowaty, sina narośl nos mu szpeciła i rude włosy źle ku niemu uprzedzały — nie mógł więc odpowiednio rządu reprezentować, a nie jeden prostaczek sądzący, że rząd to osoba pana prezydenta, spoglądając się na jego zyzowate oczy, nie byłby ufał najwyższej władzy.

Inny kandydat natomiast o wielkiem wspaniałem ciele i potężnej fortunie miał to nieszczęście, że od dawna był przedstawiany na trzecim miejscu na znakomite urzędy, a zawsze kto inny ten urząd otrzymał — ośmieszył się więc i nazywano go niedoszłym dygnitarzem. Nikt już nie przypuszczał, aby on z tą śmiesznością mógł się kiedy dostać na pierwsze miejsce.

Był i kandydat rozumny, który od dwóch czy trzech lat głupiego udawał, aby się zrobić uzdolnionym na ważną posadę i w tym celu chwalił się, że od ukończenia szkół nie miał książki w ręku. Będąc ateuszem zapisał się do Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, posyłał cukry wszystkim dworskim faworytom, dawał znakomite objady co wtorku i czwartku, a na cesarskie imieniny i urodziny posyłał na ręce redakcji głośnych dzienników znaczne kwoty na ubogich. Niestety na nic mu się to wszystko nie przydało; ktoś przypomniał, że pan kandydat nie stanął za młodu na wyzwanie, opisał całą historię w codziennej gazecie, wywołał zgorzenie i pozbawił go posady.

Ministrowi rolnictwa chodziło nareszcie o to, aby nowy prezydent zaprowadził lepsze gospodarstwo w dobrach będących -własnością miasta i urządził składy guana z funduszków miejskich, któreby się mogły przyczynić do podniesienia gospodarstwa.

Cesarz zwołał powtórna radę ministrów, a każdy z dygnitarzy starał się dowieść w wyczerpującej i opracowanej mowie konieczność mianowania swego kandydata. Zniecierpliwiony monarcha, że każdy z nich mówił o kim innym, zamknął posiedzenie i postanowił myśleć za cale ministerium.

Tymczasem w dworskich kołach rozeszła się już wieść, że cesarz niezadowolony z rady ministrów, i że sam poszukuje kandydata na ważną posadę.

Minister dróg i komunikacji br. Reverta korzystał z tego i w rannej godzinie znajdował się już w pokoju ochmistrzyni dworu, przedstawiając jej, że obowiązkiem tak zacnej damy jest wpływać na cesarzową, aby prezydentem został człowiek ze wszech miar zasłużony, jedyna podpora interesów miasta. Tym człowiekiem miał być naturalnie obecny wiceprezydent.

— Moja Aglae, jakżeby ona była szczęśliwą! myślał minister wychodząc od ochmistrzyni.

W ten sposób każdy z ministrów poruszał wpływy, jakie mu się nastęrczały: jeden chwalił psa wielkiego koniuszego, aby zyskać sobie jego głos, drugi posłał brylantowy garnitur pokojowej Najjaśniejszej Pani', aby zręcznie przemawiała za jego kandydatem.

Sam monarcha szczerze pragnął dobra stolicy, zanadto też wiele wymagał od przyszłego prezydenta. Pragnął on ideału rozumu, taktu, energii, sprawiedliwości, bezinteresowności, zapominając, że takt i rozum .niekiedy tylko chodzą w parze, a energia i sprawiedliwość bardzo rzadko. Biedził się więc, nie wiedząc co począć, czyją podpisać nominacją: radził się jeszcze wielkiego ochmistrza i łowczego, cierpiał na bezsenność, w żaden sposób nie mógł jednak powziąć ostatecznego postanowienia.' Wielki wynalazek wszakże, jak jajo Kolumba, zwykle blisko nas się znajduje. Dziesięcioletni cesarzewicz, widząc zakłopotanie całego dworu przybiegł do papy z zapytaniem, dlaczegoby ksiązę Riviera nie miał być prezesem stolicy, skoro jest podczaszym, kolibry w lot strzela o pięćdziesiąt kroków, a na dworskim balu najpiękniejsze orderzy błyszczą na jego piersi?

Eureka! wykrzyknął z radością monarcha, uściskał malca, a cały dwór unosił się nad znajomością ludzi, jaką posiada następcą tronu.

Kimże był ksiązę Riviera? najprzyjemniejszym człowiekiem jakiego dwór posiadał. Ksiązę słynął z uprzejmości, celował odwagą, wygrywał na wyścigach puhary, dwa razy opły-

nał kulę ziemską na własnym okręcie, a przede wszystkim był człowiekiem honoru. O jego rozumie najróżnorodniejsze krążyły zdania: jedni mówili, że jest głębokim politykiem, człowiekiem rozległej nauki, że obliczył oddalenie gór na księżycu, że wynalazł rewolwer strzelający z pomocą dynamitu; inni gminnie powtarzali: to osieł! to wielkie zero w kape-
2*

luszu! W jednym się tylko wszyscy zgadzali, że jest człowiekiem prawym i szlachetnym.

Monarcha uznał, że te dwie zalety to klejnoty największej wartości w dzisiejszych czasach i że łatwiej można zaufać człowiekowi z wielkim sercem a uncją rozumu, aniżeli mężowi z'cetnarem rozumu a z wyschniętem uczuciem...

n.

Cokolwiek o sztuce rządzenia.

Cesarz wezwał do siebie Kivierę i znalazł go gotowym do poświęcenia się dla państwa i dynastyi i do przyjęcia trudnego stanowiska.

— Nudzą mnie temi urzędami — powtarzał księżę w naj- bliższem kole i kazał sekretarzowi czytać, co mówią dzienniki o jego nominacyi.

Opozycyjny "Pueblo" tak pisał: "Chętniej widzielibyśmy na tej posadzie człowieka, który w codziennem życiu styka się z ludem, zna jego potrzeby, który sam cierpiał, a zatem umie ocenić cierpienie; jeżeli już jednak zawsze magnaci mają zabierać tłuste posady, to wolimy, że ster administracyi miasta dostanie się księciu Rivierze, znana bowiem jego szlachetność, sprawiedliwość i t. d.

"Figaro", organ arystokracji pieniężnej i ludzi pijących wino szampańskie inaczej się wyrażał: "Jego Cesarska Mość nie mógł trafniejszego zrobić wyboru, jak ofiarując zaszczytny urząd prezydenta miasta księciu Rivierze. Niech żyje cesarz i niech żyje prezydent!

Członkowie arystokratycznej resursy dają we czwartek wielki objad na cześć księcia, mćnu znakomite, sam Brillat-Savarin lepszegoby nie ułożył; kucharz hrabiny Albatros wystąpi z kotletami wynalezionemi na cześć księcia, znany gastronom baron Rolla przygotowuje jakąś niespodziankę. Nie wątpimy, że objad wywoła znakomite mowy — diner est tout; diner est le but des actions humaines etc.

Wreszcie dziennik konserwatywny “Brasilia”^w uderzył w ton następujący: “Jesteśmy przekonani, że hr. Rmera znaną swą bezstronnością potrafi pogodzić u nas stronnictwa i złagodzić walkę, która tak niekorzystnie wpływa na rozwój ekonomicznych stosunków naszej stolicy. Hrabia dał niejednokrotnie dowody swej finansowej oględności, nie wątpimy zatem, że wglądnie w gospodarkę funduszami miejskimi, która co chwila pochłania milionowe pożyczki...”^a

ludy a nie i Negrzy nie mający swoich dzienników przysłali deputacye do księcia Riery, chcąc mu wyrazić wielką radość, jaką sprawiła jego nominacya.

Znużony książę temi owacyami położył się spać.

Tej samej nocy siedział Bogorya z Baliem przy butelce “monopolu.” Dobrze im się działo, to też rozmowa była ożywiona, a na twarzy Bogoryi widać nawet było przelotny uśmiech.

— Wierzę w mądrość ludzkich instytucyj — mówił Bogorya — podczas gdy my tutaj zbytkujemy, wychylamy kielich po kielichu, w tej samej może kamienicy jaki biedak zgłodniały załamuje ręce nad swym losem i myśli nad tem, co lepiej uczynić: powiesić się, czy sobie gardło poderznąć?

— Zostaw go w spokoju — odezwał się z uśmiechem Baliel — nic sobie złego nie zrobi, czuwa nad nim prezes towarzystwa dobroczynności.

— Oficjalna dobroczynność, a kołnier z koronek, nikogo nie zagrzeją; pan prezes jak każdy prezes jest na to, aby kosztem drugich przychodzić do zaszczytów; nie znałem jeszcze prezesa, któryby nim został na to, aby dobrze czynić, ale na to, aby się nadymać. Ludzie ambitni nawet dziadów umieją użyć, aby z ich łachmanów zrobić sobie złoty frak i brylantowe gwiazdy... dobroczynność jest dla nich stopniem do honorów.

— Fałszywe zapatrywanie, kochany przyjacielu; ambicya to jak znakomita śpiewaczka, która dąży do oklasków i do stutysięcznej gaży, ale w ciągu swego działania może sprawić ludziom wiele przyjemności.

— Czemuż jednak ludzie dochodzący do wielkich wpływów, majątku i znaczenia, zwykle jak najmniej działają dobrego, ale zaskorupiwszy się w egoizmie i własnej tylko hołdując dumie są jak drogie kamienie, co zdała jaśnieją żywym ogniem, a przecież ten ogień nie wyda ni światła ni ciepła.

— Pesymistą jesteś; bije cię w oczy słoma, a ziarna w niej nie widzisz.

— Bo to już słoma bez ziarna: ktokolwiek dojdzie do władzy, do znaczenia, ten tem samem głupcem się staje, bo stanowisko mu głowę zawraca.

— Każde głupstwo w połowie składa się z wielkich zalety a dopiero wtedy trzebaby zwątpić o ludzkości, gdyby głupców nie było. Bądź roztropnym, naucz się żyć z ludźmi, a ręczę ci, że każde głupstwo na dobre wyzyskać potrafisz i będziesz szukał tylko głupkowatych ludzi, unikając wielkich rozumów jak zarazy.

— Mówisz sprzeczności; w ten sposób wszystko w jasnym da się przedstawić świetle. Gdybym raz w życiu miał władzę, nauczyłbym tych panów, co się wielkimi szczytami tytułami, jak z niej korzystać należy; ile człowiek dobrej woli korzystnego działać potrafi, jeżeli zrzuci z siebie dumę, niegodną ambicyą.

— Jeżeli zapomni, że jest człowiekiem, nieprawdaż? O co ci chodzi kochany przyjacielu? — dodał Baliel z rozpromienioną twarzą — chcesz mieć władzę, możesz ją mieć natychmiast; zrobię cię wielkim dygnitarzem, wpływowym człowiekiem potężnego państwa, a jeżeli nie popełnisz każdego dnia trzech niedorzeczności, trzech czynów wręcz się sprzeciwiających słowom, które dopiero z twoich ust słyszałem, to pozwolę ci wrócić do twego klasztoru i znów z psem i z Andrzejem spokojne pędzić życie.

Bogorya się trochę zastanowił, oczy mu się zaiskrzyły na myśl, że może mieć władzę w ręku i że pokaże światu, jakimi powinni być ludzie stojący na świeczniku narodu.

— Zgoda! — powiedział z zapalem — jestem na twoje usługi.

— Więc słuchaj — odrzekł Baliel — cesarz brazylijski zamianował dzisiaj prezydentem swej stolicy księcia Rivierę, arystokratę z krwi i z wychowania, człowieka zacnego i naj

lepszyc chęci; duch twój wejdzie w niego i będzie miał .szerokie pole działania.

— Dobrze — wymówił machinalnie Bogorya, a Baliel pociągnął go za rękę i milczącego, zamyślnego poprowadził za miasto na puste pole. Tam przygotowany już był balon Baliela, którym on zazwyczaj odbywał swe nadpowietrzne podróże. Za kilka minut balon pędził jak strzała do góry, potem ua zachód spadał szybciej od gwiazdy, co w letnią noc z niepojętą chyżością pruje przestworza. Po północy balon zawisł nad stolicą Brazylii, duch Bogoryi wyleciał zeń jak płomyk ognisty, a ciało wraz z balonem znikło w ciemnym lazurze.

Hrabia Rmera miał dziwaczne sny, nowy urząd zaprzętał fantazją, nie znana mu dotąd ambicya podniosła myśli do wielkich czynów; widział postacie Medyceuszów budujących i upiększających Florencyą, Ludwika XIV wznoszącego Wersal, Napoleona równającego ulice Paryża i wyobrażał sobie, że on jest powołany do przeistoczenia Buenos Ayres w wielką stolicę, w centrum południowej Ameryki, i widział przed sobą tryumfalne łuki, wodociągi, wspaniałe gmachy, powstające na jego skinienie, posągi z brązu i z marmuru wyrastające z pod ziemi.

Bano obudził się trochę zmęczonym ale czuł, że z wa- żnem stanowiskiem wiele energii wstąpiło w duszę, doznawał tego uczucia, jakie często nami zawładnie, gdy ważne zdarzenie, nieprzewidziany wypadek wstrząśnie całym naszym umysłem i pobudzi nas do energicznej czynności.

Księżę przywołał do siebie przydanego sobie sekretarza i kazał mu treściwie wyłożyć stan interesów miasta, wytknąć słabe strony administracyi, położyć nacisk na to, co spieszenie wykonać potrzeba.

Uszczęśliwiony sekretarz, że jemu prezydent polecił tak ważne dać sobie objaśnienia, pojął natychmiast, że i dla. niego przyszła ważna chwila, a jeśli się zdoła przypodobać nowemu naczelnikowi, to może być pewnym znakomitej karyery. Szybko się więc namyślił i mówił zwięźle a dobitnie, mając na oku swój własny interes, przypodobanie się księciu.

— Nie chciałbym bynajmniej potępiać poprzednika waszej Excellencyi — mówił — coby zresztą nie było odpowiednie uczuciu wdzięczności, jakie mam dla niego; to jednak wyznać muszę, co całemu światu jest wiadome, że niedbał zupełnie o miasto, że dochody pod jego rządami się zmniejszyły, że we wszystkich gałęziach administracyi rozkrzewiły się wielkie nadużycia. Waszej Excellencyi przypada zatem znakomite zadanie poprawienia błędów swego poprzednika i zasłużenia się około dobra kraju.

Nota bene ten poprzednik nie był tak niedbałym, jak go przedstawił pan sekretarz, sprytny jednak człowieczek wiedział dobrze, że kto tylko dostaje się do władzy, lubi naprawiać błędy poprzedników; trzeba więc było wyszukać jak najwięcej błędów w dawniejszej administracyi, aby było co naprawiać.

Od czegoż zaczął żądny reform księżę?

Poprzednik wydał rozporządzenie, aby nie wolno było wypuszczać psów na ulicę bez kagańców; rozporządzenie to oburzyło księcia.

— Mieszczuch — mówił na niego — widocznie nigdy nie miał psiarni. Gdyby się był zapytał pierwszego lepszego weterynarza, to nie byłby wydał tak niedorzecznego rozkazu.

Na drugi dzień wszystkie psy mogły już biegać bez koszyków, a radosne ich skowyczenia były pierwszym hymnem pochwalnym na dobrotliwe rządy nowego prezydenta. Depu- tacya myśliwych, starych kawalerów przyszła dziękować księciu za tak mądry i nieobliczone skutki mający rozkaz, a stare panny należące do kasyna damskiego, złożyły się na przepyszne album, zawierające fotografie znakomitszych kundłów i kundysów z całego Buenos-Ayres i ofiarowały je wielkiemu oswobodzicielowi psych pysków.

Księżę kończył z zadowoleniem pierwszy dzień swych rządów; przyjemnem mu było uznanie, jakiego się doczekało jego rozporządzenie.

— Mój Boże, pomyślał, jak mało potrzeba, żeby dobrze rządzić i żeby być lubianym! Idea popularności zaczęła w nim nurtować; pierwsze pytanie, jakie nazajutrz postawił swemu sekretarzowi, było: co ludności najbardziej dolega? jakie zarządzenie największąby ją nappełniło radością?

— Zniżenie podatku od mięsa i wina — brzmiała odpowiedź.

Prezydent zawołał zaraz swą przyboczną radę i przedłożył jej tę potrzebę uszczęśliwienia ludności. Większa część radców uniżenie kiwała głowami, chcąc zadość uczynić życzeniu księcia, kilku podnosiło wprawdzie wątpliwości, za co będzie można utrzymać porządek w mieście, policją, bruki, kanały, jeżeli tak znaczne dochody ubędą — głosy te jednak umilkły wobec przeważnej większości wtórującej księciu.

Koniec końcem zniesiono podatek miejski od mięsa i wina, a wielkie czerwone plakaty ukazały się natychmiast na rogach ulic z oznajmieniem, że najważniejsze artykuły życia staniały!

Przedmieścia urządził} ' wieczorem wspaniałą iluminacją, pochodnie gorzały przed pałacem prezydenta, a wszystkie muzyki i chóry miejskie połączyły się, aby urządzić niesłyszana dotąd serenadę.

Nazajutrz policja przyprowadziła pięćdziesięciu pijaków więcej jak zazwyczaj na przymusowy nocleg — bo wino staniało. Książę był z tego powodu w złym humorze, ale tłómaczył sobie, że ten objaw radości więcej się nie powtórzy, tembardziej, że sekretarz, wielki statystyk, umiejący na pamięć dzieła Queteleta zapewniał, że liczba pijaków w dłuższym lat przeciągu zostaje zawsze ta sama.

Na dworze zaczęto szemrać przeciw nowościom, niektórzy zazdrościli księciu zdobytej prędko popularności, ale zawistne mowy były dlań tylko zachętą, aby wytrwać na obranej drodze sprawiedliwości i opieki uciśnionych.

Nieszczęście chciało, że książę nie małych doznał w przeprowadzeniu swych reform trudności. Dwa psy jakiegoś przedmiejskiego mulata pokąsały przechodzącego boczną ulicą angielskiego posła. Rząd Wielkiej Brytanii wystosował energiczną notę do brazylijskiego ministra spraw zagranicznych żądając zadośćuczynienia: ukarania winnych, zapłacenia 100,000 funtów posłowi i dawaj do poznania, że gdyby nie odpowiedziano tym warunkom, flota angielska nieomieszka znaleźć się w przystani Buenos* Ayres.

Wielki popłoch zapanował w "sferach decydujących"; rada ministrów pod przewodnictwem cesarza namyślała się nad tem do północy, czy odwołać Rivierę z powierzonego mu stano

wiska? skończyło się jednak na tem, że książę pozostał na swej posiadzie, ale natomiast Anglikowi musiano zapłacić 125.000 funtów. Na osobiste zaś wdanie się cesarza prezydent cofnął rozporządzenie* o kagańcach i znów psy musiały przyodziać swe więzy. Ażeby jednak to odwołanie rozporządzenia niedawno co wydanego nie uwłaczało książęcej godności, dano dymisyą sekretarzowi, który nieodpowiednio rzecz całą miał przedstawić swemu naczelnikowi, a przeto "w błąd go wprowadził." Sprzyjające księciu dzienniki wskazały właściwego winowajcę, ale pomniejsze organa prasy podniosły wielki krzyk na arystokracją, na panów, na kamaryllę, "która dzisiaj psom, a jutro ludziom nałoży kagańce !"^M

Zdarzyło się, że był wielki wieczór u księcia z powodu jakiejś dworskiej uroczystości. Książę chciał temu wieczorowi dać pewną cechę zbliżenia się różnych warstw towarzystwa, wychodząc z zasady, że zbliżanie się ludzi z sobą niszczy towarzyskie i społeczne uprzedzenia, które tak często są powodem wielkich klęsk narodowych. Tysiąc osób miało być zaproszonych, książę dzień i noc kazał pracować swoim sekretarzom nad ułożeniem listy gości, na którejby byli pomieszczeni wszyscy ludzie w Buenos-Ayres zajmujący pewne wybitne stanowisko. Zaproszono więc redaktorów, literatów, znakoraitszych mieszczan, wojskowych, naczelnika pompierów — powstało jednak nielada pytanie, czy przesłać kartę przedsiębiorcy kominiarstwa? — Jeżeli się zaprosi naczelnika pompierów, dla czegoż nie prosić najstarszego kominiarza ? — mówiono słusznie. Ależ znów damy wielkiego świata obrażą się, ta i owa będzie koło niego ostrożnie przechodziła, aby sukni sadzą nie poplamić.

— Więc nie prosić ani jednego ani drugiego — postanowił najstarszy sekretarz; książkę jednak zmienił to postanowienie i kazał prosić obydwóch.

Ów wielki kominiarz d>stawszy kartę z zaproszeniem, położył ją u siebie na stole tak, aby każdy kto przyjdzie mógł się dowiedzieć o zaszczycie, jaki dom spotkał. Na nieszczęście odwiedził go naczelnik korporacji lampiarzy i widział owę kartę, a nie będąc zaproszonym, zawrzał ukrytym gniewem do prezydenta, a o kominiarzu opowiadał, że to karyerowicz, który duszę panom zaprzedał, że zrobiwszy majątek na złem wy

cieraniu kominów, chce należeć do arystokracji. Książę Riwiera ani się spodziewał, że owa karta zapraszająca była powodem kilkodniowych rozmów po przedmiejskich szynkach i że z jej powodu wylało się wiele żółci, a jeszcze więcej wina "na pohybel panom."

Nadszedł nareszcie oczekiwany wieczór, pałac prezydenta jaśniał zdaleka rzęsiście oświetleniem, turkot powozów rozchodził się po całej dzielnicy. Uszczęśliwiony książę, że utoruje drogę połączeniu się towarzystw, stał przy drzwiach ubrany bez żadnych odznak, bez orderów, ściskając za rękę ministrów, posłów, szambelanów, kłaniając się z miodowym uśmiechem literatom, krawcom i drukarzom, obdzielając dygnitarzy dwudziestu słowami, ludzi zaś bez wstęg i złocistych fraków dziesięcioma słowami rozmowy.

W salonach było bardzo ludno, lecz niezbyt rozmownie; pomiędzy damami zaczynały się tworzyć osobne koła; redaktor skrajnego dziennika z niezadowoleniem zauważył, że obywatelki miasta, panie kowalki, stolarki (naturalnie tylko z wybitnym stanowiskiem) po jednej, i o ile możliwości niepostrzeżenie wymykały się do osobnego salonu, pozostawiając same z sobą panie wielkiego świata.

Z niepokojem spostrzegła to także księżna Riviera, usiadła też copędzej obok pozostającej jeszcze pani koiniarskiej i z uprzedzającą odezwała się do niej grzecznością:

— Pani ma córkę? słyszałam, że należy do piękności miasta; żałuję nieskończenie, żeś nas pani pozbawiła przyjemności widzenia jej.

, • — Bogu dzięki, urodziwa — brzmiała odpowiedź — zęby ją bolą.

— Mój lekarz wyborny, zna środek na najgwałtowniejszą fluksyę; gdybyś pani pozwoliła...

— Dziękuję księżnej, jej nic nie pomoże, bo ma ząb spróchniały.

— Bywasz pani w teatrze? jesteś muzykalną?

— Przedwczoraj byliśmy na operze.

Księżnie już zaczęło brakować pomysłów do rozmowy, zaczęła jednak znowu:

— Masz pani znajomych w tem towarzystwie?

— Męża i szwagra.

"Wtem weszła jakaś nowa dama; księżna się oddaliła, a pani koiniarska korzystała z chwili, aby copędzej wycofać się do przyległego salonu.

Redaktor dziennika "Pueblo" wszedł właśnie, a gdy po- - między damami wielkiego świata nie spostrzegł żadnej obywatelki z miasta, przemówił z goryczą do znajomego kolegi:

— Czy widzisz, jak się te panie odłączają? lafiryndy!

Na pocieszenie poszedł dziennikarz do bufetu, gdzie miejskie obywatelstwo bardzo się licznie zgromadziło. Naczelnik kominiarzy, człowiek dobrze wyglądający, a tak otyły, żeby się nie zmieścił w żadnym kominie w całym Buenos-Ayres, prowadził polityczną dyskusyę, a zmęczony się nad wyszukiwaniem mądrych zdań, chciwie zapatrzył się na uroczy pasztet, uśmiechając się swym mulackim obliczem. Wziął więc talerz do ręki i wybierał z niemałym znanstwem co najlepsze kawałki z tego i owego półmiska, a ciesząc się, jak mu kolacya będzie smakowała, chciał zwyczajnym sposobem usiąść przy stole. Niestety! zapomniał, że krzesło nie było przy bufecie, i upadł jak długi.

Wielki rozruch stał się w salonie; dziennikarz przybiegł, aby przyjść w pomoc obywatelowi. Naczelnik jęknął i szepnął z cicha do swych towarzyszy:

|| To jeden z tych paniczów nogę mi podstawił.

Kilkanaście spojrzeń jak gromów - uderzyło w przechodzącego na nieszczęście jakiegoś lwa wielkiego świata, który wargę przygryzał, aby nie parsknąć od śmiechu na widok rozmiądnionego na posadzce kominiarza.

— To on 1 — powtórzyło złowrogo kilka głosów, a spokój świątyni pasztetów i cukrów byłby może zakłócony, gdyby nie sam bohater głośnego upadku, który mrugnął na towarzyszy,

aby byli spokojni, a sam w wysokim stopniu obrażony na śliskie książęce salony, wziął swoją magnifikę pod boki i demonstracyjnie pierwszy wyszedł z wieczoru.

Podczas gdy się to działo w salonach, na ulicy złowrogie gromadziły się tłumy. Policja o niczem nie wiedziała, pod jej okiem zawiązał się niebezpieczny spisek przeciw balowi u prezydenta. Miasto liczyło już mnóstwo malkontentów; na czele stali ci sami właściciele psów, którzy niedawno robili księciu owacye; na nowo zaprowadzone kagańce oburzyły ich

przeciw "niodorzecznym" rządóm. Do nich przyłączyli się właściciele fiaków, utrzymując, że wskutek zmniejszenia się dochodów miasta zaniedbano bruki, a powozy psują się po nierównych ulicach. Człowiekowi złej woli łatwo było roznamiętnić tłumy noszące w piersiach tak wielki żal do rządów księcia, a człowiek taki znalazł się. Był nim dymisyonowany sekretarz, który nie mając zatrudnienia, postanowił stworzyć opozycją, przy bliskich wyborach dać się wybrać do rady miejskiej, a znając dokładnie błędy miejskiej administracji, dopóty dokuczać księciu, dopóki go napowrót nie przyjął do służby, albo nie zapewnił odpowiedniego "jego przyzwyczajenióm" utrzymania.

Sekretarz więc stanął dzisiaj na czele tłumów i postanowił podczas balu wyprawić księciu kocią muzykę. Plan się udał wybornie, policja nie zwracała na tłumy uwagę, sądząc, że ciekawość wiedzie ją przed oświetlone okna pałacu.

Właśnie nasz obrażony naczelnik kominiarzy schodził na dół, gdy pierwsze przeraźliwe podniosły się głosy. Genialny człowiek pomiarkował zaraz, co się święci; zemsta przeciw salonóm w nim zawrzała.

— Dobrze im tak! — mówił do żony — niech umieją szanować pocziwych ludzi.

— Dobrze im tak I — odpowiedziała nadęta połowica — żebyś wiedział, jak oni nas za nic mają, jak im się zdaje, że oni tylko we wszystko opływają! Wystaw sobie, że księżna chciała do naszej Marylki swego posyłać doktora! jak gdyby nas nie stać było na doktora dla najukochańszego dziecka! Co za zarozumiałość, co za lekceważenie I

— Być nie może! — jakby nas nie stać było na doktora I

Na dowód swego oburzenia wyjął obywatel srebrną monetę z kieszeni i wsunął ją pierwszemu ulicznikowi, który się nawinał, mówiąc:

— Bierz — a wrzeszcz i gwizdaj co masz siły.

Chłopiec dotrzymał milcząco zawartej umowy, gwizdał przeraźliwie a pan nadkorniarz ze swoją połowicą wymknął się z tłumy, aby go kto nie posądził, że należy do ulicznej gawiedzi.

Tymczasem w salonach wielkie powstało zamieszanie; kobiety zaczęły się obawiać, aby nie rzucano do okien kamieniami, dyrektor policji wybiegł jak oparzony nie wiedząc co się stało, sam książę nie mógł sobie dostatecznie zdać sprawy z tych krzyków i pisków dochodzących z ulicy, a wiedząc, że stanowczość i cywilna odwaga najwięcej tłumóm przewodzi, wyszedł na balkon i silnym głosem zawołał:

— Proszę się uciszyć I — czego żądacie?

W tej chwili jednak surowe jajo rozbiło się o jego nos, - obryzgało całą twarz i zmusiło go do odwrotu.

Damy z koronkowemi chusteczkami rzuciły się na księcia, aby go obetrzeć i schować złotkiem powalany batyst na pamiątkę "wybuchu rozkiełzanych namiętności ludu".

— Tej zniewagi przecież książę nie darujesz! — wołała jedna.

— Strzelać do Jakóbinów! — wołała druga.

Książę do żywego dotknięty śmiesznością, na jaką go naraziło rozbite jajo, posłał do dyrektora policji, aby konni konstable z dobytymi pałaszami rozpędzili tłumy.

Za pół godziny cisza panowała na ulicy i ciemność w oknach prezydentowskiego pałacu; na drugi dzień jednak dziennik "Pueblo" zamieścił piorunujący artykuł, w którym wołał:

— Arystokracja jeszcze raz dowiodła, że jest niezdolną do rządów; krwawe wczorajsze wypadki jaskrawą są ilustracją tej niedołężności! Dawny sekretarz magistratu N. skrzywdzony przez nieszczęśliwie nam panującego prezydenta, ugodzony wczoraj został zbrodniczą ręką tych, którzy się opiekunami sprawiedliwości być mienią. Wierny sługa miasta leży jak nędzarz w szpitalu, podczas gdy pasożyty wysysające krwawą pracę obywateli rozpierają się w pałacu będącym własnością miasta I... i t. p.

Prokuratura skonfiskowała numer dziennika i wytoczyła proces odpowiedzialnemu redaktorowi, kolporterzy jednak postarali się, aby przed zarządzeniem tych środków rozrzucić dziennik po mieście w tysiącach egzemplarzy.

Księżna namawiała męża, aby -się podał do dymisji, prezydent jednak słusznie odpowiedział, że byłoby największym błędem uleść terroryzmowi ulicy.

W tydzień później obywatele Buenos Ayres ogromną

większością głosów obrali do rady miejskiej byłego sekretarza magistratu "męczennika sprawy narodowej", który już zdrow był zupełnie, a tylko dla wzbudzenia sympatii ludu nosił wielki plaster na nosie i rękę na temblaku.

Tego było księciu za wiele — i zółw straci cierpliwość — rozkazał więc, aby dla jakichkolwiek bądź formalności unieważniono wybór. Referendarz długo sobie głowę suszył nad wynalezieniem jakiegoś powodu do unieważnienia wyboru, aż nareszcie znalazł: jeden z członków komisji i wyborczej podpisał się na protokóle ołówkiem, a nie atramentem, a zatem i protokół i cały akt wyborczy nieważny!

Księżę awansował referenta za tak wyborne wyjście z trudności.

Zachowanie się tłumu podczas balu, stłuczone jajo, namiętne artykuły skrajnego dziennikarstwa dały księciu dużo do myślenia; obudziła się w nim myśl okielzania tłumów, przekonania świata, że miasto jeszcze na rękach nosić go będzie.

Na dworze, w wysokich sferach żartowano z księcia, że nie bardzo dobrze wyszedł na łowieniu popularności I Przyjaciółki księżnej doniosły jej o tem, ona zaś powiedziała mężowi. To zabolalo 'Rivierę; niczego się tak w życiu nie obawiał, jak postawienia fałszywego kroku, okrycia się śmiesznością. Dawniej wolał grzeszyć brakiem działania i energii z obawy, aby nierozważnym postąpieniem nie wywołać złośliwej uwagi; wdzisiejszem położeniu jeszcze bardziej uczył dworskie żarciki.

— Jeszcze mi będziecie zazdrościć popularności! — pomyślał, a usłużny referendarz, który tak dobrze umiał unieważnić wybory, zgadł tę myśl i poddał zaraz projekt "subwencyonowania prasy".

Głodny lis z dala kurę poczuje — redaktorowi skrajnego "Pueblo" nikt nawet nie powiedział o powyższym projekcie, a już instynktem wiedziony odgadł myśl prezydenta i znalazł się w jego przedpokoju prosząc o posłuchanie.

W księciu krew zawrzała; oburzyła go bezczelność pismaka, chęć popularności jednak zwyciężyła.

— Czem panu mogę służyć? — miło mi bliżej poznać reprezentanta opozycyjnej prasy — przemówił do niego Riviera. Chociaż nie zawsze zgadzam się z jej zdaniem, umiem szanować opozycję.

— Mieliśmy sposobność przekonać się — odpowiedział redaktor — o wielkiej wyrozumiałości, jaką ma dla nas Excellencya. I opozycją umie być wdzięczną, przychodzę też w imieniu mego dziennika podziękować, żeś go Excellencya nie kazał zamknąć za gwałtowny artykuł, który bez mojej wiedzy dostał się w szpalty. Nie zawsze się można dopilnować mając tyle zajęć.

— Tak, tak, rozumiem to zupełnie.

— Będąc przekonany o dobroczynnym wpływie rządów Waszej Excellencyi na pomyślność miasta, radbym nadal pismem i mową popierać Jego dążenia, ale niestety wkrótce będę zmuszony zawiesić wydawnictwo dla braku funduszy. Ostatnia konfiskata tak szkodliwie wpłynęła na rozwój materialnych interesów dziennika.

~^z Powodu mojej osoby dziennik skonfiskowano — wtrącił księżę — słusznie się więc należy, abym mu był pomocnym. Ilebyś pan mniej więcej potrzebował do podniesienia dziennika?

— Dziesięć tysięcy franków rocznej subwencji zupełnieby wystarczyło i postawiłoby mnie w¹ możliwości oddania się na usługi Waszej Excellencyi. Tuszę, że wtedy opozycją w Buenos Ayres zeszlaby do nic nie znaczących rozmiarów.

— Więc zgoda; zgłoś się Pan do p. referendarza N. w celu spisania kontraktu. Żegnam pana.

Księżę skinął głową i pożegnał dziennikarza w ten sposób, iak żegnał lokaja, na którego miał podejrzenie, że mu z bióra wyciągnął sto luidorów.

Zaledwie redaktor wyszedł z pokoju, gdy jakiś nieznany księciu człowiek stanął przed nim niepostrzeżenie, a uderza j%C go po ramieniu powiedział: ^

— Ależ mój książę', któż' w ten sposób postępuje! — "Pueblo" przestanie być opozycyjnym za Twoje dziesięć tysięcy franków, a lada pismak znów ci założy skrajny dzienniczek. Opozycją trzeba kierować, ale nie dać jej upaść; niech "Pueblo" codziennie sierdzi się na rządy, niech u swoich nie straci zaufania, a wówczas posłucha go tłum jeżeli w stano-

wczej chwili za tobą wystąpi. Jeden błąd więcej mój książę w twem postępowaniu, które nienagannem być miało.

Te ostatnie słowa wymówił nieznajomy człowiek z takim przyciskiem i z tak przenikliwym wzrokiem, że książę dziwnie się zmieszał — słabo mu się zrobiło.

— Możeby dosyć było tych błędów? — dodał jeszcze nieznany i zniknął.

Książę upadł zemdlony na kanapę, a to dziwne zdarzenie tak źle wpłynęło tfa jego system nerwowy, że obłożnie zachorował i niebawem podał się do dymisyi chcąc w polowaniu jedynej szukać rozrywki, nie(^bięypnwąe jak^tyU^by w lot zastrzelić kolibra.

Przedmieszczanie w Buenos Ayres mówili, że tego dnia o północy widzieli jakiś balon krążący nad pałacem księcia. Dwóch ludzi siedziało w nim czarno ubranych i unosiło się do góry. Nikt nie wiedział, w którą stronę balon w powietrzu popłynął.

III.

Bogorya trybunem.

Bogorya tak już przywykł do szczególnych pomysłów Baliela, że się prawie nie zdziwił, przebudziwszy się pewnego dnia w nieznanem sobie, dość skromnem mieszkaniu. Spojrzał wokoło siebie: na ścianach wisiały portrety Washingtona i Mirabeau, pod niemi wieniec wawrzynowy opleciony trójkolorową wstążką z napisem: "dzielnemu swemu zastępcy — wdzięczny lud."^{tt}

— Cóż to będzie za próba? — zapytał się mimowoli i pobiegł copędzej do zwierciadła, czuł bowiem, że ma większą brodę aniżeli wczoraj.

Po długiem szukaniu znalazł wreszcie jakieś lustro, zawieszone na klamce ód okna.

— No! przynajmniej mnie nie zespecił — powtórzył z zadowoleniem i z uwagą przyglądał się swemu orlemu nosowi, wysokiemu czołu i długim gęstym włosom.

— Ależ kimże jestem do biesa? — wołał niecierpliwym, a spostrzegłszy szafę z książkami, zaczął się jej przyglądać, sądząc, że z tytułów dzieł coś wyczytać potrafi.

"Rabelais, Życie Kromwella, Listy Juniusza, Historia rewolucyi francuskiej, Poezye Ossyana, Dzieła Proudhona, Montesquieu, Sprawozdania z posiedzeń parlamentu, Fourier i St. Simon" — oto książki, które mu się odrazu nasunęły.

— Jużcić głupcem nie jestem, skoro tak dobraną mam bibliotekę! — pomyślał.

Bogorya nie znał wszystkich tych dzieł, nie czytał np. ani Fourriera, ani ostatnich sprawozdań z parlamentu, a przecież zdawało mu się obecnie, że wie wszystko, co w nich napisano.

— Dalibóg — pomyślał z radością — zostałem, o ile mi się zdaje, tym samym człowiekiem, a przecież przez noc przybyło mi mnóstwo wiadomości i dziwną w sobie czuję śmiałość do publicznego działania, dziwną chęć przemawiania w parlamencie. Oczywiście muszę być jakąś znakomitością polityczną, może członkiem parlamentu?

Bad był zawołać na służącego i zapytać się kim jest i jak się nazywa?., ale nie chciał taką niezręcznością rozpocząć ważnego, jak sądził, zawodu.

Niedługo wszakże czekał w niepewności. Ktoś do drzwi zapukał.

— Proszę! — zawołał Bogorya.

— Czy Don Silyio jest w domu?., można z nim mówić?.. deputacya wyrobników czeka na dole.

—r A! więc znów jestem w Buenos-Ayres, nazywam się Don Silvio — pomyślał i coprędzej odpowiedział, nieznanemu:

— Jestem!., drzwi moje zawsze otwarte...

Teraz dopiero zaczęło mu się rozjaśniać. Portrety i biblioteka tłómaczyły mu, że musi należeć do stronnictwa demokratycznego, czuł zresztą jakąś dziwną sympatyę do ludu, rad był zostać jego obrońcą.

Tymczasem deputacya stanęła we drzwiach: sześciu wyrobników w bluzach z ogorzaleni, zacnemi twarzami, wzbu- dzającemi zaufanie. Najstarszy z nich tak przemówił:

— Jesteś naszym dzieckiem, dzieckiem ludu, zacny Don Silyio, nie dziw też, że się do ciebie garniemy. Ty nas nie zdradzisz, ty chcesz naszego dobra; przekonaliśmy się o tem na ostatniem posiedzeniu parlamentu. Jak lew broniliśmy zasady, aby pracy dzieci nie wyzyskiwali fabrykanci, żądałeś podwyższenia zasiłków na stypendya dla naszych synów. Cześć ci szlachetny mężu I.. Przychodzimy ci podziękować za to, żeś stanął w obronie ubogich i prosić cię, abyś był dalej ich rzecznikiem.

Wzruszony Don Silvio podziękował w kilku serdecznych słowach deputacyi i przyjął zaproszenie na ucztę w rzemieślni- czem kole.

Do kilku dni obznajmił się w zupełności z nowem swem stanowiskiem, co nietradnem było, gdyż mu się zdawało, że wzrósł w parlamentarnych walkach i od lat młodocianych pracował dla idei demokratycznego postępu. Parlament w Buenos- Ayres miał się zebrać za kilka dni. Don Silvio myślał nad programem, który chciał w izbie postawić. Pałał żądzą za- prowadzenia w swej ojczyźnie sprawiedliwości; chciał, aby ideał prawdy stał się rzeczywistością. Badał przyczyny upadku narodów i zdawało mu się, że zepsucie i zgnilizna zawsze idzie z góry, a soki pożywne z ziemi wychodzą.

— Co to jest konserwatyzm ? — pomyślał — rzecz naturalna, że stek zastarzałych błędów, hamulec wstrzymujący postęp. Każda idea dopóty jest zbawienna, dopóty szlachetna, dopóty piękna, dopóki młoda; myśli jak ludzie starzeją się, a biada narodom, które dawnych idei zawczasu nowemi zastąpić nie potrafią.

Na ten temat miał Don Silyio mowę w rzemieślniczem kole, którą przeciąglęmi przyjęto oklaskami. Pito zdrowie na cześć zastępcy rzemieślników, poczem nastąpiła uczta, na której się znalazły najpiękniejsze córki miejskiego ludu.

Don Silvio rozpoczął taniec z ubogą szwaczką, chcąc okazać, że wszędzie jest protektorem biednych; porwany tym przykładem jakiś młody, bogaty fabrykant oświadczył się o nią, i szwaczka wielki los wygrała.

Ukochanego posła odprowadzono z pochodniami późno w noc do domu.

Za kilka dni zwołano parlament: pod obrady przyszła sprawa wspierania^ kas zaliczkowych rzemieślniczych z publicznych funduszków. Wniosek miał bardzo wielu

przeciwników, utrzymujących, że państwo nie ma obowiązku wdawać się w dobroczynność i że kasy zaliczkowe dopiero wtedy mają Znaczenie, jeżeli są oparte na wzajemnym kredycie.

Don Silyio trząśł się od gniewu i oburzenia, spojrział na przepelnione ludem galerye i piorunującym głosem zaczął wołać:

— “Gdyby się zachwiały najpotężniejsze bankierski^ domy w Buenos-Ayres, gdyby tym, którzy się dzisiaj rozpierają na

aksamitach, groziło niebezpieczeństwo, że jutro na wełnianem będą musieli usiąść pokryciu, uderzylibyście panowie na alarm i wołalibyście: państwo w niebezpieczeństwie, wielki kredyt zachwiany, trzeba go wesprzeć, aby kilkadziesiąt rodzin nie upadło, aby bankructwo nie szerzyło się w coraz dalsze koła i

Jeżeli wszakże dzisiaj setki i tysiące rodzin rzemieślniczych przychodzi żądać od was pomocy, bo jutro nie tylko nie będą miały wełną pokrytych sprzętów, ale najniebezpieczniejszego zabraknie im pożywienia, to nie widzicie tych księsk ekonomicznych, które ztąd wynikną, ale odwołujecie się na zasady ekonomiczne, na teorie wymyślone przez ludzi sytych i za-możnych."

W ten sposób mówił Don Silvio dalej, a gdy kończył, taka wrzawa powstała na galeryach, że zdawało się, iż gmach parlamentu się zawali.

— Wypróżnić galerye I — zawołał prezydent.

Mówcy umilkli, przeraźliwy syk i świst dał się słyszeć, Don Silvio stał w sali z ponuro-szyderczem obliczem....

Za kilka minut galerye były wprawdzie puste, ale mówca odniósł tryumf zupełny — wniosek jego przeszedł; chwiejni posłowie, przelękłszy się odpowiedzialności, za nim głosowali. ...

Po raz pierwszy poczuł potęgę swego słowa, poczuł, że może mieć znaczenie, a nawet dojść do władzy.

Kilku posłów, którzy podobnie jak on myśleli, ale nie mieli ani tej odwagi ani tej wymowy, przyszło mu powinszować zwycięstwa; kilka chwiejnych umysłów nie śmiało mu wprawdzie otwarcie przyklasnąć, ale unizone odtąd przed nim biło ukłony. Przeciwnicy nawet podawali mu rękę. Portret Don Silvia ukazał się jednego dnia we wszystkich prawie ilustrowanych dziennikach.

W ciągu dalszych walk parlamentarnych zaczęło się około niego grupować kilkunastu posłów, którzy go już stale wspierali — zobaczył się zatem naczelnikiem stronnictwa. -Umysł bystry spostrzegł wkrótce, że stronnictwo, ażeby mogło skutecznie poprzeć swe zadania, musi jasno wiedzieć, do czego dąży i ściślej ulegać karność.

Lubił on sobie zdawać sprawę z tego, co przedsiębrał, co go zajmowało; zastanowił się też nad organizacją stronnictwa. Po długich rozmyślaniach doszedł do następujących rezultatów:

Pro foro interno, na własny użytek, napisał taki plan organizacyjny stronnictwa.

Art. i. Każde stronnictwo chcące mieć wpływ i znaczenie, powinno otwarcie dążyć do władzy. Im śmieiej swój sztandar wywiesza, tem więcej wzbudzi zaufania.

Art. 2. Każdy z członków powinien mieć nadzieję, że stronnictwo pomoże mu do osiągnięcia jakiegoś prywatnego celu — na tysiąc bowiem ludzi znajdzie się zaledwie dziesięciu, którzy się bezinteresownie poświęcają idei, inni zaś-pragną otrzymać urząd i dekoracją albo chcą przyjsć do majątku. Na owych dziesięciu liczyć nie można, bo ich zamało; trzeba więc tak organizować stronnictwo, aby ci ostatni byli zadowoleni, aby mogli się spodziewać. Nadzieje spełnią się, jeżeli stronnictwo przyjdzie do władzy — ergo kardynalnym warunkiem powodzenia jest dążenie do władzy.

Art. 3. Stronnictwo powinno być państwem przyszłości, każdy członek ma mieć naprzód oznaczone stanowisko lub domniemaną korzyść, którą osiągnie, gdy stronnictwo dojdzie do władzy. Pod karą zachwiania się stronnictwa nie powinno się w niem znajdować dwóch posłów jeden i tensam cel mających na oku; wewnętrzna, ukryta walka zacznie bowiem toczyć silną organizacją. Jeżeli dwóch będzie tam ludzi dążących do osiągnięcia teki ministra finansów, albo dwóch, chcących wziąć w przedsięwzięcie budowę projektowanej kolei żelaznej—jednego z nich pod jakimkolwiek pozorem trzeba wykluczyć z koła.

Art. 4. Naczelnik powinien być o tyle wyższym umy- słowo od innych członków, żeby
żadnemu z nich nie przyszło nawet na myśl pokusić się o władzę. Zresztą im więcej ludzi
zdolnych, tem lepiej | ale i mierności* stanowczo są potrzebne. Mierność największą w
społeczeństwie odgrywa rolę — w długim okresie czasu zawsze ona odnosi zwycięstwo.
Geniusz jest owym lekkim gazem w balonie, który powietrzną nawę szybko do góry podnosi;
mierność, to owe wory z piaskiem, które utrzymują balon w równowadze, ale gdyby ich
nie było, balon dostałby się w niebezpieczne prądy i uległby pewnemu zni

szczeniu. Mierności i to mają za sobą, że się małem zadowol- nić potrafią...

Na tych podstawach zreorganizował Don Silvio stronnictwo, a pierwszym jego zadaniem zgodnie z wolą Indu miało być oddanie dóbr zakonnych na spłacenie publicznego długu i nieograniczona wolność stowarzyszeń robotniczych.

Dziwna jednak rzecz, że mimo wybornej organizacji, koło nic było tak silne i nie mogło tak przewodzić izbie, jak się to założycielowi zdawało. Miało pewną, stale oznaczoną liczbę głosów, po za którą nigdy nie wyszło, odgraniczało się od inoich stronnictw, przeszkadzało nieraz konserwatystom w dojściu do jakiegoś celu, ale samo nic zdziałać nie mogło. Silvio zastanawiał się nad tem niepowodzeniem, szukał róż* nych powodów, któreby usunąć należało, ale na razie nic wy- myśleć nie umiał.

Pewnego dnia przyjechał doń naczelnik konserwatystów, ksiązę de la Toria, człowiek wytrawny w rzeczach polityki.

— Niech pana to nie dziwi — przemówił ksiązę — że tutaj przybywam. Widzę w panu materyał na znakomitego polityka, ale wybacz starszemu, że ci powie, iż jeszcze nim nie jesteś. Zorganizowałeś stronnictwo swe na nadzwyczaj rozumnych podstawach, ale mimo to praca twa naprzód nie postępuje; popełniłeś bardzo ważny błąd: myślałeś tylko o sobie i swoich zwolennikach, zapomniałeś jednak o innych stronnictwach, zapomniałeś o najważniejszej zasadzie politycznego działania, o wzajemnych ustępstwach. Bez nich największy talent o krok się naprzód nie posunie.

Don Silvio był umysłem jasnym, zrozumiał zatem od- razu doniosłość słów swego przeciwnika. Pozostając na ściśle wyłącznem stanowisku, miał przed sobą daleką a nie zupeł- nie pewną drogę, albowiem konserwatyści wszelkicby użyli starań, aby mu utrudnić działanie — gdy przeciwnie wchodząc w układy, mógł szybko podzielić się z nimi władzą. Praktyczny zmysł zatem zwyciężył.

Ksiązę wyszedł po dwu godzinach rozmowy od trybuna z rozpogodzoną twarzą, Silyio bowiem przyrzekł powoli wycofać wniosek o sprzedaży dóbr zakonnych, pod warunkiem, że otrzyma tekę w' przyszłym gabinecie.

Zaledwie ksiązę wyszedł, przyniesiono Silyii zaproszenie na meeting, na którym miano obradować o konieczności sprzedaży dóbr zakonnych.

Tak meeting jak i zaproszenie były mu nie na rękę; wymówił się zatem, że z powodu ważnych zajęć w komisjach parlamentu nie może wziąć udziału w zgromadzeniu ludu.

— Powiedzcie ludowi — odrzekł na zaproszenie — że sercem zawsze stoję przy nim, że jednak obowiązki każą mi być podczas meetingu w gmachu parlamentu.

W rzeczywistości pojechał Silyio do księcia de la Toria, aby mu dowieść lojalności swego postępowania.

Ksiązę przedstawił go swej małżonce, u której właśnie znajdowało się liczniejsze arystokratyczne grono.

Wśród rozmowy zbliżyła się do niego hrabianka Róża, dwudziestokilkoletnia panna, siostrzenica księcia.

— Z ciekawością i z obawą zbliżam się do pana przemówiła doń — pańskie wnioski o odebraniu majątków klasztorom niejedną noc spać mi nie dawały...

Polityk zmieszał się, spojrział w wymowne piękne oczy hrabianki, nie wiedział co na razie odpowiedzieć.

— Trzeba panu wiedzieć — wmieszała się do rozmowy księżna — że nasza siostrzenica zakłada klasztor w Buenos a Puntos i pierwsza zamierza te mury przestąpić w zakonnej sukni.

— Gdybym był wiedział — odrzekł trybun z grzecznym uśmiechem — postawiłbym wniosek nietylko zabrania własności zakonnej, ale i wniosek zniesienia klasztorów; gdyby

bowiem ten wniosek przeszedł, towarzystwo stolicy nie straciłoby swej najpiękniejszej ozdoby.

Hrabianka zrobiła wcale niezakonny ruch głową na to powiedzenie, księżę jednak szybko rozmowę na inny skierował przedmiot

Na drugi dzień miał Silvio w klubie długą mowę o potrzebie roztropnego dążenia do zamierzonych celów, o mądrości politycznej, której najznakomitszą umiejętnością jest umiejętność miarkowania się.

“Naraz wszystkiego osiągnąć nie zdołamy — mówił — idźmy krok w krok naprzód, zdobywajmy po piędzi ziemi...”^M

Mowa zrobiła w klubie wrażenie, kilku skrajnych posłów zaczęło szemrać, sądziło, że naczelnik określi nowy program

i odstępuje od zamiarów, jakie stronnictwo napisało na swym sztandarze. Położenie uratowały jednak miernie umysły, których klub liczył podostatkiem; ciężkie rozумы wstrzymały kilka rozbudzonych imaginacyj i Silyio wyszedł bez szwanku.

Późno wrócił z klubu, niespokojną miał noc, dziwne sny zaprzętały rozgorączkowaną imaginacyą. Zdawało mu się, że już jest ministrem, czuł władzę w swych ręku. Stał na jakiejś wysokiej skale, a u swych stóp widział mnóstwo ludu; nigdy jednak lud tak małym mu się nie wydawał jak dzisiaj, jedno skinienie wystarczało, aby tłumami poruszać.

Rano rozmyślał o istocie tego zbiorowego pojęcia* które ludem zwiemy, przechodził dzieje znakomitych trybunów i pierwszy raz przyszedł do przekonania, że lud jest niewdzięcznym i że najczęściej nie wie, czego żąda.

Zapomniał, że kierunek naszych myśli niewolniczo podlega usposobieniu, w jakim się znajdujemy. Dążył on do władzy i czuł instynktowo, że lud jej nienawidzi; po raz pierwszy też spostrzegł, że pomiędzy nim a ludem otwiera się przepaść. Przepaść taką potrafi tylko chwilowo zappełnić geniusz podobnych mężów, jakim był Napoleon I. Silyio nie był wszakże geniuszem...

Myśl o zależności od ludu niesmak w nim obudziła, chciał się rozerwać, pojechał do pierwszego ogrodnika w mieście. ...

— Potrzebuję sto krzaków najpiękniejszych, najrzadszych róż 1 — zawołał wysiadając z powozu.

Ogrodnik widział, że na taki rozkaz nie można robić trudności.

— Gdzie mam je odesłać ? — zapytał.

— Do księcia de la Toria, dla hrabianki Róży z tym biletem.

Pod kopertą na bilecie było napisane:

“Hrabianka Róża zechce przyjąć krzaki róż do przyszłego ogrodu klasztorowego w Buenos a Puntos.”

Książę de la Toria zatarł ręce i powiedział:

— Zaczęli na nas ciskać kartaczami, skończyło się na gradzie róż....

W kilka tygodni później został Silyio ministrem, a pierwszym jego zadaniem było spełnić życzenia członków klubu, aby tym sposobem zapewnić sobie nadal ich poparcie.

Większość politycznych przyjaciół zadowolniła się; nie tak łatwo wszakże było zadość uczynić żądaniom ludu, który podżegany przez kilku dowódców, żądał wykonania pierwotnego programu: zajęcia dóbr duchownych i wolności stowarzyszeń robotniczych.

W jednym z ludowych teatrzyków zaczęto przedstawiać sztukę, której bohater wyszedłszy z najniższych klas społeczeństwa, a osiągnąwszy z czasem dostojęństwa i zaszczyty, pogardza wszystkim, co mu przeszłość przypominać może. Aktor grający tytułową rolę ucharakteryzował się tak, aby wiernie oddać postać Silvia. Policja pociągnęła aktora do odpowiedzialności, sztukę grać zakazano.

Uliczna opinia miała za zbrodnię ministrowi, że nie dał robić z siebie karykatury na scenie.

— Precz z ministrem ! precz z Silyiem! — wołały tłumy przeciągające przed teatrem.

Silyio stracił cierpliwość, zawiele mu było tej ludowej opieki, chciał się z niej wyswobodzić; wniósł zatem naradzie ministrów, aby wytoczyć proces burzycielom porządku publicznego i jak najsurowiej z nimi postępować.

Książę de la Toria zbliżył się do niego.

— Znów ci muszę przypomnieć rady moje o umiarkowaniu, o wzajemnych ustępstwach. Nie należałoby drażnić mas, lepiej milczący z nimi zawrzeć układ. Lud się zawiele od ciebie spodziewał; wszystkiego dać mu nie możesz, nie zrywaj jednak z nim zupełnie, bo on cię przecież wyniósł tutaj, gdzie się dzisiaj znajdujesz. Dóbr zakonnych nie możesz mu rzucić na

pastwę, ale zaspokój go ograniczoną wolnością stowarzyszeń robotniczych. Na taką ustawę zgodzi się całe ministerstwo.

Silvio trochę się zarumienił, musiał jednak uznać słuszność słów księcia.

Aktora wypuszczono na wolność, ulicznych burzycieli ukarano łagodnie, a Silvio przedłożył izbie projekt do ustawy o stowarzyszeniach.

Przejął on się tak dalece zasadą wzajemnych ustępstw, że myślał ją i w prywatnym życiu zastosować. Mówiąc między

nami, hrabianka Róża bardzo mu się podobała, a zamiar jej wstąpienia do klasztoru wcale mu nie był na rękę. Dopóki nie był ministrem, nieśmiało zwracał ku niej swe myśli, później jednak tak rozumował: "Ona nosi wprawdzie słynne historyczne nazwisko i wielki ma majątek; ja jednak niepospolite w kraju zająłem stanowisko, na każdym kroku jestem potrzebnym jej stryjowi — kompromis zatem pomiędzy nami możliwy."

Na takim opierając się rozumowaniu, zaczął bywać częstszym gościem w domu księcia i ze zwykłą sobie śmiałością dążył do otrzymania ręki hrabianki. To go tylko dziwiło, że książę nie chciał rozumieć jego zamiarów, a zamiast o siostrzenicy, zaczynał z nim zawsze rozmowę o wolności stowarzyszeń.

— Może nie przypuszcza, abym nią był zajęty — pomyślał i nie zwracał na księcia uwagi.

Po jakimś czasie znudził się jednak przedmiotem stowarzyszeń i wprost zamiary swe oświadczył księciu.

— Hrabianka Róża wstępuje do klasztoru — spokojnie odpowiedział książę i znów sprowadził rozmowę na inny przedmiot.

Silvio zawrzał gniewem na chłodną odpowiedź księcia, musiał ją jednak przyjąć z grzecznym ubolewaniem, boć przecież książę nie był winien zakonnemu powołaniu siostrzenicy.

W kilka miesięcy później rozeszła się po mieście wieść, że hrabianka Róża wychodzi za markiza St. Julien, wielkiego koniuszego cesarza.

— Ha, nędznik! — zawołał Silvio z oburzeniem — tak dotrzymał kompromisu!

Naturalnie Silvio myślał o księciu.

— Zerwij z nimi! precz z ustępstwami! — szepnął mu jakiś głos ponury.

— Zapóźno! — dodał inny, szyderczy głos.

— Dlaczego zapóźno? — z dumą zapytał Silvio i spojrzał na lud. W tej chwili tłumy uliczne zdawały mu się niezmierną potęgą; stojąc na ich czele, można było wszystkiego dokazać.

Niestety! lud zapomniał o swoim trybunie, a widział tylko wstecznego ministra.

Silvio się zamyślił, uczuł, że utracił siłę, że nie miał poparcia. Polityka ustępstw dobra dla dyplomatów, ale nie dla trybunów ludu; wyszedł na niej dobrze książę de la Toria, ale upadł Silvio.

— Nie upadł! — zawołał głosem, w którym drgała obrażona duma, zemsta i żal za utraconą przeszłością.

— Nie upadł! — powtórzył tym samym głosem — lud musi się do mnie nawrócić, a wtedy bieda wstecznikom i konserwatystom!

W całym mieście znanym był pan Desiderio fotograf i biegły polityk.

W kilka tygodni po owym monologu Silvia przybiega zadyszany fotograf do swej sąsiadki, rozgłośniej krawcowej.

— Racz mi pani zrobić — mówił do niej szybko — poduszkę z niebieskiego atlasu, obszytą złotym sznurem z czterema kutasami po rogach. Tylko niech to będzie dzieło artystyczne, godne znakomitej pracowni.

— Do czego ma służyć poduszka, jeśli spytać wolno?

— Wielkie ma mieć przeznaczenie... Wiadomo przecież pani, że minister Silvio wyprawia od kilku dni obiady dla ludzi pracy. Pomysł godny tak znakomitego jak on człowieka! Jutro znów obiad, w którym i moja maluczkość weźmie udział... Otóż na mój wniosek wszyscy goście, którzy na tych obiadach bywają, kazali się fotografować i podadzą jutro wspaniałe album ze swymi fotografiami gościnnemu gospodarzowi. Album podamy na atlasowej poduszce!., artystką zaś, która poduszkę wykona, będziesz pani!

— Dziękuję za zaszczyt — odpowiedziała uprzejmie miodniarka.

— Powinnością naszą było tutaj się udać; komuż, jeśli nie pani można było to dzieło powierzyć?... Nie ma za co dziękować, oddaliśmy tym sposobem tylko należny hołd naszej bogini smaku.

Desiderio wybiegł szybko z kontuaru modniarki i kazał się doróżce zawieźć na drugi koniec miasta do sklepu z żałobą,

— Dzień dobry, dzień dobry — witał się fotograf, podając wokoło rękę kupczykom.

— Panowie i koledzy — mówił — wiecie zapewne o ciężkim ciosie, jaki ugodził w nasze miasto: Dziś rano o godzinie trzeciej minut 23, zasnął w Panu Stefan Potrida, wielki przyjaciel klas pracujących, autor dzieła o "Przymusowym kredycie." Z należną czcią i godnością musimy mu ostatnią oddać usługę..* Zdjąłem już jego pośmiertną fotografię.

To mówiąc, wyjął Desiderio fotografię z kieszeni i pokazywał ją pryncypałowi i kupczykom.

— Patrzcie! jaki łagodny, święty wyraz twarzy, ile się na niej maluje poświęcenia dla dobrej sprawy. Tak panowie i potrzeba będzie sto metrów krepy, pięćdziesiąt czarnych wieńców i dwadzieścia pięć trupich główek z białego sukna. Koszta pogrzebu pokryjemy ze składek; waszej firmie, najstarszej w mieście, pozostawiłem zaszczyt podpisania listy na pierwszym miejscu.

— Mnie o ten zaszczyt nie chodzi — przerwał niezadowolony pryncypał — nasza firma nie stoi reklamą. Chętnie jednak na taki cel podpiszę pięć złotych na ostatnim miejscu.

— Wiedziałem, że na wasze serce zawsze liczyć można — odrzekł uroczystym głosem fotograf. — Będziesz pan na obiedzie u ministra?

— Mam zaproszenie — odrzekł flegmatycznie właściciel magazynu — ale nie wiem, co to znaczy ?

— Co znaczy ?... rządzący przecież muszą zbadać opinią wpływowych ludzi, jeżeli chcą rządzić sprawiedliwie.

— A jak się na ten obiad trzeba ubrać?

— Białe krawaty, białe kamizelki! — odrzekł fotograf i znów jak gdyby sobie coś ważnego przypomniał, wybiegł na ulicę.

— Bardzo też ciekaw jestem — myślał Desiderio po drodze — ile pośmiertnych rozprzedam fotograf! Powinienbym zrobić dobry interes. Im wspanialszy urządę pogrzeb, tem więcej będzie miasto mówiło o nieboszczyku, tem więcej roz-, kupi fotografijt Hej, hej! mój Boże, żeby to minister dał mi się fotografować! Ale trzeba uchwycić chwilę, kiedy się stanie najpopularniejszym. Te obiady, wyborny pomysł! sambym mu lepszego poddać nie potrafił. Niema jak popularność! i ministrowi z nią dobrze i fotografowi!

Zapomnieliśmy powiedzieć, że tego dnia były jego imieniny.

Powróciwszy do swego atelier, zastał tam bilet ministra z dopiskiem: "z powinszowaniem imieniem jednemu z najgorliwszych obywateli stolicy!"

— Prawdziwie wielki mąż z tego ministra i — wykrzyknął uradowany Desiderio. — Zna się na ludziach jak Cezar lub Napoleon I, wie, że jestem niepospolitym człowiekiem i że bezemnie nic w Buenos-Ayres zdziałać nie potrafi.

Nazajutrz w dzień obiadu u ministra biegał Desiderio po całym mieście, chcąc dostać perfum z herbaty, a znalazłszy je, wylał na siebie całą flaszeczkę, w przekonaniu, że ze wszystkich gości najbardziej "dystygowaną" woń będzie rozpościerał.

Przy pierwszym toaście ofiarował ministrowi album na atlasowej poduszce, poczem minister miał rozczulającą przemowę na temat: że wszelka władza wychodzi od klas pracujących, że dygnitarze o tyle tylko mogą wywierać jakiś wpływ, o ile są do tego od ludu umocowani, o ile mają poparcie narodu. Wzywał zatem do udzielenia mu moralnego poparcia, gdyż tym tylko sposobem zdoła stawić czoło rozpościerającej się naokoło reakcji.

Po obiedzie prosił Desiderio ministra, aby mu się pozwolił odfotografować.

— Dobrze — odpowiedział Silvio — ale na fotografii nie będę sam jeden, bo sam nic nie znacę. Chcę iść ręką w rękę z ludem i z mieszczaństwem, odfotografujesz mnie zatem z przewodnikami tych żywiołów, które stanowią moją jedyną podporę.

Desiderio był zachwycony pomysłem, a za tydzień kolporterzy roznosili fotografią, przedstawiającą trzech za ręce trzymających się mężczyzn. Środkowa postać wyobrażała pana

ministra, a po bokach stali: znany w mieście szewc nazwiskiem Zampa i wyrobnik Domenico, naczelnik wszystkich fabrycznych streików.

Jakiś podrzędny muzyk skomponował walca pod tytułem "Ręka w rękę", a na okładce swego arcydzieła umieścił owę fotografię.

SilYio dziwił Się, że pomimo przyjaźni z fotografem, po-

mimo licznych obiadów i zniżania się do ludzi, którzy go bynajmniej nie bawili, nie mógł odzyskać utraconej sympatii. A podczas gdy- największe robił wysilenia, aby zerwane nawiązać węzły, pojawiła się piorunująca przeciw niemu broszura pod tytułem "Farbowane lisy".

Nieznany autor przysłał ministrowi egzemplarz pisma w czerwony oprawny aksamit, a tysiące egzemplarzy rozrzucił pomiędzy posłami, w parlamencie, po kawiarniach i publicznych ogrodach.

Broszura napisana była w kształcie otwartego listu do ministra i zaczynała się ulubionym w takich razach tytułem: "Zdrajco I^w

SiWio brwi zmarszczył i czytał dalej:

"Judasz sprzedał Chrystusa Pana za 30 srebrników, a ty za tytuł, za urząd sprzedałeś lud, który cię w/piastował, który cię wyniósł. Ale Judasz mniej był winnym, aniżeli ty zdrajco, bo i t. d.

W tym tonie pisana była cała broszura. Silvio przeczytał ją do końca, od czasu do czasu wodę popijając. . . . Wreszcie zamyślił się, dużymi krokami zaczął chodzić po pokoju i postanowił....

— Co postanowił? — zapytacie.

— Oczywiście wrzucić broszurę do komina.... Niel by najmniej: postanowił wydać inną broszurę, wyluszczającą jego politykę i uniewinniającą go przed ludem.

Za kilka tygodni pojawiła się też rzeczywiście za księ- garskimi pułkami książka pod tytułem "Łatwiej potępiać aniżeli działać," książka ta jednak bardzo słabe wzbudziła zajęcie. Wszyscy czytali pierwszą broszurę, mało kto przejrzał ostatnią; skandal bowiem ma zawsze większy rozgłos aniżeli uniewinnienie, a najgorzej ten wychodzi, kto się przed publicznością sam broni. Kto się nie może obronić czynami, niechaj nic nie odpowiada, a przynajmniej może się spodziewać, że drudzy go wezmą w obronę. Publiczność ma wiele dobrego serca i chętnie się za tym ujmuje, na kogo rzucają obelgi; ale niechże ten ktoś wystąpi z uniewinnieniami, to publiczność zamiast ułatwić mu trudne zadanie, wystąpi w roli surowego krytyka i cenzora i będzie się cieszyła każdą słabą stroną obrony.

Odwaga, lekceważenie napaści podoba się tłumom — tłumaczenie się uchodzi co najmniej za tchórzostwo.

Nie dziw też, że jeden z humorystycznych dzienników napisał następującą wiadomość:

"W tych dniach wyszła broszura pod tytułem "Łatwiej potępiać, aniżeli działać." — Odpowiedniej byłoby napisać na niej: D. O. M. Hic jacet Silvio. Panie! przyjm zapał trybuna, aby odkupić grzechy ministra."

Tym razem przysłano także numer dziennika ministrowi. Silvio z niemałym zdziwieniem a z większym jeszcze wstydem przeczytał pod owym nagrobkiem podpis: Baliela.

IV.

Ofiara towarzystwa i stosunków.

Bogorya miał tę wspólną z wielu innymi towarzyską wadę, że Bóg wie czego wymagał od ludzi ze znakomitem urodzeniem i z majątkiem, a każdy błąd, który popełnili, podwójną im rachował kredką. "Wiecznie też narzekał, że ten lub ów traci fortunę, że tamten nie stanął na czele przedsiębiorstwa, a inny znów co roku jeździ do Paryża. Zapominał o tem, że jeżeli synowi mecenasa nie wolno trzymać wierzchowca i wyrzucać ojcowskie pieniądze na bukiety dla niemłodych artystek, dlaczegoż nie ma się to trafić księciu X. Y., którego jedyną wadą i zaletą jest lekkomyślność.

Nazwisko odziedziczone po przodkach wkłada na nich wielkie obowiązki i mówił raz do Baliela. Najmądrzejsze zdanie zanadto często powtarzane traci na wartości, odpowiedział mu mentor. Dla tego strzeż się komunałów i wierzaj mi, że w nich się nie mieści mądrość narodowa. Komunał to jak zdawkowa moneta, im dłużej jest pomiędzy ludźmi, tem bardziej się wyciera, a i to ma jeszcze z nią wspólnego, że zwykle z najgorszego wybity metalu. W każdej warstwie społeczeństwa musisz się liczyć z wadami ludzkiemi, a siła praw, która rządzi głupstwo tak jest wielką, że jej nie zwalczy cała bateria ogólnikowych morałów.

Wskutek tej rozmowy ujrzał się Bogorya za kilka tygodni mieszkańcem arystokratycznej części miasta, właścicielem dużego pałacu z parkiem i znakomitej stajni z wyścigowemi końmi.

Nie wiemy już, w jaki sposób przemienił go Baliel w hrabiego Zdzisława, a hrabiemu wlał jego umysł, dość, że po tyfusie, ospie czy jakiejś innej ciężkiej chorobie uczuł się hrabia zupełnie nowym ożywiony dachem — jakby innym człowiekiem. Od czasów uniwersyteckich miał on skłonność do towarzyskich reform, ale obecnie skłonność ta hader żywo zajęła jego wyobraźnię i chciała sobie wyrobić pole do działania.

— Trzeba się brać do pracy ostrożnie, powoli, mówił sam do siebie, aby tem pewniejszy osiągnąć skutek.

Zdzisław nie wiedział właściwie, co ma zdziałać; ale czuł, że coś zrobić trzeba, aby zmienić towarzystwo w którym żył, natchnąć mu poważne myśli, skierować do czynów wielkiej doniosłości. Przedewszystkiem chciał zacząć reformy od siebie i unikać błędu, który się często powtarzał w kole jego znajomych: nie ożenić się w bliskiej ani dalekiej rodzinie, będąc przekonanym, że związki krwi przyczyniają się do umysłowego skarłowacenia pokoleń.

Myśl tę nasunął mu list od ciotki, zapraszający go na karnawał do Drezna, gdzie miało być mnóstwo ładnych panien. Prócz ciotki nie mieszkał tam nikt z jego krewnych, mógł więc spokojnie jechać i marzyć o jakiejś szlachciance, któraby go prawdziwie pokochać mogła.

Wyjazd opóźnił się z powodu różnorodnych zajęć, z końcem więc karnawału stanął dopiero w saskiej stolicy.

— Za późno przybyłeś! wyrzucała mu hrabina Klaudya, kto inny już <od ciebie szczęśliwszy!

A miała podobno iia myśli jakiegoś Wołyniaka, który jako narzeczony gwiazdy karnawału wyjeżdżał z nią właśnie do Włoch.

Zdzisław nie zasmucił się tak dalece tą wiadomością, gdyż nie znał owej piękności, pocieszał się więc rozmową ze swą kuzynką panną Julią, której nigdy dotąd nie widział, pomimo, że w bliskim był z nią pokrewieństwie. Julia przypadkowo bawiła u hrabiny Klaudyi, ale za dwa tygodnie miała z Drezna wyjechać, Zdzisław dzielił więc czas pomiędzy teatr a familijne wieczory, które wcale korzystnie wyróżniały się od zwykłych rodzinnych zobrań, gdyż Julia urodą swą czaro

wała wszystkich. Prawa pokrewieństwa pozwoliły mu być z nią bardzo serdecznym, korzystał więc z nich, aby jej co wieczór opowiadać swe wrażenia z teatru, i zachwycać się głosem i urodą panny Kolia, znakomitej śpiewaczki bawiącej wtedy w Dreźnie na gościnnych występach.

Niebawem panna Rolla służyła już tylko za powód do rozmowy o kobietach, o sercu, o uczuciach, Zdzisław bowiem spostrzegł się, że Julia daleko piękniejsza od artystki i że mu bardzo przyjemnie w jej towarzystwie. Po dwóch tygodniach prosił ją nawet, aby pobyt, swój w Dreźnie przedłużyła, co ciotka gorąco poparła.

Nie zdziwcie się, że za kilka miesięcy oświadczył się Zdzisław o Julię i że dopiero po ślubie dowiedział się o podstępie hrabiny, która pozornie wezwała go by podziwiał jakąś nieistniejącą gwiazdę karnawałową, a w rzeczywistości chciała go z Julią wyswatać.

W rok później siedział Zdzisław zadumany w swoim pokoju rozmyślając nad tem, że ożeniwszy się ma jeszcze większe wobec kraju i towarzystwa obowiązki, że do życia trzeba z wielką przystępować rozwagą, że każda chwila zmarnowana nigdy już nie powraca.

.Wtem wszedł pan Kazimierz, jego przyjaciel młodości.

— Nadzwyczajna wiadomość! mówił wchodzący pełen niekłamanego wzruszenia — konie twoje nie mają już na torze współzawodnika, "Meteor" barona Wiślickiego złamał nogę.

— Szkoda tak pięknego koniki

— Nie unos się wspaniałomyślnością, ale ciesz się, że będziesz wszystkie wygrywał nagrody.

— Właśnie nad tem myślałem, aby stajnię zwinąć...

— A toż co za pomysł?

— W naszych ciężkich czasach można pożyteczniej użyć pieniędzy, ale rzeczywiście, gdy spojrzę na te piękne zwierzęta, które mnie tyle kosztowały starań i zachodu, nie mam odwagi się z nimi rozstawać.

* — Pani hrabina prosi do herbaty! przerwał ukazujący się we drzwiach lokaj.

— Pójdź Kaziu, napijesz się z nami.

Pani Julia była piękną i to jej wystarczało, zresztą bowiem nie miała ani wielkiego dowcipu, ani muzykalnych talentów, ani była czytana, ani bardzo złą, ani bardzo dobrą; umiała tylko wykwintnie się ubrać, jak tapicer znała się na upięciu firanek, umeblowaniu salonu i z wielkim smakiem urządzała bale i objady..

— Dobrze że panów widzę — odezwała się po przywitaniu — księżna Wanda usilnie mnie prosiła, abyście przyjęli udział w kweście.

— Ależ ja nie mam czasu, niezadowolony odpowiedział Zdzisław — kwesta zajmie cały tydzień"; nieznosna praca, wolałbym się okupić.

— Nie można odmówić Zdzisławie; księżna tak dla nas pocziwa, zresztą, jak ci mówię, szczególny nacisk kładzie na to, abyście obydwaj panowie przyjęli jej zaproszenie. Pana panie Kazimierzu czeka przy kweście niespodzianka, więcej nie mogę powiedzieć, jak: że będzie upudrowaną...

— Upudrowana niespodzianka? to coś bardzo ciekawego.

Lokaj wniósł dzienniki i listy z rannej poczty.

— A] list od Maryli...

Zdzisław zaczął czytać.

— Wybornie! idzie za mąż, za księcia Leona... oświadczył się w loży na Aldzie — zaręczyny po świętach, każe nam koniecznie przyjechać... Bardzo się cieszę, dobry zrobiła wybór.

— Więc doskonale się składa, odezwała się pani Julia, wielki tydzień przejdzie nam na kweście, a po świętach pojedziemy do Paryża, na zaręczyny Maryli. Pamiętaj pomyśleć o jakim upominku! dodała, zwracając się do męża.

Po chwili odszedł pan Kazimierz — zostali sami małżonkowie.

— Wiesz co Zdzisławie, zaczęła pani Julia, że w tym roku koniecznie wypada nam dać święcone...,

— Ależ dla Boga! tak jnnie nudzą te ciągle przyjęcia, zresztą szkoda pieniędzy. Jeżeli ci chodzi o pokazanie sukni, będziesz miała sposobność u Witołdów.

— Nie myślę o sukni, trochę cierpko odpowiedziała żona, nie wypada jednak zamykać się w domu, nie żyć z ludźmi^ nikogo nie przyjąć. Wierzaj mi, zaczynasz dziwaczyć, możeś*

ty stworzony na pustelnika, co do mnie wszakże, nie chcę żyć w samotności...

— Jeszcze o tem pomówimy — odrzekł zniecierpliwiony Zdzisław i zamierzał wyjść z pokoju.

— Już* nie bęgdzie czasu, przecież muszę zamówić co potrzeba.

Zdzisław wziął kapelusz...

— A więc będzie święcone.

Mąż nic nie odpowiedział, poszedł do stajni bawić się ze swymi wierzchowcami.

Cały wielki tydzień zeszedł na kweście, przyjmowaniu zjeżdżających się na święta znajomych i przygotowaniach do paryskiej podróży; w wielką sobotę był Zdzisław trochę zmęczony, przyszedł z klubu wcześniej, aniżeli zwykle i dużo myślał zasypiając; myślał, że wróciwszy z Paryża, trzeba będzie koniecznie coś zrobić dla dobra kraju, dla moralnego podniesienia towarzystwa.

Święcone znakomicie się udało. Czteryśta ósÓb przeszło przez próg pałacu, suknia pani domu zwróciła powszechną uwagę, przez tydzień o niczem nie mówiono w salonach tylko o nowem upięciu tiuniki. Zdzisław dwa dni odpowiadał na to samo pytanie:

— Słyszałem, że hrabianka Marya idzie za mężą? jedziecie państwo do Paryża?

Byli wszakże tacy, którzy wprost przystępowali do zapytania:

— Czy zaręczyny hrabianki Maryi odbędą się w Paryżu? a ktoś nawet tak dalece zboczył od powszechnej modły, że się zapytał: kiedy i gdzie odbędzie się ślub księcia Leona?

Zdzisław odpowiadał na wszystkie pytania z uprzejmym uśmiechem, a w nocy śniło mu się, że pokutuje w piekle za grzechy i że od lat pięćdziesięciu biega za nim jakaś zgraja szalonych, którzy się ciągle pytają:

— Czy hrabianka Marya idzie za mężą?

Z radością wsiadł też po świętach do wagonu.

W Paryżu jak zwykle: teatr, sprawunki, wizyty, jeden •dzień tylko był od innych odmienny. Wieczorem wchodzi do niego jeden ze znajomych i życzy sobie pomówić na osobności:

— Alfred musi się strzelać z markizem de Rossignol—

zaczyna ów znajomy, nie ma tutaj prócz mnie nikogo bliższego, musisz sekundować. Markiz służy w armii, pojedynek odbędzie się zatem na hiszpańskiem terytoryum w Pireneach.

Podobna nowina nie była na rękę Zdzisławowi, takiej usługi nie odmawia się wszakże, powiedział więc nazajutrz żonie, że musi jechać do swego bankiera do Strassburga, a wsiadł na kolej Południową.

Pobyt w Paryżu przeciągnął się wskutek tego o tydzień ; na wyjezdnem kazała pani Julia przywołać do siebie lekarza, od jakiegoś czasu bowiem cierpiała mocny ból głowy. Lekarz kazał jechać do Szwajcaryi na dłuższy pobyt, oddychać gór- skiem świeżem powietrzem. Zdzisław był roztroptym małżonkiem, nie lubił zostawiać samej żony u wód, postanowił więc podzielić z nią pobyt w Szwajcaryi, a na kilka dni tylko w czerwcu pojechać do kraju, podpisać kilka kontraktów i być na wyścigach, na których jego konie miały biegać.

Zdzisław cieszył się na pobyt w Szwajcaryi, sądził bo- wjera, że sobie odpocznie; zakupił mnóstwo dzieł historycznej i ekonomicznej treści i marzył o różnych projektach, które dotąd nie miały wprawdzie ściśle określonych form, ale w górskiej samotności powinny były przybrać wyraźniejsze zarysy.

— Pragnę spokoju i odpoczynku! powtarzała pani Julia każdemu, z kim się tylko żegnała w Paryżu.

—Wzdycham do spokoju i odpoczynku! wtórował mąż uradowany, że i żona raz przecież zapragnęła ciszy.

— Tylko zawieź mnie do takiej pustyni, gdziebyśmy żywego ducha nie zobaczyli, upominała się Julia, osobiwie tam, gdzie nie spotkamy znajomych. Mam obecnie szczególnie

pustelnicze usposobienie, nie uwierzysz, jak się cieszę na samotne przechadzki w górach, czuję, że mi potrzeba świeżego powietrza.

Zdzisław dwa dni przeglądał wykazy frekwency w szwajcarskich hotelach. Chciał znaleźć miejsce, gdzieby można wygodnie mieszkać, a jak najmniej widywać ludzi. Wybrał St. Maurice.

— Jakaż przepyszna okolica! zawołała Julia wjeżdżając do zakładu, tutaj będzie nam dobrze. Uradowany Zdzisław kazał wypakować książki i porzcinać.

Wieczorem wyszli oboje państwo do przepysznego hotelowego ogródka z porzcinanemi książkami.

Mała, śliczna dziewczynka bawiła się piłką, na gazonie i przypadkowo uderzyła nią w twarz panią Julię. Dziewczynka zawstydziła się i uciekła, a po chwili przyszli rodzice — lord Burns z małżonką przeprosić za niezgrabność dziecka.

Zdzisław słyszał o lordzie, należał on do najznakomitszych gospodarzy i statystyków w Anglii.

Po dwóch dniach spokoju zaczęła pani Julia narzekać, że nie masz nudniejszego gniazda nad St. Maurice, że nie wytrzyma tam dłużej nad dwa tygodnie, a mąż rad nie rad musiał szukać znajomości lordów Burnsów. Z nim też rzeczywiście miał wiele przyjemności, wypytując się o różne gospodarskie szczegóły Wielkiej Brytanii. Chciał wyzyskać znajomość lorda, aby się coś od niego nauczyć i zaprowadzić jakieś pożyteczne w kraju nowości.

Przypadkowo zgadało się o chowie kur na wielkie rozmiary. Lord cuda opowiadał o tej gałęzi gospodarstwa, wyliczał nadzwyczajne dochody, jakie z niej miewa. Miał jakiś nieznaną jeszcze w Europie gatunek kur, niosący bardzo duże jaja, i zawierające tyle części pożywnych jak pięć jaj kury zwyczajnej, równające się zatem co do pożywności pięciu funtom mięsa.

Zdzisławowi genialna myśl błysnęła:

— A gdyby takie same kury zaprowadzić w kraju? reformy gospodarskie tylko wtedy są skuteczne, jeżeli się zaczyna stopniowo od małych stosunkowo nowości.

Kury lorda Burnsa zajmowały go odtąd ciągle w St. Maurice a za prawdziwe sobie szczęście poczytywał, gdy mu lord odstąpił dwadzieścia par tych nadzwyczajnych ptaków — po 1000 złotych parę. Był to rzeczywisty rezultat górskiego spokoju, do czytania bowiem porożcinanych ksiązek nie przyszło, gdyż znajomość z bardzo przyjemnym angielskim towarzystwem nadzwyczaj dużo zajmowała czasu.

W jesieni wrócili państwo Zdzisławowic do domu, trzeba było zwiedzić dobra, porobić obrachunki z rządcami, przypilnować odnowień w pałacu, a wreszcie wystawić kurniki dla zagranicznych gości według modeli lorda Burnsa. Po świętach Bożego Narodzenia zjechali do miasta, gdzie ich czekało osmdziesiąt pięć wizyt. W czterdziestu domach mogli zostawić tylko bilety, ale w czterdziestu pięciu ich przyjęto i pytano o pobyt w Szwajcaryi. Wizyty zajęły więc czas do Trzech Króli, poczem przyjechali w odwiedziny księstwo Leonowie z Paryża, zamyślając w kraju przepędzić cały karnawał, aby się zapoznać z towarzystwem.

Bardzo się dobrze bawiono, a pani Julia chcąc krewnych na post jeszcze zatrzymać, wymyśliła teatr amatorski na cel dobroczynny.

— Musisz się zająć tym teatrem, mówiła do męża, nieraz grywałeś komedią, najlepiej wszystko urządzić potrafisz...

Cóż robić! trzeba było wybierać komedią, przyjmować na próbach, uczyć się roli., i dni znów ubiegały wśród ciągłych zajęć, aż do Wielkiej Nocy.

Tymczasem skupywał Zdzisław mnóstwo ksiązek, każda nowość literacka leżała u niego na stole, a on chodził koło stołu i myślał nad tem, jakby te ksiązki przeczytać?

— Nie myśl nad tem przyjacielu, odezwał się za nim raz pewnego znany głos Baliela, nigdy ich nie przeczytasz, gdyż ci, co najmniej robią, najmniej mają czasu...

— Jakto najmniej robią? zapytał trochę dotknięty Zdzisław-Bogorya.

— Zamieszkawszy w tym pałacu z wielkimi się nosiłeś myślami, chciałeś być reformatorem towarzystwa i zrobić coś dla kraju, o czem nie miałeś pojęcia; i jakież są rezultaty twej całorocznej pracy? Kilka zagranicznych kur, które się w naszym klimacie chować nie będą, i na tem koniec. Bądź dla drugich wyrozumiałym, i wierzaj mi, że nie tak łatwo, jak ci się zdawało, uwolnić się z pod niemądrych wpływów.

Bogorya zostaje bankierem.

Pewnego dnia obudził się Bogorya w pysznym tureckim pokoju, a za ledwie miał czas rozglądnać się, gdzie się znajduje, już stał przed nim Baliel i uśmiechał się ze zdziwienia swego klienta.

— Jesteś bankierem, naczelnikiem wielkiej instytucji finansowej, masz 100,000 franków rocznego dochodu; pamiętaj, strzeż się głupstwa i jednym tchem powiedział Baliel i znikł...

Nadarmo wołał go Bogorya chcąc coś bliższego się dowiedzieć o swem nowem stanowisku — Baliela już nie było.

Pan Jan zakłopotał się trochę, nie miał wyobrażenia o interesach bankowych, pomyślawszy jednak o 100,000 franków dochodu trochę się uspokoił...

Na srebrnej tacy leżały listy — pomiędzy innymi lito- grafowana karta z zaproszeniem: "Minister finansów hrabia W. ma zaszczyt zaprosić pana Nicefora na objad o godzinie szóstej."

Z tej karty dopiero dowiedział się, że się nazywa Niceforem.

— Szalencie z tego Baliela — pomyślał pan Jan, co on ze mną wyprawia.

Wchodzący lokaj przerwał mu myśli.

— Jakiś pan Dorobek — odezwał się służący — mówi, że zna Jaśnie Pana od dawna, i chce, aby go wpuścić.

— Przedewszystkiem nie mów mi Jaśnie Panie — odpowiedział obruszony Bogorya — proś.

* Służący ruszył ramionami i wyszedł.

Wtoczył się pan Dorobek, okrągły jak bomba, piegowaty jak plamista tarcza księżycy, spocony jak zmoczona gąbka, i z rozwartymi rękami rzucił się z radosnym uśmiechem na dyrektora.

— Jak się masz kochanie! a tożemy się od lat trzydziestu nie widzieli; nic mi się nie zmieniło, nawet masz za uchem jeszcze ten sam znak co dawniej. Pamiętasz, jak cię tam Marcinowa pogrzebaczem skrobnęła, gdyś się za blisko do niej przybliżał!

Bogorya stał nie wiedząc, co na to wszystko odpowiedzieć, i mimowoli sięgnął za ucho, czy się ów znak znajduje. Dorobek miał słuszość, blizna była dość znaczna.

Pod jakimś pozorem zbliżył się pan Jan do lustra, i o zgrozo! spostrzegł z przerażeniem, że wygląda jakby miał w rodzie cztery przekupki i z pięciu ekonomów. Płeć gruba, Piegowata, nos zadarty, wargi grube, ręce czerwone.

— A niechże tego Baliela... pomyślał i z kwaśną miną zwrócił się do gościa.

— Ale cóż to kochanie nie poznajesz mnie? ciągnął dalej szanowny gość — wszakśmy pięć lat razem służyli w korzennym handlu, w pierwszym roku ja cię nawet trzymałem, gdy ci pryncypał wypalił piętnaście oblewanych... Dalibóg jeszcze ci się nie zagoiły odmrożone ręce...

Bogorya z niechęcią schował ręce do kieszeni...

— Cóż pana za interes do nas sprowadza?

— Jak to pana? a cóż to swego Janka będziesz panem tytułował, a toć my przecież bracia! koledzy!

— A, przepraszam cię — wykrztusił Bogorya — siadaj, siadaj, czym ci mogę służyć?

— Tak to co innego! po dawnemu kochanie. Jużem myślał, że teraz do dawnych znajomych przyznawać się nie chcesz, a może, że czujesz jeszcze do mnie urazę z powodu tej Marcinowej, u której miałem lepsze od ciebie powodzenie.

— Bądź łaskaw przystąpić do rzeczy, bo za pół godziny mam iść do banku i musiałbym przerwać pogadankę.

— Tak, tak, wy wielcy urzędnicy zawszeście tak zajęci...

Ale otóż kiedy każesz przystępować do rzeczy, to ci muszę otwarcie się przyznać jak koledze, jak bratu, że niedawno zbankrutowałem na małym szyneczku, który prowadziłem przy ulicy Szewskiej; radbym jaką taką zaciągnąć pożyczkę.

— Książę Jerzy I przerwał wchodzący lokaj.

— Proś, odrzekł dyrektor, i z pewnem zakłopotaniem odezwał się do Dorobka:

— Pozwolisz pan, że cokolwiek później pomówimy o tym interesie...

— Tak to: książę pierwszy, a nie dawny. przyjaciel i kolega — pomrukiwał Dorobek odchodząc. Hej 1 hej 1 mój Boże! prawdę ludzie mówią, że lepszy nieprzyjaciel, aniżeli przyjaciel na wysokim szczeblu.

Książę był wielce uprzedzającym dla dyrektora; nie wiem, czy miał także w banku zaciągnąć pożyczkę? dość, że dla okazania mu swej sympatii przyszedł namawiać go, aby się za- pisał do klubu, którego był przewodniczącym.

— Człowiek z tego rodzaju stanowiskiem co dyrektor —• mówił książę, powinien należeć do naszego koła. Znajdziesz tara większą część znakomitości rodowych i finansowych, dyrektora tylko brakuje...

Bogorya lekko się skłonił > a książę mu podał do prze- czytania statut owego klubu, który tak opiewał:

STATUT Towarzystwa "letniej wody."

§ 1. Towarzystwo zawiąże się w celu zabicia czasu wspólnem ziewaniem i paleniem prawdziwych hawańskich cygar.

§ 2. Pogadanką wolno się także zabawić, z tem wyraźnem zastrzeżeniem, że o religii i polityce rozmawiać nie wolno.

§ 3. Kto wykroczy przeciw powyższemu' §, płaci na fundusz bilardowy 10 złotych.

§ 4. Jeżeliby ktoś z członków znalazł się w konieczności wymienienia części ziemi, w której mieszka, ma używać wyrazu "kraj."^u

§ 5. Przyjętym w towarzystwie językiem jest język francuski, ponieważ jednak nie wszyscy członkowie dość płynnie się nim wyrażają, przeto toleruje się język "krajowy."^w Upiększanie tego języka francuskimi, angielskimi lub niemieckimi frazesami dobrze będzie widziane.

§ 6. Towarzystwo trzymać będzie następujące dzienniki: Paryskiego Figaro, Paryskiego Monitora, Times i urzędowy dziennik krajowy, w którym są ogłaszane licytacje dóbr ziemskich, następnie wszystkie pisma dotyczące się wyścigów, chowu koni i myśliwstwa, tudzież wszystkie ilustracje. Biblioteka Towarzystwa składać się może tylko z książek jak: Almanach de Gotha, kartki giełdowe, Angielski Stuttgart i t. p.

§ 7. Hazardowe gry są w zasadzie zabronione, wyjątkowo grać jednak wolno w Bacarata, Landsknechta, Macao, Bezi- ka po' wysokiej stawce i t. d. ale dopiero po północy.

§ 8. Członkiem może być każdy mężczyzna mający jakikolwiek honorowy tytuł albo dekoracją, który nie trudnił się nigdy mrzonkami i nie ma tak zwanych "skrajnych zapatrywań."

§ 9. Towarzystwo pręsyjmuje, za swego patrona złotego cielca i oddaje należną cześć każdemu, kto ma 100,000 złotych rocznego dochodu.

§ 10. Żadnemu członkowi towarzystwa nie wolno brać udziału w objadach na cześć tak zwanych "sławnych mężów" krajowych, w pogrzebach noszących cechę uczczenia tak zwanej "krajowej zasługi," w ogóle w żadnych uroczystych obchodach, któreby na jakikolwiek mogły wyglądać objaw tak zwanego "poczucia narodowego." Jedyny tego rodzaju objaw mogą członkowie okazywać dla konia krajowego, który na zagranicznym zwyciężył torze, a w takim razie wolno im nawet urządzać iluminacje, fakelcugi i inne tym podobne uroczystości."

Bogoryi krew do głowy uderzała, gdy czytał ten statut, a gdyby nie to, że się we własnym znajdował domu byłby księciu wyrządził obelgę za to, że go mniema być zdolnym do takiego towarzystwa.

r— Ależ w statucie są herezye przeciw uczuciu narodowości!* odrzekł prawie z oburzeniem, jest to statut ułożony dla ludzi, których nic a nic nie obchodzi.

— W tern najwyższa filozofia, życią —■ odrzekł książę

z ironicznym uśmiechem — aby nas nic nie obchodziło. Dopóki człowiek nie dojdzie do zupełnej przedmiotowości, dopóki nie stanie się zimnym jak lód, dopóki nie wymaże z serca mrzonek, które mu tylko apetyt i sen odbierają, dopóty nie umie trzeźwo sądzić świata. Wierzący dyrektorze, żyję dłużej od ciebie, pamiętam rewolucje i-anarchie, tryumfy despotyzmu i zwycięstwa ulicy, ale nie znam ulicy, ale nie znam władzy, któraby nie działała w egoistycznych interesach, tak jak nie znam człowieka, którego byś za pieniądze lub zaszczyt nie kupił ... Czy sądzisz, że warto poświęcić życie i mienie dla społeczeństwa, które cię każdej chwili zaprzeda lub wyrzuci? czy sądzisz, że warto martwić się niepowodzeniem idei, w której szlachetne skutki nie wierzysz? Bo każda idea jak tylko przejdzie przez głowy ludzkie zbrudzi się i powala.

— Zależy od głów, przez jakie przechodzi — wtrącił z niecierpliwością Bogorya.

• — W każdej głowie jest błoto — bośmy przecież z błota, z gliny powstałi;— Przyznając się do jakiejś idei, solidaryzując się np. z narodowością, biorę odpowiedzialność za niedorzeczności, które ta narodowość popełnia, gdy przeciwnie gubiąc się w kosmopolityzmie, -topiąc się w tej odchłani, którą ludzkością zowią, odpowiadam tylko za głupstwa i podłość wspólną całemu rodzajowi ludzkiemu. Jestem z przekonania kosmopolitą i przyszedłem do tego platońskiego zapatrywania się na wszystkie sprawy narodowości, że mnie żadna z nich nie obchodzi.

— Nie znajdziesz księżę we mnie adepta — odrzekł do żywego poruszony Bogorya — rozumiem, że można zwątpić o losach narodu, rozumiem, że można popaść w apatyę i powiedzieć sobie: nic zdziałać nie potrafię — ale zaprzeczać potrzeby istnienia tej idei, systematycznie ubezwładniać ją — na to się nigdy zgodzić nie zdołam.

Księżę wyciągnął się na krześle, ziewnął, schował statut do kieszeni i zaczął mówić o czym innym.

W kilka dni po tej rozmowie otrzymał Bogorya list następujący.

“Nie masz życia bez ruchu, podobnie jak nie ro& ruchu bez życia. Ubezwładnij ruch —ustanie życie, odejmij umysłowi ideę, do której mógłby dążyć, a popadnie w stagnacyę. Zatamaj odpływ w stawie — zmieni się w kałużę, a zatruwając powietrze złemi wyziewami zabije życie roślinne wokoło.

Strzeż się żyć bez idei...

Baliel.

— Na cóż mi on to pisze •— pomyślał zdziwiony Bogorya, wszak najlepiej dowiodłem, że tak samo myślę, gdy odmówił udziału w towarzystwie letniej wody.

Stare łacińskie przysłowie mówi: Cum bono bonus es, cum perversis perverteris, co się po polsku tłumaczy: z jakim się kto wdaje, takim się staje. Dziwna jest potęga towarzyskiego wpływu, potęga tem groźniejsza, że się nie wie o jej działaniu, -że najrozumniejsi ludzie nie spostrzegą się, kiedy jej ulegają.— Drugim zaś pewnikiem jest: że rozkładowe czynniki tak w społeczeństwie jak w jednostce daleko szybciej działają aniżeli czynniki dodatnie.

Kto zbiegiem okoliczności należał do towarzystwa Bogoryi? Znalazł się on po największej części w towarzystwie trzech kategorii ludzi:

1. bogatych a głupich, czy to z natury czy wskutek spaczonoego wychowania;
2. głupców z nazwiskiem, ale bez pieniędzy;
3. głupców bez nazwiska i bez pieniędzy, ale pragnących mieć i nazwisko i pieniądze.

Możnaby się zapytać: dlaczego zamożniejsza klasa ludzi w Polsce produkowała do ostatnich czasów więcej głupców, aniżeli ta sama klasa za granicą? ale na jej uniewinnienie, trzeba odpowiedzieć, że przyczyna tego leżała po większej części w zewnętrznych stosunkach, a mianowicie w tem, że nie mieliśmy publicznego życia. Bo cóż może wyrwać z apaty i z niedołęztwa człowieka, który od młodości nie potrzebuje' walczyć z życiem, jeżeli nie ambicya. Odejmijcie mu możność pozyskania urzędów, wpływów, znaczenia—to będzie

trwonił majątek, grał w karty, najmował pałace bez potrzeby za granicą, a w końcu popadnie w apatyę.

Dawna zasada: "szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie," nie mało, a może najwięcej przysporzyła głupców naszym

wyższym klasom; wywiera ona do dziś dnia wpływ zgubny. Jaki taki nie mający ani hetmanii, ani kasztelanii w rodzie, wziął sobie za zadanie życia, aby przynajmniej na pozór należeć do arystokracji. Zgina się, płaszczy, zoosi upokorzenia, ale się kryje za swą malutką tarczą herbową i poświęca cały zapas sił na to, aby po kilkudziesięcioletnich staraniach mógł pęwiedzieć, że jest przyjacielem domu księstwa. Nie stara się on tam wejść zasługami, bo zanadto ograniczony, wchodzi więc usługami.

Tego rodzaju ludzi znalazł. Bogorya mnóstwo około siebie, bo był bankierem, a ci wszyscy potrzebują — pieniędzy. Jak muchy do plastru miodu lgnęli oni do niego. Zrazu oganiał się od much, z czasem przywykł do ich brzęku, bo nawet zdawało mu się, że to przyjemna muzyka.

W rok później znów był księżę Jerzy u dyrektora zrana na herbacie.

Bogorya stał przy zwierciedle i przymierzał pąsową wstęgę białego słonia.

— Czy się ją nosi na krawacie, czy pod spodem? pytał księcia Jerzego.

— Tak, żeby czerwony kolor najbardziej było widać, odpowiedział z lekką ironią księżę. Mógłbyś się jeszcze postarać o tytuł kawalera długich uszu, to nie wiele kosztuje, sześć do siedmiu tysięcy złotych, a ubiór bardzo piękny, jaśniejący od złota i aksamitu...

— Wierzaj mi, że i o wstęgę białego słonia nie byłbym się starał, odpowiedział Bogorya, gdyby mnie potrzeba do tego nie zmuszała; Ten i ów jednak pokazuje się na pokojach ministrów z różnemi odznakami, ja sam tylko chodziłem jak lokaj; to ubliżało powadze instytucji, na której czele stoję...

— Najzupełniej o tem jestem przekonany, odpowiedział księżę, popijając herbatę.

— O kawalerstwie może pomyślę, ale wiesz co, że po* stanowiłem zapisać się do klubu letniej wody. Stało się to dla mnie koniecznością, żyję w tem towarzystwie, mara z niem ciągłe stosunki, jestem z większą częścią członków w przyjaźni, trudno być kwakrem i od wszystkiego się usuwać. Z po czątku odstręczał mnie statut, ale wszystko na świecie jaskrawiej się przedstawia na papierze aniżeli w życiu.

Księżę zatarł ręce i odezwał się:

— Naturalnie naturalnie! — sędzę, że dawniej miałeś nieco uprzedzeń.

Do ludzi, z którymi się nie żyje, zawsze się ma pewne uprzedzenie, odpowiedział Bogorya, nie patrząc księciu w oczy.

— A więc wprowadzę cię do klubu.

— Szczerze księciu dziękuję.

Po chwili Nicefor sam już był w pokoju i z rozpromienioną twarzą czytał następujący artykuł w gazecie:

“Dyrektor naszej najznakomitszej instytucji pan Nicefor ozdobiony został wstęgą białego słonia.”

W jakiś czas później przyniósł służący na srebrnej tacy list zaadresowany do "Wielmożnego pana Nicefora, dyrektora banku.

— Od kogo? zapytał gniewnie Nicefor Bogorya.

— Od jakiegoś pana Dorobka.

— Oddaj mu list i powiedz, niech się ten pan Dorobek nauczy listy do mnie adresować, jeżeli chce, abym je czytał — tym samym tonem rzekł Bogorya, sierdząc się, że Dorobek nie napisał na kopercie Jaśnie Wielmożny kawaler orderu białego słonia.

— Grzegórz! zawołał bankier na służącego.

— Słucham Jaśnie Pana.

— Będziemy mieli dzisiaj gości, będzie księżę Jerzy.

— Rozumiem Jaśnie Pana, trzeba dać tę nową porcelanę z herbami.

— Tak jest! Każ mi konia przyprowadzić...

Służący wyszedł, a Nicefor-Bogorya zamyślił się.

— Dawniej byłbym się śmiał z kogoś, ktoby tak jak ja "postępował; nie znałem ludzi. Od czasu jak zostałem kawalerem białego słonia, niżej mi się kłaniają. Mundus mit decipi— ergo decipiatur. Trzeba głupcom świecić w oczy błyskotkami, inaczej o nas zapomną. Instytucja finansowa, której jestem naczelnikiem, wymaga tego odemnie, abym ją otoczył aureolą ludzkiego poważania.

— Grzegórz!

— Słucham Jaśnie Pana.

— Idź do lakiernika i powiedz mu, aby na wszystkich moich powozach zamalował monogramy, a natomiast umieścił herby. Rysunek znajdziesz w sekretarzyku. Powiedz, żeby malowidło wykonał starannie — rozumiesz?

— Rozumiem Jaśnie Panie! : T-r Koń -osiodłany?

— Stoi w podwórzu...

Bogorya od niedawna jeździł konno, od niedawna bowiem przyszedł do przekonania, że honor banku tego wymaga. Kupił więc konia z pierwszej stadniny i co rano dalekie robił spacery, z początku z masztalerzem, później sam.

Ulubiona w stolicy artystka zobaczyła go raz na takim spacerze — pochwaliła:

— Jak dyrektor pięknie jeździ, jak dziarsko wygląda!

Mój Boże, któż nie uwierzy pięknej kobiecie? Bogorya uwierzył i odtąd przejeżdżał się po głównych ulicach. Publiczność mówiła, że dyrektor zaczyna się kwalifikować do Bonifratrów, że wygląda jak arlekin i nikt się nie chciał domyśleć, że dyrektor przejeżdża się konno dla zdrowia...

Niesprawiedliwa publiczność to, co u jednego podziwia, drugiemu wyrzuca, jako głupstwo...

Dla znakomitego jeźdźcy dała artystka przyjacielski wieczorek: Książę Jerzy, Bogorya i dwóch młodych ludzi — oto całe było towarzystwo. Składkowa kolacja, szampan, zaczerwienione twarze — wybornie się bawiono!

Książę siedział na fotelu w pobliżu artystki, Bogorya z rozweseloną twarzą oparł się o stół, dwóch młodzików trzymało kieliszki z szampanem w ręku, śpiewając strofkę z Don Juana:

Bon, la talie enfin est prete. .>-

— Czemu nie śpiewasz dyrektorze? odezwała się artystka, nie lubię cię takim posępnym.

— Wobec młodszych/ rywali stary milczeć musi — odpowiedział pan Jan, wskazując na śpiewających towarzyszy.

— Dziwne masz upodobanie w wydawaniu się za starego, najlepszy to dowód, że jeszcze się nie boisz starości...

Śpiewajmy i ja należę do chóru — dodała artystka podnosząc się z kanapy z kielichem w ręku.

— Prześliczny kwartet, dodał książę Jerzy z ironicznym jak zawsze uśmiechem.

— Jeszcze raz — intonowała artystka i znów odbił się wiersz:

Jeunes Jilles, o fleurs que Pamour.

— Brawo! Kochany dyrektorze, wołała artystka. Gdybym była Parysem, a panowie trzema Gracyami, dalaibóg, żebym wybrała Nicefora!

— Tytuł bez zasługi nie przynosi zaszczytu, zauważył jeden z młodych.

— Czy myślicie, że dyrektor nie zdolny* do zasług? wtrąciła artystka. Chcę was upokorzyć młodziki. Hej dyrektorze, kto przeskoczy łaskę, którą trzymać będę, tego nazwę moją gracyą!

Książę Jerzy zerwał się z krzesła i coperędzej przyniósł łaskę, nie chcąc utracić zabawnej sceny. Artystka pochwyciła łaskę, a trzymając ją dość nisko wołała:

— Skakaj dyrektorze!

Dyrektor od drzwi się rozpędził, artystka łaskę zniżyła.

— Zwyciężył!

— Niesprawiedliwość! Niesprawiedliwość! wołali młodzi zanosząc się od śmiechu na widok rozpromienionego dyrektora, trzeba innej próby, trudniejszej; jeżeli dyrektor przebiegnie pokój na czworakach nie przewróciwszy się ~ to wygra!

— Brawo! Brawo! niech biega!

Nie wiele myśląc zaczął Bogorya skakać na czworakach i pieska udawać...

— A cóż, czy dyrektor stary? zapytała artystka," a księżę Jerzy przygryzając wargi od śmiechu, powtarzał...

— Najmłodszy z nas i najdzielniejszy!..

Im bliżej północy, tem bardziej słabnie ludzki rozsądek. Bogorya przypomniał sobie po niewczasie tę zasadę i wrócił do domu.

Na schodach spotkał jednak nieznanego mężczyznę:

.— Jak się masz, wybornie się bawiłeś? zapytał natręt. Znakomicie umiesz chodzić na czworakach! Nieprawdaż, że i ludzie poważni głupcami być<potrafią? Wierzaj mi, że prawdę stary powiedział Sofokles: "że najprzyjemniejsze to życie, do którego się mądrość nie wmiesza."

Bogorya spojrzął w oczy niegrzecznemu dowcipnisiowi i poznał — Baliela.

— Ależ kochany przyjacielu.— tłumaczył się zarumieniony Bogorya — zastawiasz na moje namiętności tysiączne sidła, łatwo też potem schwytać nas na małej śmieszności. Zesłałeś mi czarującą aktorkę, zamiast wprowadzić mnie w towarzystwo poczciwych kobiet. Teraz możesz się chlubić swym zwycięstwem, gdybyś był jednak tak zrzędził, iżbym się znalazł wobec młodej dobrze wychowanej dziewczyny, nie byłoby doszło do tego, że ci w oczy spojrzeć nie śmiem.

— Zręcznie za wszystko chcesz zrobić odpowiedzialną kobietę — odrzekł Baliel — ależ my nie z dzisiejszego wieczoru tylko mamy ze sobą obrachunek... wszak nie możesz przyznać, abyś był dyrektorem banku bez znakomitych śmieszności? Pociesz się jednak, bo każdy prawie stan pociąga za sobą nieuniknione błędy, które w oczach społeczeństwa jeszcze większe przybierają rozmiary, aniżeli je mają w istocie. Wspomniałeś jednak o towarzystwie dobrze wychowanych kobiet, sądzisz zapewne, że byłbyś wzorowym mężem?

— Nie trzeba być zarozumiałym, aby to móżdż o sobie powiedzieć. Z pewnością umiałbym żonę poprowadzić.

— Otóż mogę ci stanowczo oświadczyć, że jesteś w błędzie, więcej znajdziesz takich kobiet, które ciebie będą prowadziły, aniżeli takich, któreby jak miękki wosk ukształciły się pod twoim wjfytwem.

— Na tysiąc wypadków zaledwie jedną znajdę kobietę, któraby tak była z natury złą, albo tak silną miała wolę, abym ją jak młode drzewko nie nagiął do moich celów.

— Mylisz się bardzo, mój Bogoryo — odrzekł Baliel — wprawdzie niemożliwym byłoby, abym cię robił mentorem tysiąca kobiet z rzędu, wyszukam ci jednak trzy charaktery w różnych warstwach społeczeństwa, charaktery, które bardzo często spotykamy, a jeżeli je zdołasz nakłonić do swych wymagań, co więcej, jeżeli te kobiety nie wpłyną na .two postępowanie, wtedy uznam, że masz najzupełniejszą słuszność.

Bogorya zanadto był pod wpływem pięknej artystki, aby mu w tej chwili związek z młodemi kobietami nie miał być na rękę; z niekłamaną więc radością odpowiedział:

— Zgoda! stawiam jednak warunek, aby każda z panien, których mnie chcesz uczynić małżonkiem, nie miała więcej jak lat 18, aby była przystojną, jeżeli już nie piękną, nadto, aby przy niej matka nie mieszkała. Zresztą, aby to nie były charaktery wyjątkowe.

— Stanie się jak żadasz, a teraz pójdź za mną; przestaniesz być panem Niceforem, a zostaniesz znów Bogoryą.

Wezwanie to nie było widocznie w tej chwili na rękę naszemu pseudo-Niceforowi, rad był jeszcze pożegnać się ze swą artystką. Baliel silną dłonią pociągnął go jednak za sobą i z szyderyczym trochę uśmiechem spojrzął mu w oczy. Bogorya się poddał i poszedł za swym dobrym duchem.

Nie ma jak naiwności!

U wód zwracała na siebie uwagę panna Eizusia, dziwnie piękna, pełne wdzięku zjawisko. Matka jej należała do owych dam wielkiego świata, których wiadomości i rozmowy nie wychodzą po za zakres sukien, staników, gipiur i koronek, miała też sobie za obowiązek nauczyć córkę tylko tyle, aby umiała w kilku zręcznych zwrotach wystylizować do przyjaciółki zaproszenie na obiad lub na herbatę, aby się wykwintnie ubierała i nie zrobiła nic takiego, co by zasłużyło na złowrogie słowo "shocking."

Przyroda ze swej strony pracowała nad Elżusią z prawdziwym zamiłowaniem, aby z niej stworzyć klejnocik. W zgrubności, harmonii ruchów, w uśmiechu, spojrzeniu, uprzejmości nic zmienić, nic dodać nie było można. Gdy się Eizusia pokazała na drodze, każdy mimowolnie się oglądał, zazdroszcząc matce tak miłego dziecka.

Baliel wyprowadził tam Bogoryę, powiedział mu: staraj się o jej rękę, ja ci dopomogę. Słowa Baliela nie były próżne, przez noc bowiem Bogorya nie mało odmłodził, wyprzystojniał, tak, że mógł się wcale podobać młodej panience, która w swej główce nasnuła nie mało ideałów złotej młodzieży.

Zapoznano się przypadkowo: wiatr uniósł Elżusi kapelusik, rzucił w morze, Bogorya 'wskoczył po pas do wody, wyniósł z tryumfem zdobycz i oddał ją pięknej właścicielce. Panience podobała się grzeczność nieznajomego, widywano się odtąd częściej, do dwóch tygodni młodzi państwo się pokochali, do dwóch miesięcy byli po ślubie. Eizusia w dzień ślubu

goniła za motylami po gazonie, matka musiała jej przypominać, żeby się poszła ubierać; przed ołtarzem widziała tylko robione kwiaty w wazonie i zastanawiała się: czy są z wosku czy ze skóry?

W tydzień po ślubie płakała rzewnymi łzami, że jej matka nie dała żadnego wyobrażenia o obowiązkach małżeństwa, że się odrazu nieprzygotowaną znalazła w nieznanym dotąd świecie; nie mając już jednak refleksyjnego usposobienia, wróciła po kilku chwilach we łzach spędzonych do zwykłych myśli o kapeluszach, koronkach, i nie małą było dla niej w nowym stanie pociechą to, że przymierzała czepeczki, jak jej będą do twarzy, że kazała szyc szerokie szlafroki itd.

Bogorya szalenie był zakochany w naiwności dziecka, podziwiając w duchu jej niewinność, jej pomysły, jej usposobienie lżejsze od pyłu na kwiatkach, który lada podmuch wiatru z miejsca na miejsce przenosi. Cieszył się, że tyra giętkim charakterem* teraźniejszymi zachcieniami, które nie zdawały się pochodzić z żadnej głębszej woli, nader łatwo kierować potrafi.

Przygotowywał się z umysłem filozofa, jak to wiotkie drzewko naginać do swoich przekonań, jak je właczać w formy tak, aby nie czuło rozumnej niewoli. Cały system pedagogiczny urósł w głowie Bogoryi, a autor czekał tylko na chwilę, kiedy go będzie można zastosować. Chwila ta jednak nie nadchodziła, na darmo system coraz pełniejszy przybierał formy, pomysł na próżno czekał wykonania. Charakter Elżusi był nieuchwytny jak mgła, zmienny jak drżący promień światła; Bogorya jako człowiek przyzwyczajony do pewnych loicznych, określonych pojęć, nie mógł sobie zdać sprawy z tego zjawiska, przypisywał to młodości swej żony, powtarzał: że pod jego rozsądnym wpływem charakter Elżusi przybierze wyrazistsze cechy.

Ciesząc się tą nadzieją poddawał się jej chwilowym zachciankom, sprowadzał najnowsze kapelusze z Paryża, rozmawiał z nią długo o szerokości falbany i czekał cierpliwie na objawienie się jakichś poważniejszych myśli, które mógłby użyć za grunt pod swoją budowę wymarzonego charakteru żony.

— Eizusia ma wiele smaku — powtarzał — umie się wybornie ubrać, wie jak dobrać kolory, nie włoży nic na siebie, co by raziło wykształcone oko. Widać więc ma w sobie

iskrę wyższej, artystycznej inteligencji, którą tylko wykrzesać potrzeba.

Sprowadził też mnóstwo dobrych książek, czytywał jej wieczorami. Elżusia widocznie jednak podczas czytania o czym innym myślała: zaczęła ziewać, a nareszcie zniecierpliwiona wstała, mówiąc z wyrzutem mężowi:

— Tak mnie nudzisz temi książkami I

Pan Jan przypomniał sobie, że Ary on nawet delfiny kształcił muzyką, wziął się więc do muzyki. Walc Straussa stał się najwyższym punktem, do którego mógł jej smak doprowadzić; gdy spróbował grać Bethowena, usłyszał stereotypowe:

— Tak mnie nudzisz tą muzyką...

Ba! gdyby to tylko muzyką, ale Elżusia coraz częściej ziewać zaczynała, a jeżeli nie kupowała nowych strojów, jeżeli jej mąż nie przynosił nowych bransolet, kolczyków, pierścionków, to znudzenie było wyryte na jej twarzy.

— Chodźmy do teatru — mówił Bogorya.

Elżusia się ubierała, stroiła, przymierzała ten i ów cze-peczek, tę i ową kokardkę, spóźniła się o pół godziny, a przypatrzwszy się publiczności w łóżach i artystom na scenie, zwiesiła główkę i posmutniała..

— Nie bawisz się Elżusiu? pytał zakłopotany Bogorya.

— Taka nudna sztuka—nic nie rozumiem — brzmiała nie bardzo pocieszająca odpowiedź.

Tak samo było na operze, na komedyi i dramacie. Bogorya więc myślał nad innym sposobem rozerwania swej żony, bo zanadto dużo zaczęło kosztować go bawić ją tylko nowymi podarkami.

Spróbował podróży. Pojechał z nią do Włoch; pokazywał jej piękności sztuki, zabytki starożytnego Rzymu. Próżne jednak staranie: czyży umysł to jak naczynie Danaid, nic go napęlić nie zdoła. Ruiny Kolosseum porównywała Elżusia do zwalisk browaru w dobrach swej matki, widok z Camaldoli jej nie zachwycił: powiedziała, że morze takie same w Neapolitań-skiej zatoce jak w Biarritz. Jedyłą zdobyczą włoskiej podróży były paki pełne mozaik i drobiazgów włoskiego przemysłu.

Wszystkie te próby przedsiębrał pan Jan raczej dlatego, aby być wiernym raz przyjętym zasadom małżeńskiej pedagogii, aniżeli z potrzeby. Czyży umysł Elżusi rzadko mu się czuć dawał, jej wesołość, naiwność, a często nawet brak wszelkich wiadomości bawił go, uwagi o ludziach śmieszyły.

Pan Jan zaczął się przyzwyczajać do myśli, że żona nigdy nie będzie poważną matroną, ale natomiast odkrył w niej wiele towarzyskich zalet. Pomiedzy ludźmi ożywiała się Elżusia, w mężkiem towarzystwie była swobodną, ujmującą, okazywała nawet cokolwiek dowcipu. Spostrzeżenie to niemało go pocieszało, obawiał się bowiem, aby nie powiedziano o nim, że ma głupią żonę. Słusznie, czy nie słusznie, taka opinia rzuca zawsze pewien niemiły odcień na męża; Bogoryi zaś chodziło o utrzymanie honoru domu.

Spostrzegłszy więc w niej powyższe zalety, zaczął ją wprowadzać w liczne towarzystwa, bywać na wieczorach, balach, urządzać mężkie wieczory, w których Elżusia brała udział, I nie mało rósł w dumę, gdy mu mówiono o uprzejmości, o przyjemności żony.

Od tego czasu starał się, aby Elżusia nigdy nie była osamotnioną a osobliwie miło mu było, gdy ludzie rozumni znajdowali w jej towarzystwie przyjemność. Do ulubieńców Bogoryi należał pan Waclaw, człowiek o znakomitych towarzyskich zaletach, pełen humoru, dowcipu, a przytem brzydki, co zazdrosnemu trochę mężowi tylko na rękę być mogło. Pan Jan tak ufał Waclawowi, że wszędzie i zawsze można go było spotkać w towarzystwie państwa Bogoryów.

Blisko rok był pan Jan bardzo zadowolony z Elżusi i towarzystwa; zdawało mu się wprawdzie, że owo płocze niewinne dziecko trochę ma kokieteryi, ale któraż z kobiet jej niema? trzeba być wyrozumiałym...

Nieprzewidziany wypadek zaniepokoił go. Razu pewnego głowa go bolała, wyjechał o niezwyklej godzinie na daleki spacer i — o dziwo! spotkał żonę z panem Waławem w najętej karecie. Krew w nim zakięiała, ale Elżusia dość była zręczna, aby go oblać szklanką zimnej wody.

— Jeździłam do ogrodnika, spotkałam pana Waławaa,, wzięłam go ze sobą, oto było wyjaśnienie.

Bogorya popatrzyl na Waławaa, pomyślał: brzydki jak maskara! i wrócił z nimi-razem. Co więęej, nie chcąc odkrywać chwili zazdrości, jaka go opanowała, zaprosił Waławaa na obiad, i do teatru.

Nic na pozór nieznaczące zdarzenie, tak zajęło jego umysł, że odtąd na każdym kroku przypominał sobie niespodziewane spotkanie, i nie mógł znaleźć spokoju. Najbardziej go zaś męczyło, że wiotkiej naturze Elzusi nie mógł bynajmniej zaufać, i że na pociechę mógł sobie tylko powiedzieć: — Ona taka niewinna, ona taka naiwna! Nie mógł jednak powtórzyć: — Ona taka uczciwa; bo do uczciwości potrzeba charakteru, a o charakterze Elzusi nie mogło być mowy.

Zazdrość, to jak czerw, który największe powali drzewo. Podobna do febry gorączka przebiega wszystkie członki ciała, wszystkie nerwy i stale a powoli obejmuje nad organizmem ludzkim swe chorobliwe panowanie. A gdy się tylko cokolwiek rozsiedli, już jej najtrzeźwiejszy ulega umysł i wszystko wokoło siebie widzi pod jej zgubnym wpływem. Rzec można, że zazdrość ubezwładnia wszystkie władze duchowe, zaprzęgając je do swego jaszczurczego rydwanu. Bogorya ani się spostrzegł, jak wpadł w jej sidła, pomimo, że przeciw niej walczył całą potęgą rozumu.

Chodził z żoną na wieczory, na bale jak dawniej, ale wracał z nich znużony jakby po przebytej chorobie. Powtarzał sobie codziennie, że zamykanie Elzusi, odgraniczenie jej zupełne od świata jeszcze się zgubniejszym stać może, więc dobywał ostatnich sił, aby utrzymać namiętność na wodzy.

Eizusia tymczasem stroiła się, przymierzała suknie sprowadzone z Paryża, wydawała pieniądze bez rachunku na dom i na tysiące mniemanych potrzeb...

Czem się to wszystko -skończy? — zapytywał nieraz Bogorya sam siebie, ale nie miał siły wstrzymać szalonego życia.

Jeden z sumiennych przyjaciół zwracał jego uwagę na pogłoski, jakie chodzą o prowadzeniu się Elzusi, Bogorya zażądał dowodów, a ponieważ ich nie było wyzwał przyjaciela i zabił... -

Czasem robił Elzusi wyrzuty, ale zamiast usprawiedliwień albo łez, usłyszał śmiech pusty: — Opanowany zazdrością nie wiesz co mówisz! taka była na wszystko odpowiedź.

Bogorya odchodził nieprzekonany, miał prawie pewność, że żona jest mu niewierną, a nie mógł jej rzucić w oczy do

75

wodem i pogardą. Nie sypiał całymi nocami, gryzł się, martwił, życie mu się przykrzyło.

W oczach znajomych widział szyderstwo, czuł, że wyśmiewają jego zazdrość, świat mu się zdawał gorącą pustynią, w której za mało na wolny oddech było powietrza.

Rzeczywiście zwano go głupim zazdrośnikiem, albo co gorsza, mężem, któremu żona rogi przyprawia.

Stanu takiego nie mógł Bogorya dłużej wytrzymać, z zakłętego koła nie było wyjścia: po kilku nieprzespanych nocach był taki zdenerwowany, taki nieszczęśliwy, że porwał się z łóżka i chwycił za pistolet...

— Zanadto mi tutaj duszno! mówił sam do siebie, tam może będzie swobodniej! dodał, wznosząc oko ku niebu.

' — Ha! ha! ha! zaśmiał się ktoś za nim i silną ręką chwycił za pistolet...

— Baliel! ratuj mnie przyjacielu! zawołał ucieszony i przerażony tem zjawiskiem Bogorya.

— Bądź spokojny, wiesz, że nad tobą czuвам — odpowiedział Baliel — pójdź ze mną a nie sądz, abyś mógł według swej woli poprowadzić każdą kobietę, aby każda panna była miękkim woskiem, na którym rozumny mężczyzna swoje znamię wycisnąć potrafi.

Bogorya wyszedł zadumany z postanowieniem, aby więcej podobnych prób nie odbywać. Gdy się jednak kilka dni znalazł w odmiennych stosunkach, gdy pożycie z Elzusią snem mu się tylko zdawało, z którego uleciały nie miłe wspomnienia, aby uroczym obrazom przeszłości

miejsce pozostawić, wtedy wstydził się swej zazdrości, swego postępowania i wracał znów do swej dawnej myśli, że winą głupstw żony są zawsze mężowie...

Więc skłaniasz się dó dalszych doświadczeń.

— I owszem, odpowiedział niepoprawny Bogorya—wymawiam sobie jednak, że kobieta z którą mnie chcesz obecnie połączyć, nie ma być płochą i tak pustego umysłu jak Eizusia; chcę w niej znaleźć materiał, z któregoby się dała zrobić rozumna kobieta.

Zgodny Baniel dał na to swoje przyzwolenie.

VII.

Nie nia jak mądra żona.

Panną Laura nasłuchiwała się dużo o tem, że mąż powinien być przedewszystkiem rozumny, że przystojność i majątek powinno się kłaść na drugim planie. Panna Laura powtarzała także za panią matką, że miłość w małżeństwie nie tak wiele znaczy, najpotężniejsze uczucie kochanków trwa bowiem tylko dwa lata, poczem następuje przyjaźń i szacunek, mimo to uśmiechała się jej także i miłość, jako normalny wstęp do dramatu życia. Wymagała więc następujących warunków od przyszłego narzeczonego:

- 1) Ma mieć lat 35, bo w tym dopiero wieku stoi charakter mężki w sile swego rozwoju;
- 2) ma posiadać jakąkolwiek wybitną cechę charakteru, bo tylko tacy ludzie mogą zająć wyższe w społeczeństwie stanowisko;
- 3) ma być namiętny i wymowny. Tutaj stał pannie Laurze na myśli Mirabeau z piorunującym słowem w ustach i wzburzonymi włosami jak lwia grzywa;
- 4) powinno być znać po nim, że będzie panem w domu, że nie będzie drobiazgowym i że nigdy nie zajrzy do kuchni lub spiżarni, jako do miejsc niegodnych stopy mężczyzny.

Z powyższych danych wysnuwała sobie panna Laura wniosek, że taki mąż zajmie w narodzie znakomite stanowisko i że na jej nagrobku napiszą:

“Tu leży Laura, żona naszego Aleksandra.”

Nota bene zamyślała umrzeć cokolwiek później od swego męża, aby mózdz w całości zebrać wieniec jego sławy. Do łez dochodziło wzruszenie, gdy sobie przedstawiła chwilę pogrzebu ukochanego Aleksandra i miała przed oczyma obraz, na którym był wymalowany smutny orszak, tysiące ludu za trumną, tysiące spojrzeń cisnących się koło strapionej wdowy pytających się:

— To ona? to wdowa po wielkim naszym Aleksandrze?

Znalazł się nareszcie Aleksander, a był nim Bogorya.

Gęste czarne włosy “wzburzone jak grzywa lwa” nie mało się przyczyniły do wzbudzenia wzajemności panny Laury. Włosy znamionują siłę, “włosy były Samsona ozdobą,” powtarzała i znalazłszy ten jeden warunek w starającym się o jej rękę, znalazła i resztę warunków. Pokazuje się, że w takich razach najtrudniej o włosy.

Bogoryi podobał się charakter dziewczyny.

— Z tego materiału możnaby ułać posąg dziewicy Orleańskiej! mówił w uniesieniu.

Przy ślubie wymawiała Laura głośno i wyraźnie słowa przysięgi.

— “Aż miło słuchać takiej przysięgi, zauważył któryś ze starszych mężczyzn, z tej dziewczyny będzie poważna matrona według dawnego kroju, a nie nowomodna grymaśnica, która zaraz po ślubie nad tem myśli, jak męża będzie mogła oszukiwać. —

Rzeczywiście przez kilka tygodni było z państwa Bogoryów wzorowe małżeństwo, zaledwie jedna drobnostka tworzyła pewien dyssonans w tej harmonii hymenu. Pan Jan lubił choćby godzinę drzemać po obiedzie. Niewinne przyzwyczajenie! Ta drzemka martwiła jednak panią Laurę.

— Kto pół życia prześpi, ten nie może zostać wielkim człowiekiem — myślała. Chodziła z tego powodu trochę skwaszona, w serdecznym jednak wynurzeniu wyznała mężowi, że obawia się, aby nic straciła dla niego szacunku, bo kobieta takiego tylko może szanować mężczyznę, który jak Cezar kroczy ciągle naprzód, a nie masz wytchnienia w jego pochodzie.

Bogorya roześmiał się, uspokoił żonę pocałunkiem i cie

szył się, że go tak kocha i tak dba o jego świetną przyszłość. Oczywiście musiał to uważać za objaw wielkiej miłości.

Stroną ta charakteru Laury odezwała się przy kilku sposobnościach, a Bogorya przyzwyczał się widzieć w niej pewien promień ożywczy zesłany mu z nieba i zaczął wierzyć, że Laura jest jego przewodnią gwiazdą.

— Wolą a wytrwałością wszystko się w życiu pokona, mówiła nieraz z upodobaniem Laura, gdybym była mężczyzną, nie byłoby celu, którego bym dopiąć nie zdołała!

— Zostałabyś nawet chińskim cesarzem, nieprawdaż? odpowiedział z uśmiechem Bogorya, słowa te jednak nie pozostawiły żadnego wpływu.

Jednym z marzeń Laury było, aby Bogorya został posłem. Pan Jan nie miał ochoty do tej kariery, zdawało mu się, że za mało ma wymowy, aby mógł pozyskać na trybunie jakieś stanowisko. Laura jednak znalazła w starej książce anegdotkę, że Demostenes podkładał kamyczek pod język, aby się oduczyć jąkania i była przekonana, że mąż równie jak grecki mówca zdoła pokonać trudności.

Pan Jan uległ namowom, poświęcił kilkanaście tysięcy złotych na wybory i zasiadł na krześle poselskiera. Był to dzień tryumfu dla Laury, spoglądała ona jak pawica z łoży i z bijącym sercem oczekiwała mowy swego męża.

Na porządku dziennym stała kwestya wycinalnych dróg żelaznych, pan Jan postanowił przedstawić swój osobny projekt. Wyszedł błady i drżący na mównicę, pierwszy raz bowiem w życiu miał publicznie mówić.

— Wysokie zgromadzenie! zawołał dość głośno, jak gdyby sobie chciał nadać otuchy. Przedstawiony przez komisją projekt nie zdaje mi się być...

Mówca będąc wzruszonym, zapomniał dalszych słów przygotowanej mowy i zaczął przewracać kartki, na których ją miał napisaną.

— Użytecznym... wtrącił jakiś głos kobiecy, wskutek czego powstał śmiech powszechny, a wszystkie oczy zwróciły się ku łoży pani Laury. Zarumieniona kobieta spuściła na twarz woalkę...

Pan Jan nic nie słyszał, a nie mogąc sobie inaczej poradzić, wziął kartkę do rąk i czytał dalej. Po skończeniu czy taniu zwrócił prezydent Izby uwagę posła, że według regulaminu wolno tylko mówić z pamięci.

Nazajutrz złożył pan Jan poselski maudat, a pani Laura dostała kataru żołądka. Na jakiś czas był spokój, szanowna małżonka przekonała się, że Bogorya nie jest stworzony do poselskiej kariery, przejście to jednak zostawiło u niej głębokie ślady i wyrodziło pewien rodzaj lekceważenia dla męża. Po kilku tygodniach wróciła do swych pierwotnych myśli: Bogorya dobrze pisał, dlaczegożby nie miał zostać zawołanym publicystą? wymowa nie każdemu dana, ale do pisania nie potrzeba takiej rzutkości umysłu.

Powoli, ostrożnie przystępowała Laura do dzieła, patrzyła uż nawet przez palce na poobiednią drzemkę, byle niezwrócić uwagi męża, że na nowe chce go popchnąć tory...

— Mając tak gładkie pióro, powinienś pisywać do dzienników, mówiła od niechcienia, zarazem jednak postarała się przez przyjaciółkę, aby go jeden z redaktorów zaprosił do współpracownictwa.

Fantazja Laury cudowne sobie już snuła obrazy. Uśmiechało się jej założenie polityczno-literackiego salonu, sława pani Geofrin spać jej nie dawała.

— Mój mąż musi zastąpić w publicystyce!—to było jej hasło.

Niewiem już o czym, dość że pan Jan napisał jakiś artykuł. Laura urządziła formalną agitacją pomiędzy znajomymi, aby chwalili® przed nim artykuł i aby go zachęcali do dalszego pisania.

Któż nie uwierzy często powtarzanym pochwałom ? w te sidła i najrozsądniejszy umysł schwycić się zdoła.— Zresztą panu Janowi tem przyjemniejsze były te pochwały, że nie zupełnie zapomniał o porażce doznanej w poselskiej Izbie i chętnie chciał się rehabilitować na innem polu.

Po kilku artykułach o niczem już nie mówiono w domu państwa Bogoryów jak tylko o publicystyce, rozbiegano polityczne sprawy, stawiano horoskopy na przyszłość, a pani Laura posunęła swój agitatorski spryt do tego stopnia, że któryś z redaktorów zaproponował Bogoryi, aby stanął na czele dziennika. Pan Jan powtórzył to żonie i znalazł w niej wielką

zwolenniczkę projektu, bo nawet szlachetna żona ofiarowała się dać na ten cel ze swego posagu 50,000 złotych.

Po dwóch miesiącach Bogorya był właścicielem dziennika i naczelnym jego redaktorem; a pani Laura wystąpiła z wystawnym obiadem, przy którym wiele wzniesiono toastów na powodzenie nowego poważnego organu opinii publicznej i tegoż redaktora, który "swą trzeźwością w zapatrywaniach, bystrością i talentem" sprowadzi dziennikarstwo na nowe tory.

ów dzień był jednak pierwszym i ostatnim dniem powodzenia pana Jana w nowym przedsiębiorstwie. Niebawem mówiono, że Bogorya wziął się nie do swoich rzeczy, że się nie zna na'najkonieczniejszych warunkach dziennikarstwa, że drukarnia korzysta z jego niewiadomości, że współpracownicy za redakcyjne pieniądze obiady sobie sprawiają, wreszcie utrzymywano powszechnie, że dziennik bezbarwny, redagowany bez najmniejszego talentu i że nie dorósł potrzebom chwili.

Kwartalny obrachunek wykazał ogromne straty, posag pani Laury znikł w drukarskich prasach, Bogorya chodził zamyślony, zakłopotany, narzekał na żonę, a'co najgorsza jak gracz, który się chce odgrywać, nie dał się odwieść od redaktorskiego zielonego stolika, ale stawał dalej — jeżeli nie gotówkę — to weksle. Źle zrozumiana ambieya nie pozwalała mu zatrzymać się w pół drogi. W końcu roku passiva o wiele przewyższały aktiva, dziennik miał niespełna dwustu prenumeratorów, Bogorya chodził po pokoju zrozpaczony i nie wiedzący co począć: brnąć dalej, czy zlikwidować cdfy majątek?

— Dość tego szaleństwa!' szepnął mu znów jego dobry dueb. Bogorya spojrział i ujrzał przed sobą Baliela.-

r% Dałem ci kobietę rozumną, wyborny materyał na dobrą matkę i obywatelkę — mówił Baliel z uśmiechem — a mimo to nie zdołałeś z tego wosku własnej ulepić formy, owszem poszedłeś za jej radami...

— Ależ bo mnie łączysz z jakimiś oryginałami, Laura była szalenie ambitna, a wiesz, że ambieya to najśłabsza nasza strona i najłatwiej nas na lód wyprowadzić podsycając tę namiętność.

— Od ciebie zależało nie poddać się jej szalonym zachciankom, byłeś jednak za słabym. Mijno rozumu jakim, jesteś obdarzony, mógłbym ci snadnie dać w rękę laseczkę z dzwonekami... Chcę jednak być dla ciebie sprawiedliwym, trzecią kobietą, z którą się połączysz, będzie ideał żony, nie marzący bynajmniej o doczesnych dobrach i o światowych zachciankach. W końcu przynajmniej chcę sobie na twoją wdzięczność zasłużyć.

VIII.

Czeiże jest miłość bez zazdrości?

W niespełna kilka miesięcy później był Bogorya mężem pani Zofii, kobiety bardzo przystojnej, namiętnej, \y towarzystwie nader ożywionej, nawet dowcipnej, słowem kobiety,, do której się bardzo prędko mógł przywiązać. Przeszło rok szczęście ich niczem się nie zakłóciło, pan Jan uchodził za wzorowego małżonka.

Jednego dnia przychodzi pani Zofia do pokoju swego męża, i widzi go nad jakimś listem.

— Kochają się we mnie! odezwał się Bogorya z żartobliwym tonem i podał list żonie do przeczytania.

Brzmiał on jak następane:

“Mamże wierzyć w dusz powinowactwo? ta wiara> moją kotwicą; może się nawet nie domyślasz, że jest ktoś, kto twem życiem istnieje; jak długo jednak istnieć potrafi — od ciebie zależy.

Pani Zofia przeczytała list raz i drugi, zbladła, łza w jej oku zabłysła...

— Go ci jest, kochana? zapytał niespokojny Bogorya. Pani Zofia nic wszakże nie odpowiedziała, ale wyszła do swego buduaru i drzwi za sobą zamknęła. Po chwili wprosił się do niej Bogorya, ale zastał ją już spokojną.

— Przebacz mi—mówiła do męża—było mi na chwilę przykro, że ktoś prócz .mnie może cię kochać. Tyś temu wszakże 'nie winien? zapytała z czułością.

Pytanie nie potrzebowało odpowiedzi, bo małżeństwo najzupełniej sobie dotychczas ufało.

Za kilka godzin nie było już mowy o bezimiennym liście; wieczorem przyniesiono pani nową suknię, zrobioną z nadzwyczajnym smakiem.

— Pójdź, zobacz to arcydzieło krawieckiej sztuki — odezwała się pani Zofia do wchodzącego męża. Oto pauna Antosia, z której ręki wyszło to dzieło.

Młoda dziewczyna z magazynu układająca fałdy sukni na pani Zofii; zarumieniła się, podniosła pełne czarne oko na pana Jana i skrzętniej się jeszcze wzięła do roboty;

Bogorya nie był przygotowany na tak piękne spojrzenie, krew także uderzyła pod śniadą jego cerę, zamiast więc pochwalić dziewczynę, zdobył się zaledwie na kilka słów bez znaczenia i odszedł.

^Czemuż tak spiesznie odszedłeś, *gdy mi Antosia suknię przymierzała? zapytała go później pani Zofia.

— Bałem się pokusy pięknych oczu— odpowiedział Bogorya z uśmiechem.

Więc tak łatwo ulegasz pokusom? dodała patń Zofia drżącym prawie głosem i nie czekając odpowiedzi zaczęła silnie grać na fortepianie jakieś stare waleeł

Dzień ten nic przeszedł bez śladu w jej sercu; zrobiła się szczególnie uważającą na sparzenia męża, na listy, które odbiera i bez widocznej przyczyny często się zasmucała.

We dwa miesiące później byli państwo Janowie na- operze, Rosina zachwycała cały teatr>z dobrym śpiewem łączyła bowiem nadzwyczaj zgrabne ruchy, a blask jej oczu przyćmiewał lampiony. W chwili kiedy Rosina Śpiewa znaną aryę: “ Uña vóce pocco fa^u i przechodzi na jedną a potem na drugą stronę sceny, zdawało się pani Zofii, że Rosina zanadto się przybliżyła do łóż po ich stronic, i że znaczące spojrzenie przebiegło pomiędzy nią a Bogoryą.

— Baw się pan dobrze z Rosiną! zawołała półgłosem i wyszła z gniewem z teatru.

Bogorya nie chcąc zdradzić małżeńskiej sceny przed publicznością, wyszedł także, ale zająście to wywołało w nim pe

wien niesmak, a potem zwrócił uwagę na figlarne oczy Rosiny. Pani Zofia się dąsała, a mąż przypominał sobie list bezimienny...

— Żony i tak nie przekonam o mojej wierności, pomyślał. Kto wio? może bezimienna korespondentka mniej wymagająca?

Do nieznanych ideałów trzeba bardzo ostrożnie przystępować, bo jak dalekie gwiazdy wydają się pełne światła i zdają się mieć wiele uroku. Bogoryi ani na chwilę przez myśl nie przeszło, aby owa gwiazda nie należała do najponętniej-szych w konstelacji ówczesnego towarzystwa i rzecz naturalna, że w każdej pięknej kobiecie, która więcej była dlań uprzejmą aniżeli inna, widział swój bezimienny ideał.

Trzeba przypomnieć, że Bogorya zbliżał się wówczas do czterdziestki, i że wschodząca łysina kazała myśleć o rozrastającym się doświadczeniu, a o znikającej uczuciowości.

Na jakimś balu wybrała go w mazurze pani Eugenia, należąca do sentymentalnych piękności; w kotylionie przypięła mu przepyszny order...

— To ona! pomyślał Bogorya.

— To ona! pomyślała pani Zofia i rzuciła się w wir tańca, przesadzając się w uprzejmości dla pierwszego lepszego z młodzieży, pana Adolfa, który prócz płytkiego umysłu miał jeszcze i tę wadę, że lubił się chwalić swymi zdobyczami.

Dopiero nad ranem wracali państwo Janowie do domu, a chociaż oboje byli zmęczeni i zaspani przecież dziwnie udawali wesołych.

— Gdybyś wiedział, jak miły człowiek z tego Adolfa — mówiła pani Zofia, ideał chłopaka, a jak wybornie tańczy, przyznam się, że z nikim tak mi dobrze nie było w kotylionie.

— To samo ci chciałem powiedzieć o pani Eugenii, odpowiedział Bogorya z przekąsem, możemy być zadowoleni, skorośmy się oboje tak wybornie bawili.

Po tych słowach cisza zapanowała w karecie, pani Zofia nic nie chciała mówić, udając śpiącą, a na drugi dzień nie pozwoliła mężowi do siebie przychodzić, oznajmiając mu przez pannę służącą, że ją głowa boli. Bogorya z gniewu i z nudów pojechał złożyć wizytę Eugenii, prosząc ją do kotyliona na bal następnym.

Po kilku dniach siedzieli państwo Janowie posępni przy obiedzie.

— Pojutrze bal — odezwał się Bogorya, przerywając milczenie.

— Nic mnie to nie obchodzi — sucho odpowiedziała żona.

— Jakto nie pójdziesz?

— Ani myślę.

— Ja muszę pójść, prosiłem do kotyliona Eugenię.

Pani Zofia w największym rozdrażnieniu doczekała końca obiadu i napisała - nader uprzejmy bilecik do pana Adolfa, prosząc go na pojutrze na herbatę, gdyż sama w domu zostanie.

Dwa dni następne przeszły pomiędzy małżeństwem na zbrojnym milczeniu, a nic nie masz niebezpieczniejszego we wzajemnym pożyciu nad ten stan utrudniający porozumienie się.

Bogorya udawał w swym pokoju nadzwyczaj wesołego, śpiewał głośno arya z Cyrulika, aby mogła ją usłyszeć żona w przyległych pokojach, z hałasem rozkazywał służącemu, aby powóz zjechał po niego dopiero o szóstej z rana, słowem jak mógł pokrywał niesmak rodzący się z powodu domowej wojny.

Bal był świetny, pani Eugenia prześlicznie' wyglądała, mnóstwo miała wielbicieli. Bogorya bawił się jak młodzik...

— Powiedz mi pan, pytała go na wstępie do kotyliona, dla czego żona nie przyjechała? trudno mi bowiem uwierzyć w jakiś ból głowy, osobliwie jeżeli mąż tańczy i jest w wybornym humorze.

— Wiesz pani przecież, że ból głowy nader szerokiem jest u kobiet pojęciem i że mieści w sobie wszelkie kaprysy i złe humory. Co do mnie, mam wiele powodów być wesołym i

dobrze się bawić, znajduję się bowiem w towarzystwie z kimś, do kogo się oddawna zwracają wszelkie moje myśli i marzenia.

Ah! to rzecz ciekawa? więc pańskie myśli i marzenia do żony zwracać się już przestały? czyżby ją ktoś w sercu pańskim zastąpił ? '

— Chyba pani geniuszek — odpowiedział pan Jan z trochę niepewnym siebie, ale filuternym uśmiechem.

— Nie lubię starych motyli, odrzekła pani Eugenia sucho i krótko i wybrała do kotyliona jednego z blisko stojących mężczyzn.

• — Ależ mój Janie znalazłeś się jak student! ozwał się za nim głos mężki.

Bogorya się odwrócił i ujrzał Baliela.

— Nie chodź już do domu— dodał mentor— znalazłbyś tam gościa, który był szczęśliwszym z twoją żoną, aniżeli ty z panią Eugenią.

. Z tych wszystkich prób wyszedł Bogorya bardzo niezadowolony i mimo wszelkiej ufności w swój rozum nosił na sobie niezaprzeczone znamiona głupstwa. Chciał rządzić społeczeństwem—pokazało się że błąd za błędem popełniał ; był pewnym, że nigdy nie wpadnie w tysiączne słabostki ludzi, którzy doszli szybko do pieniędzy i stanowiska — i pod tym względem się zawiódł ; rozumiał wreszcie, że przynajmniej mężem być potrafi— ale i hymen przyniósł mu czapkę z dzwonekami zamiast wawrzynów.

Wszelką winę jednak swych niepowodzeń zwał na Baliela.

— On mnie wcielił w księcia Riwierę, nie dziw też, że źle rządziłem nie będąc samym sobą; on kazał mi przybrać cudzą postać jakiegoś Nicefora, nicodpowiadam więc za czynności moje podczas bankierskiego zawodu; on wreszcie narzucił rai trzy żony, nie pozwalając mi wolnego zrobić wyboru. W ten sposób wygrana musi być po jego stronie!

— Głupstwo, mój przyjacielu, odpowiedział mu na to Baliel, jak cień nieodłączne jest od człowieka, a im bardziej od niego uciekasz, tem chęcej goni za tobą. Czyjąkolwiek przybierzesz postać, zawsze obudzisz się ze znamiem głupstwa na czole, a próżne twe zarozumienie, abyś się zupełnie uwolnił od uajstalszego swego towarzysza.

— Pozwól mi być samym sobą, pozwól mi działać! mówił Bogorya.

— Niech i tak będzie, odrzekł Baliel — idź w świat z pochodnią rozumu; pomnij jednak na moje słowa, że na każdym kroku spotkasz się z głupstwem, umysł bowiem ludzki bez niego istnieć nie może. Tajemnica życia na tem zależy, aby pomiędzy pierwiastkami głupstwa należytą utrzymać harmonią; jak tylko jeden z tych pierwiastków zwycięży, jesteś zgubiony. Pozwolisz wziąć górę rozumowi, staniesz się głupcem » pozwolisz się rozróżić głupstwu, także nim zostaniesz.

PS®!

m

e^EŚe DRUGA,

I.

Baliel zapisuje Bogoryi majątek ziemski.

Aktem notaryalnym z dnia 15 września 18. . zapisał Baliel panu Janowi znaczny majątek Balielów- położony w najlepszej ziemi, zagospodarowany i z dobrze urządzonym dworem, pod warunkiem, aby zaprowadził wzorowe gospodarstwo, żył z ludźmi i nie usuwał się od publicznych posług. Bogorya miał jak najlepsze zamysły dotrzymania umowy. Za pół roku jego obora zapełniła się doborowem bydłem holenderskim, pod szopami stały maszyny z napisem Cleyton et Comp., młyn parowy amerykańskiej konstrukcji rósł jak na drożdżach.

Jednym z pierwszych gości na nowem gospodarstwie był pan Alfons, przyjaciel młodości Bogoryi: muzyk, protektor młodych artystów, człowiek pełen ideałów.

— Jak ci się powodzi, co robisz? wszak wieki minęły od czasu jakeśmy się nie widzieli — pytał go gospodarz.

— Wy kierowałem wiele młodzieży na ludzi, mam znakomity zbiór obrazów, ale towarzystwo kredytowe licytuje mnie, a sąsiedzi powiadają: głupiec! zmarnował taki majątek.

— He masz długów ? spytał Bogorya.

-r-;Dwa kroć....

— A wartość majątku?

•—Do trzechkroć...

»7r7 Oddaj mi twe interesa, będę ci płacił pensją, a po kilku latach zobaczmy.

Bogorya wziął się energicznie do dzieła i w pierwszym roku byłby był zadowolony ze swojej czynności, gdyby nie to, że przy pierwszej próbie pękł kocioł i naraził go na stratę kilku tysięcy, a wiatr zerwał dach ze spichrzu i stodół.

Budowano wówczas szkołę w okolicy z dobrowolnych składek, pan Jan podpisał na pierwszym miejscu 10,000 zł.; śpiewano dlań hymny pochwalne.

Nadeszły wybory na dygnitarza okręgu; na zgromadzeniu miał pan Pełka, krzykacz powiatowy, następującą mowę:

— Panowie i Bracia! rzekł z zapalem — w dzisiejszych czasach tylko postępem i umiejętnością potrafiemy stawić czoło nieprzyjaciołom. Na naszym sztandarze powinniśmy wielkimi literami' napisać słowa: praca, przedsiębiorczość, postęp! Panowie i Bracia, wybierzmy naszym przedstawicielem Bogoryę!

Podczas gdy pan Pełka perorował za postępem, „stał na boku pan Michał i pan Gabryel, obydwaj zamożni obywatele, i tak do siebie mówili:

— Ten przybłęda brózdzi nam tylko w powiatowych sprawach J— odezwał się pan Michał; musiał chyba za Pełkę długi popłacić, że on tak za nim gardłuje. Ja mu przecież przystawię stołka, musimy wybrać naszego Jacka I

— Ależ Jacek głupi jak stołowe nogi... zauważył Gabryel.

— Nie chcą wybierać nas, co przecież z rodu i z głowy moglibyśmy stać na czele powiatu—niech się skompromitują, i poznają że głupstwo zrobili. Na drugi raz jednego z nas sobie poszukają. Trzeba wybory doprowadzić ad absurdum. Tego nowicynsza jednak w żaden sposób do krzesła przypościć nie możemy.

—Panowie i Bracia! odezwał się znów Pełka. Obywatel Bogorya od niedawna zamieszkał w naszej okolicy, a już jego nazwisko znane w każdym zaścianku. Uczynnością, wzorowem gospodarstwem wślawił się pomiędzy nami.

— Kocioł pękł w gorzelnii, dachy mu pozrywało — zauważył jakiś malkontent.

W sali przyjęto słowa pana Pełki wielkimi oznakami radości, a gdy później Bogorya wszedł do sali, każdy kto stał koło niego krzyczał mu w uszy:

■— Niech żyje nasz dygnitarz!

Przyszło do głosowania: Bogorya miał tylko dwa głosy, pan Michał i Gabryel po jednym, a wybrano kogoś, kto nie był kandydatem.

— Tak to zwykle u nas bywa, dowodził pan Pełka, nikt nie chce dać głosu takiemu, kto może mieć wzięcie, bojąc się, aby nie urósł mu nad głowę.

Porażka nie zraziła Bogoryi, owszem, starał się brać udział we wszystkich sprawach publicznych, mało na to zważając, czy mu to przyniesie osobistą korzyść lub dogodzi miłości własnej. Sposobność wkrótce się nadarzyła: niewidziana dotąd plaga nawiedziła okolicę, niezmierna ilość myszy rozmnożyła się po polach i niszczyła zasiewy. Trzeba było działać szybko i skutecznie. Bogorya rozesłał do obywateli całej okolicy listy zapraszające na zebranie, na któremy uchwalono środki przeciw zniszczeniu.

-SB®

ir.

Bogorya zakłada towarzystwo tępienia myszy.

Na popas zajeżdża, pan Ździobełko skarcgniadą wychudłą czwórką i starym koczem, na którym tak wielkie świecą się herby jak na arcybiskupiej karecie. Wygalowańy lokaj znosi za nim do dużej izby płaszcz, skórzaną poduszkę i wielką książkę ze złotym wytłoczonym herbem. Pan Ździo- bełko każe sobie podać winną polewkę, siada za długim stołem i nieuważając na przechadzających się po izbie, czyta owę książkę.

Jakiś Jegomość w średnim wieku ze zwiędłym i zmę- czonym obliczem, wykwintnie ubrany jak na wiejski popas, wstał od drugiego stołu i zbliżył się z grzecznym ukłonem do pana Ździobełki.

— Co pan z takim zajęciem czytasz?

— A! pan Adam! encyklopedyą... odpowiedział Ździo- bełko .podając mu rękę.

Jeśli się nie mylę, to przed dwoma laty spotkałem pana w europejskim hotelu na obiedzie także nad- encyklopedyą.

— Być może, czytam ją już trzeci role, stuclyuję obecnie¹ tom trzydziesty piąty, to skarbnica wiedzy; zresztą znajduję tam wiele wiadomości do dziejów rodzin polskich. Powinniśmy szanować nasze narodowe pamiątki, przez nie jedynie odrodzić się możemy. Ale, ale, dobrze że pana spotykam: nie wiesz pan, kto była z domu prababka matki pana Gustawa?

— Nie mogę służyć. Dokąd pan jedziesz?

— Do tego nowego sąsiada pana Bogoryi; nie wiesz pan właściwie co on za jeden? widać, że bardzo bogaty człowiek, ale kto go rodzi? z kąd przybył? niewiadomo. Tego nazwiska nikt w Polsce nie słyszał: mówi, że pochodzi z Anglii, pokazywał mi rodzinne bardzo ciekawo pergaminy.

— I ja tam zdążam, zapewne jedziemy w tym samym celu, zaprosił podobno wszystkich znakomitszych obywateli z okolicy w celu zawiązania towarzystwa tępienia myszy, które niestety zalał) naszą Okolicę i niszczą zasiewy.

— Tak jest, dostałem zaproszenie, ale przyznam się, że jadę tam tylko po to, aby raz jeszcze zbadać jego pergaminy. Pan jesteś podobno liberałem, więc nie wiem czy mi- uwierzysz, mam jednak najmocniejsze przekonanie, że wszelkie stowarzyszenia na nic się nie przydadzą. Jak dawniej na Egipt tak teraz na Polskę zsyła Pan Bóg kary i plagi, aby się poprawiła, aby nie pomiatała tradycjami przodków. Dopóki nam nic nie jest świętem: wiara, zwyczaj, obyczaj, dopóki tii strzeżemy czystego klejnotu szlacheckiego, dopóty plagi się od nas nie odwrócą.

— Tak, tak, słusznie, odpowiedział pan Adam, widocznie myśląc o czym innym. Powinszować tej żywości uczuć, jaką. pan masz dla wszystkich spraw krajowych. Co do mnie, ja także nie wierzę w skuteczność jakiegoś tam stowarzyszenia, jestem po trochu fatalistą i mam przekonanie, że siły ludzkie wyższej woli nie przemogą. Chciałbym jednak zwrócić uwagę zgromadzonych tam obywateli na pewny środek, jaki mam do podniesienia dobrobytu naszej okolicy. Wiesz pan zapewne, że od dawna trudnię się wyższą matematyką, rachunkiem prawdopodobieństwa, otóż nauka moja doprowadziła mnie do wielkich rezultatów.

Pan Ździobełko mimowoli ruszył głową, jak gdyby nie wierzył w te świetne wyniki, 'o jakich marzy nowoczesna nauka, słuchał jednak dalej.

— Wiadomo panu także, że kilkakrotnie studyowałem domy gry w Homburgu, Wiesbaden, niedawno w Monaco, że nawet znaczną część mej fortuny przegrałem. Nie żałuję jednak tego zupełnie, albowiem przyszedłem do przekonania, ba, nawet mam pewność, że potrafię zbankować pana Blanca i że kolosalne jego kapitały potrafię sprowadzić do kraju.
Po

wtarzam, że obliczyłem to, wyrachowałem na podstawie wyższej matematyki i że istotnie dziwić się wypada, że dotąd nikomu na myśl to nie przyszło.

Żdziobelko znów ruszył się niecierpliwie, ale pan Adam mówił dalej.

Pan wiesz jak kocham kraj, jak drogie mi są interesa ojczyzny. Uważałbym się za wyrodnego jej syna, gdybym tak wielki wynalazek egoistycznym chciał poświęcić celom. Podobnie jak z materyalnych tak i z moralnych zasobów powinien każdy pewną część oddać na korzyść ogółu, bo rias tych wzajemnych poświęceń stoi społeczeństwo.

— Masz pan najzupełniejszą słuszość, odrzekł Żdziobelko.

— Otóż, mówił dalej pan Adam, postanowiłem założyć spółkę z obywateli rodzinnej mej okolicy, której przedewszystkiem winienem wdzięczność za to, że mnie wychowała; spółkę, któraby zbankowała dom gry w Monaco i zalała bogactwem nasze strony. Co najmniej pół miliarda franków dostanie się nam w złości—to nie żarty! Wtedy będzie można myśleć o podniesieniu moralności ludu, o rozwoju szkół, o postępowym gospodarstwie, wtedy będzie można zakładać fabryki i współzawodniczyć z zagranicą!

Wiadomo jednak panu, że wykonanie każdej wielkiej idei potrzebuje nakładu, wymaga zakładowego kapitału. Moje środki nie wystarczają na to, tem bardziej, że podczas mego pobytu za granicą, rządca zakładał bardzo interesa; kilka tysięcy franków zaś nie wystarczy na urzeczywistnienie wielkich zamiarów, pięćdziesiąt razy bowiem muszę dublować stawkę zanim zniszczę Banka. W tym celu potrzebuję pięćdziesiąt tysięcy franków i zamyślam je pokryć za pomocą udziałów obywateli wiejskich. Jak powiedziałem, dalszych znajomych * nie chcę przypuszczać do tego przedsięwzięcia, sądząc, że mojej okolicy należy się pierwszeństwo.

Na te słowa zaczął pan Żdziobelko niecierpliwie się poruszać, nie tyle z tego powodu, aby w zupełności nie wierzył w powodzenie przy zielonym stoliku, z którym i on swego czasu bliższą zawarł znajomość, ale w ogóle z tej przyczyny, że nie lubił aby się przymawiano do jego kieszeni. Chwyił

się więc raptem za twarz, jak gdyby go zęby gwałtownie zabolowały...

— Ah! jaki to ból straszny!

— Fluksya, czy ząb dziurawy? zapytał ironicznie pan Adam.

— Ó! o! o! wołał jęcząc Żdziobelko i zaczął biegać po pokoju.

Pan Adam domyślił się, że jego projekt tak szkodliwie podziałał na zęby towarzysza, widząc więc, że nic nie wskóra, kazał zaprzęgać i pojechał dalej.

Tymczasem w Balielowie liczne się już znalazło zgromadzenie; gospodarz podejmował przybyłych z największą gościnnością, a zarazem starał się każdego przekonać o konieczności zajęcia się ważną sprawą myszy, które zwartemi legionami postępowały coraz dalej niszcząc cały plon. Po przekąsce zagał też Bogorya zgromadzenie, wnosząc, aby obywatele zawiązali towarzystwo tępienia myszy.

Na ten wniosek zabrał głos pan Gawelko, obywatel który wydał wiele broszur politycznych, pisał się członkiem towarzystwa chowu osłów i byłym wiceprezesem ochrony Żydów od uciemienia Chryścian. Gawelko tak zaczął:

— Mości dobrodzieje! Nie zapoznaję bynajmniej, że sprawa tępienia myszy, którą podniósł szanowny gospodarz, jest nader ważną i konieczną do uchronienia naszego mienia przed zupełnym zniszczeniem, nie mogę jednak nie skorzystać z zebrania tak szanownych i zacnych obywateli, aby nie przedłożyć im ważniejszego pytania, które jeżeli nie stoi z powyższą sprawą w bezpośrednim związku, to przez analogią do niej się zbliża. ••

Chcę mówić Mości dobrodzieje, o owych myszach, o ludziach gorszych od myszy, którzy z kłamanem słowem miłości na ustach, w czarnych szatach, nurtują pod nami, podobni do złych duchów dybiących na zgubę narodu, chcę mówić panowie o zakonie Societatis Jesu, coraz bardziej się u nas rozwielniającym. Przeciw tym Myszom panowie powinniśmy

poprzednio stanowczą rozpocząć walkę, abyśmy nie byli zmuszeni powiedzieć wkrótce z
boleścią: za późno! Pamiętajcie Mości panowie, że Jezuici zgubili Polskę!

— Śmiem zrobić uwagę szanownemu mówcy, przerwał

gospodarz, że przedmiot tak wymownie przez niego poruszony przechodzi zakres naszego dzisiejszego programu.

— Jakto? przechodzi zakres programu ? z oburzeniem odpowiedział Gawętko.

Przedmiot, od którego zależy byt narodu, stoi zawsze na porządku dziennym. Jezuita Polkę zgubili! to okrzyk, który naród codziennie powtarza.

— Za daleko posuwasz się szanowny kolego, odparł pan Jan, inny członek zgromadzenia, w jednostronnym zapatrywaniu się na sprawę naszej ojczyzny: nie sami tylko Jezuita ale i panowie Polkę zgubili! Widziałeś Waćpan ów zgrozą przejmujący obraz Matejki, widziałeś owe złoto, które się potoczyło w grodzieńskiej sali! widziałeś owego bohatera Rejtana protestującego przeciw związkowi magnatów z nieprzyjacielem? Nie teraz pora, abym się dłużej rozwodził nad tym przedmiotem, czytajcie, jednak księgi dziejowe, a znajdziecie w nich dowody wygłaszanej przezemnie prawdy. Naród powinien się wyswobodzić z pod wpływu magnatów, którzy obecnie znów chcą nad nim zapanować już z pomocą uległych sobie dzienników, już to przez zdobywanie wpływowych stanowisk, aby w danym razie zdradzić go i sprzedać! Stawiam wniosek, aby zawiązać stowarzyszenie, którego członkowie nie-będą prenumerować dziennika "Epoka."

— A ja dodaję poprawkę, odezwał się pan Gawętko, aby na tym samym indeksie wypisać także wielkimi literami nazwiska dwóch "Przeglądów" i kilku gazet Poznańskich.

— Ależ panowie! odezwał się do najwyższego stopnia oburzony tem wszystkim Bogorya, pamiętajcie że te dzienniki bronią nas przeciw niemiecko-żydowskiemu kulturkampungowi, że obowiązkiem jest naszym wspierać ich działanie.

— Proszę o głos ! zawołał pan Maciej, owsiany szlachcic z głębokich gór.

Pan Maciej ma głos! powiedział gospodarz, sądząc, że nowy mówca sprowadzi dyskusję na właściwą drogę.

— Panowie! zawołał pan Maciej i machał plikiem jakichś czerwonych broszur. Panowie! pozwolę sobie powiedzieć że się zupełnie mylnie zapatrujecie na nasze stanowisko i na kulturkampf niemiecki. Oto właśnie chcę pomiędzy panów rozdzielić broszurę, w której wykazuję jak na dłoni, że jeżeli od kogo mamy się spodziewać zbawienia, to od kulturkampfu. Przecież Polska stoi zawsze w obozie postępu i cywilizacji, jakimże więc sposobem moglibyśmy się obawiać potęgi, która sobie postęp za chlubny wzięła sztandar? Panowie 1 Bismark Polkę zbawi, bo nas nauczy wielkiej germańskiej cywilizacji.

— Dostyc, dostyc! odebrać głos! wołano ze wszech stron, a oburzenie jak groźna fala morska huczało po całej sali.

— Proszę mi pozwolić dokończyć 1 wołał niezrażony niczem pan Maciej. Posłuchacie mnie Panowie raz jeszcze, jak przeczytacie broszurę i sądzę, że uchwalicie mój wniosek; aby wystósować adres do księcia Bismarka.

— Ależ na Boga panowie, myszy! wołał zrozpaczony Bogorya, cOż poczniemy z myszami?

— Gdyby wielki komedyopisarz starożytności Aristofanes był pomiędzy nami, odezwał się pan Floryan, mędrak powiatowy, toby oprócz swych dzieł pod tytułem "osy" ■ "żaby" "ptaki" uwiecznił z pewnością swą pamięć jedną jeszcze komedią, którejby dał miano "myszy." Od godziny rozmawiamy szanowni panowie, radzimy, sierdzimy się i do jakichże doszliśmy rezultatów ? oto jedni chcą zbawić ojczyznę kulturkampungem i Bismarkiem, drudzy w Jezuitach widzą jedynych nieprzyjaciół kraju, inni przeciw arystokracji wyruszyli w pole, a do właściwego nikt nie zdąża przedmiotem. Quousque tandem abiteret patientia nostra ? mógłby snadnie wykrzyknąć nasz gospodarz, nie chcąc więc nadużywać jego gościnności, pozostawmy myszy prywatnej opiece każdego i jedźmy do domu, bo zaiste wspólnie nic nie uradzimy, jestto klątwa wisząca nad nami od czasu posła z Upity!

— Radzić dalej, radzić 1 liczne ozwały się głosy, a gospodarz miną i słowem dawał do poznania, że z wszelką cierpliwością zniesie dalsze gadanie.

Nowy mówca wystąpił: pan Stanisław, jak mówiono ukończony'wiedeński technik, chociaż koledzy utrzymywali, że zawsze widywali go za kulisami małych teatrzyków, ale nigdy w szkolnych ławkach. Pan Stanisław w te odezwał się słowa:

— Time 18 money, mówią angielscy ekonomiści, dlatego bez żadnych wstępów wprost przystępuję do przedmiotu. Przybyłem tutaj z wypracowanym projektem wytepienia nieprzyjaciela, który tak srodze nawiedził naszą okolicę. Żyjemy panowie w wieku elektryczności, ale zaledwie w setnej części

potrafiliśmy dotąd wyzyskać tę straszną ukrytą siłę. O ile sobie pochlebiam, wynalazłem nowe jej zastosowanie: wystawmy na akęye w pośrodku powiatu wielką elektryczną maszynę, poprowadźmy od niej druty w okolice myszami zagrożone, a wstrzymamy ich niebezpieczny pochód. Przez drut napełniony siłą elektryczną żaden szkodnik nie przejdzie, a które się zbliżą, padną trupem.

— Wnoszę, odezwał się pan Floryan wśród powszechnego śmiechu, wnoszę aby wysadzić komisję, któraby się zajęła przygotowaniem potrzebnych sił i środków do grzebania tych licznych trupów, które pan Stanisław uśmierci; w przeciwnym razie mogłaby wybuchnąć cholera.

Mowy, dowody, repliki i dupliki trwały do późnej nocy; szlachta spać się pokładła, niejeden przez sen bronił swych zasad, w jednym tylko z gościnnych pokojów jeszcze się świeciło. Pan Adam leżał w łóżku, a przy nim siedział autor broszury o Bismarku i kulturkampfie z twarzą okazującą wielkie zajęcie.

— Więc kochany pan utrzymuje, że to pewny, niezawodny rachunek, że tyle a tyle razy dublując stawkę musi się dojść do wygranej?

— Jak dwa a dwa jest cztery. Patrz pan, uważaj chwilę.

Pan Adam zaczął szybko rachować na kartce wydartej z pugilaresu.

— Tak, rzeczywiście! potakiwał pan Maciej, zdawałoby się, że jest wszelkie podobieństwo do prawdy.

— Pewność panie! pewność!

— Nie mów pan nikomu, aby się moja żona nie dowiedziała, szepnął pan Maciej, to ja dam tysiąc franków na ten interes; ale musisz się słowem honoru zobowiązać, że połowa zysku do mnie będzie należała.

— AJeż najuroczystsze słowo kochany sąsiedzie. Nikomu o ničem nie powiemy, aż przyjadę ze złotem pana Blanka.

To była jedyna spółka jaka się zawiązała w Balielowie, na drngi dzień bowiem porozjeżdżali się sąsiedzi: jednemu było pilno na targ, drugiemu tępić myszy, trzeci miał młóckę i t. p.

Bogoryi śniło się następnej nocy, że rozmawiał z Baliel-lem i pytał go:

— Cóż powiesz przyjacielu na to zgromadzenie? czyż nie miałem słuszności zamknąwszy się w^r mojej pustelni, że z takimi ludźmi nie dojdzie do ładu, czyż można się wśród nich spodziewać lepszej przyszłości? każdy z nich przyjechał po to, aby własną myśl rozszerzać, każdy chce być wielkim człowiekiem, żaden jednak nie poświęci dla dobra ogółu swej egoistycznej mrzonki.

Masz słuszność, odpowiedział mu Baliel, dodać jednak trzeba, że wszyscy ci ludzie wyrobili się w spaczonych stosunkach; każdy z nich czuje, że winien coś zrobić dla dobra publicznego, każdy czegoś pragnie, ale nie wie jakim do tego dojść sposobem. Fantazja nie mając dostatecznego gruntu w nauce i doświadczeniu, buja swobodnie i sprowadza ich na rozmaite bezdroża. Duch nie ujęty w karby loiki rwie się samopas, biegnie jak osioł do zielonej paszy. Jedno w nich wszystkich napotkasz, poczciwe serce. Dopóki ten puls bije, dopóty możesz w ludziach upatrywać materyał do społecznej budowy. Bozum da się nabyć, serca nikt nie rozetli.

— Nie wielka pociecha! odpowiedział Bogorya.

— Zapewne, ci ludzie straceni, ale wierzaj mi, że oni czują swe umysłowe braki pomimo pozornej buty i zarozumiałości, a przeto będą się starać uzupełnić je w swych dzieciach. Patrząc na głupich ojców, pracuj nad tem, aby synowie byli mądrzejsi!

III.

Pan prefekt I pani prefektowa.

Pan prefekt Kafarski czuł się trochę obrażonym, że Bogorya pierwaj anizeli on pomysłał o walce z myszami, z przyjemnością też dowiedział się, że narada w Balielowie spełzała na niczera. Niezadowolony jednak z Bogoryi nie miał nic spiesniejszego, jak zobaczyć, czy ów "mąż stanu" wszystkie podatki zapłacił, a przekonawszy się, że 10 groszy niedostaje, rozpiisał licytacją na Balielów z przyległościami.

Pani prefektowa podchwyciła jednak myśl podniesioną przez Bogoryę i postanowiła urządzić koncert na fundusz "tępienia myszy." Zacny jej małżonek nie sprzeciwił się temu bynajmniej, wiedział bowiem, że na podstawie humanitaryzmu najłatwiej dojść do jakiego orderu, albo do tytułu baronowskiego, który był jego najpiękniejszym marzeniem.

Nie myślcie bowiem, żeby pan prefekt należał do pospolitych ludzi; miał on ojca posiwiąłego w usługach państwa, który dobrze wiedział, że chcąc mieć powodzenie w urzędowej karierze, trzeba różnorodnie posiadać po temu warunki, a mianowicie:

1) Nie być nigdy samym sobą, ale tylko futerałem bezpośredniego swego przełożonego, myśleć tak jak on myśli, pisać, tak jak on pisze, popełniać nawet te same co on ortograficzne błędy. Dobry urzędnik powinien być zdolnym człowiekiem, ale broń Boże znakomitym talentem, w ostatnim bowiem razie wcześniej zaczniesz mieć własne pomysły, będzie się uważał za mądrzejszego od tych, którzy o rangę od niego wyżej stoją w urzędowej karierze i wcześniej' zniechęci przeciw sobie ów świat, od którego zbawienia spodziewać się może.

2) Umieć milczeć, milczeć i jeszcze raz milczeć, a gdyby szczęście rodzonego brata od tego zależało, nie powiedzieć mu wiadomości mającej cechę urzędową. Co więcej: utrzymywać nawet wtedy, że pan minister nie umarł, kiedy go już pochowano— jeżeli urzędowa gazeta nie zamieściła jeszcze nekrologu. Słowem wierzyć tylko w to, co napisane w dzienniku nstaw albo w Monitorze.

3) Nie mieć przyjaciół i niczem się nie zachwycać — prócz mądrością pana ministra. Kto ma przyjaciół, ten ma serce, kto ma serce, ten może w danym razie postąpić tak jak mu każe uczucie, a nie tak jak napisze przełożony.

4) Umieć kłaniać się; cierpliwie czekać w przedpokoju i winszować. Jeżeli pan minister kichnie w Paryżu, odpowiedzieć mu "na zdrowie" w Marsylii; jeżeli przełożony na wyższy dostanie się stopień, dać bal z radości; jeżeli współzawodnik otrzyma posadę, o którą się samemu starało, pójść mu powinszować z zapewnieniem, że nic nas przyjemniejszego spotkać nie mogło.

5) Nie wierzyć' w prawdę, ani też w istnienie kolorów, ale stósownie do potrzeby nazywać to samo czarnem co przed chwilą było białem, a to wierutnem kłamstwem, na co się wczoraj przysięgało.

Stósownie do tych zasad wychowywał ojciec małego Jacusia, przeznaczając go wcześniej na urzędnika, i w tym celu najrozmaitsze z nim odbywał ćwiczenia. I tak, chcąc go nauczyć zgadywać myśli swych przełożonych, kazał mu zawsze uważać na rysy twarzy braci i sióstr i donosić sobie, co każde z nich myśli.

— Proszę papy, Ignas ma ochotę zjeść gruszkę — mówił raz Jacus do ojca—bo spojrzal na stragan przekupki.

Papa nadzwyczajnie się ucieszył z przenikliwości swego syna i w nagrodę powiedział mu:

— Dostaniesz Jacusiu dziesięć groszy* jeżeli przez dwa dni do nikogo nie przemówisz słowa.

Jacus zaciął się, a pomimo że mu jeden z braci dał

kułaka, a drugi kromkę chleba z powidłami na nos przylepił— wytrwał r za zdobyte dziesięć groszy kupił atramentu.

W szkole nie odznaczał się wprawdzie Jacuś wielkimi zdolnościami, ale umiał nieporuszenie siedzieć pięć godzin na jednym miejscu, nosił książki za panem profesorem, zdejmował mu paletot, mało rozmawiał z kolegami i w piłkę nie grywał.

Później, trzymając się zasad swego ojca, kłaniał się, winał, nigdy nie przeskakiwał ale podłaził — i został prefektem.

Podczas gdy inni prefekci ustępowali za zmieniającymi się ministrami, nasz Jacenty stał zawsze na swem stanowisku, wyprostowany do ukłonu. Pamiętał on też różne czasy.

Bywało, że na czele państwa stał minister oddany Kościołowi, protegujący Jezuitów, nienawidzący wszystkiego co się sprzeciwiało przyjętym przez niego zasadom, wtedy pan Jacenty chodził co miesiąc do spowiedzi, a podając się o lepszą posadę załączył świadectwo moralności, wystawione przez najbliższe jezuickie kolegium. W pięć lat później prąd wiatru zmienił się w sferach rządowych, ministrem był jakiś profesor nieuznający istniejących religij, ale jakąś religią ducha, której nie umiał jeszcze dać nazwiska. Nasz prefekt zakazał wtedy swoim urzędnikom chodzić do kościoła i postawił wniosek do rządu, aby skonfiskować majątek wszystkich zakonów. Podczas ministeryalnej zmiany kłaniał się pan prefekt grzeczniej niż zazwyczaj, dziwnie był # sprawiedliwym dla wszystkich stronictw — nie wiedział bowiem co nastąpi.

Otóż do tego to Jacusia mówiła pani prefektowa, z domu obywatelka de Gąsiorska:

— Ręczę ci, że ta Klaudya, chcąc wodzić rej w departamencie, zagryzie się z gniewu jak się dowie, że urządzę koncert na fundusz tępienia myszy.

— Urządź! odpowiedział jak wyrocznia pan prefekt — jej mąż źle jest widzianym u rządu, fochy więc pani Klaudyi nic mi szkodzić nie mogą.

Pani prefektowa postanowiła więc przedewszystkiem zapewnić, sobie artystów.

Do najznakomitszych wirtuozów na fortepianie należał w miasteczku pan Meliton; nieszczęście tylko chciało że cier

piął na katar żołądka, a przeto nie zawsze miał ochotę do popisywania się swym talentem.

Pani prefektowa postanowiła uderzyć w jego słabą stronę: wyczytała w inseratach starej gazety, że odwar z amerykańskiej rośliny Cocca pomaga na tego rodzaju cierpienia... Idzie więc do artysty.

— Czy jest pan w domu? pyta służącego.

— Pan w łóżku leży i robi ciepłe okłady.

— Nic nie szkodzi — powiedz, że przychodzę z niezawo- dnem lekarstwem na jego chorobę, że się chcę z nim widzieć koniecznie.

Artysta przyjął panią prefektową.

— Całą noc nie spałam, ciesząc się, że panu będę mogła przynieść ulgę — mówiła do pacyenta — odwar, który przynoszę, w przeciągu trzech dni wyleczył moją kuzynkę. Szwagier mojej przyjaciółki był tak zdenerwowany, że nie mógł słuchać skrzypienia butów i mdlał co pół godziny— napił się dwa razy Cocci i wygląda jak róża.

— Serdecznie dziękuję pani prefektowej za jej dobroć serca, mnie jednak nic już nie pomoże, krzyże bołą, jeść nic nie mogę, cygareto nie smakuje.

— Spróbuj pan, a nie pożałujesz— zachęcała prefektowa.

— Jedyne z wdzięczności dla pani poddam się kuracyi, odpowiedział muzyk.

Napił się odwaru i rzeczywiście lepiej mu się zrobiło. Dobrodziejka korzystała ze sposobności—^ wymusiła na nim przyrzeczenie, aby grał w koncercie.

Tymczasem udała się do drugiego artysty, do pana Filona. Ten jednak zamknął się na cztery klucze i nieprzyjął jej — wiedział bowiem, że poprzednio była u Meli tona. .

— Jeżeli tamtego uważa za znakomitszego artystę — myślał niechże on jej koncert urządzi, ja nędzny skrzypek na nic się nie przydam.

Energii pani prefektowej zawdzięczyć należy, że bez pana Filona znalazło się dość liczne grono artystów i artystek, którzy przyobiecali wziąć udział w koncercie.

Pani prefektowa nie przeczuwała jednak, że przeciw jej projektowi straszna się przygotowała burza... Eolem tym

razem była pani Klaudya, jak wiemy rywalka prefektowej, żona jednego z sąsiadów Bogoryi.

— Nie potrzebujemy urzędowej dobroczynności, mówiła pani Klaudya do swoich sąsiadek, sami sobie Bogu dzięki wystarczyć potrafimy. Pani prefektowa niech rozpościera nad

. urzędnikami swoje dobroczynne skrzydła, ale nie nad nami* Oddajmy jej wet za wet, urządzimy koncert na umierających z głodu urzędników.

Słowa te bardzo się podobały i znalazły poklask w powiecie i w miasteczku pomiędzy przeciwnikami pani prefektowej. Zachęcona tem pani Klaudya napisała następujący list do artysty Melitona.

— Szanowny Paniel Słyszałam, żeś pan jeszcze mocniej zasłabł po jakimś lekarstwie, które ktoś nieostrożny panu polecił. ^Bolejąc nad pańskim cierpieniem i nad tem, że me- znośna choroba pozbawia nas przyjemności słyszenia znakomitego pianisty, posyłam panu ziółka, których skuteczność wypróbowaną jest w naszej rodzinie. Miej pan cierpliwość pić trzy razy na dzień po łyżce odwaru tych ziółek, a jestem pewną, że rai podziękujesz, przyjmując udział w koncercie, który niebawem zamierzam urządzić na głodnych urzędników.

— PoczciWa kobieta!— wykrzyknął artysta odebrawszy list i paczkę ziółek— przecież dobrzy ludzie jeszcze istnieją.

Pan Meliton zaczął pić lekarstwo, odebrawszy bowiem ten list uczuł nagle, że Cocca pani prefektowej rzeczywiście bardzo mu zaszkodziła.

Pani Klaudya miała na tyle przeczności, aby do drugiego artysty— do pana Filona napisać równocześnie z powyższym listem. Filon więc tym razem nie obraził się, ale przyrzekł swój udział w koncercie na głodnych urzędników — aby okazać pani prefektowej, że inne panie umieją szanować jak należy jego artystyczne zdolności.

Koncert pani Klaudyi, zapowiedziany na ten sam dzień i na tę samą godzinę, w których pani prefektowa swój koncert urządzić miała — zdawał się jak najświetniejsze rokować nadzieje powodzenia. Pani prefektowa jednak nie tak łatwo dała sobie wydrzeć palmę pierwszeństwa. W godzinę przed rozpoczęciem koncertu na głodnych urzędników wręczono właścicielowi sali koncertowej następujące rozporządzenie:

“Ponieważ w domu pod Nem 7 panowała epidemicznie ospa, albowiem przed rokiem umarło tam dziecko w suterenach, ponieważ nadto od tego czasu dom na nowo nie został otynkowany, i zarodki epidemii nie zostały tym sposobem zniszczone— ze względów sanitarno-policyjnych zakazuje się wszelkiego w tym domu zebrania, aby przeszkodzić szerzeniu się epidemii.”

Dwóch żandarmów stanęło przed domem w celu nadania urzędowej powagi rozporządzeniu, a goście, którzy się pojeżdżali na koncert, musieli wracać jak niepyszni, albowiem w miasteczku nie było drugiej odpowiedniej sali, w którejby się mogło odbyć zapowiedziane widowisko.

Tryumf pani prefektowej był zupełny, pani Klaudya zaś dostała spazmów i nerwowej gorączki.

Tego samego dnia otrzymał pan prefekt telegram, że jego kolega, prefekt w bardzo znacznem mieście śmiertelnie chory. Nasz pan prefekt od dawna • wzdychał do tamtej posady, z niewypowiedzianą też radością przybiegł do żony wołając już w progu.

— Kolega prefekt umiera.

— Teraz albo nigdy! odpowiedziała czcigodna małżonka, musisz wszystkie poruszyć sprężyny, aby otrzymać po nim .posadę.

Pan prefekt potarł ręką czoło, jakgdyby chciał jakąś myśl wywołać, chodził wielkimi krokami po pokoju i nare- ście wykrzyknął.

— Wiem!

— Oo wiesz!

— Wiem! dostanę posadę — pobiegł co prędzej do swego pokoju i zaczął pisać:

“Do Jego Ekscelencyi Pana Ministra spraw wewnętrznych. Ekscelencyol Niesłychana kłęska odwiedziła departament, którego prefektem jestem z wysokiej łaski Waszej Ekscelencyi. — Miliony i miliony myszy wylęgło się w tutejszych lasach i grozi najzupełnijszem zniszczeniem krajowi. W przeciągu tygodnia zjadły myszy zasiewy w dwudziestu wsiach, i czworo dzieci zostawionych w polu bez opieki. Wiejska ludność w rozpaczy, mienie jej i życie zagrożone. Jeszcze dwa tygodnie, a nie będzie zkąd ściągać podatków. Obywatelstwo bezczynne,

ludność straciła wszelką wiarę w ratunek. Klęska wymaga nadzwyczajnych środków — upraszam Waszej Ekscelencyi o upoważnienie mnie do zorganizowania obławy na myszy z całej ludności w departamencie. Jego Ekscelencya może zaufać mojej służbistości, że niczego nie zaniedbam i wszelkich dołożę starań, aby uratować siłę podatkową departamentu i mimo klęski wydobyć z ludności tyle podatków co w ubiegłym roku."

Pan prefekt był zadowolony ze swego pisma, gdyż klęskę jaskrawo odmalował.

— Im jaskrawszy obraz plagi przedstawię panu ministrowi, pomyślał, tem większa będzie moja zasługa, a tak niezwyklej gorliwości nie mogą pominąć bez wynagrodzenia.

Na trzeci dzień dostał pan prefekt telegraficzne upoważnienie do zwołania wielkiej obławy. Tymczasem jednak jakaś zaraza padła na myszy, pola zasłały się trupami napastników a niebezpieczeństwo, które groziło zasiewom, zeszło do nic nie znaczących rozmiarów.

Mimo to pan prefekt ubrał się w mundur i szpadę, wsiadł na wózek i na czele kilku oddziałów konnej i pieszej żandarmeryi i dwu tysięcy ludu wyruszył w pole.

Pokazało się, że klęska nie była wielką, zaledwie kilkadziesiąt morgów oziminy w departamencie uległo żarłoczności nieproszonych gości, zresztą sami właściciele gruntów wytepiłi już po większej części szkodników tak, że nie było z kim wojować.

Tryumfujący prefekt napisał na drugi dzień takie sprawozdanie do ministra o przebiegu walki:

— Excellencyo! Nadludzkim prawie wysileniom żandarmeryi i niżej podpisanego udało się położyć tamę straszemu zniszczeniu jakie nasz departament nawiedziło. Środki zarządzane przez Waszą Excellencyą, których uniżonym byłem wykonawcą, okazały się zbawienne w swych skutkach, cała ludność błogosławi przezorny umysł Waszej Excellencyi, a w kilkadziesiąt kościołach odprawia się dzisiaj nabożeństwo za zdrowie i pomyślność Waszej Excellencyi. Nie mogąc w inny sposób wyrazić swej wdzięczności zapowiedziały mi już niektóre gminy, że życzą sobie złożyć u stóp Waszej Excellencyi dyplomy honorowego obywatelstwa. Wręczają je osobne deputacje.

W końcu nadmienić muszę, że dzięki zaradczym środkom, które Wasza Excellencya tak wczesnie zarządzić kazałaś, podatki wpływają regularnie i nie ma obawy, aby w zupełności nie zostały zapłacone.

Po napisaniu tego sprawozdania kazał pan prefekt zawołać do siebie wszystkich merów głupich a ambitnych i w te sięjnniej więcej do każdego z nich z osobna odzywał słowa:

— Chcę, aby pan Minister do dni lOciu był wybrany honorowym obywatelem waszej gminy, jeżeli to pan przeprowadzisz, nie zapomnę o usłudze i przy pierwszej sposobności będę się starał ją wynagrodzić.

Dwudziestu pięciu merów wyszło uradowanych od prefekta, a za dziesięć dni minister otrzymał tyleż dyplomów honorowych.

Tymczasem umarł rywal pana prefekta, a droga do upragnionej posady stała otworem.

Za deputacjami gmin pospieszył prefekt do ministra i tam osobiście przedstawił swą prośbę. Szczęście mu sprzyjało, otrzymał to, do czego dążył. Cała ludność zegnała go z radością, pozbywając się nieznośnego naczelnika; dwudziestu pięciu merów tylko wracało do domów z zawiedzionymi nadziejami, pan prefekt nie chciał bowiem nawet widzieć się z ui- mi przy pożegnaniu, a tem mniej dotrzymał obietnicy.

M
ik

IV.

Jak niebcz»ieczyiie dążyć do harmonii.

— Pana Wyrębskiego licytują...

— Kiedy?

— Dzisiaj.

— Meble, czy bydło?

— Podobno wieś całą i wszystkie rucboniości; dobry panisko! szkoda go, zabrął po uszy w żydowskie długi...

— Czyś może służył u niego?

— Pięć lat Jaśnie Panie, było mi tam jak w niebie i nigdybym się nie był oddalił, gdyby nie Jagusia. Człowiek się pokochał i ciągnął za białogłową.

— Pan Wyrębski nie był żonatym, nieprawdaż?

— Kawaler, człek dobry, uczynny, pamiętny o sługach, tylko go się pieniądze nie trzymają. Z przeproszeniem Jaśnie Pana, ale mówią, że żydzi dają mu zawsze takie pieniądze, które z powrotem do nich wracają i w pańskiej kieszeni ostać się nie chcą.

Bogorya zamyślił się, pochodził po pokoju i szybko, jakby powziąwszy jakieś postanowienie, powiedział:

— Każ natychmiast zaprzęgać Marcinie.

Marcin odszedł, Bogorya otworzył biuro, wyjął paczkę biletów bankowych i ubierał się, jakby w odwiedziny.

Za kilka godzin był w domu pana Zenona Wyrębskiego. W sieni zaledwie się mógł przepchać przez tłum szwargoczących żydów.

— Czy jest pan w domu? pytał służącego, który stał przy drzwiach ze spuszczoną głową.

Służący nic nie odpowiedział, tylko drzwi otworzył. Bogorya ujrzał przed sobą czterdziestoletniego mężczyznę o bardzo przyjemnej powierzchowności, siedzącego w głębokim fotelu i spokojnie czytającego jakąś książkę.

— Czy mam przyjemność mówić z panem Wyrębskim? zapytał Bogorya.

Gospodarz wstał jakby ze snu obudzony, a przedstawivszy się, zapytał łagodnym nader dźwięcznym głosem.

— Czem mogę panu służyć w mym ubogim domu?

— Słyszałem, że pana mają dzisiaj licytować?

— Tak, jest, nie mam czem spłacić moich wierzycieli.

— Wybacz mi pan, że śmiem się narzucać za pośrednika, jeśli jednak pozwolisz, dałaby się może wstrzymać licytacja. Ile na razie potrzeba gotówki?

— Trzydzieści tysięcy złotych — odpowiedział pan Wyrębski tym samym spokojnym głosem co poprzednio.

— Sumę tę mogę natychmiast zaliczyć tytułem bezprocentowej pożyczki.

— Ależ ja nie mam prawa do takiej grzeczności...

— Bzecz prosta, jestem pańskim sąsiadem, a posłyszawszy o potrzebie przychodzę z pomocą...

Pan Wyrębski przyjął pożyczkę z, wyrazem pełnym godności, odprawił coprędzej żydów, do czego się przydał obecny tani także notaryusz i zaprosił Bogoryę na obiad, dodając:

— Wybacz pan, że przyjęcie nie odpowie może gastronomicznym wymaganiom, ale w dniu majątkowego przesilenia nie było czasu myśleć o zastawie. Z rozbitej mojej nawy uratowałem jednak kilka butelek Burgunda, których nigdy lepiej niż dzisiaj nie użyję.

To mówiąc wyszedł gospodarz na chwilę, a Bogorya miał czas rozejrzeć się po mieszkaniu. Dziwnym tam wszystko oddychało spokojem, a z każdego gracika wykwinął smak przebrał. Majątkowa biirza, która przeszła nad domem w ostatnich czasach, pozostawiła wprawdzie ślady; tu i owdzie brakło już mebli, obrazy ze ścian poznikały, ale same mury świadczyły o

nadzwyczajnej harmonii z jaką tam musiało być wszy

stko urządzone, gdyż malowidła ścienne w guście Watteau zupełnie odpowiadały pozostałym jeszcze sprzętom.

Na prędcie podano obiad, stary Burgund rozwiął szybko smutne wrażenia całego dnia, nowi znajomi z całą się do siebie zbliżyli ufnością.

— Nie weźmiesz mi pan za złe, mówił Bogorya do gospodarza domu, że cię zapytam, jakie były głównie powody które przyprowadziły tak znaczny majątek do upadku? Nie jest to czcza ciekawość, ale radbym rzeczywiście poznać ekonomiczne sprężyny działające w ostatnich czasach tak zgubnie na nasze większe własności.

— Napróżnobyś pan u mnie szukał ekonomicznych przyczyn majątkowej ruiny, odpowiedział z łagodnym uśmiechem Wyrębski. Dążyłem zawsze do harmonii, chciałem, aby wszystko co mnie otacza jednym było nastrojone tonem i to dążenie mnie zgubiło. Przypatrz się pan temu zegarowi na kominku, on jest bezpośrednim powodem moich klęsk materyalnych, a mimo to nie oddałbym go za duży nawet majątek.

— Więc dzieje tego.-zegara muszą być ciekawe?

— Bardzo proste, w niejednym domu znajdziesz sprzęt, do którego ta sama da się zastosować historia. Napij się pan Burgunda, sam jeździłem po niego do Dijon.

— Rzeczywiście wyborny, ale opowiadaj pan dzieje zegara.

— Od młodości lubiłem dzieła sztuki, i niejednen grosz oszczędzony za czasów studenckich poświęciłem na kupienie pięknej ryciny-lub figurki z saskiej porcelany. Jedna z moich ciotek, również wielka lubownicza pięknych gratów, wiedziała o tern, a umierając zapisała memu stryjecznemu bratu majątek, a mnie ten zegar. Przypatrz mu się pan bliżej: jest to arcydzieło z czasów Ludwika XV; owe medaliony ugrupowane w około tarczy malował sam Watteau. Przedstawiają one cztery pory roku: na jednej młoda para i amorki... przypatrz się pan jaka dokładność w tak małym rysunku, jakie wykończenie w najdrobniejszym cieniu...

— Wiadomo panu, -kto był pierwszym właścicielem zegara?

— Zamówił go książę Richelieu, ów sławny Lowellas na dworze Ludwika XV, uważaj pan: pod każdym medalionem ukryty portret jednej z jego kochanek.

Wyrębski otworzył drzwiczki pokryte medalionami, a pod niemi ukazały się cztery prześliczne portrety kobiet odpowiadających czterem porom roku. Jeden z nich przedstawiał młodą naiwną, dziewczynkę; drugi dwudziestokilkoletnią kobietę u Zenitu piękności; trzeci czarującą twarz, na której burza lat trzydziestu pozostawiła ślady; na czwartym nareszcie ukazała się kobieta pięćdziesięcioletnia, której jednak niejedna młoda dziewczyna mogła pozazdrościć wdzięku.

— Oto cztery pory roku z życia księcia Richelieu, odezwał się z zadowoleniem gospodarz. Nie prawdaż, że o takim arcydziele śnić i marzyć można.

Bogorya był tego zdania, że lepiej było marzyć o owej idealnej wiosnie, i jesieni, aniżeli o zegarze, ale nie przerywał gospodarzowi znajdującemu się widocznie! w poważno-poetycznym nastroju.

— Zegar ten, ihówił gospodarz dalej, dostałem właśnie w pierwszych dniach mego gospodarstwa. Było wtedy u, mnie ubogo, na miejscu gdzie dwór dzisiejszy, stała chata pod strzechą, w której dawniej mieszkał jakiś ekonom; o jakimkolwiek komforcie, a tem mniej o wymaganiach sztuki mowy nawet nie było. Postawiłem zegar na dębowym stole i rumieniec wstydu mnie oblał: albo' trzeba było darować dzieło sztuki komuś, kto miał je gdzie postawić, albo samemu starać się o stósowne dlań umieszczenie. Rozłączyć się z takim arcydziełem nie miałem siły : ciotka postawiła-je przecież na równi z majątkiem, oddając bratu wieś a mnie zegar, miałżebym przeto nie poznać się na wartości tej cennej spuścizny?

Marzyłem o nowem urządzeniu domu, o marmurowym kominku, o stołach i krzesłach zastosowanych do stylu zegara. Wszelkie marzenia rozbijały się jednak o niemożebność prze-

robienia chaty, która w swej skromności nie przypuszczała nawet, aby kiedykolwiek w swych ścianach mieściła jakie dzieło sztuki. Próbowałem ściany podwyższyć, na nic się nie przydało: tynk odpadał, sęki wystawały. Po długiej walce i roz- ■ wadze postanowiłem nowy dom wymurować i urządzić go w stylu Ludwika XV. Zegar miał mieć swój osobny kominek, do którego rysunek zrobił mi jeden z najznakomitszych archi

tektów w-Paryżu, a marmur wykuł rzeźbiarz we Florencji. Przez trzy lata podróżowałem po Francji i Włoszech, a gdziekolwiek byłem, zawsze domek stał mi na myśli, z którego chciałem zrobić małe arcydzieło stylu.

Bywałem też na wszystkich licytacjach starych mebli w Paryżu, i ztąd pochodzą owe fotele, które masz pan przed sobą, ztąd owe kandelabry z brązu stojące obok zegara. Niestety po trzech latach spostrzegłem, że majątek nie wystarczy na urzeczywistnienie mego marzenia i z boleścią przekonałem się, że koniecznych nawet sztukateryj nie będę w stanie wykonać. Zmieniłem więc pierwotny plan bogatego ozdobienia ścian, a natomiast kazałem je skromniej odmalować odpowiednio do medalionów zegara.

— Jakżeś pan mógł wszakże tak prostą drogą zdążyć do ruiny, przerwał Bogorya, widząc, że nawet zamiarów swych urzeczywistnić nie zdołasz?

— Gzyż pan Sądysz, że tak łatwą jest rzeczą oderwać się od myśli, która od lat kilku zawładnęła naszym umysłem? Bronilem się, zaprowadziłem oszczędności, ale przecież nie mogłem się wstrzymać, aby co roku nie uzupełnić po trosze raz rozpoczętego dzieła.

— Ależ na Boga, jakież cel miałeś pan w kończeniu tego zbytowego domu? Mogłeś przecież zrozumieć, że ani jeden z pańskich sąsiadów nie pojmie tej piękności stylu, o jaką panu chodziło, że zresztą następca pański w tej wiosce nie omieszka obrazy Greuza wynieść na strych, a na tem miejscu pozawieszać strzelby na jelenich rogach.

.— Potężniejsza mną władą siłą anizeli rozsądek, a tą siłą jest potrzeba harmonii, potrzeba otoczenia się czemś, ęoby jak piękna sonata zgodnym do mnie przemawiało tonem. Gdybym był nie dostał zegara w spuściźnie, coś innego byłoby się stało powodem mojej majątkowej ruiny, może stary stół dębowy, może jaka rycina. Nie mógłbym mieszkać w pokoju, w którym by kanapa A l' empire stykała się z gotyckiem krzesłem.

— Czyś pan nigdy nie miał zamiaru ożenienia się ?

— Owszem, kilkakrotnie o tem myślałem, ale ta nieszczęsna idea harmonii stała mi zawsze na przeszkodzie. Podobała mi się panna piękna jak Fornarina, dobrze wycho wana, ale niestety miała gruby niemiły głos, nie było w niej harmonii; inna nie zdołała mnie zrozumieć, trzecia miała ruchy niezgrabne; nie mogłem się do żadnej z nich przywiązać, postanowiłem żyć w tych ścianach, z którymi mię tysiączne wiązały myśli; Patrząc na nie, zapomniałem o dzisiejszych cza-, sach, przenosiłem się na wytworny dwór Ludwika XV.

— Jakież więc stan obecny pańskiego majątku?

— Długi przewyższają, wartość ziemi.

— To bardzo smutno, odpowiedział Bogorya, miałbym wszakże jedną dla pana radę — radę która nie stałaby w sprzeczności z pańskimi marzeniami.

— Słucham.

— Dążysz pan do piękna, do harmonii, nic łatwiejszego jak osiągnąć ten ideał z niewielkimi stosunkowo fiuduszami. Czasów Ludwika XV stworzyć około siebie nie potrafisz, to czasy za kosztowne, majątek pański nie wystarczyłby na nie, żyj jednak w polskiej zagrodzie, wystaw małą chatę w lesie, mchem utkaj ściany, sień ozdób myśliwskimi trofeami, zamiast złoconego łoża rozściel niedźwiedzią skórę, przenieś się myślą w czasy prostoty naszych Jagiellonów. Szczęście od tego zależy, aby sobie stwarzać takie ideały, które osiągnąć jesteśmy w stanie. Chętnie ułatwię panu zrealizowanie resztek majątku i zabezpieczenie zagrody, któraby wystarczyła na osiągnięcie tych skromnych marzeń. Za pierwszy jednak warunek stawiam, abyś się pan rozłączył z zegarem, który tyle przyniósł nieszczęść. Sprzedaj go pan jakiemu znawcy, daruj do muzeum, ale nie przenoś go ze sobą pod słomianą strzechę, bo przypominałby ci przeszłość i zawiedzione nadzieje.

— Powiedz mi pan, spokojnie odrzekł Zenon, czybyś się rozłączył z taką pamiątką? czyż wspomnienia nie więcej warte anizeli rzeczywistość? Czuję, że masz słuszność, nie umiem się

jednak pozbyć słabostek. Daj mi trochę czasu, może jeszcze z tą pomocą, z jaką mi dzisiaj przyszedłeś, zdołam się wyratować. Zaczekaj...

.Bogorya nie był zadowolony z odpowiedzi, wykazywał niepraktyczność tego słowa: zaczekaj... dowodził, że za rok nieochybna go czeka ruina; wszystkie namowy na nic się jednak nie przydały, Zenon nie chciał zerwać z przeszłością.

Pan Jan odjechał, wypiwszy jeszcze na strzemienne kie-

■HHHHI ■ • s

lich starego Burgunda, a gospodarz rozstawał się z nim z przedsięwzięciem, aby w jakikolwiek możliwy sposób uregulować swe majątkowe stosunki i oddać dług, który zaciągnął u Bogoryi.

Pan Jan dowiadywał się od czasu do czasu o swego sąsiada, czy nie zamyśla osiąść w zagrodzie, czy nie porzucił swych mrzonek? ale zamiast pomyślnych coraz gorsze od niego otrzymywał wiadomości. Nie przypominał mu się też, bojąc się, aby odwiedziny nie miały pozorów upominania się o zwrot pożyczki; pan Zenon zaś ograniczył się tylko na jednej w Ba- lielowie wizycie, w której unikał rozmowy o swych planach na przyszłość. *

Po roku wykreślił już Bogorya pożyczone 30000 zł. ze swego budżetu i prawie zapomniał o sąsiedzie. Jednego dnia wszakże odbiera przez posłańca jakąś paczkę i list od pana Zenona.

“Nie miałem siły pójść przed rokiem za zdrowymi radami, dzisiaj zupełnie jestem zrujnowany, z rozbicia pozostaje mi zegar i tysiąc złotych. Znasz pan moje przywiązanie do tego zegara, nic nad niego nie mam cenniejszego. Bacz go przyjąć odemnie. Nie wyrówna oh wprawdzie wartości pieniędzy, które mi zaliczyłeś ale będzie ci przynajmniej miarą mojej wdzięczności. W chwili kiedy go odbierzesz już będę zdała za graucią kraju.”

Bogorya postawił na kominku drogą pamiątkę, a wkrótce zapomniał o panu Zenonie. Po kilku dopiero latach dowiedział się, że nieszczęśliwy jako nauczyciel utrzymuje się w Wersalu z lekcji niemieckiego języka..

Y.

Niebezpieczne stosunki Bogoryi z dyploniacją.

Wystąpienie Bogoryi w sprawie tępienia myszy zwróciło nań szerszą uwagę, a niektóre dzienniki pochwały jego inicjatywę. Tej to zapewne przyczynie przypisać należy, że od pewnego czasu otrzymywał mnóstwo wezwań do składek, do współdziałania w zakładaniu towarzystw, zaproszeń na wiceprezesa komitetów, którym potrzeba było pieniędzy i t. p. Dopóki ta sława kosztowała tylko kilkadziesiąt złotych miesięcznie, dopóty poddawał się jej z wszelką rezygnacją, zdarzyło się jednak, że pewnego dnia odebrał następujące pismo, które na próbę wystawiło jego cierpliwość.

“Dzisiejsze zawikłania europejsko-japońskie wymagają czujnej z naszej strony bacności; ospałe safandule, drzemiące na czele narodu nie zdołają się zorientować w ogólnym położeniu i nie przemówią tam, gdzie w danej chwili przemówić potrzeba. Musimy zatem w inny sposób śledzić toku polityki i brać w niej udział z pomocą zaufanych ludzi. Upoważniamy zatem osobnym aktem reprezentanta naszego pana Panewkę, do traktowania z rządem Mikada o poruszenie naszej sprawy na konferencji europejsko-japońskiej.

Każdy dobry patriota powinien podpisać to wezwanie, a ponieważ sądzimy, że pan Jan Bogorya do nich należy, przeto wzywamy go niniejszem, aby na załączonym arkuszu podpis swój położył.

Z jeneralnej dyrekcyi patryotycznego monopolu, i patentów na dobrych Polaków."

Dan w stolicy... Podpisano: Błagowski.

Bogorya nie znał tego nazwiska, obraził się niegrzecznym tonem pisma i już je chciał odwrotną odesłać pocztą, gdy mu przyszła ciekawość poznania się- z dyrekcją patryotycznego monopolu, o której dotąd nie słyszał. Wybrał się więc do stolicy, jak Jazon po złote runo, po patent na dobrego Polaka.

Nic nie masz ponętniejszego nad władzę. Pan Błagowski miał od młodości wielką do niej skłonność, ale mu brakło pola do okazania swych zdolności.

Z czasem przyszedł jednak do przekonania, że nie ten powinien mieć władzę, kto ją wykonywa wskutek praw ludzkich, ale ten kto się do niej czuje zdolnym i natchnionym. Podobnie jak w którejś sekcie natchniony bez wszelkich dalszych zapytań zostaje kapłanem i kaznodzieją, podobnie powinno być i w narodzie. Natchnienie mieści w sobie nieomyślność, kto się czuje natchnionym do władzy, ten jest tem samem nieomyślnym co do jej wykonywania. Takie są już prawa Opatrzności.

Oto mniej więcej teoria, którą sobie wyrobił pan Błagowski i zanim mógł czemkolwiek zawładnąć, już wierzył w swoją nieomyślność.

— Imię jego czterdzieści i cztery ! powtarzał sobie nieraz nasz bohater, nie wątpił że to prorocstwo do niego się stosuje i myślał nad tem, że on jest jedynym człowiekiem w narodzie, a obok niego chodzą tylko manekiny "bez serc, bez ducha."

Ponieważ jednak przekonał się, że mimo natchnienia nie można wykonywać władzy bez jakichkolwiek materyalnych środków, przeto rzucił się na pole dziennikarskiej został współpracownikiem dziennika "Wrona."

Tam postawił następujący program, który można było czytać pomiędzy wierszami każdego artykułu: "Do dziś dnia nie było dobrych patryotów, na mnie pierwszego spadło światło niebieskie; ojczyzna i ja— to jedno, kto nie ze mną, ten przeciw mnie, ten przeciw ojczyźnie."

Do każdej władzy trzeba podwładnych, nie dziw też że i pan Błagowski ich zapragnął i w tym celu wydał ustawę normującą pod jakimi warunkami można zostać dobrym patryotą. Ustawa ta brzmi:

Ustawa o nadawaniu patentów na dobry patryotyzm i miłość ojczyzny.

Zważywszy, że są ludzie którzy *śmia myśleć, a co więcej twierdzić, że są dobrymi patryotami;

Zważywszy, że tym sposobem pojęcie o dobrym patryotyzmie znika i chaos powstaje w naszej ojczyźnie, postanawiamy co następuje:

§ 1. Tego tylko wolno uznawać za dobrego patryotę, kto będzie miał na to patent od redakcyi dziennika "Wrona."

§ 2. Każdy z płatnych abonentów powyższego dziennika dostaje gratis wspomniany patent. Wykluczeni są od tego dobrodziejstwa bezpłatni abonenci i redaktorowie innych dzienników.

§ 3. Patent może także otrzymać, kto osobiście da się poznać redaktorowi jako dobry patryota, albo zastosuje się do wydawanych przez niego poleceń.

Najłatwiej było zaabonować dziennik i przestąpić progi wybranych, Bogcryi jednak, jak sądzić możemy, o to nie chodziło. Od czasu osiedlenia się w Balielowie o niczem nie marzył, jak o zużytkowaniu swych materyalnych i moralnych zasobów dla dobra ludzkości, chcąc się tym sposobem wywiązać z danego Balielowi przyrzeczenia. O ile więc dawniej z apatyą załamywał ręce nad ludzką głupotą, o tyle obecnie z całą energią rzucił się do uczenia głupców rozumu.

Zrobienie znajomości z panem Błagowskim uważał przeto za szczęśliwie nadarzającą się sposobność, nauczenia go rozumu. Zapomniał jednak, że do najnie wdzięczniejszej wzięł się pracy, gdyż nawracanie głupców prawie nigdy się nie udaje, a człowiek ma dość pracy, jeżeli

sam siebie od głupstwa chce ustrzedz. Bogorya jeszcze nie przyszedł do przekonania, że najlepiej się przyczyni do zwalczenia głupstwa ten, kto sam mądrze postępuje.

Zapytał się więc, gdzie się można spotkać z panem Błagowskim? odpowiedziano mu, że wieczorem w kawiarni i restauracji pod "Kiełbaską z chrzanem."

Pełen wiary w swe posłannictwo poszedł do wskazanej kawiarni jak tylko pierwsza gwiazda zeszła na niebie. Pan

Blagowski siedział już za stołem kręcąc papierosy, w około niego kilku młodych ludzi w zaniedbanych strojach czytało gazety.

— Czy mam zaszczyt mówić z panem Blagowskim? zapytał Bogorya, zbliżywszy się do owej wybitnej osobistości.

— Tak panie, z redaktorem dziennika "Wrona."

— Przed kilkoma dniami otrzymałem podpisane przez pana wezwanie do położenia mego nazwiska na adresie do pana Panewki, ponieważ jednak nie znam tej osobistości i nie wiem nic bliższego o celu adresu, przeto przyszedłem szczegółowych w tej mierze od pana zasięgnąć wyjaśnień.

— Wszystko cośmy mieli powiedzieć, powiedziało się w drukowanej odezwie, którą pan otrzymałeś — mrukiwie odpowiedział dziennikarski Jowisz — i zaciągnął się dymem z papierosa.

— Zróbże u nas coś dobrego.— mówił dalej tym samym tonem obracając się do swych towarzyszy, kiedy żadnej w narodzie nie ma karności. Zamiast iść za głosem ojczyzny i podpisać iipoważuienie> które każdy prawy obywatel podpisać powinien, ten pan walia się jeszcze i przyjeżdza pytać się o to, co jasne jak słońce. Po prostu mówiąc: straciliśmy instynkt narodowy 1

— Ależ za pozwoleniem—spokojnie odpowiedział Bogorya, nie wiedząc, czy się gniewać czy śmiać się. — Jeżeli pan podpisujesz weksel, patrzysz na jaką kwotę? jeżeli kładziesz swój podpis na kontrakcie, czytasz pierwszej treść takpwęgo? dla czegoż w rzeczach polityki ma być inaczej; jeżeli komuś dają pełnomocnictwo do działania, muszę wiedzieć kim jest pełno- mocuic i do czego ma służyć to pełnomocnictwo..

— Jakto, więc pan nie wiesz dotąd kim jest pan Panewka! — odrzekł z oburzeniem Blagowski i dodał zwracając się znów do swych towarzyszy: — wobec takiej politycznej ignorancy, można zaprawdę tylko ręce załamać.

— Miarkuj się waćpan — z gniewem zawołał Bogorya— o mojej politycznej ignorancy nie możesz pan jeszcze sądzić, ja mam jednak wszelkie prawo powiedzieć, że mam przed sobą niepolitycznego gbura...

Gwar powstał pomiędzy towarzyszami Blagowskiego, niektórzy porwali nawet za krzesła, Bogorya Jednak nie chcąc

. wywołać w publicznem miejscu gorszącej sceny, powiedział krótko:

— Mieszkam w hotelu Europejskim — i wyszedł.

Na drugi dzień posłał swych świadków, których jednak Blagowski nic przyjął i kazał im powiedzieć przez jakiegoś młodzika z redakcyi: że wolno jakiemuś tam nieznanemu szlachciurze narażać swą kapuścianą głowę, redaktor jednak najważniejszego w kraju organu do czego innego jest potrzebny, aniżeli do barbarzyńskich bójek.

Bogorya sierzdił się, odgrażał, ale redaktor przez kilka dni roztropnie nie wychodził z domu, a tem samem odjął mu wszelką możebność niegrzecznego odwetu.

Pan Jan jak niepyszny wrócił do domu i ze zdziwieniem zastał zaadresowany do siebie numer gazety "Wrona" z dnia wczorajszego i jakąś paczkę z książką.

W gazecie był następujący artykuł, zakreślony czerwonym ołówkiem:

"Śmiać się czy płakać?— Cały kraj jednogłośnie prawie wypowiedział już konieczność zastąpienia paszycb interesów za granicą —• i tym zastępcą wybrał znanego zaszczytnie pana Panewkę. Tymczasem pojawiają się jeszcze obojętne w czasach narodowych indywidua, które dopiero teraz zapytują się nas kim jest pan Panewka. Takim indywiduum, które publicznie napiętnować warto, jest jakiś pan Jan B. obywatel z ... ego. Nie wiemy zaiste co u tego pana podziwiać: złą wiarę czy ignorancyą? "

— Nie ma ,co mówić! dosadnie napisano! pomyślał sobie Bogorya i chwycił za książkę. Tam znalazł dedykacyą w podobnym napisaną duchu, a mianowicie słowa:

“Najznakomitszemu polskiemu ignorantowi — redakcja “ Wrony.”

Tytuł książki był następujący:

“Księga zielona, czyli zbiór memoriałów, not i komunikatów' jedyne
uprzywilejowanego dyplomaty narodowego w Pekinie.

Bogorya z chciwością chwycił znakomite dzieło i zaczął czytać.

Akt dyplomatyczny I. Wioseune dumania nadzwyczajnego posła w nadzwyczajnych
okolicznościach.

W kraju marzą o rozwoju ekonomicznym, o spółkach, towarzystwach, fabrykach i t. d. i myślą, że tem zbawią ojczyznę! Nasza przyszłość w dyplomacyi, ale nie w jakiejś tam organicznej pracy. Kto jest dyplomata? Ten kto cudzemi rękami umie kasztany z pieca wyjmować. Największą więc jest głupotą przygotowywać się do tego, aby kasztany własnymi wyciągać rękami, jeżeli w tym celu można użyć kogo innego. W pierwszym razie łatwo się sparzyć, w drugim nigdy. Ergo: organiczna praca dążąca do przygotowania własnych rąk, jest największem głupstwem, jedyne zbawienie polega w dyplomacyi.

Jak miło być dyplomata: wielkimi akordami gra się na wątłych strunach ludzkich słabostek; nad morzem głupoty siedzi się z wędką i łapie złote rybki!

Gdybyśmy byli mieli zdolnych dyptomatów z końcem XVIII wieku, znaczna część politycznej karty Europy do nas jeszcze należałaby. Obecnie trzeba ten błąd naprawić. — A któż się ma wziąć do tego, jeżeli nie ludzie mieszkający za granicą na neutralnej ziemi, ludzie, którzy od dawna w kraju nie byli i nie żyją wśród tamtejszych namiętności i orlim wzrokiem mogą obejmować te potrzeby ojczyzny, których się zbliska nie widzi.

Niedorzecznem jest przeto twierdzenie małodusznych polityków w kraju, że tylko polityka wyrosła na ojczystych grzędach może mieć za granicą znaczenie; rozumiem, że polska pszenica potrzebuje podolskiej lub wołyńskiej gleby, dyplomacya jednak może się lepiej urodzić na pięknych alpejskich skałach, aniżeli na pińczowskim błocie.

Mówią, że zastępca dyplomacyjny narodu musi mieć mandat od ludu i powinien ciągle być z nim w styczności. Głupcy 1 nie czytali ojca polityki: Machiawella. Lud — to stado owiec, puść go samopas, a zajdzie na bezdroża. Owczarz nie dostał mandatu od baranów, a przecież je prowadzi. Teorya o potrzebie styczności z narodem, również nie ma loicznej podstawy, czegoż się może owczarz od owiec nauczyć?

Niech kraj naprawia dziury w mostach, zakłada kasy zaliczkowe, jeżeli mu się tak podoba, my ludzie wyżsi musimy zań myśleć— Kto w codziennej grzędzie pracy, ten nie zdoła wielkiego widnokregu objąć swym wzrokiem. — Patrzmy więc za krótkowidzących i działajmy!

Akt dyplomacyjny II. Nota nadzwyczajnego ambasadora do naczelnego redaktora dziennika "Zachód."

Wielmożny Panie! W numerze 1728 pańskiego dziennika, wyczytałem pod napisem "Naród nie umiejący cenić swych pamiątek" wiadomość, jakoby w pewnym miasteczku uboga wdowa miała autentyczne wąsy Kościuszki i pomimo, iż się udawała do polskich znakomitości, nikt nie chciał od niej nabyć tak cennej pamiątki. Otóż mogę oświadczyć, że twierdzenie Pańskie jest mylnem, przyjaciel mój bowiem, którego nazwiska nie mogę wymienić, nabył te wąsy za 50 talarów.

Przyjm panie redaktorze wyrazy i t. d.

TJwagą. Niegrzeczny redaktor nie umieścił tego sprostowania i nic nie odpowiedział na nie. Zrywamy z nim przeto nasze stosunki dyplomacyjne.

Uwaga druga. W dzienniku humorystycznym wychodzącym w kraju, czytamy nieprzystojne wyrazy z powodu powyższej naszej noty; dziennik ten sądzi, że Kościuszko nie nosił wąsów. Musiał je przecież nosić, zanim je ogolił. Sprawę tę pozostawiamy zresztą do rozstrzygnięcia naszym archeologom, akcyę zaś dyplomacyjną co do niej zamykamy.

Akt dyplomacyjny III. Zapiski dyplomacyjne o artykułach p. Sacher Masocha w "Revue de deux mondes."^w

Dostaliśmy z kraju list przez niezuanych nam podpisany ludzi, byśmy naszymi wpływami wyjednali u wydawcy "Revue de deux mondes," aby nie drukował artykułów ubliżających naszej narodowości i najfałszywiej przedstawiających nasze stosunki.

Dziwne mają w kraju wyobrażenie o stanowisku i zadaniu dyptomatów. Uważałbym'za ubliżenie mej dyplomacyjnej godności, gdybym się narażał na odmowę tak niegrzecznego człowieka jak p. Buloz. List złożyłem przeto do aktów.

Akt dyplomatyczny IV. Nota do lorda Wasserbury z powodu zawikłań europejskich.

Szlachetny lordzie 1 Groźne się zbierają chmury, grzmot słychać za górami, opinia publiczna zaniepokojona.

Wtem jasność powstaje na zachodzie, a w blasku światła ukazujesz się ty milordzie z rószczką oliwną w ręku.

Cześć ci wielki mężu, cześć twojej szlachetnej ojczyźnie, niech żyje dyplomacya.

Potępiano Machiawela, nie rozumiano jego zbawiennych nauk, a przecież jego zasady najkorzystniejsze dla ludzkości wydały owoce.

Machiawel, dyplomacya, ty milordzie zbawicie świat! — trzeba wam tylko ufać.

* Z takim wyrazem ufności przychodzę do ciebie w imieniu uciśnionego narodu: weź go w opiekę..

Zaufajmy dyplomacyi, w niej nasze zbawienie.

Milordzie! uieprawdaż, że się staniesz godnym naszego zaufania ?

Przyjm szlachetny lordzie i t. d.

Dan w Pekinie.

Uwaga 1. Notę tę wysłano pocztą za rewersem dnia...

Uwaga 2. Na powyższą notę nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi. Mówił nam wszakże pan Skórkowski, który był w Londynie na balu u jednego znajomego lorda, że nadzieja stracona, aby tak pięknie napisana nota -mogła jakikolwiek mieć skutek. Oto wyjątek z listu p. Skórkowskiego:

“Lord Wasserbury utrzymywał, że on uznaje tylko tych za zastępców narodu, którzy mają do tego upoważnienie od reprezentantów kraju, tobie jednak nie widzi powodu odpowiadać, sądzi bowiem — zasklepiony w swoim angielskim partykularyzmie — że jesteś osobą prywatną, a z osobami prywatnymi nie wdaje się w dyplomatyczne korespondeneyę. Kazał ci podziękować za wysokie wyobrażenie,, jakie masz o jego rozumie. Mówił to podobno z przekąsem, ale dlaczego, dalibóg nie wiem.”

Akt dyplomatyczny V. Odezwa do pana Błagowskiego, redaktora dziennika “Wrona.”

“Zielona księga naszej dyplomatycznej pracy przekona cię kochany redaktorze , jak z jednej strony pożytecznym jest dyplomatyczne działanie, z drugiej zaś jak smutno, że kraj w moralnej pograżony martwocie nie troszczy się o zagraniczną akcyę. Uwaga druga do V aktu dyplomatycznego dowodzi, że zagraniczni mężowie stanu nie zdołali się dotychczas wyswobodzić z pod wpływu ciemnych mas i do wszelkiego działania wymagają ich poparcia. Smutne to, ale prawdziwe! Dajcież mi więc poparcie kraju, wesprzyjcie ranie tysiącami podpisów, przyślijcie mi pełnomocnictwo, któremby mógł cisnąć w oczy zacofanej europejskiej dyplomacyi.”

Zielona księga mieściła jeszcze wiele innych aktów dyplomatycznych podobnej treści, które nie mogły Bogoryi przekonać aui o potrzebie jakiejś oderwanej od kraju dyplomacyi, ani o patryotycznej dyktaturze p. Błagowskiego.

VI.

Gospodarskie klęski i projekta.

Bogorya znakomitą założył u siebie holendernię, pospro- wadzał krowy mogące się wykazać sześcioro pokoleniami antenatów, urządził oborę według najnowszych wymagań, a chociaż na razie nie miał wielkich zysków[^] przecież cieszyło go to, że za kilka lat potrafi podnieść nader wątłą rasę bydła w okolicy i że się tym sposobem niemało przysłuży krajowi.

W gospodarstwie spadają jednak najczęściej wtedy klęski, kiedy się ich jak najmniej spodziewamy.

Właśnie pan Jan siedział pod werandą, popijając czarną kawę i myśląc o znakomitym wpływie postępowej hodowli bydła, kiedy zmieszany wbiegł ekonom:

— Dwie najpiękniejsze holenderki nagle zachorowały i nie chcą jeść, ryczą, pianę toczą z pyska.

Bogorya coby prędzej pobiegł do stajni, kazał dać pacjent- kom po łyżce amoniaku, lekarstwo jednak na nic się nie przydało, szlachetne krowy jękami bóleści napępiały stajnie.

— Natychmiast posłać po weterynarza! wołał zaniepokojony właściciel.

— Weterynarz mieszka o dziesięć mil, na czas nie przyjedzie, zauważył ekonom.

Dzierżawca jednak folwarku Wertepy, pan Bagdadzki trudnił się dawniej weterynaryą, możeby zechciał przyjechać. Jaśnie pan musiałby sam do niego się udać, bo to człowiek trochę naderwany i możeby się. obraził samym tylko listem.

Nie wiele myśląc wsiadł Bogorya na konia i za dobrą godzinę był w Wertepach. Folwark nosił bardzo stosowną narzwę, na piaszczystych bowiem znajdował się wydmach, a przed ubogim domkiem nie było pięciu kroków płaszczyny, ale każda sosna, każdy krzew ubogi w innym rósł poziomie.

Nikt z dworku nie wyszedł, tylko duży pies nowofun- landzki przyjaźnie się przywitał z Bogoryą. Pan Jan przywiązał więc konia do sosny, jedyne drzewa zdobiącego smutne podwórze i w towarzystwie nowofunlandczyka wszedł do pierwszych drzwi.

— Ah i zawołał jakiś piskliwy głos kobiecy, a przed oczy Bogoryi przewinęła się postać o czarnych długich włosach i nader kościstym biuście.

Bogorya cofnął się nie mając ochoty śledzić znikającego widma, w tej chwili jednak ujrzał za sobą mężczyznę w śred- nim wieku, o śniadem, wyschniętem obliczu, o nader wyrazistych oczach.

Był to pan Bagdadzki. Bogorya po krótko opowiedział swój interes, wytłómaczył się z tego, że śmie wzywać pomocy sąsiada, gospodarz przyjął jednak nader uprzejmie zaproszenie i bezzwłocznie udał się do stajni, gdzie sam osiodłał mie- rzyńka.

— A więc krowy kaszlą i ryczą? pytał p. Bagdadzki, bez wątpienia zapalenie płuc, najcięższa choroba do wyleczenia... Gdyby zwierzęta mówić umiały, możnaby z większą postępować pewnością. Rozpoznanie zwierzęcej choroby pozostanie dla nas zawsze częściową zagadką. Mój koń osiodłany, możemy jechać, pozwól pan jednak, że rządy mej rzeczy- politej zdam chwilowo na siostrę.

— Pańska siostra także tutaj bawi? możebyś Pan był łaskaw mnie przedstawić...

— I owszem, ale się spieszyć musimy.

Jak gdyby na skinienie wyszła panna Malwina na ganek, a Bogorya poznał pod złotym fularem te same ramiona, które go przed chwilą przeraziły. Z kilku słów rozmowy nie mógł żadnego wynieść wrażenia, strój tylko panny Bagdadz- kiej pozostał mu w pamięci, pod szafranową chustką wyglądała bowiem 'morderowa suknia, obwieszona tyłoma kokar-

darni i wstążeczkami jak orzeł papierowy, którego chłopcy na sznurku puszczaają w obłoki. Jeźdźcy puścili się ku Baiielowu, nie można było jednak pospieszać, bo konie grzęzły w piasku.

— Zapewne z upodobania zajmowałeś się pan weterynaryą? zapytał Bogorya towarzysza, nie wiedząc do czego nawiązać rozmowę.

— Jestem właściwie chemikiem z powołania, odpowiedział pan Bagdadzki, do weterynaryi zawiadła mnie chęć zbadania władz duchowych zwierzęcia, z pomocą patologii chciałem dojść do filozoficznych wyników. Od kilku lat jednak zaniedbałem weterynaryę, nie doprowadzała mię bowiem do takich rezultatów jakich się po niej spodziewałem. Obecnie zajmuje mnie nader ważna gałąź gospodarstwa; w naszym ubogim kraju trzeba się rzucać w tę stronę, gdzie bezpośrednio spostrzedz się da korzyść.

— Gzy można się zapytać, w czym pan myślisz znaleźć te korzyści?

— Mieszkam w okolicy, gdzie sosna jedynem bogactwem, chcę na wielkie rozmiary założyć fabrykę terpentyny. Trzeba panu bowiem wiedzieć, że wynalazłem kilka nowych sposobów użycia terpentyny i zdołałem ją doprowadzić do czystości wody.

Do samego Baiielowa rozmawiali jeźdźcy o terpentynie, a Bogorya z prawdziwą przyjemnością słuchał swego towarzysza, który z niezwykłą znajomością rzeczy i z niezrównanym zapalem wykladał mu o różnorodnych sposobach dystalowania żywicy, o ulatnianiu się gazów, o "pierwiastkach chemicznych itp.

Wreszcie znaleźli się towarzysze wobec trudnego zadania: choroba w holenderni widocznie była zaraźliwą, w kilku godzinach ubyło jej bowiem dwadzieścia krow. Pan Bagdadzki z całym zapalem rzucił się do ratowania biednych zwierząt; zadawał jakieś pigułki, okrywał krowy kocami zmoczanymi w zimnej wodzie, wszelkie środki jednak nic nie pomagały.

— Oto wiedza ludzka! mówił zawiedziony, nie miałem porzucić nauki o chorobach zwierzęcych! cłowi ek stoi bezsilny, nie wie nawet co zwierzęciu brakuje, tego rodzaju niepowodzenia mogą na zawsze zniechęcić do pewnej nauki.

Ubolewania były zresztą słuszne, we dwa dni z wielkiej

holenderni zostały tylko trzy krowy i to mieszanej rasy, a majątek Bogoryi został tym sposobem wystawiony na twardą próbę.

Pan Bagdadzki radził, aby w Balielowie nie zaprowadzać więcej holenderskiej rasy, przypuszczając, że woda tamtejsza może szkodzić tak delikatnym zwierzętom, nie potrzebował wszakże długimi wywodami popierać swego zdania, albowiem mimo najszczerzej chęci nie był pan Jan już w stanie doprowadzić obory do dawnej świetności, gdyż nie miał potrzebnych do jego funduszków. Dwie nieogłędnie udzielone pożyczki przyjacielowi Alfonsowi i sąsiadowi Wyrębskiemu, a wreszcie ostatnia klęska zachwiały jego majątkiem, tak, że na koszt najbliższych żniw i na zapłatę sług trzeba się było uciekać do pożyczki, pod dość trudnymi zaciągniętej warunkami. Pan Jan wziął kredkę do ręki, zaczął obliczać stan swego majątku i przyszedł do przekonania, że stan ten nie był już świetny i wielką tylko pracą i przedsiębiorczością dałby się jeszcze doprowadzić do pierwotnej siły.

— Założmy wielką fabrykę terpentyny, mówił do niego Bagdadzki, ręczę za pomyślny skutek przedsiębiorstwa; a chcąc dowieść swej znajomości rzeczy, zaprosił Bogoryę do Wertep na kilka dni, w celu robienia doświadczeń i dystalowania terpentyny.

Próby doprowadziły rzeczywiście do znakomitych rezultatów; Bagdadzki okazał się znakomitym chemikiem i nadzwyczaj zamiłowauym w swej nauce, a pan Jan z prawdziwą przyjemnością oczekiwał godziny, w której się obydwaj udawali do kuchenki zastawionej grafitowymi tyglami. Pan Jan znajdował w chemii poparcie wielu swych matematycznych teorii, któremi się dawniej za uniwersyteckich jeszcze czasów zajmował a nawet zachęcony

przykładem uczonego przyjaciela, z odnowioną gorliwością rzucił się do matematycznych i astronomicznych badań, a w szczególności do analizy promieni słonecznych i teorii światła.

Majątkowe sprawy wymagały jednak, aby porzucić teo- ryc, a posłuchać praktycznego głosu przyjaciela.

Bagdadzki radził założyć spółkę z kapitałem 100,000 złotych, z tych 50,000 miałyby dostarczyć Bogorya zaciągając bankową pożyczkę na Balielów, na drugie 50,000 zł. trzeba

9 i

było szukać jakiego spółnika, gdyż sam Bagdadzki jako człowiek bez majątku mógł tylko podjąć się założenia i zarządu fabryki.

Nasz chemik za kilka dni z niezwykłą rzutkością i dokładnością wypracował plan przedsiębiorstwa, jasno obliczył niepospolite zyski i przedłożył je Bogoryi. Pan Jan znalazł wszystko według swej myśli, i nie pozostawało nic innego, jak tylko ogłosić gazetami, że się poszukuje spółnika. Rzeczywiście też za kilka dni krajowe dzienniki zawierały następujący inserat:

“Do nader zyskownego przedsiębiorstwa poszukuje się spółnika z kapitałem 50,000 złotych. Przepuszczalny zysk 25% kapitału, a w latach dziesięciu podwojenie majątku zakładowego”.

Bogorya tak się zajął tą nową myślą, że całymi tygodniami przesiadywał już w Wertepach, pomagając Bagdadzkiemu w wykończeniu planów i jak to zwykle w takich razach bywa, dla spodziewanych zysków zaniedbywał gospodarstwo, które właśnie w tej chwili całej wymagało energii.

vn.

Nie każda stara panna umie być starą panną.

Nikomu nie przyjdzie na myśl powiedzieć o jakiejś mężatce, że umie być mężatką, tymczasem każda stara panna uważa sobie za punkt honoru “umieć być starą panną.” Przypatrując się jednak światu można dojść do przekonania, że musi, to być bardzo trudna umiejętność, skoro się prawie nie spotyka starej panny, któraby w pierwszej lepszej rozmowie nie zwracała na to uwagi, że w wysokim stopniu tę umiejętność posiada.

W różnym wieku różne panny pojmują zadanie, o które im tak chodzi.

Dwudziesto-dwuletni aniołek wie dobrze o tem, że mu daleko do zmarszczków i siwych włosów, a przecież mówi nieraz z figlarnym uśmiechem:

— My stare panny!

Oczywiście oczekuje się wtedy zaprzeczenia z ust, z którychby się może z chęcią inne jeszcze słyszało słówko.

Gdy minie lat dwadzieścia cztery, z wielką uwagą unika się podobnych słów. Wewnętrzna obawa przed staropanieństwem niemiłą robi każdą o niem wzmiankę.

W latach trzydziestu najczęściej się wspomina, że się jest starą panną; od tego się zaczyna i na tem się kończy rozmowę. Fakt niestety istnieje, lepiej więc samemu się do niego przyznawać, aniżeli pozwalać, aby drudzy o nim mówili.

— Tak stara panna jak ja, mówi panna Aurelia, musi

9*

sobie znaleźć cel w życiu: ubogich, sieroty, stowarzyszenia pracy kobiet i t. p.

Panna Aurelia myśli przy tem, że każdy o niej powie:

— Ona to umie być dojrzałą panną 1 jakoby z niej była zacna żona!

Umiejętność więc staropanieiiska na tem w tych latach zależy, aby udawać przed ludźmi, że się nic z tego nie robi, że się jest starą panną.

Niestety bardzo to złudna umiejętność, na cóż bowiem ludziom ciągle to przypominać, coby może ktoś jeszcze zapomniał? Znałem bardzo miłą garbatą osobę, która przy każdej sposobności mówiła, że ma garb, jakby tego nikt nie widział. Co w sercu, to w ustach, możnaby tutaj zastosować.

Do umiejętności staropanieiiskiej w trzydziestu latach i to należy, aby o ile możności jak najwolniej wyrażać się o tem, co tylko mężatki wiedzieć powinny i dać poznać przy każdej sposobności, osobliwie w rozmowie z mężczyznami, że przyroda nie ma dla nas tajników.

Inaczej się dzieje w latach pięćdziesięciu: wtedy rumieniec wstydu występuje na oblicze na widok dwóch ptaszków całujących się dzióbkami na dachu!

Najprzyjemniejsze są stare panny, które nie umieją być staremi pannami i nie posiadają tego arcytrudnego kunsztu.

Niestety panna Malwina, aż zanadto dobrze wyćwiczyła się w staropanieiiskiej umiejętności pomimo, że miała dopiero lat trzydzieści.

Uczoną ciszę w Wertepach przerwała raz pocztowa trąbka, obydwaj przyjaciele wyszli na ganek, panna Malwina wyglądała ciekawie z za firanki. Niemłody już jakiś mężczyzna o nader przyzwoitej powierzchowności wysiadł z powozu.

— Jestem mecenas Zarudzki, przedstawił się nieznajomy. Czytałem w dziennikach, że panowie potrzebną współnika z kapitałem 50,000 złotych. Na chęciach do przystąpienia do interesu mi nie brakuje, chciałbym tylko bliżej się w nim rozpatrzeć.

Wspólnicy bardzo się ucieszyli, gdyż mecenas znanym był i bardzo szanowanym człowiekiem w całej stolicy, a pracą, i sumiennością dorobił się znacznej fortuny. Przyjęto też pana meceusa. z otwartymi rękami, panna Malwina zastawiła stół wiejskimi specyałami, a po herbacie oddaliła się, aby panom zostawić swobodę rozmawiania o złotodajnej. terpentynie;

— Niech panowie się nie dziwią mojej niewiedomości, zapytał mecenas, i pouczą mnie: czy terpentyna robi się ze szpilek sosnowych czy z drzewa?

Bagdadzki trochę się uśmiechnął, ale odpowiedział, że z korzeni sosny, z części najbardziej żywiczych i ze zwykłą sobie jasnością wyłożył mecenasowi sposób fabrykacji i dystrylowania ważnego dla nich płynu. Wykład ten zrobił na mecenasie bardzo dobre wrażenie, widział przed sobą człowieka fachowego najzupełniej obeznanego z przedmiotem, nie wahał się też bliższych żądać wyjaśnień i prosić o przedłożenie sobie planu przedsiębiorstwa.

Mecenas, podobnie jak wielu ludzi, którzy w pewnej gałęzi pracy dorobili się majątku, zaczynał się niezadawałniać swemi procesami, obronami, pozwami i replikami, ale chciał w inny sposób zwiększyć fortunę i rzucić się w przedsiębiorstwa, któreby jego kieszeni i krajowi korzyść przynieść mogły. Z przyjemnością też wyczytał inserat o przedsiębiorstwie w Wertepach, a mniej się namyślając aniżeli nad tabularnem podar niem, siadł na wózek pocztowy i rozpuścił wodze swej imagir nacyi, która przyzwyczajoną była w rzeczach prawnych ulegać despotycznemu wpływowi rozumu.

Imaginacya u ludzi, którzy się od dawna rządzą rozur mem, to jak żak szkolny więziony w bardzo ostrym zakładzie naukowym; Jak się raz dostanie na wolność, nie zna granic wesołej hulanki, gdyż nieprzyzwyczajony do swobodnego oddychania.

Tak się też. stało i z wyobraźnią pana mecenasa, a jak tylko nie widziała przed sobą zwykłego nauczyciela, który je}, prawil wiecznie o oszczędności, o rachunku, ale zwróciła się ku przedsiębiorstwom, tak straciła zwykłą swą miarę- zajmowania się interesami i zdawało się jej, że w przemyśle wszy.-? stko zależy na przedsiębiorczości, na.szybkości i energii w dzia-

łaniu.

Nie dziw też, że mecenas do dwóch- dni podpisał kontrakt z współnikami, złożył kapitał w banku i tak się zajął przedsiębiorstwem, że odtańd co tydzień jechał kilkanaście mil pocztą ze stolicy, aby się przypatrzeć jak roboty postępują około fabryki terpentyny.

Wertepy były dlań nadto nader przyjemną wycieczką; jak młodzieniec zachwycał się zielonością drzew, sprowadził sobie zagraniczną strzelbę, aby się wprawiać w sport myśliwski; w Wertepach smakowała mu bardziej herbata, aniżeli w stolicy; przekonał się tam nawet do jedzenia raków, do których miał dotąd nieprzewyciężony wstręt; bo nawet panna Mai wina na tle piasków i trzasek sosnowych, zdawała mu się daleko piękniejszą i swobodniejszą aniżeli kobiety, które znał w stolicy.

— Dziwnie miła dziewczyna! powtarzał nieraz mecenas wracając z Wertep, a trzeba wiedzieć, że takie myśli mogły mieć u niego poważne znaczenie, pomimo lat pięćdziesięciu kilku był bowiem kawalerem, a zajęty za młodu walką o zaspokojenie codziennych potrzeb, a później natłokiem spraw, nie miał istotnie czasu poświęcania wielu chwil płci pięknej i zachował dotąd świeżość uczuć, którejby mu niejeden mógł pozazdrościć młodzieniec.

Pewnego razu zaprowadziła panna Malwina mecenasa do kurnika, w którym stała maszyna do wylęgania kurcząt Mecenas z wielką się jej przyglądał ciekawością, jako nieznaną dlań nowość.

— Bardzo jestem ciekawy, zapytał, czy to nienaturalne produkowanie kurcząt, ma jaki wpływ na ich zdrowie i jakość?

— Gdyby nie mój brat, chcący tym sposobem dojść do jakichś doświadczeń, nigdybym nie odbierała biednym kurom ich macierzyńskich rozkoszy: siedzenia na jajach. Dość już nas starych panien na świecie... odpowiedziała filuternie Malwina.

— Więc tutejsze kokoszki to stare panny ? zapytał z wesołym uśmiechem mecenas, a pomyślał przy tem*: jaka ona przyjemna, jaka naiwna!

— Widocznie uroda na stare panny w Wertepach, w ten sam sposób odrzekła Malwina.

Mecenasowi tak się podobała ta odpowiedź, że byłby się oświadczył o nią, gdyby nie Bogorya, który w niestosowną chwilę wszedł do kurnika, aby się także przypatrzeć sztucznemu wylęganiu.

Panna Malwina spostrzegła dobre wrażenie, jakie sprawiła na Mecenasie, zawrzała też wewnętrznym gniewem na Bogoryę, który nietylko że bywał od dawna w Wertepach, a nie uległ jej spojrzeniom, ale co więcej stał się obecnie jej złym duchem.

Kozmowa w kurniku szybko przebrzmiała, mecenasowi aż się gorąco zrobiło na myśl, w jak wielkiem był niebezpieczeństwie, bo pomimo że Malwina zrobiła na nim wrażenie, przecież zanadto cenil swą starokawalerską wolność i zanadto miał wiele przyzwyczajzeń, aby nie miał zadrzeć na myśl, że ktoś mógłby w części przynajmniej nałożyć mu jakieś ograniczenia. Niestety panna Malwina zanadto była doświadczoną, aby nie miała spostrzedz, że uczucia mecenasa są zawisłe od tysiącznych wpływów rozsądku i że niepewną kampanię możnaby tylko wygrać korzystając z chwili, w której nieprzyjaciel zapomniiał o potrzebnej czujności.

Przygotowała się zatem do walki, a ile razy mecenas zawitał w ubogie progi dworku, starała go się tak mile przyjąć, tyloma otoczyć wygodami, aby doszedł z czasem do przekonania, że kobieca ręka jest prawdziwą opatrnością w domu.

Starania te zaczęły robić pewne wrażenie, a gdy właśnie mecenas raz pewnego z niesmakiem spoglądał po swych pustych pokojach w stolicy, przyniesiono mu jakiś list miejską przesłany pocztą.

Nieprzyzwyczajony do odbierania listów tą drogą, rozpieczętował go z ciekawością. List widocznie zmienioną był pisany ręką i zawierał następujące słowa:

“Kochany Mecenasie! Szedłeś w życiu prostą drogą, nie dziw też, że za mało masz się na bacności przed intrygantami. Otwórz oczy a zobaczysz, że jednemu z twych współników

bardziej chodzi o czarne oczy, aniżeli o fabrykę terpentyny. Szkoda gdybyś mu dał się uprzedzić. Wspólnik udaje dla ciebie przyjaźń, aby tem łatwiej mógł uśpić czujność swego rywala..."

Mecenas kilka razy list przeczytał i pierwszy raz w życiu uczuł do kogoś niczem nieusprawiedliwioną niechęć, a tym

kimś był Bogorya. Zarazem taki niepokój ogarnął jego serce, że postanowił jechać do "Wertep i — oświadczyć się.

Pierwsze postanowienie też wykonał bez zwłoki, w godzinę bowiem wózek pocztowy stał przed kamienicą; co do' drugiego namyślił się w drodze, aby nie działać zbyt porywczo— i im bliżej był sosnowego dworku tem bardziej oblewał Zimną wodą swe gorące uczucia. Niechęć tylko do Bogoryi coraz bardziej się w nim rozwieliśniała, a w zamiarach swego rywala ożenienia się z panną Malwina, widział nawet podstępne działanie w przedsiębiorstwie.

— Niech się Bogorya ożeni, rozumował, a wtedy rodzina opanuje fabrykę, a ze mnie będzie tylko korzystać jako z niepotrzebnego intruza.

Z takimi myślami zajechał pan mecenas przed ganek domu w Wertepach. Panna Malwina nie dowierzała wszakże wrażeniu, jakie sprawi list bezimienny, którego była autorką, przygotowała Więc drugi, ważniejszy jeszcze argument na pokonanie serca mecenasa: kazała podać wyborne pierogi z jagodami i ze śmietaną. Trzeba bowiem wiedzieć, że mecenas będąc ostatnim razem w Wertepach, wspomniął był, że nad wszystko lubi takie • pierogi; serce kobiece zapamiętało sobie tak ważny fakt, Malwina zaglądnęła do książki pani Cwierciakiewiczowej i wystąpiła z ulubioną mecenasa potrawą.

■— Idealne pierogi! rozkoszując się powtarzał mecenas, w stolicy nigdy takich nie jadłem; a jak ona uprzejma, jaka uważająca, rzeczywiście idealna kobieta!

Pierogi tak rozczuliły mecenasa, że po obiedzie sprowadził znów rozmowę na sztuczne wylęganie kurcząt i tym razem oświadczył się:

— Przecież raz! zawołała Malwina z tryumfującą miną, wychodząc z kurnika i zemdląła z radości.

Mecenas trzy noce nie spał, zastraszywszy się ważnem postanowieniem, na które łatwiej się odważył, aniżeli na podpisanie zwykłego pozwu; słowo się jednak rzekło: trzeba się było tem pocieszać, że dużo jst ludzi, którzy te same przechodzili koleje.

Miesiąc przed ślubem siostry otworzył Bagdadzki fabrykę, która mówiąc nawiasem kosztowała o dwadzieścia pięć tysięcy złotych więcej, aniżeli zrazu obliczono.

Mały dworek zaledwie mógł pomieścić licznych gości, którzy się pojeżdżali z całej okolicy na uroczystość otwarcia. Rozczulony mecenas, zapomniawszy o kilku tysiącach, które musiał dołożyć do preliminarnej sumy miał następującą mowę: — Panowie! Mówi dawna powieść, że szatan kazał Twardowskiemu z piasku: bicz ukrećić, a Twardowski silną wolą i umiejętnością z tak niepodobnego na pozór zadania wyborne się wywiązał. Gdzie umiejętność, wytrwałość i przedsiębiorczość się zespola, tam pękają wszelkie zapory i człowiek staje, się cudotworcą. Znacie te piachy, na których leżą Wertepy, zdawałoby się, że ta okolica przeznaczona na zamarcie, że nic: prócz karłowatej sosny wydać nie zdoła. Prócz karłowatej sosny powiedziałem! Ależ gdzie tylko człowiek spostrzeże najmniejszy ślad życia, tam znajdzie bogate pole dla swego przemysłu. I tutaj znalazł się człowiek, nasz szanowny gospodarz, który nie pogardził ubogą sosną ale jeniusem swym wykrzesał z niej zdroj, mogący przynieść nieobliczone korzyści okolicy i zamienić kiedyś pustynię na bogate sioła. — Panowie! śmiało możemy powiedzieć: że Bagdadzki z piasku bicz ukrećić, wypijmy więc jego zdrowie wielkim Twardowskiego kielichem.!

*— Niech żyje! odpowiedzieli goście, jakiś tylko staruszek zauważył z cicha:

— Nikt jeszcze z piasku bicza nie ukrećić...

I rzeczywiście po miesiącu pokazało się, że staruszek miał racją, wspólnicy bowiem zakładając fabrykę nie wzięli tego w rachunek, że w najbliższej okolicy za mało jest sosen, aby dostarczyły materiału do tak wielkiego przedsiębiorstwa, zdaleka zaś sprowadzać ich niepodobna, albowiem drogi najgorsze.

Po miesiącu też, fabryka po raz pierwszy musiała stanąć dla braku potrzebnego surowego materiału, a zanim dowieziono świeży zapas sosnowych korzeni, straty były tak wielkie, że dwuletnie zyski nawet pokryć ich nie były w stanie.

Pół roku jednak prowadzono przedsiębiorstwo, dokładano pieniędzy, ale koniec końcem sosen nie można było fabryce nastarczyć i pomimo, że kotły były wyborne, a rury według najnowszego urządzone systemu, fabryka nie miała zajęcia.

Bagdadzki utrzymywał, że to co do niego należało wy

konał z największą dokładnością, o drogi powinien się starać kraj, powiat, gmina, ale bynajmniej nie chemik, nie dyrektor fabryki. Loiczne te argumenta na nic się jednak nie przydały, passywa przedsiębiorstwa wzrastały do zastraszających rozmiarów—■ trzeba było przeprowadzić likwidację i sprzedać owe poprawne kotły i rury na cetrnary, jako stare żelaziwo.

Obliczenie wykazało takie rezultaty, że mecenas stracił wprawdzie majątek, zyskał jednak brzydką i nie młodą żonę, a Bogorya do reszty zadłużył Balielów i był już tylko tytularnym tegoż właścicielem.

Bagdadzki nic nie mając, nie wiele mógł stracić, ufny jednak w swą umiejętność nie rozpaczal nad przyszłością, ale tysiące nowych snuł planów. Przedewszystkiem zajmowała go obecnie sztuczna hodowla ryb, po której spodziewał się wielkich zysków, ale i te nadzieje zawiodły, wspólnicy za małym rozporządzali kapitałem, aby do jakichkolwiek dojść rezultatów.

Tak więc holendernia, terpentyna, ryby, w puch rozbiły majątek Bogoryi, trzeba było sprzedać Balielów i z pozostałym kapitalikiem szukać jakiego zajęcia.

— A może w ostatniej chwili przyjdzie mi Baliel w pomoc! myślał Bogorya, a ta myśl dodawała mu cokolwiek odwagi na przyszłość.

Bagdadzki nie chcąc być ciężarem przyjacielowi, zabrał także jakieś resztki fortuny i nie pożegnawszy się nawet z Bogoryą znikł pewnego razu, pozostawiając doń następujący list:

— “Wybacz mi Janie, że się z tobą nie żegnam, nie mogłem ci bowiem na razie powierzyć myśli, która mój umysł zaprzęta. Po niej spodziewam się lepszych dla nas czasów, gdybym ci ją jednak dzisiaj wyjawiał nazwałbyś mnie szalonym, Jeżeli mi dobrze pójdzie, napiszę do ciebie, a bądź*pewnym, że szczęście twoje nie mało mi leży na sercu.”^u

Bogorya pytał się służby, czy nie widziała gdzie pan Bagdadzki wyjeżdżał? nikt jednak nie mógł go bliżej objaśnić, po kilku dniach więc przestał się troszczyć o chemika, a zaczął myśleć o sprzedaży majątku.

vm.

Nic pożyczaj, dobry zwyczaj.

Przygnębiony brakiem pieniędzy postanowił Bogorya przypomnieć się dawnemu swemu przyjacielowi, któremu dopomógł w wielkiej potrzebie, pożyczając mu pieniędzy. Napisał więc do niego bardzo grzeczny list z prośbą o zwrot jakiejś części przynajmniej wypożyczonej sumy. Napróżno pan Jan wyprawił drugi list, grzeczny, wprawdzie ale chłodny i stanowczy, żądający zwrotu całej sumy, w przeciwnym bowiem razie musiałby się uciec do kroków sądowych. ,

W kilka dni po napisaniu tego listu ujrzał Bogorya przez okno zajeżdżających. dwóch nieznajomych panów. Po chwili przysłali swe karty wizytowe.

Bogorya nie znał nazwisk pp. Rzepki i Konewki, sądząc jednak, że przyjechali w interesie kazał ich prosić.

Pan Rzepka, młodzieniaszek o butnem, wyzywającym wejrzeniu zmięszal się trochę stanąwszy przed Bogoryą, ale wkrótce przyszedł do siebie.

— Przysłała nas tu pan Alfons, którego pan listownie obraziłeś — dopominając się w niegrzeczny sposób o jakiś tam drobny dług nie wart wspomnienia. W jego imieniu żądamy zatem od pana zadośćuczynienia.

— Nie o jakiś tam drobny dług chodzi, odpowiedział spokojnie Bogorya — ale o 40,000 złotych; pisałem w nader grzeczny sposób do pana Alfonsa, jeżeli jednak ma ochotę popróbować, czy jeszcze dzielnie szablą wład[^], z przyjemnością

mu służę, sędzę jednak, że człowiek o tak drażliwym honorze równie będzie honorowym w spłaceniu tej kwoty. Oczekuję zawiadomienia o miejscu i godzinie i żegnam panów.

Bogorya się odwrócił i wyszedł do drugiego pokoju, a panowie Rzepka i Konewka z pewnym niesmakiem wracali na wózek.

Upłynęło jednak kilka dni, nawet kilka tygodni a świadkowie pana Alfonsa jakoś nie wracali, Bogorya prosił więc mecenasa, aby wytoczył pozew przeciw honorowemu przyjacielowi ; jakież było jego zdziwienie, gdy pewnego dnia otrzymał następujący list:

»— Panie! Skaleczenie w rękę stoi mi na przeszkodzie, abym od pana żądał krwawego zadośćuczynienia. Jako człowiek honorowy umiałbym bronić mej sławy od niegrzeczności ludzi, którzy dla marnego grosza gotowi zrywać przyjacielskie węzły. Nie mogąc jednak strzelać się, wzywam pana przed sąd honorowy, niechaj nas obywatele rozsądzą! Z mej strony uprosiłem na sędzięgo mego sąsiada pana Józefa^ Podpisano i t. d.

— Bądź więc moim sędzią odezwał się Bogorya, do przytomnego właśnie sąsiada.

• t— Jestem na twe usługi , odpowiedział, a nie ociągając się porozumiał się z panem Józefem, wybrali super arbitra i zasiedli za zielonym stołem.

Pan Alfons nie stanął, wymawiając się chorobą, ale przy słał pana Rzepkę, aby go zastępował. Pomimo sierzeń się pana Rzepki sąd orzekł, że pan Alfons widocznie szuka tylko zaczepki, że Bogorya go nie obraził, i że chcąc zostać honorowym człowiekiem" Wp^S^fo uiścić z długu. Nota bene, sędziowie dowiedzieli się, że Alfons bynajmniej nie chorował i że rękę, wprawdzie nosił na temblaku i pilnie posyłał do apteki po dyachilum, ale rzeczywiście nic mu nie brakowało.

Bohater nie przyjął też wyroku sądu. polubownego, utrzymując, że sędziowie nie zrozumieli dobrze całej sprawy, a Bogorya nigdy nie zobaczył się z pieniędzmi, bo nie było na czem , poszukiwać wierzytelności.

Natomiast nabył pan Jan jedno doświadczenie więcej <— że ludzie najbardziej się chełpiący honorem, najmniej go miewają.

Losy rolniczej osady nad Nilem.

Pewnego dnia otrzymał Bogorya list, na którym były ślady dalekiej podróży i broszurę wydaną w Paryżu. ..Ciekawość tem bardziej wzrosła, gdy spojrzął na podpis i wyczytał nazwisko swego współnika z czasów fabrykacji terpentyny — pana Bagdadzkiego. List ten przytaczamy w całości:

“Wspominałem ci jeszcze za dobrych czasów w Balielo- wie, że kolonie rolnicze w Afryce nad górnym Nilem, w okolicy nader żyznej i w korzystnych położonej warunkach klimatycznych, wielkie mogą mieć powodzenie. Nie mając co robić po nieudaniu się naszego przedsiębiorstwa ze sztuczną hodowlą ryb, udałem się nikomu nic nie mówiąc nad brzegi Nilu, aby się bliżej rozpatrzeć w miejscowych stosunkach i jeżeli się uda pierwszą taką założyć osadę. Zostałem więcej jak się spodziewałem: wszystko tutaj niepospolicie sprzyja memu zamiarowi, dajcie mi tylko kilkudziesięciu ludzi, a w przeciągu lat sześciu każdy z nich będzie miał majątek. W tym celu napisałem i wydałem broszurę, którą staraj się w jak najszerzych rozpowszechnić kołach. Jeżeli ją z uwagą przeczytasz, a nie ożeniłeś się dotąd, spodziewam się, że cię wkrótce zobaczę na tem stanowisku, które ci w broszurce przeznaczam. Do widzenia więc kochany Janie, oczekuję cię nad Nilem ”

Bogorya z chciwością chwycił broszurę, której tytuł w ówczesnych okolicznościach nader był dlań pociągającym, brzmiał on bowiem: “Projekt urządzenia osad rolniczych nad

górnym Nilem i wezwanie do rodaków, których w ojczyźnie nic nie czeka prócz zawodów, aby się nad Nil zjeżdżali,"

Słowo wstępne: "Każde społeczeństwo ma swych rozbitków, wykolejonych ze zwykłych torów, szukających innych stosunków wśród których noweby mogli zacząć życie. Zostawcie ich w tych samych co dotąd warunkach, a będą ludźmi zgubionymi, otwórzcie im nowy horyzont, a mogą się jeszcze przydać światu. Nasze społeczeństwo ma więcej takich rozbitków aniżeli każde inne. Nie jeden umysł ulegnie w tych zawodach, nie jeden człowiek się sparzy.

Dla takich to ludzi zamierzam założyć kolonią na obcej ziemi, w innej nawet części świata. Owiani odmiennem powietrzem, otoczeni uroczą przyrodą poczują się tutaj nowymi ludźmi, a walka o byt nie będzie zbyt trudną, tam gdzie potrzebujesz tylko rękę wyciągnąć, aby zerwać najpiękniejszy owoc południa."

Po takim wstępie wyluszczał autor w broszurze projekt organizacji kolonii, zamyślał urządzić ją w celach rolniczych, sądząc, że rolnictwo najbardziej przypada do charakteru i usposobienia Polaków, i że w danych warunkach bogaty plon przyniesie.

Bogorya uważnie przeczytał całą broszurę i zastanowił się nad nią.

Ludzie nie mający nic do stracenia chwytają się z łatwością pierwszego lepszego projektu, który im jaką taką daje nadzieję powodzenia. Nie "dziw też, że Bogorya jak najprędzej ułatwił się ze sprzedażą resztek z Balielowa i pojechał nad Nil, zapewniwszy się poprzednio, że znaczniesza liczba podobnych mu ludzi wybiera się do rolniczej osady.

Wypływając z tryesteńskiego portu z pewną zadumą spoglądał na znikające coraz bardziej kończyny skał europejskich, albo na warczące koła parowca.

— Pan dobrodziej z Polski? zapytał go jakiś jegomość o starannie ogolonej twarzy i mimo wyszarzałego ubrania zdradzający wielkoświatową ogładę.

— Tak panie! jestem Polakiem.

— Zapewne do Alexandryi?

— Może jeszcze dalej, nad górny Nil.

— Zapewne do tego samego dążymy celu, do osady rolniczej, odpowiedział nieznajomy i przedstawił się jako Alfred Zapolski.

Nazwisko nie było Bogoryi nieznane, dużo on słyszał o panu Alfredzie, jako jednym z najznakomitszych sportsme- nów w kraju.

— Cóż pana powoduje, jeśli spytać wolno, mówił Bogorya, tak trudną przedsiębrać podróż?

— Rzecz prosta, zanadto lubiłem konie, a wiesz pan, że to kosztowna zabawka, nie pozostawało mi nic innego, jak zostać koniuszym u którego z moich przyjaciół, albo ujeżdżać rumaki w pustyni. Oczywiście wybrałem ostatnie.

Pan Jan znalazł w Alfredzie nadzwyczaj miłego towarzysza, podróż nie tak mu się długą zdawała.

Razu pewnego rozmowa zesłała na Bagdadzkiego.

— Sądząc po jego broszurze, odezwał się Alfred, chce on nas tam jakiejś klasztornej poddać regule, na to się wszakże nie zgodzimy; ażeby wstąpić do Bernardynów nie potrzebowalby jechać do Afryki.

— Pewna karność musi być w takiej kolonii jaką myślimy założyć, odpowiedział Bogorya. Alfred się dobrodusznie uśmiechnął i zaczął o czym innym mówić.

Wiesz pan co, że na tem morzu djable nudno, zagrajmy w maczka, karty mam w torbie podróźnej.

— I mnie nie zabawnie, odpowiedział Bogorya, ale darujesz pan że grać nie będę, bo nie wiele mam pieniędzy, a gdybym je przegrał, nie byłoby za co dojechać do górnego Nilu.

— I ja prawdę powiedziawszy mam tylko tyle, ile na podróż potrzeba. Te głupie pieniądze na każdym kroku potrzebne.

Alfred odszedł z przygnębioną miną i patrzył w morze, po chwili jednak wrócił do Bogoryi.

— Zagrajmy o czarną kawę...

— Z czarnej kawy poszłoby na butelkę szampana i tak dalej, więcej jak kiedykolwiek potrzebujemy nad sobą panować.

— Ach jakież z pana wstrzemięźliwy człowiek, no to grajmy w guziki, przypomną się nam studenckie czasy!

Bogorya się roześmiał, a Alfredowi odtąd nie nudziło się na pokładzie.

W Aleksandrii spotkali nasi panowie trzeciego towarzysza: spadłego z etatu sędziego, starszego, milczącego już człowieka, a w Kairze przypisał się do nich jakiś emigrant melancholik, pan Gwido.

Po wielu więc trudach i przygodach stanęli w czterech w kolonii, a Bogorya z niekłamaną radością przywitał się z Bagdadzkim. Ze zdziwieniem znaleźli tam już, przeszło dwudziestu kolonistów, przybyłych w ostatnich dniach dziesięciu z różnych stron świata. Jeden z nich był dawniej nauczycielem w zamożnym domu, a później dorózką w Sidney, inny aktorem w Warszawie, a wydalony z tamtąd i nie umiejąc żadnego obcego języka, zamiatał ulice w Paryżu i służył za majtkę na okręcie; najczęściej jednak było słyszeć pana Porfiręgo, który się tytułował pułkownikiem i bardzo dużo opowiadał o przebytych kampaniach.

Dotąd cała kolonia mieściła się pod szalasami z liści palmowych i karmiła się baranami zakupionymi za różne drobnostki od dzikich sąsiadów, tudzież daktylami; po przybyciu jednak Bogoryi z towarzyszami postanowił Bagdadzki zwołać ogólną radę, zawiązać kolonię na podstawie pewnych praw i uchwalić cele, do których dążyć miała.

W cieniu palm zebrał się pierwszy sejm kolonii. Bagdadzki wyszedł na ścięty pień palmy i w długiej mowie wyłuszczył z podwyższenia swe myśli, zawarte już po większej części w wydanej przez siebie broszurze.

Zaledwie jednak mówca skończył, powstał pau pułkownik Porfiry i grzmiącym głosem zainterpelował Bagdadzkiego: jakim prawem zachowuje się tak, jak gdyby był prezydentem albo panującym zawiązującego się państewka?

— Przyszliśmy tutaj, aby szukać rozumnej wolności, mówił dalej, a liści narzuca się nam już nieproszony dyktator któryby zapewne miał ochotę zrobić z nas takich niewolników, jakich widzimy u naszych czarnych sąsiadów. Wzywam pana Bagdadzkiego, aby zszedł z podwyższenia i ustąpił miejsca najstarszemu wiekiem, w przeciwnym bowiem razie dowiedzimy, że bezkarnie przewodzić nam nie wolno.

Powstał gwar nie do opisania: Bogorya i kilku ludzi wytrawniejszych starali się przekonać towarzyszy, że Bagdadzkiemu słusznie się należy, aby pierwszy rozwinął plan kolonii, gdyż on jest jej twórcą, zresztą najlepiej zna miejscowe stosunki i na jego doświadczenie można się łatwiej spuścić, aniżeli na pomysły ludzi, którzy od wczoraj bawią pod gorącym niebem.

— Precz z dyktaturą! wołali inni, przede wszystkim zabezpieczyć wolność i równość. Najstarszy wiekiem prezydentem!

Metryki nikt nie miał, trudno więc było powiedzieć kto najstarszy, sędzia miał jednak najmniej włosów. Ażeby więc zażegnać burzę, zgodził się Bogorya z towarzyszami na chwilowe przewodnictwo sędziego, który po chwili stał już na pniu palmowym i w długiej nic nie znaczącej mowie, dziękował za niezasłużony zaszczyt

Bagdadzki prosił o głos i przede wszystkim podniósł kwestyą wyżywienia kolonii. Sądził on, że za drobnostki i pieniądze zdoła się kolonia na tak długo zaopatrzyć w żywność od spokojnych afrykańskich sąsiadów, dopóki nie będzie miała produktów własnych. Za pierwsze więc zadanie uważał rozpoczęcie prac około uprawy palm daktylowych, kawy, trzciny cukrowej, tudzież zakupienie potrzebnej ilości owiec rozplodowych i sądził, aby każdy z obywateli zapisał się do jakiej pracy jest najskłonniejszym: czy do uprawy ziemi, czy też do paszenia trzód?

— A o chowie koni nic panowie nie myślicie? odezwał się Alfred, wszak ja tutaj po to tylko przyjechałem, aby móżdż ujeżdżać prawdziwe araby!

Bogorya tłumaczył, że chów koni jako kosztowniejszy na później trzeba odłożyć, ale Alfred nie był zadowolonym z tej uwagi i utrzymywał, że na osłach jeździć nie myśli.

Przeciw projektowi Bagdadzkiego jeszcze straszniejsza gotowała się burza: pułkownik zbierał swoich i zaczął po chwili w następujące perorować słowa:

— Znać, że obywatel Bagdadzki jest chemikiem i że zerwawszy z rycerską przodków tradycją, smaży pomady i mydełka. Każe on nam na tej ziemi bawić się w niewolników, gdzie nie potrzebujemy jak tylko podnieść rękę, aby zapanować nad ciemnymi szczepami tutejszej ludności i w zamian za przyniesioną im cywilizacją kazać im pracować w planta-

cyach. Nie przybyliśmy tutaj po to, aby pod skwarnem afry-kańskim słońcem upadać ze zmęczenia i narażać się na tysiączne choroby, ale przybyliśmy, aby nam tutaj lepiej było, aniżeli w ojczyźnie! Powinniśmy zatem chwycić zabroń i mieczem wywalczyć sobie żywność od sąsiadów, zapanować nad nimi, narzucić im energiczny rząd, a nie oczekiwać tutaj, aż któremu z ludożerczych pokoleń zechce się nas upiec na rożnie.

Alfred i kilkunastu innych towarzyszy przyklasnęło pułkownikowi; spokojne bowiem a żmudne uprawianie trzciny cukrowej nie bardzo im się uśmiechało; wprawdzie Bagdadzki zwracał uwagę, że zanadto są słabi, aby mogli myśleć o jakiegokolwiek wyprawie na sąsiednie murzyńskie szczepy i że powinni być zadowoleni, że sąsiedzi pozostawiają ich w spokoju: wszelkie argumenta na nic się jednak nie przydawały, a pułkownik coraz większej nabierał hardości i wydał nawet rozkaz, aby w jego namiocie złożono wszelką broń, jaka się znajduje w kolonii. Na razie nie posłuchał wprawdzie nikt tego- rozkazu, ale Bogorya i Bagdadzki z towarzyszami, musieli odtąd bardzo się mieć na baczności, aby się nie dać ubiec niebezpiecznemu uzurpatorowi.

Bagdadzki robił nadludzkie wysilenia, w celu zaopatrzenia kolonii w potrzebną żywność, ale coraz było o to trudniej, bo przeciwnie stronnictwo zamiast pomagać mu w tak trudnym zadaniu, stawiało tylko przeszkody, aby w końcu okazać nieudolność panującego w kolonii stronnictwa i przyjść tym sposobem do władzy.

Polityka pułkownika okazała się nader praktyczną, ale w skutkach swych zgubną dla kiełkującej za ledwie kolonii. Nadeszła niebawem pora, kiedy brak żywności dał się czuć w osadzie, a ztąd powszechnie na zarząd powstały szemrania. Pułkownik korzystał z tego, aby osiągnąć swe zamiary, z Guciem i dwoma jeszcze odważnymi towarzyszami wsiedli na koń, uzbrojeni od stóp do głów; nocną porą napadli na pobliską wioskę murzyńską, zabrali kilka koni, mnóstwo owiec i innej żywności.

W kolonii nadzwyczajna była radość z takiego zwycięstwa, Bagdadzki tylko załamywał rękę.

— Zginęliśmy! wołał, murzyni w pień nas wytną, nie zdołamy się obronić!

• Ha! ha! ha! chórem zaśmiali się stronnicy pułkownika.

— Chemik nie stworzony do rycerskiego rzemiosła, wołał pułkownik, mianujemy go nadwornym kuchmistrem kolonii!

Bagdadzki z zimną krwią przyjmował te drwinki, a każdemu z osobna przekładał, aby się miał na baczności, bo napad murzynów jest pewny.

I rzeczywiście, nie długo trzeba było czekać na odwet: następnej bowiem już nocy, podczas gdy wczorajszy bohater zasypiał snem sprawiedliwych, tłumy murzynów otoczyły kolonię z dzikimi okrzykami, paląc drzewa palmowe wokoło. Przy strasznym tem świetle chmury strzał padały na każdego, który się z chaty wychylił.

Bogorya mieszkał z Bagdadzkim w jednym namiocie, obydwaj nie spali, przeczuwając straszną katastrofę, wybiegli -czem prędzej przed namiot, dali kilka razy ognia z rewolwerów, wszelka obrona na nic się jednak nie przydała, słychać było jęki i narzekania konających.

— Pójdź za mną! zawołał Bagdadzki i pociągnął szybko Bogoryę za sobą w głąb namiotu.

Miał on tam rodzaj piwnicy, przykrytej na zewnątrz kamieniem, o której nikt nie wiedział. Piwnica ta służyła mu za skład rzeczy największą dlań mających wartość.

W tem ukryciu przesiedzieli przyjaciele dwa-dni, mając worek daktylów za jedyne pożywienie. Dzień cały słyszeli nad sobą najstraszniejszą orgię, zdawało im się, że dzicy spalili ciała pomordowanych na ofiarę bogom. Gdy po dwóch dniach wyszli z ukrycia, widzieli tylko zgłiszczą w miejscu, gdzie stała kolonia i poczerniałe kości. Dzicy wrócili do swej wioski, uczyniwszy zadość swej zemście.

Bagdadzki zapłakał, wszystkie sny i marzenia poszły z dymem, wziął worek daktyli na plecy i manowcami wskazywał drogę Bogoryi, chcąc się dostać do osady, w której mieszkało chwilowo kilku Anglików w celach naukowych.

. Po zachodzie słońca szukali przyjaciele w nadbrzeżnych skałach górnego Nilu jakiego schronienia. Wtem coś zaszeleściało; Bogorya odwiódł kurek od rewolweru, oczekując jakiejś niemiłej niespodzianki.

— A co może zagramy w guziki ? odezwał się jakiś głos.

— Alfred! wykrzyknął zdziwiony Bogorya, jakimżeś cudem wyszedł cało z tej rzezi.

— Z pomocą rewolweru i pałasza i tego konia, którego widzisz podemną.

Rozbitkom było weselej, po tysiącnych przygodach i niemałych trudach dostali się na pokład statku Khediwa, płynącego do Kairu. W drodze pokazało się, że chemik najlepiej o sobie zapamiętał: wymienił on u dzikich kilka dość cennych kamieni, które nosił zaszyte w sukniach. Jako dobry przyjaciel dał Bogoryi potrzebną kwotę na powrót do Europy, sam zaś pozostał w Egipcie, jakieś nowe już snując projekta.

Alfredowi także ofiarował swą pomoc, ale sportsmeen nie chciał wracać; przebrał się za Araba, ujeżdżał rumaki jakiemuś Anglikowi i podobno później zrobił majątek na handlu końmi. Bogorya tylko musiał wracać, gdyż cierpiał w Kairze ciągle na zapalenie ocz, a lekarze zagrozili mu utratą wzroku, jeżeli jak najprędzej nie opuści Egiptu.

Z prawdziwą boleścią pożegnał się też z Bagdadzkim

1 zamyślił się patrząc znów w fale Śródziemnego morza-

— Co ja tam pocznę w tej kochanej Europie, jak stanę w kraju, będę miał może całego majątku pięć dukatów w złocie!

G%~ĘŚG TRZECIA.

I.

Bogorya pedagogiem.

Każdemu proletariuszowi inteligencji przychodzi przede wszystkim na myśl, aby zostać nauczycielem elementarza, historii, rachunków, wszystko jedno, byle być nauczycielem. Najniebezpieczniejsze dla społeczeństwa są te zajęcia, którym nie można przypisać stałej miary wiadomości: co do osoby szewca nikt się nie pomyli — bo kto nie umie uszyć butów ten do Bzewskiego kunsztu nie może sobie rościć prawa, ale kandydata na nauczyciela nikt tak dalece się nie pyta, jakie ma prawo do tego zajęcia. Może być każda matka nauczycielką, dlaczegóż każdy mężczyzna nie miałby być nauczycielem ?

— Jeżeli czego nie umiem, to się nauczę i wpoję tę naukę w mego wychowanka — tak rozumuje rozbitek umiejący na nieszczęście ludzkości czytać i pisać i śmiało idzie krzewić swą głupotę, aby przypadkowo nie zaginęła.

Gdyby ktoś obawiał się o przyszłość głupstwa, trzeba mu tylko wskazać na roje nauczycieli bez powołania i kwalifikacyi, a z pewnością się pocieszy i nie będzie wątpił w powodzenie niedorzeczności. Mając takie Westalki, ogień głupstwa wiecznie jasnym będzie gorzał płomieniem.

Języki i historia stają się najczęściej pastwą takich domowych nauczycieli; oglądajcie się tylko na około siebie, a spostrzeżecie ich bez liku.

Pan X. stracił na gorzelni, a resztę majątku przegrał w karty i przejadł na ostrygi — niebawem zostanie nauczycielem historii i moralności, albo na kredyt założy pensjonat. Pani J. musiała porzucić męża, awanturnika i utracyusza ogłasza więc w gazetach, że nową metodą uczy po francusku.

Nie weźmiecie też i Bogoryi za złe, że zobaczywszy się bez grosza, na bruku, nie myślał o tem, aby być murarzem albo inżynierem, ale przedewszystkiem zwrócił swą uwagę na dwa zajęcia: na nauczycielstwo i na założenie domu komisowego. A ponieważ do otwarcia tego ostatniego trzeba było przecież małego kapitału na wynajęcie mieszkania i opłacenie ogłoszeń — więc jedyny ratunek ujrzał w pedagogii.

Znalazłszy się w ojczystym mieście, a nie wiedząc co z sobą począć, czytał w gazecie ogłoszenia. Pomiędzy innymi wydrukowano tam następujący inserat:

Poszukuje się nauczyciela francuskiego języka i historii. Bliższa wiadomość ulica Smocza Nr. 24.

Niewiele myśląc idzie Bogorya na ulicę Smoczą, dzwoni; otwiera mu czternastoletnia panienska — przyszła, uczennica.

W pokoju nie zamieciono, pająki swobodnie przykrywają stare portrety swoją tkaniną, z krzesła wydobywa się na wierzch kawałek, sprężyny.

Pan domu, człowiek nie młody, pretensya połączona z ubóstwem wzięła na egzamin Bogoryę.

— Jak się pan zapatrujesz na stanowisko Cavoura wobec kwesty i wschodniej?

— Nie mogę jak tylko być z największym uwielbieniem dla jego geniuszu... a że wciągnął mały Piemont w sprawy europejskiej wagi, to mu tylko za rzetelną można poczytać zasługę.

— Pan więc także ulegasz temu Cavourowskiemu szalowi, który wszystko uważa za dobre, co zrobił ten polityczny szarlatan ?

— Nazwisko, które mu pan dajesz, nie zdaje mi się być stosownem.

— Stasiu! Stasiu! zawołał głos kobiecy z drugiego pokoju, wskutek czego gospodarz domu zerwał się i wybiegł nie czekając odpowiedzi.

Bogorya gorzko się zaśmiał ze swego położenia, usłyszał jednak w drugim pokoju następującą rozmowę:

— Daj mu spokój ze swoim Cayourem — tańszego nauczyciela nie dostaniesz.

— Ależ moja kochana, to jakiś liberał — głupiec, który Bóg wie czego dzieci nie pouczy, a takie talenta jak Edzia...

— Jak zaczniesz przebierać, to dzieci niczego się nie nauczą; zresztą powiadam ci, że nie mam za co metrów płacić, a warunki p. Bogoryi podobno są bardzo przystępne.

Po tej rozmowie wszedł pau Stanisław napowrót do pokoju, w którym się znajdował Bogorya, a nie mówiąc już więcej o Cayourze, zgodził go za nauczyciela po dwa złote za godzinę.

Nadeszła pierwsza lekcya: za stołem zasiadły dwie córeczki państwa D. — Jadwinia i Edzia, syn ich najstarszy chłopak dziewiętnastoletni, mama, papa i ciocia.

— Niech pan nauczyciel nie myśli — odezwała się mama — że nasze dzieci zacofane w wiadomościach, bardzo one już postąpiły w nauce i główki Bogu dzięki niepospolite; Edzia ma wiele talentu do poezyi — może Edziu zadeklamujesz jaki swój utwór panu nauczycielowi?

Edzia się wyprostowała, uśmiechnęła i podniesionym głosem zaczęła deklamować: Na jeziorze — nenufary, Nad jeziorem — tną komary, Idzie dziewczę z malinami I rozmawia z rusałkami; A rusałki śpiew zawodzą: Miły, dźwięczny i donośny, Śpiew swobody, śpiew radosny W dziecka serce prosto godzą.

Bogorya z gniewu i śmiechu ledwo mógł usiedzieć na krześle, ale na zapytanie matki: No cóż, panie nauczycielu, nie prawdaż, że talent mający wielką przed sobą przyszłość? zdobył się tylko na lekkie potakiwanie głową.

— Mój syn Staś — odezwał się ojciec — z wielkim zamiłowaniem zajmuje się
ojczystemi dziejami, co zresztą rzecz

naturalna, że potomek takiego rodu, do jakiego my się liczymy, z przyjemnością zagłębia się w przeszłość.

— Trzeba wiedzieć panu nauczycielowi — odezwał się Staś — że nasz antenat był w bitwie pod Grunwaldem > zapisane to wyraźnie w Paprockim. Chce pan, to panu pokażę.

— Najzupełniej temu wierzę, znużony odpowiedział Bogorya.

— Nasza Jadwinia, wtrąciła ciocia, ma nadzwyczajny talent do muzyki, potrafiłam go w niej moją pracą obudzić.

— Ciocia zawsze ze swoją muzykalnością i wtrącił Staś.

— Gdy starsi mówią, młodzi milczeć powinni, odcięła się ciocia z przekąsem.

— Proszę cioci wstrzymać się od uwag, z gniewem powstała pani D., od tego są rodzice, aby skarcili swe dzieci, dalecy jednak krewni nie mają do tego prawa.

— Jaktó dalecy! rodzoną jestem ciotką, odezwała się stara panna, podniosła się z miną wielce obrażoną i wyszła z pokoju.

— Nasza ciocia proszę pana nauczyciela, tłumaczył Staś, cierpi trochę zajączki...

— Fe Stasiu! zauważyła matka, młodzi nie powinni nigdy mówić podobnych rzeczy o starszych. Ale widzę, że pan nauczyciel ma ochotę rozpocząć lekcye. Daruje pan, że będziemy słuchaczami; naszym zwyczajem jest bowiem przysłuchiwać się, w jaki sposób dzieciom wykładają nauki.

— Bardzo jestem szczęśliwy z tej troskliwości, odrzekł Bogorya.

Nie wiem już jakim sposobem do tego doszło, że pan Jan zaczął coś dzieciom mówić o Cezarze, przedstawiając go jako pogwałciciela rzymskich wolności.

— Proszę pana nauczyciela, przerwał pan D., nie przedstawiać w ten spogób historyi moim dzieciom. Jestem przede- wszystkim monarchistą i nie lubię, aby w moim domu unoszono się nad zaletami Rzeczypospolitej. Wiadomo panu, że ca* łem nieszczęściem naszej ojczyzny było zbytnie upieranie się przy wolnościach. Nie chcę, aby ktoś wpajał w moje dzieci fałszywe zasady.

— W ten sposób mój panie, odezwał się z powagą Bogorya, niczego dzieci nie nauczymy, jeden z nas musi być słuchaczem, a drugi nauczycielem.

Staś wyzywająco spojrzął na Bogoryę, pan D. zabierał się do jakiejś repliki, ale pani domu pociągnęła go mocno za surdut i pod jakimś pozorem Wyprowadziła do drugiego pokoju, mówiąc mu przy drzwiach dobitnym głosem:

— Tańszego nauczyciela nie dostaniesz!

Po dwóch tygodniach podobnych lekcji spotkał się Bogorya z jednym ze swoich szkolnych kolegów, a po krótkiej pogadance dowiedział się od niego, że jest niskim urzędnikiem w sądowej registra turze i że tam potrzeba pomocnika.

— Gdybym poszedł starać się o to miejsce! pomyślał. Wprawdzie miał nadzieję, że go Baliel lada dzień wybawi z kłopotliwego położenia, w którym się znajdował, gdy jednak nadzieje się nie ziszczały, a fundusze do coraz mniejszych schodziły rozmiarów, poszedł do pana prezesa sądu.

— Co pan dotychczas robiłeś? oschle zapytał prezes.

Bogorya opowiedział, że był ongi gospodarzem, że wskutek niepowodzeń stracił majątek, a ostatnimi czasy dawał lekcye u państwa D.

— Nie możesz pan u nas mieć miejsca, brzmiała krótka ale kategoryczna odpowiedź.

— Jaki mógł być powód tej odmowy? pomyślał pan Jan; wkrótce objaśnił go jednak ten sam kolega, że pan prezes nie ma zaufania do ludzi, którzy tak różnorodnie przechodzili koleje, a zresztą —

■— Cóż zresztą? pytał go Bogorya.

— Niech cię to nie urazi, to ci powiem, odrzekł kolega.

— Pan prezes odpowiedział, że tylko głupiec mógł być nauczycielem u takich głupców jak państwo D.

— Otóż to ludzka sprawiedliwość!, pomyślał Bogorya, jeden drugiego głupcem być mieni, a nie zada sobie nawet starania przekonać się, czy to posądzenie do prawdy podobne.

Niezrażony niepowodzeniem, poszedł Bogorya szukać posady w innej magistraturze, a strzegł się już tym razem powiedzieć, że był nauczycielem u państwa, którzy tak niekorzystną mają opinią. Nie znalazłszy jednak i tam utrzymania, musiał jeszcze raz wrócić do nauczycielstwa.

»oog<x>«-----

n.

Jeszcze o pedagogii.

Dom państwa Bolesławów liczył się do prowincjonalnego hih lifu i stał odziedziczoną fortuną. Nota bene, panu domu było na imie hr. Kornel, firma więc pochodziła od pani, która na świętą Bolesławę głośny bal wydawała.

Hrabia Kornel słynął jako bardzo wykształcony człowiek, a byli tacy, co go głupcem zwali. Kto miał słuszość trudno

o tem wiedzieć, opinia prawie na równe dzieliła się stronnictwa.

Syn państwa Bolesławów dochodził do lat dwudziestu

i stał się już bardzo głośnym w kołach teatralnych i wekslowych, a gdy starsi moralisci narzekali na terażniejsze zepsucie młodzieży, wymieniali na pierwszym miejscu Gustawa.

— Czybyś pan nie zechciał być mentorem Gustawa? zapytał się Bogoryi jeden z bliskich jego znajomych, warunki będą bardzo korzystne, ale musiałbyś z nim na lat kilka jechać za granicę, może nawet do Ameryki, bo chłopak narobił długów bez liku, i w jego nieobecności będzie się można korzystnie układać z wierzycielami.

Bogorya odpowiedział:

— Zobaczmy, i — za kilka dni znalazł się w gabinecie hrabiego Kornela.

Gabinet bardzo był gustownie urządony; zapraszające do siedzenia dywany, stoły, stoliczki pełne nowych książek i nożów do ich rozcinania, na ścianach stare sztychy, po szafach piękne chińskie wazy i etruski. Gospodarz uprzejmy, rozmawiający o literaturze. Gdy poruszono właściwy cel odwiedzin, hrabia Kornel zaczął się jękać, rozczulać, widocznie dużo go kosztowało dotykać tego przedmiotu.

— Możesz sobie pan wystawić, jak bolesnem jest ojcu rozstawać się z najukochańszem dzieckiem. Pan nie uwierzysz jak Gucio do rodziców przywiązany... najpoczciwszy chłopak, trochę tylko lekkomyślny, ale i myśmy byli młodymi.

— Zmiana stosunków może dobrze nań wpłynąć, odrzekł Bogorya, nie znajdując na razie innej odpowiedzi.

— ZapewneI zmiana stosunków... .wystaw pan sobie, że on się tutaj kocha i bardzo kocha, całą pełnią młodzieńczej namiętności. Ideałem wprawdzie nie jest osoba, z którąby się mógł żenić, ale godna delikatnych uczuć artystka dramatyczna. Jak pan sądzisz? czy raptowne z nią rozłączenie nie wpłynie szkodliwie na jego serce? na jego usposobienie? Nie pamiętam już który autor powiada, że pierwszą miłość trzeba pielęgnować jak kwiat wiosenny, nie zrywać go, bo drzewo nie przyniesie pożytecznych owoców.

— U młodych ludzi szybko się goją blizny powstałe z pierwszej miłości.

— Więc pan sądzisz, że to rozłączenie nie wpłynie szkodliwie na jego serce?

— Nie znam jeszcze bliżej usposobienia pańskiego syna, zdaje mi się wszakże, że tego rodzaju rozłączenia są czemś codziennem w życiu, i że nie zawsze pierwsza osoba, którą się kocha, jest godną uczuć młodzieńca.

Rozmowa nie doprowadziła do stałego planu, a odtąd codziennie był hrabia Kornel u Bogoryi i codziennie się rozczulał nad smutną koniecznością rozstania się z synem.

Poznajmy jednak pana Gustawa. Kilka dni przed wyjazdem wchodzi on do ojca z twarzą zrozpaczoną, ze łzami w oczach.

— Papo kochany i woła, daruj mi po raz ostatni, i całuje ojca w kolana.

— Co się stało? mów, cóż znaczy twoje pomieszanie i pyta do najwyższego stopnia zaniepokojony ojciec.

— Pożyczyłem 2,000 złotych, zobowiązałem się pod słowem honoru dzisiaj jeszcze oddać. Uczciwość wymagała dać te pieniądze.

— Jakto, znowu Basi ?

— Tak ojciec! Basi! ona tutaj zostanie nieszczęśliwą, bez utrzymania, dyrektor płaci jej bardzo małą gażę.

— Pocziwie, litościwe dziecko! pomyślał hr. Kornel, ucałował syna w czoło i poszedł z nim do banku podnieść potrzebne pieniądze.

Syn nie podziękował nawet ojcu, pobiegł do aktorki, a hr. Kornel poszedł wprost do jubilera.

— Czem mogę służyć panu hrabiemu?

— Bądź pan tak dobry zrobić mi duże porte-bonheur, zupełnie gładkie, z wielką perłą, a wewnątrz z napisem. "Gustaw Basi, na pożegnanie."

— Trzeba chłopca wynagrodzić za pocziwe serce! myślał papa wychodząc ze sklepu, niemało mu to osłodzi pożegnanie z Basią, że jej będzie mógł ładny pozostawić podarunek.

Przez kilka dni różnorodne jeszcze w rodzinie państwa Bolesławów powstawały plany ; skończyło się jednak na tem, że Gustaw z panem Bogoryą pojedzie do Berlina i że tam będzie kończył nauki, których mówiąc między nami jeszcze nie rozpoczął.

W dzień odjazdu cała rodzina wyprowadzała marnotrawnego syna na dworzec: zapłakana matka wsunęła swemu Guciovi nieznacznie rulonik* dukatów do kieszeni szepcząc mu do ucha :

— Zachowaj to na nieprzewidziane potrzeby.

Papa zaś swoją drogą zawołał synalka do drugiego pokoju i dał mu weksel na 1000 talarów, tak, żeby Bogorya

o tem nie wiedział. Ułożyli się bowiem, że Gustaw nie będzie miał pieniędzy, ale że wszystkie potrzeby opłacać będzie Bogorya.

— Weksel, to nie pieniądze! rozumował pocziwy papa i nie sądził, aby wykroczył przeciw układowi

Łzy, ściskania rąk, powiewania chustkami towarzyszyły odjeżdżającym.

Gustaw w wybornym był humorze, częstował Bogoryę daleko lepszymi cygarami aniżeli ojciec i wypytywał się o stosunki berlińskie.

— Ile tam teatrów panie profesorze?

— Dość dużo, ale znakomity uniwersytet, wykładają pierwsi uczeni Niemiec, ja sam z wielką ochotą będę chodził na lekcye.

— Zastąpisz mnie — powiedział z cicha Gustaw, i kłęb dymu puścił pod nos swemu mentorowi.

— Pan profesor zna dobrze Berlin, nie prawdaż? pytał uczeń dalej.

— Każdy niemal dom, każdą ulicę.

— Pierwsze dni będą nam służyć do zapoznania się ze stolicą, nieprawdaż.

— Zapewne, o ile to nam będzie potrzebne, przede- wszystkim zaś zaprowadzę cię do muzeów i galerji.

Wśród ożywionej rozmowy i różnorodnych spostrzeżeń zajechali nasi podróżni do Berlina, a Bogorya przyszedł do przekonania, że chłopak nie jest bynajmniej tak zepsutym jak mu się zrazu wydawało, i że zdała od szkodliwego wpływu rodziców da się wyrobić na człowieka zamiłowanego w pracy.

Podróżni stanęli w jednym z pierwszorzędných hotelów, stósownie do wskazówek hrabiego, który tam zawsze zajeżdżał, zaledwie się jednak rozpakowali, a Gustaw wyszedł z pokoju pod jakimś pozorem i nie wrócił aż dopiero po dwóch godzinach.

— Gdzież byłeś tak długo? pytał niespokojny i zniecierpliwiony mentor.

— Wyszedłem przed hotel, aby się przypatrzeć miastu i zbłądziłem... Te ulice tak proste, tak jednostajne, że trudno jedną od drugiej rozróżnić...

Kilka dni wszystko szło pomyślnie, Gustaw błądził wprawdzie codziennie, ale po kilku godzinach znajdował się znowu u boku Bogoryi mając mu zawsze bardzo wiele do opowiedzenia.

Po tygodniu wszakże zginął elew jednego pięknego poranku, a biedny mentor mimo najściślejszych poszukiwań nie mógł go wynaleść. W najwyższej obawie, czy mu się co złego nie stało, poszedł na policję i zapłacił kilka talarów, aby szukano drogiej zguby. Poszukiwania doprowadziły do skutku, nazajutrz zrana przychodzi urzędnik policji do Bogoryi i opo

wiada mn, że młody lir. Gustaw stoi w hotelu: "Zum Preussischen Hof" i że przebywa tam ciągle u jakiejś damy zapisanej* w księdze pod nazwiskiem hrabiny Barbary * * *.

— Kiedyż ta dama przyjechała ? pyta Bogorya.

— Przed tygodniem, drezdeńskim pociągiem N. 24.

— A więc o jeden pociąg przed nami! poszeptał Bogorya, uderzył się ręką w czoło i zawołał — o ja nieszczęśliwy !

Zrozpaczony mentor idzie natychmiast do- wskazanego hotelu, Chce wejść do pokoju, gdzie mieszkał Gustaw, ale służący staje mu w drodze mówiąc:

— Pan hrabia nie przyjmuje.

Bogorya chce siłą zdobyć elewa, odtrąca służącego, ale mocniejszy Niemiec grozi mu policyą.

Jak niepyszny wraca nasz mentor do swego hotelu i telegrafuje do ojca, aby czemprowadzej przyjeżdżał.

Nastąpiło kilka dni zawieszenia broni, Bogorya miał czas w zastępstwie swego ucznia zwiedzać muzea i galerie.

Po trzech dniach czyta Bogorya w miejscowych dziennikach w rubryce "Przyjechali:" hr. Kornel ... z

— Jak to, hrabia Kornel jest tutaj i u mnie\ nie był ? cóż to znaczy? myśli zaniepokojony mentor, gniewa się a wreszcie ze znużenia idzie do teatru. Ależ o dziwo! w loży pierwszego piętra siedzi hrabia Kornel, panna Basia i pan Gustaw i widocznie bawią się jak najwyborniej. — Bogorya oczom swym nie wierzy, przeciera lornetę, ale rzeczywiście wzrok go nie myli...

Nazajutrz zjawia się uareszcie u niego hrabia Kornel z twarzą bardzd oziębłą i miną pełną wyrzutów.

— Jak można było tak mało mieć taktu, mówił z oburzeniem do Bogoryi, i pytać się o moje dziecko w policyi ! Pańskie postępowanie przekonuje mnie, że zaufania Gustawa pozyskać nie potrafisz.

— Gdyby sam ojciec nie stał na przeszkodzie, możeby się to udało, odpowiedział z oburzeniem Bogorya.

— Ojca obowiązkiem jest szanować i pielęgnować w dziecku szlachetne uczucia, a na dowód, że syn mój umie uznać co jest szlachetnem, a co nie, co się robić powinno, a co jest niegodnem nauczyciela, może panu to za dowód posłużyć, że pierwej aniżeli pan wiedziałem o tem, gdzie mieszka i że z oburzeniem uwiadomił mnie o tem, żeś pan na berlińskiej policyi zbierał o nim wiadomości. Żegnam pana i uwalniam go od opieki nad moim synem.

III.

Bogorya pomiędzy uczonymi szuka wytchnienia.

Pan profesor Łapka był bardzo uczonym człowiekiem, wydał dwutomowe dzieło o pochodzeniu nazwy "Kasza ze Szwedami" i długą rozprawę o tem, czy Sarbiewski napisał jakiś dwuwierszowy epigramat czy nie? •

Profesor miał u siebie gości, a mianowicie: profesora Szczygła, wielkiego ornitologa i autora wyczerpującej monografii o bocianie, tudzież profesora architektury Krokiewkę, szczycącego się tem, że z 12 kamienic które budował, dwie tylko się zawaliły.

Wszyscy trzej byli w sile wieku, a jako szkolni koledzy, w bliskich ze sobą żyli stosunkach.

Bogorya, wielki miłośnik nauk przyrodniczych i matematyki przyszedł tam także, chcąc w towarzystwie uczonych wytchnąć trochę po głupstwach ludzkich, które mu ciągle krew psuły.

Jak zwykle pomiędzy uczonymi z początku nie szła rozmowa, wreszcie gospodarz przemówił:

— Ile było dzisiaj stopni mrozu?

— Niesłychana rzecz w naszym klimacie, odezwał się pan Szczygieł, o 6ej z rana było tylko pół stopnia, a to przecież styczeń. Donoszą mi-, że na Podolu widziano cztery bociany chodzące po polu. Takiego zdarzenia nie zanotowano jeszcze w dziejach ornitologii. Stare bociany z okolic Koźlina odleciały w 1845 r. 28 sierpnia, uczony Homayer zobaczył 26 września 1860 roku na Pomorzu bociana pomiędzy żórawiami; ale żeby w styczniu spotkać u nas cztery zdrowe bociany, to coś nadzwyczajnego; trzeba panom bowiem wiedzieć, że pierze bociana...

— Wiesz co kolego, przerwał Krokiewka, zwracając się do pana Łapki, że się u ciebie sufit rysuje, trzeba dać nowy, bo grozi niebezpieczeństwo, że się zawali. Trzcina musi być źle przybita. Niestety z naszymi rzemieślnikami, nic porządnie nie zrobią. Nie przerywam ci jednak szanowny kolego, dodał do pana Szczygła, mów dalej, musiałem tylko zwrócić u*bage gospodarza na ową ryse, bo periculum in mora... -

— Pozwól kolego, wtrącił znów gospodarz do Szczygła, że ja uzupełnię twoje wiadomości o bocianie. Bielski pisze w swojej kronice pod rokiem 1526, że się w styczniu urodziło cielę z dwoma głowami i że dwa bociany widziano na łące, a w jednym z niewydanych listów Dantyszka do Zambockiego czytałem... Ale poczekaj, poczekaj muszę ci pierwiej pokazać w Bielskim ową notatkę; jeżeli się nie mylę, tom II stronica 282, bo właśnie niedawno patrzyłem tam, szukając jakiegoś faktu do mojej monografii "Kaszy ze Szwedami."^u Może wam bowiem niewiadomo, że wyjdzie niebawem drugie wydanie tego pisma. Księgarz warszawski podjął się nakładu.

— Na cóż pan możesz potrzebować wiadomości z czasów Zygmuntofskich, zapytał Bogorya, do monografii wziętej zapewne ze szwedzkich czasów?

— Pisząc historyczną monografię, odpowiedział gospodarz, trzeba zawsze sięgać jak najdalej; gdyby nasze źródła wystarczały, najlepiejby było odnosić się do stworzenia świata, nic masz bowiem najmniejszego w dziejach faktu, któryby nie miał odwiecznych przyczyn. W danym razie nie . chodziłoby już o kaszę ze Szwedami, ale o wyszukanie i przeprowadzenie dowodu, od kiedy ludzie zaczęli porównywać pobitych nieprzyjaciół z potrawami.

— Przepraszam, że ci jeszcze raz przerywam, odezwał się pan Krokiewka, ale lepiej się wpatrując w sufit, przychodzę do przekonania, że to nie wina rzemieślników, ale przedsiębiorecy, musiał nie dość wcześnie dach pokryć i sufity zamokły... ale mów dalej...

— Zaraz, tylko przyniosę Bielskiego.

— Trzeba panom wiedzieć, że pierze bociana, zaczął mówić pan Szczygieł, korzystając z przerwy, daleko mniej zawiera puchu, a przeto nie jest tak ciepłem dlań okryciem, jak to na przykład....

—Przepraszam, o jedną stronicę się omyliłem, odezwał się wchodzący z książką Żapka, nie 282, ale 283, człowiek ma jednak tyle dat na głowie, że czasem trudno pamiętać takie drobnostki. Chociaż wierzajcie mi, że lokalna pamięć książkowa dla historyka jest skarbem nieocenionym.

— Zapewne, odrzekł Krokiewka, a-pro-poss czy nie wiesz kto ten dom budował?

— Nie mogę ci służyć, odpowiedział gospodarz i zaczął czytać całą stronicę z kroniki Bielskiego. Bogorya tymczasem umierał z nudów, patrzył na zegarek, oczekiwał z upragnieniem herbaty i byłby wyszedł, gdyby się nie bał obrazić gospodarza, u którego dość rzadko bywał.

— Przyznam się, odezwał się w końcu p. Szczygieł, że dawniejsi kronikarze mieli o tyle wyższość nad terażniejszymi historykami, że notowali wszystkie zjawiska.

Ha! ha! ha! odezwały się jakieś chrypliwe głosy za drzwiami i z wielkim hałasem wpadło do pokoju trzech wesołych towarzyszy: jeden wysoki a brzydki, drugi gruby i okrągły, trzeci garbusek z melancholijnem obliczem.

— Jak się urodziła pszenica w r. 526 po narodzeniu Chrystusa? głośno się zapytał ów wysoki towarzysz wpadając wprost na gospodarza.

— Zawsze ci kochanie czegoś brakuje, odezwał się Łapka żartobliwym tonem, w którym się jednak nie mało ukrywało obrazy z powodu lekceważenia jego umiejętności.

— Mam zaszczyt panu przedstawić panie Bogorya, mówił dalej gospodarz, naszych przyjaciół od dzieciństwa i szkolnych kolegów:

— Pan Zapalka, filozof i polityk, dodał z pewną ironią i wskazał na chudego olbrzyma.

— Pan Gapcio, poeta-muzyk. Garbaty się uklonił.

— Pan Walery, literat i redaktor. Na co gruby i okrągły człowieczek, słodkie spojrzenie powiódł po towarzystwie.

Bogorya przypomniał sobie widząc tych panów, że ich zowią głupią trójką, w odróżnieniu od mądrej trójki, do której należeli uczeni, których zastaliśmy.

Podczas tych przedstawień zwrócił się Zapalka do Szczygła:

— Mój ornitologu, dawno cię nie widziałem, mam do ciebie ważne zapytanie: Co to za zwierze, co ma pierze, A jak usiądzie na kurniku Pieje kukuryku?

— Zawsze ci pstro w głowie mój kochany, odpowiedział z miną pełną ufności w siebie profesor.

— Pstry wróbel więcej znany aniżeli pospolity szczygieł, odciął Zapalka, nie obrażam się więc na ciebie profesorze.

Tymczasem Gapcio zasiadł do fortepianu i zaczął zcicha wygrywać jakieś fantazyje, Bogorya przybliżył się doń z zapytaniem, z którejby opery grał wyjątki?.

— Z mej własnej, odparł dumnie muzyk, nazwałem ją "Paproć."

— Trzeba panu wiedzieć, wtrącił Zapalka, że jak kwiat paproci nieznan, tak i nasz Gapcio jest ukrytym dla świata talentem. Prawdziwa sztuka jak fiołek skromnie się kryje pod płotem. Zaśpiewaj Gapciu twą balladę.

Gapcio się zarumienił, poprawił długie włosy, popatrzył w sufit i zaczął śpiewać głosem zachrypłego kanarka.

Bogorya przygryzał wargi wstrzymując się od śmiechu, profesorowie z pogardą ruszali ramionami, obsypano jednak Gapcia oklaskami, za co on się w dobrej wierze nader pompatycznie uklonił.

— Gdyby "Lazł kotek..." nie był jeszcze wynaleziony, dodał Zapalka, ty mistrzu byłbyś jego twórcą.

— Czy to ballada z "Paproci"? zapytał Bogorya.

— Nie panie, szybko odpowiedział Zapalka, z opery trzech głupców...

— Ciekawe musi być libretto?

— Nadzwyczaj. Opowiem treść w krótkości. Było trzech mądrych i trzech głupich braci. Pierwsi byli w wielkiem u ludzi poważaniu, bo rzadko się kiedy odzywali, a jak który

mówił, to nie z głowy ale zawsze z książki, i zawsze o sobie. Wszyscy trzej szukali prawdy na świecie, a każdy gdzieindziej: jeden sądził, że jak sprawdzi rok śmierci Homera⁴ to ludzkości do szczęścia nic już nie zabraknie; drugi był przekonany, że jeżeli wynajdzie dwa gatunki nowych chrząszczów, to świat o cały wiek postąpi; trzeci w nowej konstrukcji kominów widział rozwiązanie zagadki życia. Każdy z nich wierzył w siebie i w ważność swego zadania, bo świat miał go przecież za mądrego.

Trzech głupich braci także dobrze o sobie rozumiało, ale świat w Tch mądrość nie wierzył. Pierwszy mienił się być wielkim kompozytorem, a był tylko organistą; drugi dzieła pisał, nadarmo jednak czekał na nakładcę; trzeci miał się za geniusza mającego ludzkości nowe wskazać tory, a był tylko nieszczęśliwym fantastą.

Mądrzy bracia spoglądali na nich z pogardą i lekceważeniem, a nie wiedzieli ile im byli winni na świecie. Niewdzięczni! Gdyby mądrzy nie mieli obok siebie głupców, nie widzieliby głupstwa u innych i samiby w nie popaść mogli. Najpiękniejszy brylant potrzebuje oprawy z lichego metalu. Głupcy są zwierciadłem dla mądrych: jeżeli się mądry codziennie w tem zwierciadle przegląda, może nadal zostać mądrym; jeżeli o tem zapomni, łatwo sam może zostać głupcem.

— Ależ to opowiadanie bez zakończenia, odezwał się gospodarz domu.

— Ostrożnie! Nie stłuczcie waszego zwierciadła, odpowiedział Zapalka.

IV.

Bogorya zraża się do uczonych.

Nieraz się nad tem zastanawiałem — mówił Bogorya — na co są na świecie owi uczeni głupcy, których znajdziesz w biretach za bibliotecznymi stołami, którzy całe życie ślęczą nad zielonym sukniem, sądząc, że z tamąd wytryśnie źródło żywota i mądrości. Dziwną czuję pogardę dla tych zarozumiałych automatów i mam najzupełniejsze przekonanie, że drwal rąbiący drzewo na podwórzu daleko jest pożyteczniejszym członkiem społeczeństwa, aniżeli uczonego numizmatyk, chcący b.u- dować dzieje na pięciu fałszywie odczytanych literach zatartych na starym pieniążku.

— Czy lubisz trufle? przerwał mu głos Baliela?

— Ma się rozumieć; cóż mają jednak grzyby z numizmatyką lub archeologią?

— Owi uczeni głupcy, jak ich nazywasz, dziwnie są do trufli podobni i takie zajmują stanowisko w społeczeństwie, jak grzyb ten w świecie roślinnym. Zwykle niepokazni, oddzieleni od świata grubą warstwą uprzedzeń, potrzebują kogoś, ktoby zdarł te mchy i pleśni i umiał ich użyć jako przyprawę do dzieł myśli ludzkiej.

— Piękna mi trufla — ów historyk, który całe życie na to poświęcił, aby dowieść, że Polacy są najbliższymi krewnymi Eskimosów dlatego, że ci mieszkają w strefie "polarnej", słowa zaś "Polak" i "polarny" mają jeden i ten sam źródłosłów, co widocznym jest dowodem, że Polacy przywę

drowali do środkowej Europy z okolic polarnych. Albo i ten niezgorszy, co gdzieś na Podolu znalazł kamień grobowy, a na nim znaki podobne do litery O i do ludzkiego nosa. Szczęśliwy ! — zdawało mu się, że odkrył nagrobek Owidyusza Nasona; a gdy świat nie chciał wierzyć w to odkrycie, wertował całe życie greckie i łacińskie księgi, aby koniecznie znaleźć dowody, że się nie pomylił stawiając swą śmiałą hipotezę.

— Przynaczasz dziwaków; mógłbym ci wszakże wskazać i takich uczonych, których świat wprawdzie lekceważy dając im równie jak ty nazwę głupców, a oni przecież bardzo wiele się przyczynili do rozwoju tej lub owej gałęzi wiedzy. Właściwego ich pożytku nie szukaj jednak w nauce, bo excen-tryczna wyłączość nie koniecznie potrzebna do tego, aby ją naprzód posunąć — ale znajdziesz wpływ ich dobroczynny w idealnem poświęceniu się drobiazgowemu nieraz przedmiotowi, w przykładzie zaparcia się, jaki dają zmateryalizowanemu społeczeństwu. Człowiek apatyczny, samolub nikogo nie popchnie do dobrego działania, wierzaj mi jednak, że spotkanie się z uczonym głupcem — jak powiadasz — prawdziwie ożywiająco wpływa na niejednego, co jak zbłąkany osioł chodzi po świecie nie wiedząc w które zająć wrota.

— Mówisz ogólnikami. Nie potrzebujemy sięgać daleko; ot powiedz mi, na co się przyda w społeczeństwie taki pan Onufry Kołysko, który od lat już podobno trzydziestu zbiera krzemienne siekierki i chce koniecznie dowieść, że na przestrzeni całej Słowiańszczyzny nie używano w epoce krzemiennej szerokich toporków, ale tylko wązkie?

— Nie mogłeś lepszego przytoczyć przykładu. Chcesz, to cię z nim zapoznam, a po niejakiem czasie będziemy znów ze sobą mówili o tym samym przedmiocie.

— Mniejsza o to; aby ci dogodzić, mogę poświęcić z pół godziny na dzień temu oryginałowi. Ciekawym jak ta trufla smakuje!

Bogorya z niechęcią przerwał rozmowę i przeszedł na inny przedmiot.

Za tydzień można było być świadkiem odmiennej sceny.

Pan Onufry wynajmował mały pokój od jednego z zakładów naukowych. Gdyś wszedł do niego, owiała cię woń zbutwiałego papieru, trochę atmosfera szczurów. Istne też tam było archiwum; od góry do dołu same stare księgi, pargaminy z wiszące mi pieczęciami, wykopaliska, kawałki łzawnic, kachle z herbami ze starożytnych pieców, najróżnorodniejsze rupiecie jakby u antykwarza. Półkami pełnymi książek, jakby parawanem, przedzielona była izdebka, a za ową ścianą stało skromne łóżko uczonego, przykryte wytartym kilimkiem.

Pan Onufry siedział przy stoliku i czyścił starą monetę, z niewypowiedzianą ciekawością śledząc każdą literę wydobywającą się z pod grubej warstwy rdzy i gliny. Niski, szczupły, o białym włosie staruszek, ubrany w siwą kaptotę, z chustką na szyi na dawny sposób wysoko podwiązaną, dziwnie przyjemne, spokojne robił wrażenie.

— Przy tym samym stoliku pracuję od lat czterdziestu — mówił do Bogoryi — nie chwając się, nie jedna ztąd wyszła cegiełka do wielkiej naukowej budowy, do której mądrzejsi odemnie są powołani architekci.

— Co pana teraz zajmuje? — pytał Bogorya.

— Ot te siekierki, które pan widzisz poukładane, wiele mnie one kosztują bezsensnych nocy, wielu postów są przyczyną, a przecież nie dałbym ich za bogactwa świata.

— Cóż' w nich ciekawego? — co pana tak do nich przywiązuje?

— To długa historia. ... Nie wiem, czy się pan zajmujesz archeologią? może jednak słyszałeś, że niektórzy niemieccy uczeni chcą dowieść, że nasi prapraojcowie byli Hannibalami, że zabijali ludzi nie tylko na ofiarę bogom, ale i na grzeszną strawę dla siebie. Lat temu kilkanaście jak po raz pierwszy przeczytałem to posądzenie. Krew panie we mnie zawrzała, bo Bóg wie, czego te Niemcy na nas nie wymyślają. My Słowianie, szczep łagodny i ludzki, my Kannibalami! ... Pomyślałem: poczekajcie Niemcy, ja wam dowiodę, że nowe

tylko na nas rzucacie oszczerstwo, że może prędzej w waszych aniżeli w naszych dziejach
znajdą się te krwawe ślady 1

— I jakże pan chcesz zbić twierdzenie niemieckich uczonych?

— Uczonych? — to nie uczeni ale zacierzewieni partacze; nikt z uczonych nie postawiłby takiej hipotezy. Pytasz się, jakim sposobem chcę zbić ich twierdzenie? — Ich własną bronią. Mówią oni, że gdzie się szerokie znajdują toporki z czasów krzemiennych, tam się ludzkie odbywały ofiary, szerokie toporki miały być do tego używane. Otóż ja schodziłem całą Polskę piechotą, zaglądałem do niejednego kurhana i przekonam tych panów, że rzucili na nas bezmyślnie obelgę, że każde słowo w ich dowodach tchnie łańszem i nienawiścią.

— Czyż to warto tyle trudów? — cóż nam w dzisiejszych czasach może na tem zależeć, że nasi przodkowie byli Kannibalami ?

— Nie byli, panie 1 — nie byli — po sto razy nie byli! Czyżby panu miło było, gdyby ktoś pańskiego pradziada posądzał o morderstwo? — Złe skłonności się dziedziczą; honoru narodowego trzeba bronić w najdrobniejszej sprawie.

Zapał staruszka podobał się Bogoryi, a chociaż nie mógł się dopatrzeć takiej ważności w walczeniu przeciw powyższej hipotezie, to przecież zaczął nabierać dla pana Onufrego wiele szacunku i o ile możności przedłużał rozmowę. Staruszek zaś widząc, że go słuchają z ochotą, zaczął rażno opowiadać o dziejach każdej siekierki a wreszcie' zeszedł i na swą własną historią.

— Jakimże się to stało sposobem, żeś się pan z takim zaparciem poświęcił nauce? — pytał go Bogorya.

— Bardzo prostym. Byłem ubogim studentem, bez majątku, bez talentu i bez jakiegokolwiek opieki lub protekcji. Lubiłem naukę, a za mało w sobie czułem sił, aby zostać profesorem, bo filozofia szła mi oporem a biegłości pióra także nabyć nie mogłem. Co drudzy w trzech latach zrozumieli i nauczyli się, ja chciałem zrozumieć przynajmniej w latach dziesięciu, byłem więc długi czas uczniem uniwersytetu, utrzymywałem się z odpisywania starych rękopisów i czytałem co mogłem. Nazywano mnie głupcem, inwentarnym studentem, nikt jednak nie spojrział głębiej w moją duszę, nikt nie wiedział, co mnie skłania do dziwnego życia.

— I nie miałeś pan ochoty pójść w ślady swoich kolegów, spróbować szczęścia w jakim zawodzie? Czyż żadna kobieta nie stanęła panu w drodze za młodu?*

— Przyzwyczailem się do ciszy, do spokoju, żyłem jak zakonnik wśród starych ksiąg — a to mi wystarczało. O kobiety ani pytałem, bo miałem strój ubogi, oczy nad książką zmęczone, a ja też żadnej kobiety nie znałem prócz matki, która mnie wcześniej odumarała.

— Nic więc nie pragniesz? — nikomu nie zazdrościsz?

— Pragnę dowieść, że Niemcy nie mają słuszności, posądzając Słowian o kanibalstwo; zazdrościć? — przyznam ci się, że to uczucie wcale mi nie znane. Na skromne utrzymanie zawsze mi wystarczy: mieszkanie mi daje naukowy zakład za darmo, od czasu do czasu napiszę jaką rozprawkę archeologiczną, sprzedam niepotrzebny numizmat, a dochód z tego wystarczy na chleb i mleko. Przez pół roku zresztą żyję cudzą gościnnością, bo chodzę od dworu do dworu rozkopywać kurhany, wyciągać stare dokumenty ze strychów i lamusów, odgrzebywać odwieczne monety pod dębami i gruszami w polu. Nie dawno wróciłem z kongresu archeologicznego w Bolonii, dokąd chodziłem piechotą.'

— Jakto — piechotą — w dzisiejszych czasach?

— Tak, piechotą — na kolej żelazną mnie nie stać, zresztą z wędrówki o kiju i kawałku chleba w kieszeni wracam z liczniejszymi wrażeniami i wiadomościami, aniżeli gdybym przeleciał świat pędem złego ducha. W wagonie nic nie znajduję, coby wzbogacić mogło moją archeologiczną wiedzę; w podróży piechotą na niejedno napotkam, o czym inaczej nie wiedziałbym. Patrz się: oto są zdobycze ostatniej wycieczki. To mówiąc pokazał Onufry cały stos nieuporządkowanych, jeszcze zardzewiałych monet, odłamków naczyń glinianych i żelaznych, urwanych kartek z inkunabułami i tym podobnych archeologicznych różności.

Z niewymowną radością i jakby odmłodzony na duchu wyszedł Bogorya od staruszka.

— Gdyby każdy z równem poświęceniem i wytrwałością dążył do przewodniczącej mu w życiu idei — toby ludzie cudów dokazywać zdołali.

Odtąd był Bogorya codziennym gościem u Onufrego i tak się zajął jego siekierkami, że szczerze mu życzył naukowego tryumfu, i gdyby był wiedział jakim sposobem, sam byłby mu pomógł w tej pracy.

Znajomość jednak trwała zaledwie kilka tygodni. Jednego dnia bowiem przybiega stary służący z zakładu do Bogoryi z wiadomością, że pan Onufry śmiertelnie chory.

Bogorya pobiegł co prędzej do celi archeologa, posłał po doktora, ale Onufry czuł, że mu żaden nie pomoże ratunek*

— Zabierz moje siekierki — mówił słabym głosem do Bogoryi — może się znajdzie ktoś, kto mego zadania dokończy potrafi. Tego jedynie załuję, że mi Bóg przedwieczny nie dozwolił tej łaski.

I znalazł się pseudouczony, który podjął na nowo pracę pana Onufrego, a był nim sam Bogorya. Poukładał on krzemienne siekierki w swoim mieszkaniu, a im więcej się na nie patrzył, im więcej się nimi zajmował, tem bardziej się do nich przywiązywał. Niebawem nie marzył już o czem innym, tylko o uzupełnieniu swego zbioru; kogo tylko spotkał ze znajomych, nie pytał o zdrowie, o żonę, o dzieci, ale o kurhany, bo myśli długo jednym i tym samym zajmujące się przedmiotem, dziwnie człowiekiem zawładną i w despotycznej trzymają go uwięzi.

Skromne fundusze, jakie mu pozostały z nauczycielskich czasów, poświęcał odziedziczonej mrzonce po starym Onufrym, nie mógł się do żadnej innej wzięść pracy, tak był zajęty układaniem archeologicznej rozprawy, mającej dowieść Niemcom, że Słowianie nie byli Hannibalami.

Pewnego dnia, gdy i rozprawa i zapaśne fundusze dobiegały do kresu, wszedł do niego jakiś nieznajomy.

— Słyszałem, że pan dobrodziej piszesz archeologiczne dzieło — odezwał się — jestem nakładcą, możebyśmy mogli' zrobić jaki interes.

Bogorya niezmiernie się ucieszył, prosił siadać nieznajomego, poczęstował go ostatniem, jakie miał, cygarem.

— Podziwiać rzeczywiście wypada — mówił znów nakładca — żeś się pan podjął tak żmudnej, a niewdzięcznej pracy.

— Jak to niewdzięcznej? — zawołał oburzony Bogorya. —r Niewdzięczną pracą nazywasz pan przeprowadzenie dowodu, że Słowianie nie byli Kanibalami! Niewdzięczną pracą nazywasz pan obronę honoru naszych przodków!

—■ Niech to pana dobrodzieja nie obraża; ale tak szczegółowa rozprawa zawsze jest pod pewnym względem dziwac twem; teza, której bronisz, nie ma żadnej doniosłości i nigdy z wszelką ścisłością udowodnić się nie da. Dowodzić zaś tego, co się dowieść nie da, jest zajęciem niegodnem znakomitego uczonego.

— Widzę, do czego pan zdążasz! —z gniewem odrzekł Bogorya — chcesz, aby za bezcen nabyć rozprawę; taki podstęp nie przystoi wszakże uczciwemu nakładcy.

— Bynajmniej, z dzisiejszej z panem rozmowy nie odniosę żadnej pieniężnej korzyści, celem moim było tylko dowieść, że są skromni na świecie uczeni, mający wartość — ukrytych trufli.

y.

Z nauczyciela zostaje Bogorya prywatnym sekretarzem.

Po rogach ulic stolicy rozlepiono następujące ogłoszenie:

Dnia 12 grudnia o godzinie duchów, odbędzie się w sali hotelu pod gwiazdą, nadzwyczajny odczyt znanego literata Eposa Sielankowicza, na który się publiczność uprzejmie zaprasza:

Treść odczytu. — Serya I.

Buddhaizm a telegrafomania. — Wpływ ducha na materią, a materii na kosmopolityzm. — Encyklopedyczność wiedzy zwierzęcej, zawarta w poetyckiej jaźni człowieka. — Decentralizacja monarchii wobec koncentrycznych promieni słońca. Zestawienie znaczenia Ramajany z wpływem charakteru Papkina w Zemście.

Następny odczyt będzie równie bogaty w treść.

Wstęp bezpłatny.

Pan Sielankowicz tem się różnił od wielu innych literatów, że znaczny posiadał majątek, jeździł powozem i mieszkał w willi ze ścianami zapisanymi od góry do dołu ustępami z Byrona, Musseta i Słowackiego.

U niego to został Bogorya lektorem i sekretarzem.

Kilka dni przed zapowiedzianym odczytem siedział pan Epos w swojej "pracowni" bogato ubrany w długi szlafrok

z indyjskiej materii, w arabskim zawoju na głowie, z piórem w ręku baftowanym perłami.

Biuro stało na środku pokoju, naprzeciwko zaś wisiał ogromny obraz przedstawiający wschód słońca. Bogorya pisał przy bocznym stoliku.

— Sądzę, że najstosowniej będzie zacząć mój odczyt poetycznym tchnieniem — odezwał się pan Epos. — Jakby się panu podobał wiersz następujący:

Perłami haftowany wschodzie, Kolebko ludzkości — ogrodzie! Od ciebie me natchnienie idzie, Mój jenuusz z tego źródła pryska, Nad którym tańczy Odaliska, Świątynia wzniesiona Izydzie.. .

— Dwóch ostatnich wierszy nie zrozumiałem — przerwał Bogorya.

— Chodząca z pana proza, chcę powiedzieć: że nad źródłem stoi świątynia Izydy....

— Jeżeli wolno poradzić, to sądziłbym, żeby ten wiersz opuścić i jeżeli można, skrócić przynajmniej o połowę cały wykład ... a jeżeli nie, to przynajmniej zmienić niektóre ustępy.

— Któż z naszymi wyrzuca perły, aby zamiast nich wstawić ziarnka grochu? — odpowiedział autor z lekceważeniem — umysł pański nie dość jeszcze przygotowany, aby mógł objąć najszczytniejsze myśli poezji... kiedyż mnie pan lepiej zrozumiesz.

— I to są autorowie? — pomyślał Bogorya — taki człowiek wieszczęm się każe nazywać i myśli, że naród oświecił gdybym się wziął do pióra, umiałbym z pewnością pozyskać sobie pożyteczne miejsce w literaturze. Jeżeli się kto przypatrzy z bliska tym autorom... piękne o nich poweźmie wyobrażenie.

Po chwili milczenia przerwał znowu pan Epos.

— Wiesz kochany panie Bogorya, że nieba obdarzą mnie wkrótce dziecięciem, myślę nad imieniem, któreby zawarło w sobie myśl, jaką chcę wpoić w to dziecię.

— Zależy od tego, czy będzie syn czy córka—odezwał się zamyślony o czym innym Bogorya.

—■ Masz słuszość: jeżeli syn, nazwę go Rytmem. <

— Ależ'takiego świętego nie ma w kalendarzu, dzieci lubią przede wszystkim mieć patrona i imieniny. . .

— Błahy względ 1 — Rytm to najpiękniejsze imię, jakie mężczyźnie dać można: w tej nazwie mieści się miara, loika, działanie, poezya, stanowczość, męskość. Niech syn mój zastanawia się tylko nad wiele mówiącym znaczeniem swego imienia, a znakomitym będzie człowiekiem. Nie nawidzę nazw bezmyślnych, są to dzwony bez dźwięku, cóż znaczy np. imię Jan, Józef, Piotr i t. d., czcze wyrazy niemające wewnętrznej treści.

— Piotr w biblii nazywał się Petrus, co znaczy skałę, opokę, nie było to zatem według pańskiej teorii imię bez znaczenia.

— Masz racją, ale o Janie, Józefie tego powiedzieć nie możesz.

— A gdyby żona córkę panu powiła ?

— Nazwałbym ją Elegią. Kobiecie najpiękniej ze smę-tnem, melancholijnym obliczem.

Zaproszono do obiadu, rozmowa się przerwała, Bogoryi myśli krążyły jednak ciągle około tego samego przedmiotu, przychodził do przekonania, że gdyby został autorem, z pewnością miałby powodzenie, skoro publiczność czyta i kupuje dzieła takiego pana Eposa. Zaczął więc w wolnych chwilach próbować swych sił... O temat było łatwo: Bogorya dużo w życiu, myślał o samotności, samotność więc dostarczyłaby wątku do literacko-filozoficznej rozprawy. Jakiby tytuł wszakże dać temu utworowi?

— O samotności... To zanadto ogólne, czytelnik powinien znaleźć w tytule treść tego, co w książce przeczyta.

— "Samotność jako środek odżywiania władz duchowych człowieka." -r- Taki tytuł wystarczył — myślał Bogorya — trzeba tylko dodać: jako konieczny środek odżywiania i t. d.

Dzieło o samotności rosnęło w głowie Bogoryi do olbrzymich rozmiarów; zrazu zdawało mu się, że myśli swe spisze na niewielu arkuszach, po kilku dniach podzielił już temat na trzy tomy. Boć trudno przecież, mówiąc o tak ważnym stanie w życiu ludzkim, nie podać dziejów samotności i najslawniejszych samotników, niepodobna pominąć rozwoju filozoficznego pojęcia samotności i fałszywego tegoż pojmowania. Każdy rozumny pisarz stara się przedmiot wyczerpnąć.

Myśli o literackim zawodzie tak zajęły Bogoryę, że mniej nawet niż dawniej- gniewały go nedorzeczne pomysły pana Eposa, korzystał też z każdej wolnej chwili, aby się poświęcać swemu ulubionemu przedmiotowi. Czasu pozostającego od lektorskich zajęć miał pod dostatkiem, a z dochodów znaczne robił oszczędności, aby móżdż własnym kosztem wydać pierwsze swe dzieło.

Trzeba było jednak wielkiej cierpliwości, aby mieszkać pod jednym dachem z panem Sielankowiczem i zusić jego literackie chimery. Dopóki przynajmniej utrapiony sekretarz sam na sam znajdował się z literatem, dopóty cierpliwie słuchał jego deklamacyi, najgorzej jednak wstydził się za niego w towarzystwie; pan Epos korzystał bowiem z każdej sposobności, aby się popisywać swym poetyckim talentem.

— Dopóki mego dzieła nie wydam — powtarzał Bogorya w krytycznych chwilach — dopóty będę znosił te dziwactwa! — a chodziło mu głównie o zrobienie większych oszczędności, bez których traktat o samotności musiałby pozostać w rękopisie.

Zdarzyło się wszakże, że i pan Epos nad większym pracował poematem, a przeto jeszcze bardziej dziwaczył niż zwykle. Bogorya miał obok niego swój sypialny pokój, a że Sielankowiczowi wiersze spać nie dawały, przeto prawie co noc, o pierwszej, drugiej lub trzeciej nad ranem zrywał się, ubierał się we wschodni szlafrok, a otwierając drzwi do Bogoryi, pytał najprzód cicho, a potem coraz głośniej:

—■ Śpisz pan ?

Bogorya udawał, że w głębokim śnie jest pogrążony.

— Śpisz pan? — zapytał znowu niespokojny poeta.

Rad nie rad odezwał się sekretarz, przeczuwając co go czeka.

— Jenialna myśl przyszła mi we śnie — odezwał się raz pewnego Sielankowicz — widziałem rzekę, większą od Wisły i Dunaju, niby Ganges, nad nią grzejące się na słońcu krokodyle. ..

— Ale spisuj pan to co mówię, żebyśmy żadnego słowa nie uronili. Wszyscy najznakomitsi mężowie mieli we śnie objawienia ; geniusz lubi nocne ciemności, pisz pan, pisz...

Zaspany Bogorya złorzecząc poezyi i poetom, ubierał Się coprędzej i szedł do biura notować owe dziwactwa.

— Pisziesz pan ?

— Trzymam pióro.. .

— Nad G-angesem leżały krokodyle i wesele duchów w białych srebrzystych szatach tamtędy przechodziło...

— Napisałeś pan?

— Napisałem....

— Ale, ale, żeby nie zapomniał, nie mogąc zasnąć z wieczora myślałem także o tem, komu poświęcić nowe wydanie dzieł moich, pisz pan pierwszą dedykacją.

— Wieszcz — Wieszczowi!

— Tak krótko?

— Zwięźle ale wspaniale... Na drugim egzemplarzu: "Jak gołębica z arki Noego, dzieło moje w świat wylatuje, daj Boże, żeby tam znalazło urodzajną niwę, na której ziarna myśli moich mogłyby wyrosnąć na wspaniałe palmy. Tobie przyjacielu posyłam to dzieło, abys uprawił rolę pod ziarna, i z palm zbierał daktyle." Nie prawdaż że stosownie?

— Bardzo 1 bardzo! odpowiedział ziewający Bogorya.

— Jeszcze weź pan trzeci egzemplarz i pisz: "W dziele moim jest milion 200,054 liter — łaskawa i szanowna pani dobrodziejko! Niechaj każda z tych liter zamieni się w płomień w twem szlachetnem sercu, a pożar ztąd powstały obejmie takim ogniem miłości ludzkość, jaki w mojej piersi gore."

— Wiesz pan, że to już po północy? zapytał zniecierpliwiony Bogorya.

— Odi profanum vulgus...! wykrzyknął natchniony autor i poszedł do swego pokoju.

Po tej nocnej scenie był już pan Jań przygotowany uwolnić się z zaszczytnej posady sekretarza, a nie myśląc nawet nad tem, co dalej począć, szedł do Sielanko wicza, aby mu oznajmić swoje postanowienie.

— Nie znajdziesz nakładcy na rozprawę, o samotności! szepnął mu jakiś duch psotnik do ucha, i Bogorya już z progu wrócił się do swego pokoju, aby kończyć co prędzej dzieło i zasłużyć się piórem ojczyźnie.

W kilka miesięcy później Towarzystwo "niepłacenia wkładek" urządziło odczyty na swoje korzyść.

— A gdyby wystąpić z odczytem o samotności i pokazać literatom, jak mówią ludzie rozsądni!... pomyślał Bogorya — i ofiarował swe usługi komitetowi zajmującemu się urządzeniem odczytów.

Komitet z radością przyjął prelegenta: nie mógł się bowiem zdobyć na wypełnienie programu.

Bogorya spisał w krótkości treść swojej książki i późno w noc uczył się na pamięć wykładu chodząc po pokoju.

— Co panu brakuje? pytał go się po trzeciej w nocy Sie- lankowicz, że chodzisz całą noc po pokoju. Czyś pan nie chory? znam doskonałe lekarstwo na bezsenność.

— Chwilowe uderzenia do głowy — odpowiedział trochę zmieszany Bogorya — ale to przejdzie.

Od tego czasu uczył się cicho i chodził w pantoflach, aby nie budzić sąsiada.

• Niebawem porozlepiauo po rogach ulic następujące afisze.

"Odczyt pierwszy Bogoryi. — Samotność."

— Djabło krótko się sprawił! zauważył ktoś z przechodzących. Drugi odczyt będzie zapewne pod tytułem "seu" albo "Bonifratry," bo samotność prowadzi jednych do smacznej drzemki, a drugim głowę przewraca.

— Masz pan słuszość — podchwycił ktoś inny — nie ma jak wesołe towarzystwo!

Bogorya tymczasem z dumą spoglądał na afisze, że tak zwięźle umiał przed publicznością swe myśli wyrazić.

W sali dość liczne zebrało się towarzystwo: jedni przyszli z ciekawości, aby się dowiedzieć, co też o samotności powiedzieć można? inni radzi byli zobaczyć nowego prelegenta, najwięcej jednak znalazło się kobiet, które gdzieindziej nie miały sposobności rozmawiać z młodzieżą, i młodzieży spodziewającej się tam zastać pewne panie.

Z uderzeniem naznaczonej godziny wszedł Bogorya blady na mównicę i położył przed sobą zegarek.

— Łaskawa publiczności! rozpoczął.

— Dlaczego nie szanowna ? szepnął ktoś w krzesłach i do

tego stopnia przerwał tok .myśli nieprzyzwyczajonemu do publicznych wystąpień prelegentowi, że tenże musiał szukać ratunku w notatkach.

— Łaskawa publiczności!— Badanie istoty samotności zajmowało od wieków mędrców Wschodu i Zachodu. Diodor powiada, że samotność jest matką wszystkich myśli, Hezyod chciał stworzyć boginią samotności. Przypuszczam nawet oparty na wielkim podobieństwie do prawdy, że gdybyśmy posiadali wszystkie dzieła greckiego mistrza, byłibyśmy w nich znaleźli hymny pochwalne dla 'bogini samotności. Plato zgadza się pod tym względem z Diodorem, a Arystoteles również jest tego samego zdania, Pauzaniasz i Ptolomeusz o samotności bardzo wiele pisali, mógłbym nawet zacytować księgi i stronicę ostatniego weneckiego wydania?, ale nie chcę nużyć szanownych słuchaczy, a przede wszystkim słuchaczek cytacyami, które słusznie Jean Paul nazwał suterrenami naukowymi, jeżeli je znajduje w książkach.

Mniej więcej w ten sposób przechodził szanowny prelegent wszystkich autorów starożytnych i średniowiecznych, przytaczał słowa św. Tomasza a Kempis i listy Abelarda i Heloizy, tak się przytem zajął przedmiotem, że nie uważał, iż najprzód komuś z publiczności krew zaczęła iść z nosa, wskutek czego wyszedł z sali, inny znów ciągle kaszłał, a' przeto także musiał się rozstać z przyjemnością słuchania wykładu, trzeci przypomniał sobie ważny interes i pożegnał sąsiadów, a po pół godzinie już tylko tu i owdzie siedział jakiś słuchacz, jak słup graniczny wskazujący dokąd może dotrzeć ludzka cierpliwość.

Zegarek nic nie pomógł. Bogorya mówił ze dwie godziny, a gdy skończył, spostrzegł z przestachem, że trzy osoby słuchało go tylko do ostatka, z których jedna: mężczyzna w średnim wieku zbliżył się do mównicy ze słowami pełnymi uprzejmości.

— Winszuję ci powodzenia w tegoczesnej europejskiej literaturze.

Bogoryi krew uderzyła do głowy, podniósł oczy i ujrzał przed sobą Baliela, chciał mu coś odpowiedzieć, ale go już nie było.

To niepowodzenie zraziło trochę Bogoryę do literackiego zawodu, kryzys jednak nie trwała długo.

— Być może, że na odczyt był przedmiot o samotności zanadto mało zajmującym, pomyślał, ale w książce rozprawa wyda się wybornie. Takrozumując znosił cierpliwie dziwactwa swego pryncypała, aby tylko móc zadośćuczynić marzeniu.

I rzeczywiście nie sprawił sobie nowego paletota, pomimo że stary bardzo już był wytarty, nie chodził przez pół roku do teatru, ale za to dzieło o samotności wyszło w trzech dużych tomach i ku wielkiej radości autora znalazło się za wszystkich księgarskimi gablotkami.

. Pan Jan zrobił spis swych znajomych, należących do literackiego świata, albo zajmujących wybitniejsze w społeczeństwie stanowisko i postanowił im poprzysłać po egzemplarzu książki ze stosownymi dedykacjami.

Tyle też egzemplarzy książki o "Samotności" rozeszło się po świecie, reszta egzemplarzy służyła za strawę dla głupich szczerów i za dowód, że najłatwiej ze wszystkich słabostek w człowieku obudzą się słabość literacka.

VI.

Jak niebezpiecznie służyć u kobiety w peruce.

Do znajomych, którym Bogorya ofiarował swe dzieło

O samotności, liczyła się hr. Wanda Zamorska, dama znana w całym kraju z dobroczynności i protegowania w kołach dworskich każdego, kto tylko potrzebował protekcji. Mieszkała w stolicy, żyła bardzo wystawnie, zawiązywała stosunki ze wszystkimi wpływowymi osobistościami i otaczała się aureolą pewnego humanitarnego działania. Było wprawdzie dużo takich, którzy rozsiewali wieści o jej bliskich stosunkach z ministrem X. i z marszałkiem Y., ale były to zapewne wieści ludzi zawistnych. To pewna, że hrabina od lat dziesięciu nie mieszkała z mężem i że z bardzo znaną swą rodziną w dość oziębłych żyła stosunkach.

Bogorya znał ją jeszcze z czasów, zanim się zamknął do swego klasztoru, a obecnie korzystał ze sposobności, aby się jej przypomnieć. Napisał więc na jednym egzemplarzu dzieła "O samotności": "JWnej hrabinie Wandzie Zamorskiej, opiekunce uciśnionych, z prawdziwym szacunkiem autor" i pojechał do jej pałacu, aby osobiście wręczyć owoc swej pracy.

W przedpokoju mnóstwo czekało osób: jakaś uboga wdowa z papierami w ręku, młody kadecik potrzebujący protekcji, mężczyzna w średnim wieku o wyczernionych włosach i niepewnym wejrzeniu, lokaj bez służby, szwaczka nie mająca za co sprawić sobie wyprawy, słowem cały zbiór najróżnorodniejszych figur.

Wygalonowany kamerdyner prosił z kolei Bogoryę. Pan Jan dobrą jeszcze miał minę, wyglądał raczej na wojskowego, aniżeli na literata, i prawdę powiedziawszy, nie było mu do twarzy z książkami w ręku.

-T-'Jakże się cieszę, że po długim niewidzeniu, znów pana spotykam, przemówiła łaskawie hrabina, czemże się pan teraz zajmujesz, gdzie mieszkasz?

Bogorya opowiedział po krótko swe ostatnie przeżycia, nie wspominając naturalnie o Balielu i o dziwnym z nim układzie, przytem nie krył się z przykrem swym położeniem, z nieznośnym stosunkiem z panem Eposem.

— Gdybyś pan u mnie chciał przyjąć obowiązki sekretarza, odpowiedziała po niej jakimś namyśle hrabina, z przyjemnością widziałabym u siebie dawnego znajomego.

Bogorya nie mało się ucieszył, a wychodząc ztamtąd rozmyślał z przyjemnością nad tem, że przecież literacka praca na coś się przydała.

Zemścił się też na Eposie za nieprzespane noce i do późna deklamował w ostatnich dniach w swym pokoju najrozmaitsze wiersze.

W pałacu hrabiny dostał się Bogoryi pokój na drugim piętrze, a biuro miał tuż obok salonu audyencyonalnego swej pani. Obowiązki były dość ściśle określone; odpowiadać na liczne prośby o wsparcie i protekcją, pisać listy do mniej znakomitych osób, na których się pani podpisywała, prowadzić rejestr wszelkich uroczystości, obiadów, wieczorów, rautów wydawanych w stolicy, przeglądać dzienniki i zdawać hrabinie sprawę, kto przyjechał ze znakomitych osób, oto codzienne zajęcia. Po kilkodniowym jednak pobycie w domu hrabiny, przekonał się Bogorya, że daleko ważniejszym jego obowiązkiem aniżeli poprzednie, było zbieranie brukowych wiadomości, dowiadywanie się o moralność i stosunki osób do hrabiny się zgłaszających, słowem rozciągnięcie bardzo dokładnej policyi nad ludźmi, którzy panią hrabinę w jakikolwiek sposób obchodzić mogli.

Zaczawszy swą pracę od czytania listów z prośbami do hrabiny, wziął Bogorya pierwszy lepszy do ręki. Był on pisany na papierze w kwiaty i złocenia, używanym do powinszowań imienin. Styl listu zwracał na siebie uwagę:

“Dobrodziejko ludzkości, Jaśnie Wielmożna Pani Hrabino I W dzisiejszych czasach materyalizmu sztuka poszła w poniewierkę, mecenasi stali się rzadkością, Terpsichora spijała dawniej nektary i ambrozye, dzisiaj pogardzona — musi się tulać po sklepikach i nie ma funduszków na szklankę cienkiego piwa. Wśród ludzkości zapominającej o estetyce i literaturze, Ty szlachetna pięknych uczuć królowo wzbijaś się nad niski poziom i królujesz w obłokach jak bohaterka oświetlona blaskiem bengalskiego ognia.

Do kogóż się mam udać jeżeli nie do ciebie szlachetna Pani? spojrzysz na mnie mistrza baletu, wynalazcę walca na 2% pas, a uczynisz mnie szczęśliwym. Polecenie Twe Jaśnie Wielmożna Pani warte dla mnie miliony. O to polecenie błagam. Zygmunt Skoczek, mistrz baletu.”

Bogorya przeczytał ten list hrabinie.

— Wyborny! odpowiedziała, zawołać mi tego Skoczka!

Masz pan jeszcze jakiś drugi? zapytała po chwili. Proszę przeczytać.

— “Jaśnie Wielmożna Pani-Hrabino i Tylko szlachetne serce kobiety potrafi zrozumieć potęgę miłości. Romans. mój krótki: Pokochałem niebiańską dziewicę, Marya jej na imię. Jest mi wzajemną, moglibyśmy się pobrać i być szczęśliwymi, ojciec jej wszakże wymaga od narzeczonego stanowiska i tytułu. Dotychczas jestem wprawdzie kolporterem, ale mu to niedostateczne, wymaga abym został listonoszem!

Jedno słowo pani hrabiny do dyrektora poczt, a moje szczęście zapewnione. Bez protekcji tak trudno dojść do stanowiska na tym świecie!

• Walenty Biedronka

— Wyraz “stanowisko* nie zbyt wysokie ma u niego znaczenie, zauważyła hrabina, jedni chcą stać na świeczniku, innym niski lichtarzyk wystarcza. Przypomnij mi pan jego nazwisko przed najbliższym balem u ministra.

Lokaj zaanonsował pana Adolfa, Bogorya bezzwłocznie wyszedł.

— Kto ten pan Adolf? pytał się Bogorya z cicha kamerdynera, do którego ze wszystkich domowników najwięcej powziął zaufania.

— Jakiś tam dyplomata, ale trzeba mu z drogi schodzić, bo pani hrabina czasem za niego długi płaci, znacząco odpowiedział sługa.

Dyplomatyczna konfereneya dość długo trwała, poczem wyszła hrabina do przedpokoju odprowadzając pana Adolfa.

W przedpokoju stała przy drzwiach nieśmiało jakaś dziewczyna uderzającej piękności. Adolf ciekawie na nią spojrział.

— Zkąd jesteś? czego żadasz? ostro zapytała hrabina.

• — Matka mi umarła, umiem .szyć... zalękniona odpowiedziała dziewczyna.

— Wkrótce się znajdzie kochanek, tym samym tonem odpowiedziała hrabina, a zwracając się do Bogoryi dodała:

— Daj jej pan złotówkę.

Dziewczyna zalała się łzami i wybiegła, zanim Bogorya zdołał się uiszczyć z rozkazu.

— Brzydka kobieta piękności drugiej nie daruje! pomyślał Bogorya i wrócił do swego zajęcia.

Na drugi dzień przedstawił się hrabinie pan Skoczek, wyświeżony, ufryzowany jak manekin z za sklepowej gablotki, kłaniający się i wygięty jak gdyby miał gutaperchowe kości.

— Śmieszna figura podobała się hrabinie a odtąd pokojowa małpa, Cri-Cri i Skoczek największymi byli jej ulubieńcami i w karecie małpa obok niej siedziała, a mistrz baletu naprzeciwno.

Z balu od ministra wróciła hrabina o trzeciej po północy i kazała zbudzić Bogoryę.

— Jak tylko jutro rano otworzą kontuary, mówiła do niego, zakupisz mi pan akcyi banku wschodniego za 200,000 zł. Mam pewne wiadomości, że akcye pójdą w górę. Tylko bardzo rano, bo znajdzie się może więcej kupujących.

— Do usług pani hrabiny, odpowiedział Bogorya i chciał wychodzić.

— Ale, ale, powiedz pan temu kochankowi co chce mieć stanowisko, że zostanie listonoszem, tylko niech mi nie dziękuje, nie lubię zakochanych.

Bogorya ukłonił się i wychodził.

— Jeszcze nie koniec, wołała hrabina, powóz mój niech o siódmej z rana stoi zaprzężony. Wprawdzie nie o siódmej ale o dziewiątej wyszła hrabina z pokoju i kazała się zawieść do Bernardynów. U wejścia do kościoła spotkała znajomego księdza.

— Czy mogę mieć zaraz mszę, ale natychmiast...

— A na jaką intencją? spytał się Bernardyn.

Hrabina cokolwiek się zmięszała, zaczęła szukać w myśli intencji, a wreszcie powiedziała:

— Na intencją dobrego powodzenia.

Za chwilę, wyszedł kapłan z mszą świętą, a hrabina z wielką skruczą modliła się, aby akcye banku wschodniego poszły w górę.

— Jedź na ulicę słoneczną! mówiła do stangreta wsiadając do powozu, tam gdzieśmy jeździli ostatnim razem.

Za kwadrans kareta zatrzymała się przed domem znanej kabalarki.

— Nie ma nikogo u pani? pytała się hrabina przestę- pując próg.

— Jestem gotową na usługi pani hrabiny, odezwał się z głębi głos piszczący i chrypliwy zarazem.

— Kładź pani karty, czy mi się powiesz to co dzisiaj zamysliłam? energicznie pytała hrabina.

— Zamysł tyczy się spraw serca, czy może czego innego ?

— Jakaś pani ciekawa?

— Nie z ciekawości pytam, -ale chcąc prawdę powiedzieć muszę mieć pewne wskazówki.

— A więc nie serca, tylko pieniędzy.

Kabalarka zmówiła jakieś hokus-pokus, z powagą zaczęła układać karty, a hrabina z niecierpliwością grę śledziła. Kabała zabrała z kwadrans czasu, wreszcie wypadł następujący wyrok:

— Interes uda się świetnie, jeżeli nastąpią pewne okoliczności !

— Jakie okoliczności ? z gniewem zapytała pani Wanda, zaczynasz teraz bałamucić.

Zastraszona kabalarka coprędzej odpowiedziała:

— Okoliczności te już nastąpiły, pewna wygrana.

Hrabina rzuciła jej dwa dukaty na stół i pojechała.

Do dwóch dni rzeczywiście akcye wschodnie poszły w górę, hrabina zarobiła 50,000 złotych.

Wśród częściej powtarzających się spekulacyj marzyła

o otwarciu polskiego salonu, o hotelu Rambouillet i paryskich Precieusach; z nadchodzącym więc postem przedsięwzięła ideał swój doprowadzić do skutku.

Pani profesorowa Wieluńska nie mało też się zdziwiła, zastawszy raz w domu kartę hrabiny. Trzeba zaś wiedzieć, że pani profesorowa była po trochę literatką, umiała wydać doraźny sąd o każdej nowej powieści i głośno rozprawiła o zasługach Buckla wobec dziejów i literatury.

— Jaka to uprzejma, grzeczna kobieta ta pani hrabina! pomyślała profesorowa, przywdziała kapelusz ubrany dwoma kiściami winogron i dużym strusim piórem i na drugi dzień złożyła wizytę hrabinie.

Jeszcze bardziej aniżeli pani profesorowa zdziwił się pan Giermasz, artysta-malarz gdy pewnego dnia dostał od hrabiny zaproszenie na wieczór, pomimo że się jej nigdy nie przedstawiał. To samo spotkało poetę pana Kierzgiełłę, który od czasu ostatniego swego pobytu w górach chodził w sukmanie

i w butach z pódkówkami, chcąc się tym sposobem zbliżyć do ludu...

Ilustracją jednak wieczoru miał być jakiś pan Espenna, dziennikarz z Portugalii, robiący właśnie podróż sentymentalno-romantyczną na około świata i hrabstwo Dunquerque pocho-

dzący z rodziny holenderskiej, ale zamieszkali obecnie w Kalkucie i bawiący u nas tylko w przejeździe.

Nadszedł wreszcie ów wieczór mający rozpocząć erę "salonów w Polsce", hrabina z ujmującą grzecznością witała gości, a pan Adolf grał rolę wicegospodarza. Z przyjemnością obliczyła, że wszyscy ludzie, których miała za najdowcipniejszych w stolicy, przestąpili dzisiaj jej gościnne progi.

Szereg "zabaw ducha" jak się wyrażała, rozpoczął pan Adolf odśpiewaniem jakiejś hiszpańskiej romancy na cześć portugalskiego gościa.

— Nie prawdaż że to piękne? pytała hrabina liana Es-penny, na tyle namiętności mogą się zdobyć tylko synowie południa. Ach! gdyby w naszej ojczyźnie więcej było serc, więcej namiętności!

— Jak to ? wtrącił dotknięty tą uwagą Kierzgiełło, pani hrabina ulega powszechnemu błędowi w ocenianiu naszego charakteru ; trzeba poznać lud, aby wiedzieć ile w nim namiętności. Na tle ludowego podania osnułem właśnie najnowszą moją balladę, jeśli państwo pozwolicie, wygłoszę ją.

I nie czekając na pozwolenie zaczął Kierzgiełło donośnym deklamować głosem: Trup drgał jeszcze, sępy go wietrzyły, Krwawa posoka w ziemię wsiąkała, Runęły belki, spadła powała, Na zgorzelisku psy straszne wyły...

A puszczyk wołał: hu! hu! hu!

A szatan syczał: tfu! tfu! tfu!

Po dyplomatach mrowie zaczęło przechodzić, jakiś orderowy jegomość wysunął się cichaczem do drugiego pokoju. Hrabina stała zakłopotana...

Zręczna profesorowa widząc trudne położenie gospodyni, coprędzej przybiegła do poety, zaczęła nadzwyczaj chwalić siłę wiersza ballady i przekonała go, że chcąc wywrzeć jeszcze większe na słuchaczach wrażenie, powinien był zacząć deklamować dopiero później, gdy fale zbyt jeszcze poruszonego towarzystwa cokolwiek się ułożą.

Tymczasem artysta, pan Giermasz, korzystając ze sposobności siadł pod oknem, wyciągnął tekę z kieszeni i zaczął na prędcie rysować karykatury z towarzystwa, a że najczęściej najwyższe figury na społecznych szczeblach nie mało nastroczają rysów dających się uchwycić ze śmiesznej strony, przeto nasz artysta zaczął od osób, których obecność bardzo była hrabinie pożądaną.

Dyrektor poczt przechodził właśnie koło malarza i spostrzegł, że tenże rysuje ministra w najpociesniejszy sposób. Gaduła, nie miał nic lepszego do czynienia, jak pójść i powiedzieć o tem ministrowi.

Minister się tylko, zakręcił i wyszedł coprędzej z sali, nie chcąc służyć za ozdobę jakiegoś humorystycznego pisma. Za nim jeszcze kilku wymknęło się dygnitarzy.

*

Z niewiadomych też powodów znikli dość szybko hrabstwo Dunquerque; wprawdzie ktoś utrzymywał, że widok holenderskiego posła był im nie na rękę, ale to pewnie potwarz.

Dość, że inauguracja salonów literackich nie bardzo się powiodła, a na drugim i trzecim wieczorze znalazła się już tylko pani profesorowa i kilku przyjaciół-domu.

Ktoś z obecnych robiąc uwagi nad pierwszym wieczorem sądził, że głównym warunkiem harmonii wszelkich zebrań jest to, aby zapraszać tylko osoby równych towarzyskich przyzwyczajęń.

Bogorya nie mało miał zajęcia z powodu otwierania literackich salonów, a jeżeli te czynności po części mogły rozerwać i rozśmieszyć, to inne zatrudnienia, któremi go obarczała hrabina, przedstawiały mu odmienną, bardzo smutną stronę życia.

Pan Jan musiał w imieniu swej pani roznosić po ubogich bilety na zupę rumfordzką.

. Pewnego razu dano mu znać, że jakiś przyzwoicie ubrany mężczyzna w mieszkaniu swem z zimna i głodu umiera, że spiesznie potrzebuje ratunku.

— Chcę go sama zobaczyć i zawołała hrabina, pojedziesz pan ze mną.

Pan Czumski mieszkał w tej części miasta, w której się zwykle najmniej spotykało nędzy, odnajmował pokoik od zamożnej rodziny, której obecnie w mieście nie było. Jakaś uboga sługa jedynie zdawała się wiedzieć o jego istnieniu i ta też dała znać Bogoryi, aby się tam udał.

Za wskazówką sługi weszła hrabina z Bogoryą do pokoiku miejskiego pustelnika. Duże ale potłuczone zwierciadło naprzeciw drzwi zdawało się świadczyć o dawnej zamożności mieszkańca; w potłuczonych też kawałkach lustra odbijała się po kilkadziesiąt razy wynędzniała postać już niemłodego mężczyzny. Hrabina się odwróciła, biedak leżał na sienniku, w wytartym ale czystym ubraniu i zamglonym wzrokiem spoglądał na wchodzących.

Bogorya nalał mu do ust wina. Chory się trochę pokrzepił, hrabina posłała sługę po bulion do najbliższej restau- racyi. Zaczynała być ciekawą historyi nędzarza, olejny bowiem portret starszej .kobiety zawieszony na ścianie, przy której za

pewne niedawno jeszcze stało łóżko, kawałki potłuczonej figurki z saskiej porcelany, zdawały się świadczyć o lepszej przeszłości.

Chory nie tak prędko przychodził do siebie, odjechała więc pozostawiając przy nim Bogoryę i polecając mu, aby się starał zbadać jego dzieje.

* Nad wieczorem dopiero chory przyszedł do siebie i ze zdziwieniem zapytał się;

— To od Stanisława?

Bogorya nie wiedział co znaczy to zapytanie, z dalszych urywanych zdań domyślił się jednak, że owym Stanisławem jest jakiś bliski krewny nieszczęśliwego, od którego on się spodziewał pomocy. Więcej jednak nie można było wydobyć od chorego, który zdawał się bardzo podejrzliwym.

Nad wieczorem sen zmorzył biedaka, a Bogorya zabierał się właśnie do odejścia, aby doń nazajutrz powrócić, gdy spostrzegł jakieś papiery wysuwające się z pod siennika, a przy- patrzywszy się im bliżej, ujrzał na wierzchu jakąś kartę podobną do. weksłu.

Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy rzeczywiście znalazł weksel świadczący, że pan Stanisław X. winien biedakowi 5,000 złotych, i że weksel pomimo że już był dawno płatny przecież dotąd nie był zaskarżony. Bogorya dowiadywał się o pana Stanisława i. powiedziano mu, że to człowiek zamożny, robiący majątek, ale nie koniecznie dobrego imienia.

Nazajutrz wprost już zapytał Bogorya swego pacyenta, który prawie zupełnie przyszedł do siebie, coby miał znaczyć ten weksel i dla czego sądownie nie żąda zwrotu pieniędzy od krewnego, ale naraża się na śmierć głodową?

— Pisałem do niego ze trzydzieści. razy, odpowiedział Czumski, nie odpisał mi wszakże na żaden list, jechać do niego nie miałem za co.

— Dla czegoż, nie wytoczysz pan pozwu przeciw nieludzkiemu krewnemu?

— Nie godzi się procesować tik bliskich krewnych, z godnością odrzekł nieszczęśliwy.. - i na wszelkie namowy Bogoryi zawsze jedną i tę sarnę dawał odpowiedź.

Bogorya przedstawiał mu, że jeżeli nie wniesie podania do sądu, weksel się przedawni, a on straci jedyną sumę, ja- kaby mu mogła być ratunkiem; wszystkie namowy na nic się

— Szlachetny głupiec, powtarzał Bogorya, coraz ich rzadziej spotkać można l

Hrabina posyłała odtąd stałą pomoc nieszczęśliwemu; fizyczne wycieńczenie nie pozwalało mu jednak długo korzystać z opieki, we trzy tygodnie bowiem później umarł z owym wekslem na piersiach.

Tymczasem wypadła hrabinie jakaś podróż, o której Bogoryi komukolwiek mówić zakazała. Miał on jej towarzyszyć, a z przygotowań domyślał się, że hrabina ma przewozić jakieś dyplomatyczne depesze do Paryża, gdyż każdemu ze znajomych mówiła pod największą naturalnie tajemnicą, że jedzie w dyplomatycznej inisyi.

W wilię wyjazdu cała stolica wiedziała już o tej podróży, a dyplomatka z ukrytą radością wyczytała tę wiadomość w miejscowym Kuryerze.

Ludzie żyjący w świecie dyplomatycznym uśmiechali się, wiedzieli bowiem, że chodzi o wyswatanie wicesekretarza pewnej ambasady z córką bankiera, bliskiego znajomego hrabiny.

Pseudo-dyplomatyczna podróż miała mieć dla Bogoryi ważne skutki. Zdarzyło się, że w jednym hotelu miała hrabina bardzo szczupłe pomieszkanie, a rozkład był taki, że Bogorya nie wiedział dobrze, w którym pokoju hrabina się ubiera, sądził wszakże, że w trzecim od wejścia. Otóż pewnego dnia nadeszły z rana od rządcy dóbr ważne wiadomości, wskutek których trzeba było natychmiast telegraficzną przesłać odpowiedź.

Bogorya więc wszedł do przedpokoju mieszkania swej pani, sądząc, że tam zastanie pannę służącą; nikogo jednak nie zastawszy, wszedł do drugiego pokoju nie przypuszczając, aby się tam hrabina ubierać miała, ale o zgrozo l przestąpiwszy złowrogi próg, ujrzał przed sobą kobietą postać bez włosów, bez peruki, a piskliwe:

— Ah! rozległo się po pokoju. Niestety Bogorya przekonał się, że pani hrabina ani jednego nie ma włosa, ale to przekonanie drogo musiał opłacić, albowiem za pół godziny dostał od niej następującą kartkę:

“Tak niegrzecznych ludzi nie mogę cierpieć w mej służbie, proszę do dwóch dni złożyć rachunki i szukać sobie innego zajęcia.”

Bogorya znalazł hrabinę, przeciw tej obrazie nie było lekarstwa, coprędzej więc zdał rachunki, a po kilku dniach wracał do kraju.

Bogorya milionerem.

Na imię hrabiny spekulował Bogorya niejednokrotnie na giełdzie .i kilka razy znacznie powiększył jej dochody. Przy tej sposobności i sam robił małe interesa, tak, że po pożegnaniu się z nią miał 5,000 złotych własnego kapitału. Szukanie nowej służby nie bardzo mu się uśmiechało po tylkokrotnych dość niemiłych doświadczeniach, rad był szybko dorobić się majątku i nie mało żałował utraty własności, którą mu dał Baliel. Dobry duch jednak nie zjawiał się i jak się zdaje nie miał ochoty nową obdarzyć go fortuną.

W krytycznej więc chwili znów mu się giełda na myśl nasunęła, a los zdawał się na to przygotować 5000 złotych, aby służyły na początek do zrobienia majątku.

Konsole chińsko-mongolskie bardzo wtedy nisko stały, Bogorya więc szczególnie zajął się temi papierami, chcąc spekulować na hausse. Kupił najnowsze dzieła o Chinach, a pomimo, że w nich nie znalazł bynajmniej różowego opisu azya-tyckiego państwa, pomimo, że podróżni w najjaskrawszych barwach kreślili materialny i moralny tegoż upadek, przecież Bogorya chciwy zarobku, przyszedł po przeczytaniu tych dzieł do przekonania, że stan o którym mówią podróżni, jest tylko chwilowy i że państwo .niebieskie musi odżyć na nowych ekonomicznych podstawach.

Układy angielskich i francuskich bankierów z rządem chińskim co do gwarancji pożyczki doprowadziły rzeczywiście

13

MiMI

do pomyślnych rezultatów, Bogorya szczęśliwem wiedziony przecuciem zarobił w krótkim' przeciągu czasu 100,000 złotych, roznamiętniając się coraz bardziej i szaloną prowadząc grę. "Wszelkie przypuszczenia nadspodziewanie się ziszczały, a po półrocznej grze stał on się pierwszą figurą na giełdzie i liczył pół miliona majątku.

Wówczas to przychodziły mu na myśl przestrogi Baliela, aby majątku używał na pożytek ogółu, a zarazem z całą ostrożnością postępował na przyszłość.

— Skoro tylko dojdę do pewnej oznaczonej cyfry, powtarzał, przestanę'grać ua giełdzie i oddam się uczynom humanitarnym. Oznaczenie owej cyfry napotykało tylko na pewne trudności, dzisiaj wynosiło bowiem milion złotych, a jutro już dziesięć milionów.

Wreszcie zatrzymał się na dwunastu milionach.

— Do tej cyfry dojsć muszę, powiedział, i rzeczywiście zdązał do niej nadzwyczaj szybko.

W kołach finansowych imię Bogoryi' stało się już potęgą, a razu pewnego przybył doń wysłannik jednej z najznakomitszych firm angielskich w celu wciągnięcia go do "spółki nawodnienia i uprawienia pustyni Gobi." Za pomocą sztucznych kanałów i przez zasadzenie lasów miano przemienić piaski na urodzajną glebę i urządzić na wielką skalę kolonizacyą. Preliminowane zyski wynosiły dla niego samego około 30 milionów złotych.

Z razu wydawał mu się ten projekt zbyt niebezpiecznym, ale jakiś Anglik nie trudno go do niego nakłonił, bo pan Jan nic się nie znał na ekonomicznych przedsiębiorstwach, a fortunę swą tylko bezprzykładnemu zawdzięczał szczęściu. Ostatecznie inny jeszcze plan wpłynął na jego postanowienie, plan ten przyszedł mu na myśl podczas bezsennej nocy.

— Gdybym miał 30 milionów, marzył on, mógłbym się stać prawdziwym dobrodziejem kraju. Spłaciłbym długi wszystkich najuboższych a najzacniejszych właścicieli ziemskich i zyskałbym sobie pomnik obywatelskiej wdzięczności.

Myśl ta nadzwyczaj mu się podobała, widział już przed sobą zgrzybiałych starców przychodzących mu dziękować w imieniu swych dzieci, widział rozczuloną do łez kobietę, której majątek wystawiono na licytację, widział jak imię jego po

dają sobie złotem wryte od pokolenia do pokoleuia, powtarzając: Bogorya wyratował kraj nasz od materyalnej zagłady! Cześć najlepszemu obywatelowi!

Nie dziw, że takimi pobudzany myślami połączył się z angielską spółką i dał jej do rozporządzenia wszystkie swoje kapitały.

Zakupił w tym czasie wielki zamek feudalny w górach położony i postanowił tam zamieszkać.

Jadąc, aby go objąć w posiadanie, spotkał łąw wagonie w średnim wieku mężczyznę, który towarzysząc, podróży dużo opowiadał o Wschodzie.

Po kilku stucyach sam z nim pozostał, zawiązała się więc rozmowa.

— Pan jak widzę wracasz ze Wschodu? zapytał Bogorya.

— Tak jest, wprost z Teheranu, gdzie szachowi perskiemu urządziłem letni pałac.

Postawiłem tam jedno z najpiękniejszych dzieł, jakimi się Europa na Wschodzie poszczycić może.

— Pan dobrodziej budowniczym?

— Znam się wprawdzie na architekturze, ale budowniczym nie jestem. Mieszkając długi czas na Wschodzie, zawiązałem bliższe stosunki z dworem perskim, a że mogę się pochłubić szczególnymi względami szacha, przeto w niejednym musiałem mu być pomocnym, aby europejski komfort wprowadzić w jego stolicy. Obecnie przyjechałem odwiedzić Europę i trochę sobie odpocząć po azyatyckiem życiu.

— Zapewne jedziesz pan do Paryża?

— Bardzo trudne zadałeś mi pan zapytanie, nie mogę bowiem na nie odpowiedzieć. Wziąłem bilet do najbliższego miasta, co dalej ze sobą zrobię, to będę dopiero wiedział,

wsiadając nazajutrz do wagonu. Kto tak dużo jak ja podróżuje, ten przywykł szybko zmieniać swe plany.

— Musisz pan dobrze znać Persyą?

—• Lepiej niż własny kraj, a nie tylko Persyą ale Ta- taryą, Chiny; przez kilka lat przebrany za derwisza, błądziłem wśród azyatyckich ludów, aby tem lepiej móc poznać ich obyczaje i grunt na którym europejską cywilizację zaszcześcić mamy.

IM

to

II

HU!

II 1

Manii

M

— Czy przebywałem? nie raz, ale razy kilkanaście. Obecnie nawet wypracowałem projekt zmienienia jej w żyzną ziemię i na podstawie mych myśli angielskie towarzystwo zamyśla wziąć się do tego wiekopomnego dzieła, do którego i z naszych kapitalistów należy niejaki pan Bogorya.

— Czy mam przyjemność mówić z panem inżynierem Kuleszą?

— Nie panie, jestem Zefiryń Nałęcz, wielki koniuszy szacha perskiego i kawaler orderu złotej pogody.

—• Bardzo mi miło... Z pańskiego opowiadania sądziłem, że mówię z inżynierem Kuleszą, gdyż jego plany zostały przyjęte przez nasze towarzystwo kultury pustyni Gobi...

Pan Zefiryń zrobił wielkie oczy, ale nie tracąc animuszu zaraz odpowiedział:

— Pana Kuleszę znałem na Wschodzie i ja właśnie poddałem mu te projekta. Ale jak widzę mam zaszczyt widzieć jednego z członków przedsiębiorstwa?

— Jestem owym Bogoryą, o którym pan wspomniałeś... •

— Jakież szczęśliwy dla mnie wypadek. Wierzaj mi pani że marzeniem mojem było, aby po powrocie do Europy poznać się z czcigodnym panem, mężem, który umiał w krótkim czasie zając tak znakomite stanowisko finansowe i kapitałom naszym zapewnić wpływ w zyskownych przedsiębiorstwach Wschodu.

— Również się cieszę z pańskiego spotkania, odpowiedział rozpromieniony Bogorya, ponieważ wszelkie wiadomości o Wschodzie, z wiarogodnych ust pochodzące, są dla mnie źródłem przynoszącym złoto.

Świeża znajomość, dzięki pochlebstwu pana Zefiryńa, przybrała bardzo szybko cechę wielkiej kordyalności, a Bogorya nalegał na niego, aby zboczył do nowo kupionego zamczyska, gdzie będzie sobie mógł wypocząć po trudach dalekiej podróży. Pan Zefiryń składał się z razu, że ma nie wiele czasu, że nie śmiałyby tak zajętemu człowiekowi jak Bogorya zajmować drogich chwil, ale wreszcie dał się uprosić i pojechał do Gobiowa, przezwanego w ten sposób na pamiątkę ukończenia . interesu z Anglikami.

W zamczysku zaledwie jedno skrzydło dało się zamieszkać, zresztą mury -stały prawie w ruinie. Prześliczny widok na dolinę i na płynącą wpośród niej rzekę, wynagradzał niejeden brak, jaki się jeszcze czuć dawał w urzędzeniu rycerskiej siedziby. Bogorya rozkoszował się widokiem i marzył o swojej finansowej potędze, a wiadomo, że nic tak łatwo ludzi nie upaja, jak szybko zrobiony majątek i powodzenie. Pan Jan śnił też o jakiejś rycersko-finansowej wielkości, sądził się być człowiekiem przez los wybranym, aby spełniać wielkie posłannictwa, słowem, przyszedłszy do ogromnego majątku po długiej walce z codziennymi potrzebami, uczył jakby zawrót głowy, którego doniosłości wszakże nie .pojmował.

Na początek zaczął odnawiać z wielkim przepychem zamek w stylu średniowiecznym; wprawdzie pan Nałęcz był za tem, aby ruiny zamieuić w przepyszny gmach arabski, i ■sam nawet ofiarował się jechać do Persyi po dywany, ale wykonanie jego architektonicznych planów na wielkie napotykało trudności.

— Przynajmniej urządzę panu taki kiosk chiński, jaki ma szach perski, mówił. Będzie to budowa tak urocza, tak idealna, jakby wyjęta z ilustracyi do Tysiąca i jednej nocy. Cały kiosk zbuduję z podwójnych ścian szklanych, pomiędzy którymi w wodzie będą pływały najróżnorodniejsze ryby. Pierwszy finansista Wschodu powinien także olśnić świat arcydziełami wschodniej fantazyi l

Bogorya uśmiechnął się z zadowoleniem i pozwolił, aby pod kierunkiem nowego przyjaciela wybudowano wymarzony kiosk. I rzeczywiście po kilku miesiącach stanęła budowa w kształcie chińskiego domu, w którym siedząc, widziało się na około siebie, pod posadzką i na suficie w szklanych bas- senach pływające ryby.

Na otwarcie tego arcydzieła dał Bogorya wielki obiad dla okolicznych obywateli, na którym pan Zefiryń następującą miał mowę:

— Pozwólcie mi panowie wznieść zdrowie na cześć najszlachetniejszego mego przyjaciela, gospodarza w tutejszym zamczysku. Pamiętam jak dzisiaj, lat temu piętnaście podróżowałem w towarzystwie wielkiego mandaryna Hu-Hi-Ho i angielskiego ambasadora w Chinach przez pustynię Gobi. Na

gle zerwał się straszny orkan i wicher zaczął mieść piaskiem. Wielbłądy pokłękaly i zaryły nozdrza swe w ziemię, myśmy pochowali się pod szyje poczciwych zwierząt i siedzieliśmy w ten sposób trzy dni i trzy nocy. Wypadły wtedy moje urodziny, a że nie chwając się całe towarzystwo serdecznie mnie lubiło, wyprawiono mi pod brzuchami wielbłądów sute imieniny. Górą szalała zamieć piasku, a u dołu myśmy biesiadowali, pijąc na zdrowie tego, kto zamieni ową pustynię na kraj urodzajny. Dzisiaj znalazłem tego, na czyje zdrowie wówczas pełny wychyliłem kielich, niech żyje największy nasz tegocześnie finansista, niech żyje Bogorya!

Bogorya podziękował, zaczął się rozkoszować w pochlebstwie. Tak szybko przychodził do przekonania o swej wielkości, że w tej chwili byłby uwierzył, gdyby mu powiedziano, że Stany Zjednoczone obrały go swym prezydentem.

Pewnego razu pojechał, pan Zefiryu do stolicy i wrócił ztamtąd z jakimś tureckim pismem, które przeczytał Bogoryi. Treść pisma była następująca:

“Szach perski swemu przyjacielowi Nałęczowi:

Wyleciał słowik do różanego gaju i zaczął śpiewać, i śpiewał długo, ale mu ukochany nie odpowiadał towarzysz. Śpiewał więc przez trzy nocy oblany perłami rosy i dopiero złociste promienie wschodzącego słońca kazały mu w cieniu kwiatów różanych szukać schronienia. Mimo boskiego śpiewu nie usłyszał głosu swego towarzysza i smutno mu było i umilkł odurzając się wonią kwiatów.

I ja przyjacielu trzy razy po trzy miesiące wołam na- próżno w mym słonecznym pałacu: Zefiryń! Zefiry nie! głos znika w miękkiej wełnie dywanów, a ja zostaję bez przyjaciela. Szach perski.

Post Scriptum: W zachodnim kraju powstał podobno jakiś prorok, który wielką pustynię zamieni w kłąb róż i jaśminów, angielski ambasador nazwał go Bogoryą. Czy to miano tego proroka.? Przywieź mi jego obraz na złotej malowany blasze?"

Zrazu nic chciał Bogorya wierzyć w treść tego listu> zaczął podejrywać Zefiry na o fałszerstwo, wkrótce jednak próżność i wyobrażenie o swej wielkości ukołysały wszelkie podejrzenia ; pan Jan był przekonany, że szach perski wie o jego sławie, co wzbiło go w taką dumę, że nie przyjął trzech obywateli, którzy go chcieli odwiedzić, a służbie kazał do siebie mówić z pochyloną naprzód głową, na znak uszanowania. Na wieży zamkowej kazał wywiesić sztandar, na którym był wymalowany Herkules, trzymający w jednej ręce wschodnią a w drugiej zachodnią półkulę świata, a pod spodem była wypisana dewiza: “Przedsiębiorczością a pracą.”^w

Osobnym pojęciem pojechał Bogorya do Paryża, aby zamówić żądany portret ua złotej blasze, a itadto kazał ulać ze srebra mapę przedstawiającą pustynię Gobi i plan jej kolonizacyi.

Z temi podarkami wyprawił pana Zefiry na do Szacha perskiego, a sam wrócił do domu urządzić zamczysko.

W tym czasie doszła go wiadomość z Londynu, że roz- sprzedaż większej części akcji “Gobi” jest już zapewnioną i że mu przypadnie w podziale zysków około 30 milionów. Pan Jan czuł się więc w obowiązku przystąpić do wykonania początkowego swego zamiaru i spłacać długi zubożałych a zacnych obywateli. Po zimniejszej jednak rozwadze, przyszedł do przekonania, że za mało pierwotnie dla siebie preliminował i że na powyższy cel będzie mógł poświęcić tylko 20 milionów, resztę zaś majątku wynoszącą z górą 10 milionów sobie pozostawi i wycofa się z wszelkich przedsiębiorstw.

Niebawem czytano w dziennikach następujące ogłoszenie:

“Pewien obywatel, który przedsiębiorczością a pracą zrobił wielki majątek, chce przyjść w pomoc swym mniej szczęśliwym współobywatelom.

Każdy właściciel ziemski, który dowiedzie, że majątek nie z własnej zadłużył winy, ale wpadł w złe interesa wskutek długów odziedziczonych, albo przez nieurodzaj, grad, ogień lub inne klęski, może od niego otrzymać potrzebną sumę do spłacenia długów i uporządkowania interesów.

Odbiorca pieniędzy musi się zobowiązać pod słowem honoru, że nie będzie żył nad stan i że dzieci starannie wychowa i wpoi w nie zasady oszczędności.

Potrzebujący tej pomocy zechcą się zgłosić do właściciela zamku Gobiowa."

Żadna rewolucja nie wywołała takiej wrzawy jak to ogłoszenie. Żydzi uderzyli na alarm, że lichwy nie będą pobierać, że im obywatele powypowiadają kapitały, wystósowali więc do rządu petycją podpisaną przez 4,000 kapitalistów i 40 rabinów, aby wydał Bogoryi proces jako niebezpiecznemu człowiekowi dybiącemu na ich mienie i sprowadzającemu zamieszki społeczne, i aby mu zakazał wspierać właścicieli ziemskich. Pan Witold, gospodarz najbardziej zadłużony w całej okolicy wydał ucztę na cześć nowego dobroczyńcy społeczeństwa. Na ucztę pękło 100 butelek szampana, naturalnie na rachunek przyszłego dobrodzieja.

Zaraz po uczcie pędził pan Witold rozstawnymi końmi do Gobiowa, a chociaż w drodze spotkał już kilkadziesiąt wózków i powozów, przecież utracił konia. Stanął pierwszy na zamku.

— Zebrane u mnie wczoraj obywatelstwo, przemówił do Bogoryi, wybrało mnie na rzecznika swych uczuć. Kazało mi podziękować panu, żeś tak wspaniałą i zbawienną myśl powziął i tknięty nieszczęściami, jakie na nasz kraj spadają, postanowił go wyrwać z upadku.

— A! to pan dobrodziej dawałeś wczoraj ucztę na moją cześć? odpowiedział Bogorya. Czuję się w obowiązku szczerze panu podziękować za tak chętne wspieranie mej myśli. Szczęście złotem ranie obsypało, rzecz więc naturalna, abym się niem z moimi ziomkami podzielił.

— Mówisz pan jak apostoł, gdybyśmy więcej takich mieli bogaczy, kraj nasz nie byłby doszedł do dzisiejszego upadku! Ot i mnie wkrótce żydzi wydziedziczą, nieszczęścia za nieszczęściami na głowę spadają, przyjdzie marnie zginąć...

— Słyszałem żeście się panowie wczoraj wybornie ba-, wili, podobno 100 butelek szampana wypito?

— Któżby się nie bawił, odrzekł pan Witold nie tracąc animuszu, na wiadomość, że ktoś za niego długi zapłaci...

— Darujesz pan, ale ten ktoś nie płaci długów za tych, którzy mają dość pieniędzy na hulankę...

Bogorya go pożegnał, pan Witold zbladł, nogi się pod nim zachwiały i zaledwie zaszedł do wózka.

— A cóż, masz Waś pełne złota kieszenie? pytali go jadący do zamku towarzysze niedoli.

— Jedźcie tara jedźcie! odpowiedział gniewnie, wróćcie z sakwami piasku! To jakiś oszust ten Bogorya, chce głupców na lep łapać, sam nie musi mieć nic prócz długów... Pierwszy raz w życiu dałem się na łód wyprowadzić... Szczęśliwa droga!

— Chyba się wróćmy panie Michale, mówił sąsiad do sąsiada.

— Ej! kiedyśmy już tak daleko zajechali, to spróbować nie zawadzi, odpowiedział pan Wojciech.

Nietylko pan Wojciech, ale kilkadziesiąt innych przyjechało, tak, że Bogorya nie mogąc na razie dojść z nimi do ładu i sprawdzić, czy rzeczywiście pieniądze w dobreby się dostały ręce, postanowił zwołać komitet zaufanych obywateli i na podstawie ich zdania rozdzielić dopiero kapitały.

Tymczasem, powrócił pan Zefiryn z dalszej podróży i przywiózł Bogoryi znakomity podarunek. Szach perski przysłał mu swój portret oprawny w brylanty i wielką wstęgę orderu księżycy.

Co więcej, pan Zefiryn dziwne opowiadał rzeczy. Siostra sultana, Walida, dziewczica cudownej urody, perła Wschodu, dyament Wielkiego Mongoła — skłaniała się od lat najmłodszych do europejskiej cywilizacji. W haremie jej matki była nauczycielką muzyki Francuzka, panna Blas; otóż owa Francuzka miała taki wpływ na młodą dziewczynkę, że kazała jej zapomnieć o baśniach, które jej tamtejsze opowiadały nauczycielki, a natomiast marzyć o Zachodzie. Mówią, że księżniczka za zgodą samego Szacha przyjęła potajemnie katolicką wiarę i że wspierała niejednokrotnie angielskich misjonarzy. Pan Zefiryn podczas dawniejszego jeszcze w Teheranie pobytu stał się jej powiernikiem, a obecnie także miał

zaszczyt przedstawić się jej w tajemnej audyencji. Wtedyto opowiadał on księżniczce o wielkim zachodnim proroku, który chce w ogród zamienić pustynię Gobi; opowiadał jej o jego majątkach i przedsiębiorczości, z jaką walczy z siłami przyrody.

Żywa wyobraźnia księżniczki niezmiernie się zajęła człowiekiem Zachodu; ujrzeć go było jej marzeniem.

— Gdym jej wszakże pokazał pański portret malowany na złotej blasze — mówił dalej Zefiryń — wtedy widziałem, że oblicze jej zajaśniało jakimś dziwnym, blaskiem, patrzyła

się w portret jak w tęczę, a po chwili stanowczym i wielce uroczystym wyrzekła głosem:

— głuszę zostać małżonką tego proroka!..

— Przedstawiałem trudności, zwracałem uwagę na to, że szach nie pozwoli na związek swej siostry z giaurem, ale wszelkie moje uwagi powiększały jeszcze bardziej żarzący się ogień i wzmacniały raz powzięte postanowienie.

jednak będzie śmiała szachowi wyjawić ten zamiar? Go do mnie — mówiłem — bałbym mu się nawet

0 tem wspomnieć z obawy, aby mnie za śmiałą myśl nie kazał ściąć katu.

— Ja sama mu powiem — odrzekła stanowczo Walida

1 po kilku dniach kazała mi znów przyjsć do siebie temi sa- memi ukrytymi drzwiami, do których mi klucz oddała.

Przez te kilka dni udawałem chorego, aby nie potrzebować wychodzić z domu i pokazywać się na dworze, zarazem obmyśliłem wszelkie sposoby do ucieczki w razie, gdyby szach osądził mnie winnym i skazał na śmierć za to, że namawiałem księżniczkę do oddania ręki niewiernemu.

W oznaczonym czasie udałem się do haremu Walidy — lecz o dziwo! zastałem ją wesołą i z rozprOmienionem okiem.

— Jedź do proroka Zachodu i powiedz mu , że róża Teheranu nagnie się do jaśminu z za morza...

Zdziwiony, pytałem się jej o szczegóły rozmowy z bratem, na co mi odpowiedziała, że szach zrazu wpadł w tak wielki gniew, gdy mu swój zamiar objawiła, że wyrwał z korzeniami stuletni cyprys stojący w haremowym gaju i rozdarł na poły złotem tkaną szatę, którą miał ha sobie; gdy mu jednak powiedziała, że zginie, jeżeli nie zostanie sułtanką wielkiego proroka i na dnie haremowej cysterny życie swe zakończy; wtedy szach zapłakał jak dziecko, przycisnął ją do piersi i dał swe zezwolenie, pod tym warunkiem, aby dwór nic o tem nie wiedział i aby w porozumieniu z wiernymi sługami dała się wykraść i nigdy więcej nie wracała do ziemi róż i jaśminów.

— Byłem ciekawy — mówił pan Zefiryn dalej — czy powtarzając mniej więcej następujące słowa swego dostojnego brata:

— Abyś na Zachodzie mogła jaśnieć jak słońce w pośrodku nieba i jako księżyc w gwiazd towarzystwie, zabierzesz sobie z mego skarbcza tyle dyamentów i pereł, ile dwa udźwigną wielbłądy; tyle dywanów, złotem tkanych materyj, ile się zmieści na 50 jucznych koni; a tyle złota w sztabach, ile udźwignie pięćdziesięciu niewolników.

Po tem opowiadaniu uściskał Bogorya ze łzami w oczach swego przyjaciela i popadł w taką zadumę, że tylko widok portretu księżniczki, który pan Zefiryn wyjął z aksamitnego pudełka, zdołał mu przytomność przywrócić.

— Czyż to nie prawdziwa róża Teheranu ? — zapytał Zefiryn, pokazując miniaturę kobiety cudownej urody.

— O szczęściu takim nigdy nie marzyłem 1 —powiedział wzruszony Bogorya, r pomyślał, że dziwne zrządzienia losu muszą być chyba dziełem Baliela...

Kilka dni o tem tylko była mowa, jak urządzić wyprawę po wschodnią księżniczkę, jakie jej przesłać podarunki, gdzie kupić perły i brylanty, któreby przewyższyły jeszcze najpiękniejsze okazy dyamentów szacha. Zrazu sam Bogorya chciał jechać po księżniczkę, ale pan Zefiryn umiał go przekonać, że taka podróż nie byłaby odpowiednią do zwyczajów Wschodu , że on powinien wyjechać tylko do pół drogi, do Konstantynopola; Zefiryn zaś obznajmiony ze zwyczajami per- skiemi, wykradnie księżniczkę i przywiezie ją pod bezpieczną eskortą do tureckiej stolicy.

Koszta wyprawy obliczono na milion franków, nic licząc w to drogocennych podarunków.

Dziwne te wypadki miały jednak znakomity wpływ na projekta Bogoryi co do spłacania długów swych współobywateli. Biorąc za żonę siostrę szacha perskiego, trzeba było odpowiedni do jej znaczenia mieć majątek i wielki dwór prowadzić; 10 milionów więc nie wystarczyłoby na utrzymanie takiego dworu.

— Cóż robić? — pomyślał Bogorya — trzeba zmniejsz-

milionów wystarczy jeszcze, aby bardzo wicie zrobić dobrego i dotrzymać dane już w dziennikach przyrzeczenie!

Tak się też stało: Bogorya znów udał się ze swym przyjacielem do Paryża i tam zakupił podarunki dla swej przyszłej żony.

Przypadkowo zdarzyło mu się nabyć szafir wielkości gołębiego jaja, który prześlicznie oprawiono w dyademie kształtu półksiężyca. Inne podarunki odpowiadały temu szafirowi...

W Marsylii pożegnał się Bogorya z panem Zefirysem, zaopatrując go w milion franków w złocie i w cały ładunek najkosztowniejszych rzeczy, przeznaczony dla gwiazdy Wschodu dla Walidy.

Szczęście Bogoryi zdawało się jednak zbliżać do zenitu, z którego już ku zachodowi chylić się zwykło.

Z powrotem zastał w Paryżu niespodziewaną wiadomość, że wielka burza zniszczyła w pustyni Gobi wszystkie przedwstępne roboty, że pięciuset robotników zginęło w zamieci piasku i że wskutek tego akcje Gobi spadły na siedmiedziesiątą, część nominalnej wartości. Zrazu nie chciał Bogorya temu wierzyć, za kilka dni jednak nadeszły dokładne sprawozdania o katastrofie i opinia inżynierów, że wszelkie dalsze prace około zamienienia pustyni w kraj urodzajny są nadaremne, że przedsiębiorstwo było zupełnie błędnie obmyślane i że rzeczą sumiennych ludzi jest, przestrzedz europejską publiczność przed lokowaniem swych oszczędności w papierach, które nie mogą mieć żadnej wartości.

Na domiar złego pojawił się w jednym z najbardziej czytanych dzienników wyczerpujący w tym przedmiocie artykuł, podpisany przez kilku inżynierów, a piętnujący całe przedsiębiorstwo jako wielką blagg.

Akcje Gobi spadły do zera; jakiś bankier wykleił niemi gabinet. Zadłużony Bogorya, zastawiając wszystkie swe kosztowności, wracał do Gobiowa, spodziewając się jeszcze znaleźć ratunek w dyamentach i w złocie wschodniej księżniczki.

Tymczasem rozruch stał się wielki w okolicy, pan Witold jeździł od sąsiada do sąsiada, gardlując:

— A co, nie mówiłem, że Bogorya oszust, że sam nie ma pieniędzy, że sobie z nas zażartował, hejże! na Bogoryę!

205

Pojawiło się więc mnóstwo artykułów w pokątnych dziennikach, odsądzających niedawnego dobroczyńcę od czci i sławy. Bogorya naturalnie nie bronił się, spodziewając się po powrocie Zefiryne jeszcze raz rzucić w wir interesów i śmiało odzyskać wszystko.

Napróżno jednak czekał kwartał i pół roku na swego wybawcę i na perską księżniczkę; przyjaciel znikł bez wieści, a tymczasem zlicytowano pana Jana, a co gorsza niezaspokojeni wierzyciele zaczęli go nękać tysiącami procesami.

VIII.

Ciężkie czasy: pau Jan szuka służby.

Pan Jan szukał spokoju w ucieczce, z kilkuset złotemi w kieszeni dostał się do obcego miasta, stanął w skromnym hotelu i rozpamiętywał nad swoją wielkością i nad tem co dalej począć. Na długie rozpamiętywanie zabrakło wszakże pieniędzy, trzeba było szybko starać się o utrzymanie.

Przed bramą hotelu siedział stary portyer z miną poczciwą, wzbudzającą zaufanie. Do niego udał się Bogorya z zapytaniem, czy nie wie o jakim przyzwoitem miejscu?

— Jużć widzę, że z pana porządny człowiek — odpowiedział portyer, dumny na swoje znajomość ludzi — nie śmiałbym też panu nastroczać jakiegokolwiek posady. Niejaki pan Olenda potrzebuje człowieka biegłego w rachunkach i umiającego do ludzi przemawiać; ale trudno mu dogodzić, bo trochę kapryśny.

— A jakież u niego zajęcie? .

— Niech pana to nie odstręcza, ale trudni się urządzaniem pogrzebów i niedawno powadził się ze swoim zarządcą. Otóż na jego miejsce radby mieć takiego człowieka, na jakiego mi pan wyglądasz.

— Cóż ten zarządca ma do czynienia u pana Olendy? — zapytał Bogorya trochę przestraszony przysłem swem zajęciem.

— Sprzedawać trumny, brać miarę z nieboszczyków, żeby trumna nie była zamała ani zaduża, urządzać pogrzeby, ustawiać bractwa i zakony, dbać o światło, żeby ludzie do domów nie rozbierali, i zajmować się wszystkim co do tego należy.

Bogorya nie mógł się na razie oswoić z myślą takiego zajęcia, całą noc śniły mu się pogrzeby, czarna służba z pochodniami; zdawało mu się, że jakiś nieboszczyk mówi do niego:

— Kochanku, tylko każ mi zrobić wygodną trumnę.— Ale koniec końców widząc, że za kilkanaście dni będzie zmuszony do najpospolitszej wziąć się roboty, poszedł do pana Olendy z rekomendacją portyera.

Pan Olenda był wyschniętym niemłodym człowieczkiem, w długim sieraczkowym surducie, z obcisłymi rękawami, z okrągłymi okularami na nosie i wytartą aksamitną czapczką na głowie. Siedział za wysokim pulpitem i patrzył z pod oka na przychodzących.

— Słyszałem, że pan potrzebujesz pisarza? —| zapytał go Bogorya, wszedłszy do ponurego kontuaru.

— Hm, hm, potrzebuję pilnego człowieka, ale nie próżniaka — brzmiała sucha odpowiedź.

— Takiego pan nie znajdziesz, któryby pierwszego dnia po przyjęciu na siebie obowiązku nie był najpilniejszym człowiekiem.

— Hm, hm, masz pan rację, ale ja płacę tylko trzydzieści złotych na miesiąc i dwa procent tantiemy od pogrzebów. Jeżeli dobry kwartał, możesz pan mieć z tego drugie trzydzieści złotych. Hm, hm, ten ladaco, co był u mnie ostatniemi czasy, trafił na tyfusy, ospy, szkarlatyny, miał przeszłej zimy po 60 złotych tantiemy oprócz pensyi, i jeszcze sobie krzywdował.

— Przyjmuję zapłatę, jaką miał mój poprzednik.

— Hm, hm, wiem że pan przyjmujesz, bo tak dobrze jak ja nikt ludzi nie płaci... A wiesz waść, jakie masz obowiązki? .

— Niezupełnie, wprawdzie mi portyer wspominał, ale...

— Hm, hm, nic pan nie wiesz, u mnie wszystko musi być jak w zegarku, nieboszczykom się spieszy na tamten świat, nie można ich tutaj długo zatrzymywać. Otóż wiedz waść, co do pana należy: Hm, hm, uboższe mieszczaństwo, niższych

urzędników, ludzi bez stanowiska zostawiamy temu partaczowi, co tam, hm, hm, naprzeciwko ma wymalowany wielki karawan na szyldzie; naszą klientelę stanowią tylko Wielmożni i Jaśniewielmożni nieboszczycy... Otóż jak dadzą znać do kontuaru, że ktoś umarł z naszej klienteli, masz pan natychmiast iść do domu i mówić z tym, kto dziedziczy po nieboszczyku, bo ten głowy nie straci i z nim, hm, hm, najprędzej dogadać się można. Jeżeliby tam przyszedł także ten partacz z naprzeciwka, zgódź się waść o dziesięć procent taniej," choćby ze stratą. Żadnego z "naszych" nie wolno komu innemu wywieźć na tamten świat tylko nam, hm, hm, rozumiesz Waść?

— Rozumiem.

— Hm, hm, każdy z panów mówi, że rozumie, a jak przyjdzie do interesu, to da sobie sprzątnąć z przed nosa pogrzeby z herbem i dwudziestoma pochodniami.

Instrukcję przerwała jakaś służąca z listem do pana Olendy,

— A cóż tam pani porabia, Marysiu?— zapytał stary z rozpogodzoną twarzą.

— Poszła do kościoła na nieszpory — odpowiedziała służąca z filuternym uśmiechem, jak gdyby prawdy nie mówiła.

Mały człowieczek z chciwością list odpieczętował, czytał z rozpromienioną twarzą, poprawiał czapkę, a wreszcie odpowiedział:

— Dobrze, dobrze, kochanie... hm, hm, powiedz pani, że będę u niej przed wieczorem... Ale hm, hm, poczekaj — masz aa wstążkę. — I dał jej jakąś monetę do ręki.

Dziewczyna spojrzała, a odchodząc, szepnęła z gniewem:

— Nietylko wstążki, ale szklanki piwa za to nie dostanie.

Po odejściu dziewczyny Olenda zapomniał o Bogoryi, czesał łysinę przed zwierciadłem, poprawiał kołnierzyki, wdział brązowy surdut z kościanymi guzikami i jak młodzik wybiegł z kontuaru, przykazując panu Janowi, aby nie odchodził, "bo może się coś trafić."

Bogorya rozglądał się po swem nowem mieszkaniu; zewsząd wyzierało sknerstwo i niedbalstwo. Stary widocznie miał krótką pamięć, albo był zbyt roztargniony, wracał się bowiem

z ulicy po klucze, które przy szafie zostawił, to znowu po kapelusz, wybiegłszy w aksamitnej czapeczce.

— Hm, hm, tylko pan nie odchodź, może się coś trafić! — powtarzał za każdym razem.

Rzeczywiście po północy dzwonią do kontuaru.

— Książd opat umarł!

Bogorya pomyślał sobie wprawdzie, że książd opat o nie- stósownej umiera godzinie, ale biegnie coprędzej do jego mieszkania. W pokoju dużo krewnych, przyjaciół; widocznie było się czem dzielić. Otwierają testament, w nim po zwykłej wstępnej formule następujący ustęp:

Art. I. Żądam, aby pogrzeb mój odbył się w sposób odpowiedni memu stanowi i godnościom, które piastowałem. Ciało moje ma być balsamowane i złożone w dwóch trumnach, metalowej i dębowej. Środkową trumnę wybić należy karraa- zynowym atłasem, a ciało ubrać w nowe szaty, które są umyślnie w tyra celu sprawione i przechowane w komodzie.

— Jak on za życia musiał dbać o siebie — pomyślał Bogorya — kiedy chciał, aby po śmierci tak o nim pamiętano. ..

Testament brzmiał dalej:

Ordery i oznaki mych godności mają być do trumny włożone, a nadto spisany dokument na pargaminie, zawierający następującą wiadomość po polsku i po łacinie:

"Ktokolwiek jesteś, kto otworzysz kiedyś wieko tej trumny* szanuj te zwłoki, aby i twoje poszanowano. — Masz przed sobą męża, cenionego niegdyś w swym zawodzie, JWgo księdza prałata ***, który żył od roku 18.. do roku 18.., był kawalerem orderu św. Cypryana, szambelanem króla Peruwiańskiego i piastował różne inne godności świeckie i duchowne; biskupem zaś tylko dlatego nie został, że intrygi zawsze na świecie panują."

Grób ma być murowany, wylany cementem, sześć stóp długi a cztery szeroki, przykryty kamienną płytą, szczelnie cementem zalaną, na wierzchu obelisk z marmurową tablicą...

Sukcesorowie z niecierpliwością przebiegali te postanowienia, czekają na legaty.

Bogorya zaś stósownie do wskazówek swego pryncypała zebrał potrzebne co do pogrzebu daty, i biegł coprędzej do

domu, aby zarządzić co należało. Zaledwie o piątej zrana mógł się położyć na nowo do łóżka i we śnie szukać pociechy po smutnych wrażeniach; ale zapomniał biedak, że ludzie najczęściej w nocy umierają. Gwałtowne szarpnięcie dzwonka kazało mu znów wstać do obowiązku.

Tym razem przybiegł stary służący, zadyszany, zmęczony i z wyrazem prawdziwej w oczach rozpacz.

— Panie! panie! dla Boga, mój pan umarł — zawołał służący.

— A któż jest twój pan? — zapytał Bogorya, -wiedząc, że mu tylko jaśniewielmożnych nieboszczyków grzebać wolno.

— Pan hrabia Izydor, mój dobry pan, mój dobry pan — powtarzał lamentując stary.

Jeżeli pan hrabia, to trzeba iść — pomyślał Bogorya, zebrał się i poszedł ze służącym.

— A jest tam kto z krewnych? — pytał po drodze.

— Nie ma nikogo; mój pan był bezdzietnym wdowcem, pocziwy panisko; wczoraj wieczór mieliśmy u siebie gości, pan grał w preferansa.

W mieszkaniu była już sądowa komisja z powodu nagłej śmierci. Otworzono testament, Bogorya słuchał z uwagą. Urzędnik sądowy zaczął czytać, co następuje:

“Cały mój majątek zapisuję na dom sierót, z wyjątkiem legatu w kwocie 10,000 złotych, które najdalej w miesiąc po mej śmierci memu staremu służącemu Janowi wypłacić należy.

Ażeby niepotrzebnych kosztów nie robić sierotom, pogrzebem moim może się zająć towarzystwo św. Józefa z Ary- matei, które podobno za darmo oddaje ludziom ostatnią usługę.

Proszę tylko egzekutorów testamentu, aby na moim grobie postawili kamienny słupek, a na nim napis: „I owszem !” Z wielką przyjemnością bowiem idę na tamten świat.”

— Nie byłem tutaj potrzebny — powiedział Bogorya — i poszedł do domu.

— A cóż ? — przywitał go Olenda — hm, hm, nie mówiłem, że się trafi... dwa dobre pogrzeby, nieprawdaż?

— Tylko jeden, bo hrabia kazał się pochować towarzystwu św. Józefa z Arymatei.

— Hm, hm, głupiec, zawsze mówiłem, że mu coś bra kuje; godzi się to, żeby takiego pana wieźli na tym samym wozie, na którym wywożą włóczęgów. Hm, hm, głupiec...

Rozpatrzywszy się w zajęciach i w wymaganiach swego pryncypała, poznał Bogorya, że z niego jakiś dziwny człowiek. Interes wielkie przynosił dochody, a Olenda mieszkał w małym zakratowanym pokoiku wychodzącym na podwórze; nikogo tam nie wpuszczał, prócz starej Janowej, gderającej na niego od rana do wieczora.

Co świt szedł do kościoła, różaniec nosił w kieszeni i po-^{*}dobno sypiał w trumnie; tak przynajmniej utrzymywała Janowa, dodając:

— Do trumny się kładzie, a cały dzień Pana Boga obraża, siedząc u Balbiuki.

Wkrótce przekonał się Bogorya, że owa Balbinka równie jak on pobierała tanyemę od interesów: jeżeli bowiem trafił się pogrzeb¹ jakiej panny, a trumna miała być wybita białym atłasem, można się było założyć, że Marysia, sługa Balbinki, przybiegnie z prośbą swej pani o dwadzieścia łokci białego atłasu.

— Hm, hm, a na cóż pani tyle atłasu? — pytał stary, poruszając czapeczką z niezadowolonia.

— Suknia się jej wczoraj splamiła, trzeba kilka brytów wstawić.

Olenda pokręcił się, pogderał, ale koniec końcem kazał odkroić żadaną ilość atłasu, przy czym nie zapomniał pójść do kontuaru i powiedzieć Bogoryi, aby w rachunku pogrzebowym policzył atłas o złoty wyżej aniżeli zwykle, “gdyż to wyborny gatunek.”

W ten sposób działo się także z czarnym aksamitem, Balbinka bardzo dużo potrzebowała go. Aby się ów stosunek nie wydawał dziwnym Bogoryi, uprzedził go stary, że Balbinka jest sierotą, którą on oddawna ma w opiece, a tak do niej przywiązał się, że nic jej odmówić nie może.

— Wszystko to człowiek robi, żeby sobie, hm, hm, zarobić na spokój wieczny —
dodawał.

Żadne zajęcie tak nie nużyło Bogoryi, jak to ułatwianie nieboszczykom podróży na tamten świat; niedość już bowiem, że na każdym kroku trzeba się było spotykać ze łzami i rozpaczą, ale co gorsza, wszyscy klienci umierali w nocy,

14*

a jak zły nadszedł tydzień, ani razu dobrze się wyspać nie było można.

We dwa tygodnie po przyjęciu tego obowiązku, tak się poróżnił ze swym pryncypałem, że o mało od niego nie oddalił się. Powód do sprzeczki był następujący:

Zawołano go do nieboszczyka, którym tym razem miał być jakiś nieznany cudzoziemiec. Zastrzelił on się w hotelu i podobno znaczną miał przy sobie gotówkę. Na stole leżały listy do nieznanych osób za granicą, a jeden "Do szanownej publiczności, na ręce p. dyrektora policji w miejscu."

List zawierał następujące słowa:

"Słyszałem, że się nudzisz szanowna publiczności, chcąc więc odwdziżyć ci się za to, że mnie przyjmiesz pomiędzy swych nieboszczyków, postanowiłem zrobić ci niespodziankę, o którejbys całe trzy miesiące mówić mogła. — Część mego majątku przyjm odemnie w dowód wdzięczności. Ustanawiam więc, co następuje:

a) Trzem największym głupcom w całym mieście przeznaczam po 50,000 złr. Urząd miejski ma się zająć ich wy-' borem.

b) Trzem najmądrzejszym ludziom w całym mieście przeznaczam po 1000 złr.

c) Trzem najbrzydszym kobietom po 40,000 złr.

d) Trzem najpiękniejszym kobietom po 1000 złr.

Cały ten legat wciągnięty do głównego testamentu kodycylem z dnia dzisiejszego, wypłaci brat mój hrabia John of Dycalp z kapitałów złożonych w banku angielskim."

Niesłychany rozruch stał się w mieście, o niczem nie mówiono jak tylko o dziwacznym nieboszczyku, którego cel w zupełności został osiągnięty. Pod naciskiem opinii publicznej niezwłocznie zebrała się komisja a, mająca się zająć legatami i ogłosiła, że prośby o otrzymanie któregokolwiek legatu mają być podane najdalej do 1 kwietnia.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień, niedowiarki rozpuszczali wprawdzie wieści, że cała historia wygląda na prima aprilis, ale koniec końcem komisja przystąpiła do swych czynności i zaczęła rozpatrywać podania.

Przedewszystkiem wielkie powstało zdziwienie, że o pierwszą największą nagrodę dla głupców tylko 12 wpłynęło podań. Na czele było podanie pana Zenona, profesora filozofii, znanego z ekscentryczności, ale wielce rozumnego człowieka.

"Podobnie jak święty Paweł — mówił on — utrzymywał, że najsprawiedliwszy człowiek siedm razy na dzień grzeszy, podobnie mojem jest zdaniem, że najrozumniejszy człowiek siedm razy na dzień popełni niedorzeczność, którąby napróżno przed swym rozumem starał się usprawiedliwić.

Otóż biorąc za przeciętną miarę ludzkiego głupstwa ową liczbę niedorzeczności, liczyłem przez cały miesiąc ile głupstw na dzień popełniam i z przestrachem spostrzegłem, że mimo zwróconej na nie uwagi, dwadzieścia i jeden razy wpadłem w niedorzeczność. '

Sądzę, że do tak poważnej cyfry głupstwa nie lada kto dojdzie; mam przeto zupełne prawo starania się o pięćdziesiątytysięczny zapis."

Komisja orzekła, że prawdziwy głupiec nie oblicza swych niedorzecznych uczynków, podobnie jak prawdziwy grzesznik nie chodzi do spowiedzi — i odmówiła panu Zenonowi zapisu.

Drugie podanie pana Justyna. Popierał on tem swą prośbę, że się ożenił z kobietą złego życia i myślał, że ją sprowadzi na drogę cnoty. Przyjaciele ostrzegali go, przypominając przysłowie, że "natura ciągnie wilka do lasu" — on jednak drwił sobie z ich przestróg. Obecnie przekonał się, że mieli słuszność, gdyż żona stała mu się niewierną, a wiążąc się z nią, popełnił kardynalne głupstwo,

I jemu nie przyznała komisya legatu, poniew^raż głupiec nie dojdzie nigdy do przekonania, że go żona oszukuje.

Trzeci, p. Izydor, malował stan swój oplakany, mówił, że nie ma za co zapłacić najskromniejszego obiadu, a przed dziesięcioma jeszcze laty miał dziesięć tysięcy złotych rocznego dochodu. Tracił jednak lekkomyślnie majątek na konie, krawców i chórzystki, i dał sobie tym sposobem patent na wielkiego głupca.

Komisj^ra zapytała się, czem. się teraz trudni? — Odpowiedziano jej, że służy za dozorcę domu.

— Widać, że przyszedł do rozumu, skoro się wziął do uczciwej pracy — odrzekła komisya. — i nie dała mu zapisu.

W podobny sposób odpowiedziano na wszystkie dwa-ście próśb, albowiem ani jeden rzetelny nie podał się głupiec.

Przystąpiono do otwarcia listów o legat dla najrozu- mniejszych.

Tutaj zupełnie inni przedstawili się kandydaci:

Pan Izidor w dziesięcioarkuszowym podaniu dowodził, że jest uniwersalnym geniuszem, że mając zaledwie lat siedm, napisał tragedią pod tytułem "Mucha w pajęczynie," później wydał własnym nakładem dzieła: "O kwadraturze koła," "O perpetuum mobile," "O dziejach brzucliomowstwa" i "O przyswajaniu krokodyli" ;!— nie licząc mnóstwa dramatów, które wprawdzie nie były dotąd grane na żadnej scenie, ale znajdują się w największym porządku złożone w jego literackim archiwum.

Komisya uznała, że nie wszyscy co piszą książki, są rozumni, — i dała na podanie odmowną odpowiedź.

W czym innym szukał zasług pewien prowizor aptekarski i mówił w ten sposób: "Przez lat trzydzieści, przynajmniej po dziesięć razy dziennie robię lekarstwa, do których wchodzą najmocniejsze trucizny, jak arszenik, kwas pruski, strychnina, a przecież nikogo nie otrułem; widocznie więc mój rozum ani na chwilę nie zboczył z przepisanej mu przez naturę drogi — słusznie mogę powiedzieć, że jestem najrozumniejszym, bo żadnego głupstwa nie popełniłem."

Sprawa była trudna do rozstrzygnięcia, zdania sędziów się podzieliły; zasiadający w komisji aptekarz sądził, że nie ten jest rozumnym, kto się czasem zdobędzie na wysok ro- zumu i zdziała jakieś znakomite dzieło, ale ten, na czyj rozum liczyć można o każdej porze i każdej godzinie.

Doktór medycyny i adwokat z nieporównaną siłą wymowy uderzyli na aptekarza, dowodząc, że najrozumniejsi ludzie, mężowie, którzy stoją na czele epok dziejowych, mieli słabe chwile i popełniali niedorzeczności. Wymieniono nazwiska Aleksandra Wgo, Sokratesa, św. Augustyna i Napoleona, a dowody tych panów były tak jasne, że pociągnęły za sobą przeciw aptekarzowi głosy większości komisji.

Prowizor aptekarski tak się zmartwił tym wyrokiem, że na drugi dzień w przystępie smutku dał jakiemuś pacjentowi 20 gramów nux vomica, zamiast takiej samej ilości kwasu cy- trynowego.

Najwięcej rozgłosu narobiło podanie pana Ogonkowicza, lekarza z domu obłąkanych; pisał on w ten sposób:

"Już tem samem, że mnie mianowano lekarzem chorych na umyśle, dano mi świadectwo, że jestem bardzo rozumnym człowiekiem. A że nim jestem, w- tera najlepszy dowód, że obcując przez lat dwadzieścia z fiksatami, furytami, melan- cholikami, zachowałem w zupełności zdrowy rozum i że znaczny zrobiłem majątek."

Komisya skłaniała się już przyznać legat p Ogonkowi- czowi; zazdrosny jednak lekarz - zasiadający w komisji takie postawił zdanie:

— Zgadzam się w zupełności, aby memu koledze przyznać legat, jeżeli dowiedzie, że wpływ jego na pacjentów był tak dobrym, że przynajmniej jednemu z nich rozum przywrócił.

Przeprowadzono ściśle śledztwo, zbadano protokoły zakładu i przekonano się, że każdy z pacjentów, którzy wstąpili do zakładu, albo umarł, albo dostał jeszcze większego pomię- szania zmysłów.

W ten sposób i legat dla ludzi najmądrzejszych nikomu się nie dostał.

Komisya musiała do późnej nocy obradować, gdy przyszło do rozpatrzenia się w podaniach o nagrodę dla najpiękniejszych kobiet; takie bowiem mnóstwo kandydatek przysłało swe fotografie i szczegółowe swych wdzięków opisy, że sędziowie zdziwili się, iż tyle naraz znalazło się w mieście piękności, jr&lczas gdy w teatrze, na ulicy niewiele ich widywali.

Niestety, jedna fotografia większą od drugiej Odznaczała > się brzydotą, a wprawdzie niektóre z dam pisały, że fotografia niewierna, że piękne włosy nadzwyczaj ich urodę pod-

noszą, że miły wyraz twarzy dałby się tylko przy bliższem ocenić poznaniu; ale koniec końcem żadna z nich nie zasługiwała na miano prawdziwie pięknej.

— Dlaczegoż się jednak nie podała pani Hortenzya, pierwsza piękność miejska? — zapytał się jeden z członków komisji — onaby bezwątpienia dostała legat za swą cudowną urodę.

— Piękność jest już dla paui Hortcnzyi dostatecznym

legatem — odpowiedział ktoś z jej znajomych — największym, jakim ją mógł los obdarzyć.

Przyszło do rozdania ostatniego legatu, legatu dla naj- brzydszej w mieście kobiety. O ten zapis, tylko jedna podała się kandydatka. Przywiedziono ją przed komisję, gdyż nie przysłała swojej fotografii: była to uboga, ale czysto ubrana wdowa, o smukłej kibici ale dziwnie zszpeconem obliczu. Twarz miała poranioną, włosy nad czołem ogolone, nos jakby pokłuty szpilkami.

— Jak się pani nazywasz? — zapytał ją jeden z członków komisji.

— Laura X.

— Wszak przed kilku dniami widziałem panią i byłaś jedną z najpiękniejszych kobiet w mieście.

Laura zalała się łzami. — Komisja przekonała się, że Laura chcąc dla swych dwojga małych dzieci zdobyć legat, sama sobie twarz zesześciła.

Komisja przyznała jej 40,000 złr.

Wychodząc od oryginalnego nieboszczyka i układając w głowie, jak zarządzić jego pogrzebem, spotkał Bogorya na wschodach chłopca hotelowego zalanego łzami.

— Co ci się stało mój Janku? — zapytał go.

— Starszy brat . mój oczy zamknął przed chwilą, a uczył on się w szkołach i był urzędnikiem przy kolei; od dwu lat jednak ciężka złożyła go niemoc. Boże, Boże! co ja teraz pocznę. Możeby paÅ za jednym zachodem i jemu kazał trumnę zrobić, bo chciałbym go przecież uczciwie pochować.

— Wprawdzie jakiś biedak, ale musiał być zacnym człowiekiem! — pomyślał Bogorya, a pomimo że miał poleczone tylko wielmożnymi zajmować się nieboszczykami, przecież poszedł na poddasze, gdzie go Janek prowadził.

W izdebce było ubogo ale czysto, siostra miłosierdzia siedziała jeszcze przy łóżku zmarłego, zgaszona gromnica leżała na stole, anioł śmierci dziwnie spokojnie dokonał tam swego dzieła zniszczenia.

Nie spodziewano się znaleźć po biedaku testamentu, ale przy przeglądaniu papierów spostrzeżono zapieczętowany list

z napisem: "Moja ostatnia wola." Czemże on też mógł rozporządzać? — zapytał Bogorya i prosił Janka, aby mu to pismo pozwolił przeczytać..

Nieboszczyk pisał w niem mniej więcej co następuje:

"Najwięcej winienem w życiu memu ojcu, a najbardziej kochałem Jacusię. Proszę cię więc mój bracie Janku, abyś sprzedał pozostały po mnie zegarek ze złotym łańcuszkiem i srebrny lichtarz po matce, a za uzyskane pieniądze postawił ojcu nagrobek. Obowiązuję cię, abyś na tym grobie co roku zasadził kłąb nieśmiertelników, — Jacusi poślij pierścionek z turkusem i złote guziki, które nosiłem u rękawów — proś ją, niech raz w rok przynajmniej na swoje urodziny za mnie się pomodli. Ty mój Janku zabierz resztę mojej spuścizny, a mianowicie: dwa ubrania — jedno świąteczne, a drugie na codzień, pięć koszul, siedm kołnierzyków i sześć chustek do nosa... Pamiętaj szanuj się, a ludzie cię będą szanować."

Serce się ścisnęło Bogoryi na pocziwe słowa, poszedł do kontuaru, a że nie było pryncypała, zarządził co było potrzeba, aby biedakowi sprawić jak najprzyzwoitszy pogrzeb, a żadnego zysku sobie nie policzyć.

O to się pogniewał Olenda.

— Jak firma moja istnieje, sierdził się stary — jeszcze nie grzebałem takich chudopachółków, hm, hm — to klientela tego partacza z naprzeciwka; ksiądz opat w grobie się obróci, jak się hm, hm dowie, że ten sam wóz, co jego na cmentarz odwoził, służy teraz jakiemuś obdartusowi z poddasza. Żeby to człek przynajmniej, hm, hm, zarobił co na tym pogrzebie, ale z niego złamany szeląg nie wpłynie do kasy, a pozostanie dyshonor dla mojej

zaczęła, najstarszej firmy, która, hm, hm, szczyliła się tem, że tylko jaśniewielmożną ma klientelę.

Spór pomiędzy Bogoryą a pryncypałem z powodu owego biedaka byłby był ważne przybrał rozmiary, szczęściem jednak Balbinka przysłała po starego, który coprędzej pobiegł do niej, zapominając o dyshonorze, jaki spotkał firmę. W kilkanaście dni po tem zajściu zachorował Olenda śmiertelnie; położył się w swej trumnie, kazał się obstarwić gromnicami i odmawiać przy sobie pacierze, przykazując wszystkim obecnym, aby go nie ruszano gdy umrze i nie przebierano.

Balbinka znalazła się w kontuarze i co prędzej kazała wynosić do siebie wszystkie atłasy i aksamity przeznaczone dla nieboszczyków, a nawet przewracała kryjówki i szuflady w komodach i biurach sądząc, że się spotkasz gotówką. Wszelkie jej poszukiwania były daremne — srebra i złota nie było.

Olenda rzeczywiście umarł, zastosowano się do jego woli i nie ruszono go ze smutnego posłania. Jakież było jednak wszystkich zdziwienie, gdy po poruszeniu trumny zaczęły się w niej odzywać jakieś dźwięki, jakby spowodowane oderwaniem się kawałków kruszcu. Zaczęto badać bliżej tego brzęku przyczynę i przekonano się, że stary sknera dobrze się zaopatrzył na przyszlą wędrówkę, leżał bowiem w trumnie z podwójnym dnem, a otwór ztąd powstały samymi był napełniony dukatami. Sukcesya więc Balbinki znacznie się powiększyła.

IX.

Bogorya chłopcem hotelowym, jego spostrzeżenia i znajomości.

Bogorya znów znalazł się bez utrzymania i rzecz można bez grosza; zniechęcony do życia zaczął żałować chwili, w której zawarł z Baliem nieszczęsną umowę, rad był powrócić do swego pustelniczego zamku i spokojnie tam mieszkać, jak dawniej. Niestety, wszystko było stracone — trzeba się było oddać twardemu losowi.

W najkrytyczniejszej chwili przyszedł doń Janek, chłopak hotelowy, podziękować za zajęcie się pogrzebem brata.

— 'A cóż pan dalej myśli robić? — pytał go naiwnie Janek, a gdy się dowiedział, że Bogorya w nader smutnem znajduje się położeniu, podsunął mu myśl, aby się starał o miejsce starszego w hotelu, które właśnie od kilku dni jest wolne.

— A to nisko zeszedłem 1 — myślał Bogorya, że mi śmia takie miejsce ofiarować! — Duma jednak na nic się nie przydała, pieniędzy nic było — trzeba było iść w służbę.

W kilka dni po instalacji Bogoryi na starszego pokojowego, wprowadził się do hotelu jakiś nieznaną jegomość i wpisał się do listy jako Edgar Walidąbski, właściciel dóbr z oddalonej gubernii. Najął najpiękniejszy pokój; kufry miał bardzo wykwintne, a na nich pełno poprzyklepanych kartek: "Hotel de ..Géneve — Napoli", "Hôtel du Louvre — Paris", "I-Ió- tel du Nord — Berlin" i t. d. Wieczór kazał sobie podać majones z raków, jarzątka i pół butelki szampana, a zrana

zawołał do siebie "Jana," gdyż Bogorya pod tem imieniem występował w hotelu.

— Przynieś mi z kasy hotelowej pięćset złotych — powiedział rozkazującym głosem — bo muszę dopiero u bankiera podnieść pieniądze.

Właściciel hotelu trochę się zawahał, ale pomyślał: "kto tak stanowcze daje rozkazy, musi mieć pieniądze" — i dał 500 złotych.

Jan dostał dziesięć złotych, gdy przyniósł pieniądze, i nie spuszczał już z oka znakomitego gościa.

O drugiej kazał pan Edgar zajechać remizie, Janowi polecił zaś oddanie na pocztę kilkanaście listów, z których jeden tylko był zaadresowany do człowieka bez tytułu, reszta zaś do samych hrabiów i książąt.

Opinia hotelowa o panu Edgarze ustaliła się zupełnie, gdy się kazał zawieść z wizytami do najznakomitszych osób w mieście, a na śniadanie jadł ostrygi i popijał Cbabli.

Wieczorem podsłuchiwał Jan w sali hotelowej następującą rozmowę:

— Czy nie znasz jakiegoś pana Edgara Walidąbskiego ? — pytał się hrabia Józef — osobistość wielce popularna w mieście — pana Gorączkiewicza, pierwszego adwokata i posła na sejm. Był u mnie dzisiaj z wizytą, odwołał się do przyjaźni z księciem Jerzym, który właśnie co umarł przed kilkoma dniami.

— Nie, nie słyszałem o takim nazwisku.

—? Ciekawa osobistość — mówił hrabia dalej — bardzo wymowny, zdaje się być dobrym patriotą i powiada, że sprzedawszy swoją majątność przyjechał tutaj, aby założyć pismo, któreby łączyło interesa wszystkich naszych prowincyj.

— Jakiś porządny człowiek — odpowiedział adwokat — takiego pisma właśnie nam potrzeba, zbyt się zamykamy w partykularyzmie. Zkąd jednak weźmie zdolnego redaktora i współpracowników ?

— O ile mi się zdaje, sam musi dobrze pisać; zostawił dwie broszury polityczne: jedną pisaną po francusku, a drugą po polsku, nie miałem wprawdzie czasu czytać ich, ale na oko wybornie wyglądają.

"Podziękowanie. — Wydział bratniej pomocy słuchaczy prawa ma zaszczyt złożyć niniejszem najszczerze podziękowanie Jaśnie Wmu Edgarowi Walidąbskiemu za wspaniały dar 500 złotych na korzyść ubogich uczniów stolicy."

Dziennik wychodzący pod tytułem "Chorągiewka", dodał do tego ogłoszenia następujące wyrazy od redakcyi:

"Niech się rumienią wobec tego daru nasi panowie, którzy pieniądze trwonią za granicą; zamiast wspierać pożyteczne instytucje kraju. Cześć obywatelowi z innej prowincyi!"

Za trzy dni ten sam dziennik pisał:

"Pan Edgar Walidąbski, o którego wspaniałym darze dla ubogich uczniów wspominaliśmy przed kilkoma dniami, mówić będzie w sali Towarzystwa zaliczkowego pod godłem: "Nie oddawaj" — o ułatwieniu kredytu dla czeladzi rzemieślniczej. O ile wiemy, pan Walidąbski chce swą teorią wprowadzić w rzeczywistość i założyć Towarzystwo z nieograniczoną poręką dla uboższej klasy na nadzwyczaj szerokich podstawach. Towarzystwo ma mieć li tylko cele filantropijne."

Tego samego dnia było zwykłe czwartkowe przyjęcie u księdza kanonika Z., znanego ze swych zasług około kościoła i głębokiej nauki. Pan Edgar także się tam znalazł, złożywszy poprzednio wizytę zacnemu ks. prałatowi.

— Z niewymowną radością przyjąłem zaproszenie księdza prałata — mówił p. Edgar do gospodarza po przywitaniu się — przedewszystkiem cieszę się, że będę miał zaszczyt korzystać z Jego światłego towarzystwa, a powtóre, iż przekonuję się, że tutaj duchowieństwo nie odosabnia się tak, jak to widzimy w niektórych okolicach, ale że stara się swój znakomity wpływ moralny wywierać i na wyższe klasy społeczeństwa.

Ksiądz prałat nader był obowiązany gościowi za te kilka słów uznania i opowiadał mu o otaczających go osobistościach.

Wśród wieczoru znów się znalazł p. Edgar na osobności z księdzem prałatem.

— Księdzu prałatowi wiadomo zapewne — mówił do niego — że zamysłam założyć tutaj dziennik prawdziwie polski. Zrozumiesz ksiądz dobrodziej, że jeżeli mówię polski, to

mówię i katolicki. Dotychczas jednak na słabe napotykam poparcie ; osobiście zamyślam włożyć w to przedsięwzięcie pięćdziesiąt tysięcy złotych, druga połowa musi być pokryta na akcje, nie rozumiem bowiem zakładania codziennego pisma bez stutysięcznego kapitału w rękę. Gdyby ksiądz prałat zechciał wpłynąć na wyższe duchowieństwo, aby się zainteresowało moim projektem. Kierunek pisma byłby naturalnie pozostawiony komitetowi z akcyonariuszów pisma.

Ksiądz prałat wyniósł z tej rozmowy bardzo przyjemne wrażenie.

— To bardzo rozumny człowiek ten pan Walidąbski — powtarzał temu i owemu.

Po chwili mówił już Edgar we framudze od okna z hrabią Józefem.

— Wybory przeprowadzają się tylko za pomocą prasy — mówił do niego — ręczę ci hrabio, że jak założymy dziennik, do roku jesteś posłem. Pierwszem to będzie zadaniem gazety, aby zacnych a światłych ludzi wprowadzać do sejmu. W kraju naszym nie ma publicznej opinii; opinię tę trzeba stworzyć pod karą moralnego upadku.

— Możesz pan na mnie liczyć przy zakładaniu dziennika — odpowiedział hr. Józef — wezmę dziesięć udziałów po 1000 złotych; obecnie jednak nie mam gotówki.

— To najmniejsza; bądź hrabia łaskaw przysłać mi jutro swój weksel, a czy pieniądze trzy miesiące czy nawet pół roku później dostaną się do kasy dziennika, to zupełnie na tem nie zależy, gdyż na początek wystarczą moje fundusze.

W miesiąc później wyszedł pierwszy numer pisma "Prywata" z następującym propektem:

"Przedewszystkiem wychodzimy z zasady, że dziennik zakładany w dobrej wierze, nie potrzebuje stawiać programów, gdyż stosunki i okoliczności składają się na to, aby mu wytknąć tory, którymi postępować winien. Chcąc jednak zadosyć uczynić istniejącemu zwyczajowi oświadczamy niniejszem, że chcemy stworzyć pismo polskie, wolne od wszelkich stronnicych interesów i zawiści, pismo, któreby z równą miłością obejmowało interesa wszystkich części naszego narodu.

Nie chcemy dużo obiecywać, aby więcej dotrzymać można."

Publiczność była zachwycona tym programem, a prenumerata licznie wpływać zaczęła do administracji dziennika.

Pan redaktor najął w hotelu duży apartament, urządził go zbyt kownie, z niepospolitym smakiem, a "chcąc być ciągle w styczności z opinią publiczną", urządził u siebie co ponie-działku śniadania, tak zwane "wódki", rozsyłając na nie jak najliczniejsze zaproszenia.

Po pierwszej takiej wódce znów znalazło się kilku znajomych w dolnej sali hotelu, a pomiędzy nimi hrabia Józef i adwokat Gorączkiewicz. Bogorya ponownie mógł słyszeć ich rozmowę.

— Zdaje mi się, że ten pan Edgar — mówił hrabia — musi być jakimś awanturnikiem, żyje jak milioner, nikt nie zna bliżej jego przeszłości; zakłada dziennik za cudze pieniądze, urządza rzemieślnicze spółki, na które nie dał ani grosza — słowem zagadkowa figura.

— Masz rację, ten człowiek od pierwszego wejrzenia nie podobał mi się — wtrącił adwokat — całe zachowanie się jego jest podejrzanem. Z pewnością agent któregoś z nieprzyjaznych nam rządów. To zawieranie znajomości z całym światem, to szukanie stosunków z ludźmi wpływowymi — nie jestże najoczywistszym dowodem, że nie przyjechał tutaj bez kozery?

— Szczególna rzecz — dodał burmistrz miasta — jak u nas niema opinii publicznej. Lada niepewny człowiek się zjawi, a już ma wszędzie wstęp otwarty, nikt mu drzwi nie zamknie. Przyznam się, że na te "wódki" żaden uczciwy człowiek chodzić nie powinien. Iść tam, znaczy powiększać jego wpływ, którego już u nas lekceważyć nie można; rzemieślnicy, młodzież na rękach go noszą, dziwnie łatwo ten człowiek umiał sobie pozyskać popularność.

— Święte słowa, kochany prezesie — odezwał się hrabia — noga nasza nie powinna postać u tego farmazona.

— Tak! tak! noga nasza nie powinna tam postać 1 — powtórzyli wszyscy.

Gdy się na dole siedzono na pana Edgara, wchodził właśnie do niego młody człowiek, pan Mieczysław, ubogi ale wielkich zdolności uczeń prawa i administracji.

— Jakżeż się cieszę, widząc pana u siebie — witał go

gospodarz — gdybyśmy mieli więcej takiej jak pan młodzieży, moglibyśmy z ufnością spoglądać w przyszłość.

Pan Mieczysław' skłonił się uprzejmie, skromnie spuści* wszy oczy.

— Przyniosłem Panu Dobrodziejowi żądany obraz ekonomicznych i prawnych stosunków naszego kraju, zestawiony według najlepszych dzieł, jakie mamy, i rozpraw sejmowych z lat ostatnich.

— Nieskończenie panu jestem obowiązany; zebrane materiały posłużą niezawodnie dla dobra kraju.

— Z tą też ufnością przez kilka tygodni nad nimi pracowałem.

Po krótkiej rozmowie wyszedł pan Mieczysław uradowany, że praca jego po raz pierwszy praktyczne wyda owoce, a u gospodarza znalazł się znów inny gość.

Był nim pan Huczko, mała, krępa figura z czerwonym nosem i biegającymi oczyma, sekretarz kilku drobniejszych stowarzyszeń, agitator przy wyborach, człowiek, który gdyby miał jaki fundusz na początek, mógłby się dorobić majątku.

— Jak stoją nasze akcje? zapytał go Edgar.

— Wybornie, panie prezesie; wszyscy rzemieślnicy i małomieszczanie jak jeden mąż będą za panem głosować.

— Po przeprowadzeniu wyborów dam panu posadę sekretarza towarzystwa rzemieślniczego z pensją 1500 złotych. Proszę tylko postępować zwinnie, przytomnie, a nie chodzić do takich, którzy już głos swój sprzedali hrabiemu, bo stosunki z nimi niepotrzebnie kompromitowałyby nas.

— Uniżenie panu prezesowi dziękuję za przyobiecana posadę. Co do obrotności, niech pan prezes mi zaufa; szczeremu lisowi nie lada kto dorówna.

— Dobrze, dobrze, możesz pan odejść; pamiętaj jednak o tem, że moja kandydatura ma być głośno postawiona dopiero w ostatniej chwili — kiedy się już inni kandydaci zużyją.

Trzy dni przed wyborami była znów "wódka" u Edgara.

— Jakie macie najlepsze wina? — pytał się w wigilią tego dnia naszego Jana.

— Stare węgierskie? — czy może burgundzkie?

— I takie i takie; wina ma jednak być podstatkiem, likwory w najlepszych gatunkach, na ciepłą przekąskę pasz

tety i gorące szynki. Proszę cię, panie Janie, żebyś sam zarządzał usługą. Nie trzeba czekać aż kto życzy sobie kieliszek wina, ale żwawo wszystko obnosić — obędzie u mnie około ośmdziesięciu osób.

— Śmiem powątpiewać! — pomyślał Bogorya odchodząc, przypomniał sobie bowiem rozmowę hr. Józefa z burmistrzem przy obiedzie, jak się umawiali*, żeby nie bywać u podejrzanego redaktora.

Pan Jan jednak omylił się; o naznaczonej bowiem na "wódkę" godzinie drzwi hotelowe się nie zamknęły: —karet, fiaków bez liku, a co więcej jedni z pierwszych znaleźli się: hrabia i pan burmistrz.

— Ciekaw byłem przekonać się, czy też u nas jest opinia publiczna, czy jej niema? — przemówił hrabia trochę zakłopotany podając rękę burmistrzowi.

— Przyznam się hrabiemu, że i mnie ta sama wiodła tutaj ciekawość. Niestety! możemy się aż nadto dobitnie przekonać, że u nas niema opinii! Krzyczą na niego, wołają po całym mieście, że rządowy agent, że człowiek niepewny, a przecież widzisz pan tutaj największych krzykaczy!

— Niestety! — kiedyż my dojdziemy do społecznej karności I

— Czy można z hrabią chwilkę pomówić — przerwał gospodarz, prosząc pana Józefa do drugiego pokoju, a wzięwszy go pod rękę tak się doń odezwał:

— Wybór hrabiego prawie zapewniony — wszelkie dalsze starania byłyby zbyteczne; za kilka dni będę miał zaszczyt powinszować hrabiemu krzesła poselskiego ze stolicy.

— Nieskończenie panu jestem wdzięczny — odrzekł hrabia — za tak energiczne zajęcie się moją sprawą. Wierzę, że wybór mój tylko pańskiej przyjaźni będę miał zawdzięczyć.

Nadszedł dzień przedwyborczego zgromadzenia; nieznany dotąd komitet rozrzucił następujące odezwy:

“Bacność bracia! — Samozwańczy komitet wyborczy narzuca nam na posła hrabiego Józefa. Kimże jest ten hrabia?— nieukiem, niedołągą, nieznającym naszych potrzeb i stosunków. Rząd go popiera — rząd chce takich posłów! Bacność bracia! — nie dajcie się uwodzić! — zgromadźcie

się jak jeden mąż koło urny i wybierajcie, naszego — wybierajcie obywatela Edgara Walidąbskiego!

Przyjaciele hrabiego nie mało się zdziwili czytając te słowa i pobiegli na przedwyborcze zgromadzenie. — Pan Edgar wstępował właświe na mównicę.

— Obywatele i bracia! — mówił — Postawiliście mnie na poselskiego kandydata z waszego miasta. Niespodziewany zaszczyt zaledwie mi pozwala zebrać myśli. . . Zaiste za krótko bawię pomiędzy wami, abym mógł w pełni zasłużyć na wasze zaufanie — nie przyniosłem tutaj dotąd nic innego prócz chęci służenia dobrej sprawie; na tej mi jednak nie braknie.

Z pewnym żalem spostrzegam, że mimo woli staję jako przeciwnik szanownego hrabiego Józefa. Gdyby nie wasza wola, która mi jest rozkazem, chętniebym się cofnął i oddał me głosy przeciwnikowi — rozkazowi waszemu jednak sprzeciwić się nie mogę, bo głos ludu jest głosem bożym! (huczne oklaski) — i śmiało staję jako kandydat na zaszczytne krzesło, które roi ofiarować chcecie (powtórne oklaski).

Dzięki wam bracia za te oznaki życzliwości; rałbym je choć w części usprawiedliwić i rozwinąć mój program, moje polityczne zapatrywanie.

— Prosimy! prosimy! — liczne odezwały się głosy — a pan Edgar rozprawiał dalej o ekonomicznych i politycznych stosunkach, okazując nadzwyczajną znajomość kraju. Mówiąc pomiędzy nami, powtórzył on prawie dosłownie zapatrywania akademika, zebrane w przedłożonem mu piśmie.

Gruntowna wiedza, nowe poglądy wywołały wielki entuzjazm nawet w tej części słuchaczy, która dotąd stanowczo była za kandydaturą hrabiego Józefa.

Pan Edgar schodził jak tryumfator z mównicy, a mnóstwo obywateli cisnęło się, aby mu rękę uściśnąć z podziękowaniem za tak jasny i gruntowny wykład.

— Na ręce naszego posła! — głośno zawołał znany nam już Huczko!

W tej chwili znalazło się dwóch atletów, rzeźników, którzy skrzyżowawszy ręce, jak piórko podnieśli Edgara i wśród okrzyków:

— Niech żyje poseł! — niech żyje obywatel Walidąbski! — nieśli go aż do hotelu.

Pan Edgar rzucił się u progu w objęcia rzeźnikom, ścisnął się ze spoconym szynkarzem, podawał ręce ludowi, a przyszedłszy do siebie czuł przedewszystkiem potrzebę spotkania się z mydłem i z wodą kolońską.

Za kilka dni był posłem. Stowarzyszenie pod godłem "Nie oddawaj" nakazało mieszkańcom okna illuminować, a gromady szewczyków z kamieniami w kieszeniach chodziły po ulicach, aby dopilnować wykonania rozkazu swej starszyny.

U hotelowego portyera oddano na drugi dzień kilkaset kart wizytowych dla pana Edgara, a najpierwsza ze wszystkich była karta — burmistrza.

W miesiąc później podawał się akademik o stypendyum na zagraniczne studia i chciał prosić nowego posła o wstawienie się za nim u kompetentnej władzy. Poszedł więc do hotelu, zapukał do drzwi pokoju, w którym niedawno tak mile był widziany, ale służący odpowiedział, że

— Pan nie przyjmuje, gdyż jest bardzo zajęty.

X.

Do czego prowadzą teatralne znajomości.

Tymczasem Bogoryi nic dobrze się wiodło w hotelowej służbie, co głównie ztąd pochodziło, że nie mógł nigdy zapa- miętać, jakie kto potrawy u niego zamawiał, a gdy mu w jednej chwili kilkanaście osób objawiało swe gastronomiczne życzenia, taki chaos powstawał w jego głowie, że często przynosił krem zamiast sztukainięsy, a raki zamiast likieru. Tego rodzaju pomyłki wystawiały go na drwinki młodszej służby i zjednały mu w hotelu opinię "słabej głowy".

Bardto też był niezadowolony ze swego zajęcia.

Zdarzyło się w owym czasie, że siedział razu pewnego w teatrze w wyższych "regionach" w towarzystwie jednej z artystek niższego rzędu.

Była to mała, żywa blondynka o wesołym spojrzeniu, i przedstawiła mu się jako panna Róża.

— Był pan kiedy na przedstawieniu Trawiaty? — pytała sąsiadka.

— Kilka razy.

— I nie poznaje mnie pan? — przecież to ja wchodzę tam w ostatnim akcie, podaję szklankę wody mojej pani i śpiewam : "Pan pojechał do Paryża 1. . ."

— Rzeczywiście przypominam sobie ... w różowej sukience, nieprawdaż?

— W różowej, w różowej.

— Wybornie pani wtedy swą scenę odegrała; przyznam się, że bardziej się przypatrywałem rumianej dziewczynie aniżeli samej Yiolecie.

— ■ Jaki pan grzeczny.. Mówię panu, że niema życia jak na scenie; wprawdzie nieraz gaży nie wypłacą, wprawdzie trzeba znosić kaprysy nieznośnych dyrektorów, ale za to jak się posypią oklaski, jak bukiet spadnie na scenę, to serce rośnie z radości, i jednej takiej chwili nie dałoby się za wszystkie majątki świata.

Bogorya nie mógł uważać, co się na scenie dzieje — tyle mu towarzyska naopowiadała różnych historyj, a żegnając się z nim powiedziała:

— Dziękuję panu za miłe sąsiedztwo... dowidzenia... jeżeli pan na afiszu nie spotka mego nazwiska, to na każdej reprezentacji jestem na tem samem krześle.

Po tygodniu serdeczna już pomiędzy nimi zawiązała się przyjaźń, pomimo że się po za teatrem nigdy nie widzieli.

Dziewczyna zaczęła się podobać Bogoryi — swym humorem umiała go zawsze rozweselić, a zapominając jako gar- son hotelowy o zamówionych słómkach lub pasztetach, nie zapominał nigdy stawić się w teatrze o umówionej godzinie.

— Ot wstąp pan do teatru — namawiała go Róża po jakimś czasie — zajęcie w hotelu może korzystne, ale nie przystoi takiemu jak pan człowiekowi; zdaje mi się, że z pańskim głosem mógłbyś wybornie śpiewać Mefista w Fauście..- zresztą spróbujemy.

Jakżeż nie zrobić próby, jeżeli tak przystojna zachęca dziewczyna. Bogorya też odśpiewał w jej mieszkaniu całą par- tycę, przypomniał sobie dawne czasy kiedy jeszcze był lwem salonowym i pomyślał, że wszelkimi sposobami będzie się starał wydobyć z tego poniżającego stanowiska, w którym się obecnie znajduje.

Poznawszy dziewczynę nie sądził nawet, aby miała jakie wpływy u dyrektora teatru; przekonał się jednak z czasem, że głos Róży miał tam pewne znaczenie, pomimo że nie była w łaskach u pani dyrektorowej.

Sprytna Róża do miesiąca zdołała tego dokazać, że pan Jan podziękował za służbę w hotelu i stawił się przed dyrektorem teatru.

— Proszę odśpiewać aryę — przemówił do niego dyrektor po krótkiej wstępnej rozmowie. Bogorya śpiewał jak umiał najlepiej i musiał się dyrektorowi spodobać, skoro tenże z protekcyjonalną miną, odezwał się:

— No I no! — mogę panu dać pięćdziesiąt złotych miesięcznie.

— Ależ to za mało, panie dyrektorze.

— Zresztą jeden benefis w lipcu.

— W lipcu nikt do teatru nie chodzi.

— Nowicyusz z pana; chcesz, żebym pozwalał na benefis wtedy, kiedy publiczność chodzi do teatru. .. Zresztą dam sześćdziesiąt złotych miesięcznie i benefis w czerwcu.

Bogorya się zgodził, przystąpiono do spisania kontraktu, który tak opiewał:

I. Basso secondo p. Jan Bogorya pobiera 60 złotych miesięcznej gaży; i benefis w czerwcu, po odciążeniu kosztów re- prezentacyi.

II. Śpiewak obowiązany jest do czterech występów tygodniowo, a nadto podczas karnawału musi śpiewać w chórach błaznów, które dyrekcyja urządza o północy na balach maskowych.

III. Jeżeli śpiewak tydzień choruje, odciąga mu się jedną czwartą część gaży; jeżeli choruje miesiąc, nic mu się nie płaci; jeżeli się upije i kto inny musi go zastąpić. ..

— Ależ ja nic jestem pijakiem! odezwał się Bogorya z oburzeniem, a na takie punkta się nic zgodzę...

— Najporządniejszemu człowiekowi może się zdarzyć, że się upije — odezwał się z flegmą dyrektor, artyście częściej się to zdarza, albowiem żyje w wesołym towarzystwie.. Przekonasz się pan, że taki ustęp jest konieczny.. Zresztą jak pan widzisz, jestto drukowany formularz kontraktu dla wszystkich artystów, nie zechcesz pan, być lepszym od innych. U artystek jest zamiast tego inny punkt, a mianowicie: jeżeli artystka kaprysi, spazmuje i z tego powodu zaniedba repre- zentacyi i t. d.

— Nie uważaj pan na takie drobnostki — odezwała się przytomna Róża, wszak to formularz drukowany...

A więc — czytał dyrektor dalej: ... jeżeli się upije, odciąga mu się 10 zł. z gaży.

IV. Jeżeli uchybi przeciw teatralnej karności, albo jeżeli w twarz uderzy jednego ze swych kolegów, odciąga mu się 10 zł. z pensy i.

— W ten sposób nie drogo muszą pana kosztować artyści, przerwał zniecierpliwiony Bogorya.

— Widocznie, że nie tak niekorzystne dla artystów są te kontrakty jeżeli mam u siebie śpiewaków po dwa lata — odpowiedział dyrektor.

— To niedługo, pomyślał Bogorya, ale widząc Różę mrugającą na niego, aby się na wszystko zgodził — podpisał kontrakt. .

Primadonną opery była pauna Silwia, przystojna brunetka o śmiałym spojrzeniu, z bardzo mocnym ale nie wyrobionym głosem. Na drugi dzień po zaangażowaniu Bogoryi miauo dawać Don Juana. Rolę donny Elwiry grała oddawna Silwia, a Zerliny panna Leonia. Dyrektor jednak protegujący Różę chciał tym razem jej oddać partyę Zerliny, a pannę Leonię usunąć z czasem z grona swych artystów.

W kołach teatralnych o niczem nie mówiono tylko o tej zmianie; panna Silwia, będąc przyjaciółką Leonii mówiła wprawdzie, że z nową towarzyszką grać nie będzie, ale dyrektor w to nie wierzył, wiedział bowiem, że artystka za kilka dni koniecznie potrzebuje pieniędzy.

Nadszedł wieczór, Bogorya stał za kulisami przypatrując się publiczności, z którą się miał wkrótce bliżej zapoznać. Grano uwerturę, wtem jakiś krzyk dał się słyszeć w garderobie. Bogorya pobiegł tam co prędzej i zobaczył następującą scenę:

Na jakimś starym tronie krzesła siedziała Silwia w zwykłym ubraniu z papierosem w ustach, założywszy nogę na nogę; przed nią stał rozgniewany dyrektor w kapeluszu, a w pokoju mnóstwo już było artystów w kostiumach, w jakich za chwilę występować mieli.

— Pani musisz wystąpić! wołał dyrektor — nie zapłacę ani grosza, za wezwę komisarza policy i.

— Głupiś Waćpan — odpowiedziała stoicznie panna Sil-

wia i puściła mu kłęb dymu pod nos. Powiedziałam, że ze statystkami, z którymi pan romansujesz, występować nie myślę.

— Co? statystkami! wrzasnęła Róża stojąca za dyrektorem, gdybyśmy zaczęli liczyć z kim pani romansujesz toby gorzej było.

— Teraz nie o romansach mowa, ale o reprezentacji — wołał dyrektor — publiczność się niecierpliwi, słyszysz pani pukanie. Na Boga ubieraj się, dam ci 50 złotych za dzisiejszą reprezentację.

— O pańskie pieniądze nie stoję — powiedziałam, że z dyrektorskimi kochankami śpiewać nie będę...

— Poczekaj pani! — krzyczał zdesperowany dyrektor — dzisiaj ustąpić muszę, bo publiczność niespokojna, ale porachujemy się później.

— Wołać panny Leonii — niech się ubiera!

— Ja ci tego nie daruję, odgrażała się Róża i jak niepyszna zaczęła zdejmować upięcie z głowy.

— Proszę się wynosić! zakomenderowała panna Silwia — teraz na mnie czas do ubierania — i z energią wzięła się do roboty.

Służąca copperskiej wyprosiła towarzystwo, podała bieli- dła, czernidła, pudry, róże, suknie, kwiaty, wstążki, spódnice, i cisza zapanowała w garderobie przerywana uwagami artystki.

. — A to łotr z tego dyrektora! Małpo! czemu mnie tak szarpiesz za włosy! palce ci skamieniały, czy co? podaj mi jajo!

Pukajcie tam, pukajcie! nauczcie się cierpliwości! Ah! jakżeś dzisiaj niezgrabna, tak cię trzepnę, że popamiętasz dzisiejszy wieczór! i t. d.

Tymczasem dyrektor wyszedł na scenę.

— Szanowna publiczności! odezwał się z patosem ~ mocny ból głowy przeszkodził pannie Silvii przybyć dość wcześnie do teatru, w ostatniej jednak chwili zupełnie jej się polepszyło i reprezentacja zaraz się rozpocznie. .

Rzeczywiście w dziesięć minut rozpoczęła się reprezen- tacja, pannę Silwię przyjęto rzesistami oklaskami, a z którejś łoży padł na scenę przepyszny bukiet z następującym wierszykiem :

Szukałem długo w świecie ideału Dobroci anioła — piękności Wenory, I już ostygłem z pierwszego zapału, Sądząc, że myśli moje — to chimery... Wtem Cię spotkałem o cudzie natury: Arko przymierza cnoty i urody, A z czoła mego pierzchnęły znów chmury, Mam znów ideał! — w sercu mojem gody! —

Domino.

Panna Silwia przeszukała dokładnie bukiet, czy nie znajdzie w nim bransoletki lub pierścionka z brylantem—ale adorator nie był tak domyślnym, aby bukiet złotym obciążyć balastem.

Bogorya wyszedł z reprezentacji z niemiłym wrażeniem, najbardziej go jednak to obeszło, że o ile zauważył, panna Róża musiała być rzeczywiście w zanadto ścisłych stosunkach z dyrekcją.

Zaledwie jednak miał dość czasu nazajutrz oczy otworzyć, a już weszła Róża do pokoju głośno trzaskając drzwiami.

— Nie ienuj się kolego, przyszedłam do ciebie w ważnym interesie — odezwała się biorąc z toalety flaszeczkę z perfumami i hojnie się niemi oblewając. Widziałeś wczoraj tę jędzę? przed publicznością wygląda jak owieczka, a sługom na prawo i lewo policzki rozdaje. Rzucić u niej obelgę na najuczciwszą dziewczynę — dodała wskazując na siebie, to tak jak wypić kieliszek szampana. Będziemy już Bogu dzięki mieć inną pri- madonnę. Lola stara się dostać do teatru; koledze wiadomo że z niej wyborna śpiewaczka, koloratura przepyszna, nie taki surowy głos

jak u Silwii. Publiczność wprawdzie trzyma z Silwią— ale i temu się poradzi. Trzeba ją koniecznie skompromitować...

— W jaki sposób? zapytał trochę, zakłopotany Bogorya, — ja się do tego nie mieszam.

■— Nie o wielkie rzeczy chodzi — trzeba być uczynniej- szym kochany kolego. Wiesz, że ona ze mną nie chce śpiewać, zagradza memu losowi. Lola już obiecała, że ze mną wystąpi. Moja przyszłość od tego zależy.

— Pojutrze wystąpisz kolega z Silwią w Fauście. Ona ma krótką pamięć, bardzo łatwo zmylić ją w recitatiwach — jak jej fałszywą podrzucisz końcówkę — nie będzie wiedziała, co dalej śpiewać; stanie, spoglądnie na suflera, który także z nami będzie w zмовie i tak się skompromituje, że ją publiczność gotowa wygwizdać.

— Do żadnych intryg się nie mieszam — odpowiedział obruszony Bogorya.

— Jeżeli tak!—to kwita z przyjaźni! zawołała z gniewem Róża i tak prędko wybiegła, że pan Jan nie miał nawet czasu wyjaśnić jej powodów swojej odmowy.

Tego samego dnia w sali hotelu pod Melpomeną kilkanaście osób siedziało u SvOłu. Mąż Loli dawał obiad dla wpływowych osób na scenie i na parterze, aby zapewnić żonie poparcie pomiędzy publicznością.

— Od dawna pisałem— mówił redaktor dziennika "Przekora," że Silwia nie może się utrzymać na naszej scenie, organ głosu niemiły, szkoły żadnej, polem jej popisu może być jaki ogródek na prowincyi, ale nie pierwszy teatr stolicy.

— Niema wątpliwości, że pani Lola zwycięży, wtrącił Eugeniusz, stary kawaler, honorowy marszałek dworu każdej wstępującej na scenę artystki. Mam ja przyjaciół na jaskółce, jak im powiem, że pani Silwia szkodliwa dla naszej sceny — ręczę, że zwyciężymy!

— Może jeszcze kieliszczyk? dogadywał usłużny gospodarz.

— Nigdy nim nie gardzę— odpowiedzieli od razu: Eugeniusz i redaktor.

Nagle drzwi się otworzyły, do pokoju wpadła z wielkim krzykiem pani Lola i zemdlona rzuciła się na kanapę...

— Wody, wina, wody kołoiiskiej! wołali wszyscy, prócz męża.

Pan Eugeniusz doświadczony w podobnych okolicznościach biegł co prędzej, aby stanik rozciąć, ale pani Lola strę- twiała o całość swej sukni, a otrzeźwiwszy się w tej chwili zatrzymała świętokradzką rękę.

— Patrzcie panowie, cały bryt na nic poszedł!

> Rzeczywiście towarzystwo spostrzegło, że ogon mate- ryalnej sukni obłany był atramentem w najstraszniejszy sposób.

— To jeden z nich! to moi nieprzyjaciele! żaliła się pani Lola.

— Kto śmiał znieważać naszą artystkę?"pytał redaktor, powiedz pani, a potrafimy się zemścić.

— Gdybym go znała? tyle wiem, że to jeden z moich wrogów. Przechodząc zapytał mi się: Czy w tej sukni wystąpisz na scenie koteczko ? rzucił flaszkę z atramentem i znikł.

— Powiedział "koteczko"? zawołał znów z oburzeniem redaktor. A w zapale dodał: Panowie! poprzysięgnijmy zemstę podłym przeciwnikom ubóstwianej naszej artystki!

— Zemstę przeciwnikom! zakrzyczeli wszyscy i sojusz swój zatwierdzili wypiciem nowego kielicha.

— Przynieś mi cytryny! wołała tymczasem pani Lola na hotelowego chłopca, i z wielkim zapałem wzięła się do wywabiania plamy z atramentu.

Podczas tej sceny w hotelu działo się wielkie spustoszenie w ogrodzie "Towarzystwa sadowniczego:" Pan sekretarz Towarzystwa zwołał wszystkich chłopców i ogrodników i kazał im zrooić taką ilość bukietów, na jaką początkowy ogród zdobyć się tylko może. Zrywano więc róże i goździki, głowiastą sałatę i młode kalafiory, bobkowe liście i fiołki, co tylko rosło na grzędach.

— Nic nie szkodzi, z czego będą zrobione bukiety, dowodził pan sekretarz — byle ich było dużo... pani Silwia musi zwyciężyć —

Z niecierpliwością oczekiwano najbliższego przedstawienia, w którein Silwia wystąpić miała. Publiczność zgromadziła się nadzwyczaj licznie, jaskółka była przepelniona.

Sykania i gwizdania przywitały wchodzącą artystkę. Na te oznaki niezadowolenia, rzuciło Towarzystwo sadownicze taką ilość sałaty i kalafiorów na scenę, że stu osłów miałyby się czem żywić przez cały miesiąc;

Pani Lola oczekująca swego tryumfu w głębi łoża drugiego piętra zemdlła i upadła — tym razem "w objęcia redaktora.

Całe to zajście miało jednak dla Bogoryi najsmutniejsze skutki, rozgniewana bowiem jeszcze bardziej Róża, że publi

czność przyjęła tak gorąco Silwią i że jej dyrektor nie będzie mógł oddalić, nie małą część złości zlała na zdradzieckiego w jej mniemaniu pana Jana i doprowadziła do tego, że mu dyrektor po kilku próbach wypowiedział kontrakt.

Wystaw pan sobie jaki głupi człowiek, mówił później o nim dyrektor do redaktora, sądził, że na scenie potrafi się obejść bez intryg; gdybyśmy grali tylko komedye księdza Bohomolca, w których sami występują mężczyźni, to możeby intryga daleką była od desek teatralnych, skoro jednak mamy za koleżanki kobiety, to prostą drogą nic za kulisami przeprowadzić się nie da.

XI.

Niefortunne spotkanie z panem Zefiryem i tegoż następstwa.

Sterana nawa Bogoryi osiadła znowu na mieliźnie; pozostałe wprawdzie z czasów hotelowych fundusze pozwalały jakiś czas odpocząć po trudach dziwaczego życia, ale nie dawały spokoju na przyszłość. Pan Jan najął mały pokój na trzecim piętrze i postanowił czekać na pomoc Baliela, o której przecież się spodziewał, że koniec końcem nadejdzie.

“Mówiliśmy, że Bogorya z wielkimi zamiłowaniem oddawał się dawniej za czasów swej znajomości z Bagdadzkim astronomii, że nawet doprowadził do pewnych samoistnych badań. W wolnych chwilach nieraz wracał, do ulubionej umiejętności, obecnie zaś nie mając zatrudnienia, znów z większym niż kiedykolwiek zapalem oddał się swej nauce.

Teoria światła i analiza promieni słonecznych najbardziej go zajmowały. Miał nawet niemały zbiór potrzebnych do tego przyrządów, które ustawił obecnie w swym pokoju tworząc z niego małe obserwatorium.

Żył więc jak astronom, przesiadywał godzinami w nocy przy oknie, rozbierał światło księżycy i pewnego dnia przyszedł do przekonania, że promień słońca padający w prostym kierunku ma te same właściwości co drut elektryczny, i że możnaby z łatwością telegrafować do mieszkańców słońca, gdyby

się tam znalazł ktoś, kto by na zapytanie w ten sam sposób dawał odpowiedzi. Sądził nawet, że wynalazek komunikowania się w ten sposób z ludźmi mieszkającymi na słońcu jest kwestią czasu, i że wkrótce będzie im można listy posyłać.

Myślał tylko nad wynalezieniem jakiejś lekkiej flaszki, która by położona na prądzie światła słonecznego w mgnieniu oka poleciała w nieznane światy.

Z czasów kiedy był sekretarzem u pana Eposa, została mu pewna autorska ambicja — nie mógł więc przenieść tego na siebie, aby o swym ważnym wynalazku nie napisać rozprawy i nie umieścić jej w którymś z naukowych czasopism. — Na próżno jednak udawał się do kilku redakcyj, które go wyśmiały, jak gdyby nie chodziło o ważny przewrót umiejętności.

Wydrukował więc broszurę "o telegrafach między ziemią a słońcem" i z bijącym sercem oczekiwał krytyki poważnych autorów. Z nierażem jednak oburzeniem wyczytał w kilka tygodni w "Astronomicznym kwartalniku" następującą notatkę:

"Niejakiemu panu Janowi Bogoryi zdaje się, że odkrył sposób podróżowania na słońce. Broszurę jego w tym przedmiocie napisaną, polecamy wszystkim humorystom."

Dzienniki pochwyciły naturalnie z przyjemnością tę wiadomość i w najniegodziwszy sposób zaczęły się wyśmiewać z Bogoryi.

— Kopernik i Newton także służyli za cel pośmiewiska i prześladowania! pomyślał Bogorya i zagłębiał się dalej w swoich badaniach.

Pewnego dnia wyszedł Jan na przechadzkę i spostrzegł przed sobą idącego mężczyznę, który dziwnie mu się zdawał podobnym do owego Zefiryra Nałęcz, który go chciał swatać z perską księżniczką. Szedł za nim z kwadrans i przekonał się, że to oczywiście ów oszust, zapuścił tylko faworyty i tym sposobem cokolwiek się zmienił.

— Mam cię ptaszku! zawołał Bogorya z radością, poszedł coby prędzej do policyi, opowiedział pokrótce, że ów jegomość jest oszustem, który go okradł na znaczne sumy i prosił aby go zaaresztowano.

Stało się jak Bogorya żądał, Zefiryra osadzono w tym- czasowym więzieniu, a całą sprawę oddano panu Brzuszkiewiczowi sędziemu śledczemu dzielnicy.

Pan Jan był pewnym że Zefiryra nie stracił wziętych od niego pieniędzy, bo z natury był bardzo skąpym — cieszył się też, że przyjdzie znów do majątku i że się będzie mógł poświęcić swym astronomicznym badaniom i zakupić potrzebne mu jeszcze przyrządy. Chodził więc codziennie do sądu z prośbami, aby jak najprędzej przeprowadzono rozprawę, ale pan Brzuszkiewicz odpowiadał zawsze jedno i to samo:

— Niech pan dobrodziej będzie cierpliwym, zrobi się co tylko będzie można...

Po miesiącu takiego upominania się przychodzi do niego sądowy woźny z następującym pismem:

"Podejrzany o zbrodnię oszustwa z § 23049. ustawy karnej Zefiryra Nałęcz został na żądanie p. Jana Bogoryi aresztowany i osadzony w więzieniu śledczym. Ponieważ tenże Zefiryra Nałęcz nie ma własnych środków utrzymania, przeto wzywa się pana Jana Bogoryę, aby zapłacił za niego koszt alimentacji za jeden miesiąc w kwocie 100 złotych i złożył kaucyjną w kwocie 200 zł. na dalsze utrzymanie poszlakowanego.

Jeżeliby p. Jan Bogorya w przeciągu trzech dni nie uczynił zadość temu wezwaniu, zarządzi się fautowanie i licytacja jego ruchomości celem pokrycia powyższej należności"

— To sprawiedliwość! — zawołał Bogorya w uniesieniu do woźnego, powiedz Waspan swemu sędziemu, że jest błaznem albo oszustem, inaczej bowiem takiego wezwania wytlumaczyć sobie nie mogę. Sam na siebie nie wydaję 100 zł. miesięcznie na utrzymanie, a on mi każe taką kwotę płacić aresztantowi.

— Przyjmuję do wiadomości, co pan powiedziałeś — odrzekł z zimną krwią woźny.

Bogorya nie miał na razie pieniędzy, nie spieszył się też z zapłaceniem tej należności, tem bardziej, iż sądził, że w tem państwie nie tak prędko upomną się po raz wtóry o pieniądze,

skoro tak pomału prowadzą procesa. Pod tym jednak względem omylił się bardzo; na trzeci bowiem dzień o ósmej zraua pojawił się ten sam woźny w towarzystwie dwóch pachołków. Przez szklane drzwi mieszkania z pięciu obdartych zaglądało żydów.

Biedny Bogorya protestował, gniewał się, chciał woźnego za drzwi wyrzucać, nic jednak nie pomogło, za pół godziny

zlicytowano ma cenne dlań narzędzia astronomiczne, konieczne środki do osiągnięcia przyszłej sławy, do wynalezienia sposobu przesyłania listów na słońce.

Pan Jan nie mógł się uspokoić, oburzał się na ludzką, niesprawiedliwość, a zapomniawszy nawet ubrać się pobiegł w rannym stroju wprost do biura Brzuszkiewicza i zarzucił go słowami gniewu i pogardy.

Sędzia stał nieporuszony, a ze stoiczną cierpliwością słuchając niegrzeczności skinął na woźnego, który niebawem wszedł z dwoma pachołkami.

— Cóż to? doraźna sprawiedliwość! — krzyknął Bogorya!

Brzuszkiewicz nic na to nie odpowiedział, ale zwracając się do pachołków rzekł: .

— Wsadzić do fiakra i zawieść do szpitala. Woźny będzie prosił odemnie dyrektora szpitala, aby temu panu dał osobny pokoik i miał go w obserwacyi, zdaje się bowiem że ma pomięszanie zmysłów.

Bogorya rzucał się, szarpał— nic nie pomogło, związano go jako furyata i odwieziono do zakładu.

Pan Brzuszkiewicz nie był tak samowładnym sędzią, -jakby się to nam zdawało z dotychczasowego jego postępowania.— Kilka dni przed owera zdarzeniem dostał on następujące pismo od obrońcy Zefiryna.

“Wysoki sądzie! Dziwnym zbiegiem najniezwyklejszych okoliczności padł mój klient ofiarą smutnego dla niego, a wogóle pociesznego nieporozumienia. Nie poczuwając się do żadnej winy, a najmniej do zarzuconej mu zbrodni oszustwa domyślał się, że wskutek jakiejś niezrozumiałej dlań intrygi dostał się do więzienia. Kazał roi zatem śledzić, jakie powody mógł mieć pan Bogorya zarzucając mu haniebną zbrodnię i wogóle kim jest ów człowiek, o którym mój klient nigdy dotąd nie słyszał.

Wskutek mozolnych badań doszedłem do przekonania, że pan Jan Bogorya jest obłąkanym, któremu się zdaje, że ktoś mu wielką skradł fortunę, przypadek zaś zrzucił, że mój klient stał się ofiarą jego przywidzeń.

Przypuszczenie to będące już dzisiaj pewnością opieram na następujących faktach:

Jak wysokiemu sądowi wiadomo, ów Jan Bogorya wydał niedawno niedorzeczną książkę “O telegrafach między ziemią

241

a słońcem,” a lat temu kilka jak wydrukował dzieło zdradzające także chorobliwy umysł “O samotności.” Dzieła te przedkładam wysokiemu sądowi, a przeczytawszy z nich zaledwie kilka kart, możnaby poprzestać na tych tylko dowodach.

Całe awanturnicze życie tego pana, o którym z największą tylko trudnością potrzebne pozbierałem daty, najlepszem jest świadectwem, że pan Bogorya ma umysł niestały, nie-mogący się zająć żadną poważną pracą, że szukał utrzymania w najróżnorodniejszych zajęciach, ale nigdzie nie mógł się ostać, gdyż łatwo się było poznać na jego dziwactwach.

Upraszam zatem wysoki sąd o łaskawe* przeprowadzenie rozprawy w celu udowodnienia, że pan Bogorya jest obłąkanym i że w przystępie obłądu podniósł niegodny zarzut przeciw memu klientowi, a wskutek tego o uwolnienie Zefiryna Nałęczka z więzienia śledczego.

Na świadków powołuję następujące osoby:

1. Pana Eposa Sielankowicza, literata i właściciela dóbr.
2. JW. hrabiego Gustawa, ukończonego akademika z Berlina.
3. Pannę Balbinkę, kapitalistkę, bez zajęcia.
4. Pana Floryana, właściciela hotelu pod tygrysem.
5. Dyrektora teatru, a wreszcie
6. Sądowego woźnego Guzika, który u pua Bogoryi przeprowadzał fantowauię."

Ponieważ sprawa była trudna i dużo wymagała pisaniny, złożył ją tymczasowo p. Brzuszkiewicz do najskrytszej szuflady swego stolika, aby mu nie psuła humoru swoją obecnością i postanowił wziąć się do niej jak tylko będzie miał cokolwiek wolniejszego czasu.

Za sześć tygodni nadeszła wreszcie owa oczekiwana dla klientów chwila; pan sędzia z niesmakiem oglądnął podanie i kazał popisać cytacje dla świadków na drukowanych formularzach.

W naznaczonym terminie stawili się wszyscy świadkowie; sędzia zasiadł przy zielonym stole i dał głos zastępcy Bogoryi, wyznaczonemu z urzędu do tej czynności.

Zastępca adwokat Krętarski patrzył ciągle na zegarek, wzdychał mówiąc: ani grosza się za tę sprawę nie dostanie, a czasu się traci bez liku! wreszcie odchrząknął i tak począł mówić:

“Jednego z mych klientów zawieziono do Bonifratrów, a gdy po raz pierwszy ujrzał się pomiędzy obłąkanymi zawołał z radością: raz przecież znalazłem się pomiędzy rozumnymi ludźmi! co dla jednego jest głupiem, dla drugiego jest mą- drem i odwrotnie. Wyobrażenie o głupocie jest najrozmaitsze, a nikomu nie można tego udowodnić, aby miał pomięszanie zmysłów. Dlatego protestuję przeciw temu, aby świadkowie, których wysoki sąd zaprosił, byli w możności osądzić stan umysłu mego klienta, im bowiem może on się wydawać nienaturalnym, ja zaś i wielu innych możemy podziwiać wielki rozum pana Bogoryi. Wszelkie dowody i zeznania, jakieby świadkowie złożyć mogli, są już w zasadzie fałszywe i do niczego prowadzić nie mogą. Proszę zatem o uwolnienie mego klienta z obserwacji lekarskiej i pozostawienie go losowi, kto bowiem na życie zarabiać i sam się utrzymywać może, ten nie potrzebuje opieki sądu.”

— Zastępca oskarżyciela nic nie ma do powiedzenia? zapytał sędzia.

— Wywody mego przeciwnika zanadto są sofistyczne — odpowiedział adwokat, aby w czemkolwiek mogły wpłynąć na tok sprawy, zrzekam się zatem wszelkiej odpowiedzi.

Przystąpiono zatem do przesłuchania świadków.

Pierwszy wystąpił pan Epos Sielankowicz, w fezie i kamizelce z tureckiego szala, wybierał się bowiem w podróż na Wschód.

— Czyś pan nie wyniósł przekonania ze stosunku jak miałeś z panem Bogoryą, że ten jest niespełna rozumu? — zapytał sędzia.

— Badałem nieraz stan umysłu szaleńców — odpowiedział pan Epos— piłem nawet haszysz, aby studyować na sobie chwilowe obłąkanie i rzeczywiście przyznać muszę, że te same symptomata, które wówczas czułem, spotykałem u pana Bogoryi. Dziwna jakaś namiętność do pisania dzieł o rzeczach, o których się nie ma najmniejszego wyobrażenia, chęć popisywania się swą wiedzą zdradzały, że umysł jego w niezwykłym znajduje się stanie. Co więcej, pan Bogorya zrywał się po nocach i głośno deklamował, tak że nieraz musiałem mu zrobić uwagę, że mi spać przeszkadza.

— Proszę zanotować—odezwał się sędzia do młodego urzędnika — ważne zeznanie, podkreślić czerwonym ołówkiem. — Poczem zawołał: Pan hrabia Gustaw.

— Papa najzupełniej¹ jest przekonany, rzekł Gustaw bawiąc się szklami, że pan Bogorya jest skończonym warya- tem. Był moim sekretarzem w Berlinie, a gdy mnie dwie godziny w domu nie było, posyłał na policję, aby mnie szukano. Papci było tego za wiele i wypowiedział mu miejsce.

— Panna Balbinka, kapitalistka! zawołał sędzia.

Balbinka z pewną gracyą się ukloniła i tak mówić poczęła:

— Gdybym wiedziała, że pan Bogorya na takie mnie narazi nieprzyjemności, że z jego powodu będę musiała jak jaka osoba niskiej kondycji przekraczać progi sądowe! oh! tobym nigdy nie była pozwoiliła na to, aby go ś. p. mój przyjaciel Olenda przyjmował do swego domu.

— Zwracam pani uwagę, że to do rzeczy nie należy,% przerwał sędzia.

Za moją grzeczność, że się tutaj fatygowałam, obdarza mnie pan sędzia słowami, których nie przywykłam słuchać.

— Nie chcę pani bynajmniej urazić, proszę tylko powiedzieć, czy pani uważasz Bogoryę za człowieka ze zdrów cmi zmysłami, czy nic?

— Ś. p. mój przyjaciel Olenda mawiał zawsze, że głupiec z tego Bogoryi, a raz przybiegł nawet bardzo na niego zagniewany, gdyż brakiem rozumu skompromitował firmę!.*

— Bardzo ważne świadectwo— proszę podkreślić czerwonym ołówkiem.

— Następuje pan Floryan, dodał sędzia, przekonawszy się, że podkreślono tamto zeznanie.

— Co do mnie, oświadczył właściciel hotelu, nie mogę wprawdzie utrzymywać, aby Bogorya był obłąkanym, gdyż służył w moim hotelu przez kilka miesięcy; tyle jednak mogę powiedzieć, że jest trochę głupkowskim, nie pamiętał co mu goście polecili i chodził jak gdyby myślał o czera innym, a nie o tera co do niego należało. Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Wystąpił dyrektor teatru.

— W mojej operze był Bogorya zaledwie czterdzieści ośm godzin, poznałem bowiem natychmiast, że ma jakieś dziwaczne wyobrażenia i że wpływałby demoralizująco na artystów.

Pozostał jeszcze woźny, a jego zeznania przemawiały stanowczo przeciw Bogoryi.

— Z przeproszeniem wysokiego sądu — perorował woźny — obwiniony śmiał na pana sędziego powiedzieć, że jest błaznem, chciał mnie za drzwi wytrącić, a tak się strasznie rzucał, że od razu poznałem, iż mu coś brakuje; to też drugim razem poszedłem już do niego z pachółkami, obawiając się jakiego wypadku. Dwa lata temu widziałem jak podobny waryat w przystępie złości na miejscu zabił przekupkę, miałem się też na baczości, a gdyby nie powinność byłbym nie przestąpił jego progu za żadne pieniądze.

— Zeznania woźnego Guzika zasługują na wielką uwagę, odezwał się sędzia, niemi też zamykam przesłuchanie świadków.

Obrońca nie żądał głosu, rozprawę zamknęto.

Na drugi dzień sąd wydał następujący wyrok:

“Zważywszy, że trzech świadków, a mianowicie pan Epos Sielankowicz, hrabia Gustaw i woźny Guzik przytoczyli fakta dowodzące, że Jan Bogorya cierpi pomieszanie zmysłów;

Zważywszy, że trzej inni świadkowie, a mianowicie panna Balbinka, pan Floryan i dyrektor teatru zeznali, że tenże Jan Bogorya jest zupełnym głupcem;

Zważywszy, że Bogorya wprowadził w błąd sądy, rzucając potwarz na Jmci pana Zefiryne Nałęczu i posadzając go

o oszustwo;

Zważywszy, że tym sposobem jego obłąkanie stało się szkodliwym nie tylko wspomnianemu paui Zefirynowi, ale co więcej, może zagrażać innym spokojnym obywatelom państwa

I naruszać porządek publiczny;

Zważywszy, że według zeznania lekarza szpitala głównego, tenże Bogorya przy każdej sposobności wpada w gniew, w którym miota obelgi na sąd i na urzędową sprawiedliwość— i że obawiać się należy, aby jego obłąd nie przemienił się w niebezpieczną furję;

orzeka się co następuje:

Jana Bogoryę, jako człowieka, którego pomieszanie zmysłów niebezpiecznym jest dla społeczeństwa, oddać należy do domu obłąkanych; pana Zefiryne Nałęczu zaś natychmiast uwolnić z więzienia śledczego, pozostawiając mu wolność po

szukiwania strat jakie mógł mieć wskutek swego uwięzienia na majątku rzeczonym Jana Bogoryi[^]

Wyrok udzielono w odpisie nadzorcy szpitali i polecono mu, aby go natychmiast wykonał.

Bogorya siedział w celi rozpaczając nad swym losem i myśląc nad tem, jakby się uwolnić z więzienia, gdy weszło kilku szpitalnych służących, mierząc go bojaźliwym wzrokiem.

— Czego chcecie? cóż tain nowego? zawołał zniecierpli-¹wiony swem położeniem Bogorya.

Na napytanie nie było wszakże rozumnej odpowiedzi, ale słudzy wrzucili nań, jak na furyata worek z grubego płótna i zawieźli do domu obłąkanych.

Tam miał pan Jan dość czasu rozpamiętywać nad swemi dziwnymi przygodami i przyszedł do przekonania, że nic łatwiejszego jak być okrzyczanym za głupca, a nawet za waryata; kilka niepowodzeń w życiu, kilka fałszywych kroków do tego wystarcza. — Im człowiek uboższy, im niżej stoi na szczeblach społeczeństwa, im mniej ma środków własnej obrony, tem mu łatwiej uchodzić za głupca. A biada temu, kogo raz zacznie prześladować owa ludzka duma, chcąca wszystkich poniżyć, a siebie tylko nad wszelkie wynosić mądrości — jak cień chodzi ona wtedy krok w krok za swoją ofiarą i szydkiem ją prześladowuje spojrzaniem.

— Głupiec! głupiec! woła za nim bez ustanku, tak że prześladowany zwątpi nieraz sam o sobie i pyta z rozpaczą:

— Może rzeczywiście oni mądrzejsi odemnie?

Pewnego wieczora, gdy już cisza panowała w zakładzie,

wszedł Baniel do celi Bogoryi.

— Na ciężką skazałeś mnie pokutę — zawołał pan Jan, na tak ciężką nie zasłużyłem!

— Daruj mi odrzekł Baniel— chciałem cię tylko przekonać jak byłeś niesprawiedliwym, patrząc na wszystkich z góry i zowiąc ich głupcami. Spoglądaj na świat okiem nieuprzedzonego mędrca, a pod błazeńską czapka znajdziesz nieraz wiele rozumu. Nie zniechęcaj się do ludzi, gdyż nie ma tuk nizkiego stworzenia, któreby cię czegoś nauczyć nie mogło.

— Zanadto twarde przeszedłem doświadczenia, abym

w prawdziwość słów tych nie miał wierzyć. Pozwól mi przyjacielu wrócić teraz na świat, już w egoizmie zarozumiałości zasklepiac się nie myślę...

— Jeszcze jedna próba — odrzekł Babel, próba która ci nie będzie trudna do przebycia. Przeszedłeś do przekonania , że nic wszyscy są. głupcami, którzy za głupców uchodzą, porównaj jeszcze dwa społeczeństwa: mniemanych głupców i mniemanych ludzi rozumu, naucz się sądzić o ludzkich instytucjach, abyś się dowiedział, że w każdym społeczeństwie i w każdym dziele człowieka znajdziesz pierwiastek głupstwa i rozumu, a ktoby chciał rozum zupełnie od głupstwa rozłączyć, tenby chciał morze łyżką wyczerpać.

-

m
i.

Podróż Bogoryi do Neosparty.

Opis tej podróży wyjmujemy z pamiętników Bogoryi, które spoczywają dotąd w rękopisie i oczekują nakładcy. Oto jego słowa:

Zaopatrzony w list do prezydenta Rzeczypospolitej Neo- spartańskiej wybrałem się w podróż. Droga była utrudza- jąca wśród niezamieszkałych stepów, po pięciu jednak dniach konuej jazdy stanąłem na granicy ciekawego kraju. Zdaleka już ujrzałem ślady wysokiej cywilizacji, kominy fabryk, nadgraniczne gmachy i jakieś różnorodne budynki, których prze- znaczenia nie mogłem sobie wytłómaczyć.

Ogrpmny żołnierz, taki rozrośnięty i barczysty, jak gdyby pochodził z północnych Niemiec, zatrzymał mnie na granicy. Pokazałem mu list do prezydenta — na co on nic nie powiedziawszy, wskazał mi obok stojący dom, abym się tam udał; kilku Indyan i Europejczyków, którzy stanowili moją straż, musiało wrócić, gdyż list upoważniał tylko mnie samego do odwiedzenia ściśle zamkniętej Rzeczypospolitej.

Gmach, który mi wskazano, mieścił wielką salę ze szkła, i żelaza. Mnóstwo tam było ludzi, a wszyscy jednakowo ubrani w wolne szaraczkowe suknie, podobne do europejskich. Z roz- mów ich mogłem zaledwie kilka słów zrozumieć; mówili bowiem językiem neo-spartańskim, jakąś mieszaniną niemieckiego i an-

gielskiego języka. — Na odgłos dzwonka weszło do sali kilkunastu wielkoludów podobnych do owego żołnierza i każdemu z obecnych po kolei kładli na głowę dużą banię szklaną, opierającą się na ramionach. Zapytałem się mego sąsiada po angielsku, co mają znaczyć te banie, nie dostawszy jednak żadnej odpowiedzi, czekałem spokojnie, co dalej z tego wyniknie? Ba! ale i do mnie zbliżył się jeden z wielkoludów i włożył mi na głowę podobną banię. Oddałem się spokojnie operacji, domyślając się, że to może jakiś oryginalny sposób desinfekcyonowania przyjezdnych, którzy mogliby z zagranicy przywieźć zaraźliwe choroby; jakież było jednak moje zdziwienie, gdy na końcu sali otworzono drzwi do nadzwyczaj długiej szklanej rury, urządzonej wewnątrz w kształcie wagonów. Każdy zajął tam miejsce, a mnie los za sąsiada przeznaczył jakiegoś rudego obywatela. Zacząłem mówić do niego po niemiecku, ale spostrzegłem, że jeden drugiego nie może słyszeć. Sąsiad zobaczył jednak ruch moich ust i podsunął mi długą gutaperkową rurę, której jeden koniec przyłożył do mego ucha. Przyłożywszy więc drugi koniec do ust, zapytałem :

- Co z nami będą robić?
- Pojedziemy do Sparty, stolicy Rzeczypospolitej.
- Więc siedzimy w wagonach?
- W wagonach pędzonych siłą elektryczną, za dwie minuty będziemy w stolicy.
- To tak blisko do Sparty?
- Pięćset kilometrów...

Tutaj szybko jeżdżą! pomyślałem — i znów zapyta-
łem:

- A na cóż te banie szklane?

Mój towarzysz roześmiał się i spoglądał na mnie na pół z lekceważeniem, na pół z politowaniem.

— Jakto? nie wiesz pan, odpowiedział, że prąd naciskającego powietrza udusiłby nas, gdybyśmy nie mieli na twarzy ochronnych przyrządów. Pociąg przebiega przecież na minutę 250 kilometrów.

Zawstydziłem się z powodu mej niedomyślności i ucichłem. Nagle ciemno mi się w oczach zrobiło, uczułem gwałtowne szarpnięcie i zaledwie zmówiłem dwa Zdrowaś

Marya, a już konduktor zawołał: Sparta! — a kilkunastu drabów wbiegło do wagonów, aby nas wysadzać. Nie dano mi się nawet opamiętać i oglądnać, ale ani się pytając, ani słuchając mych zapytań, wsadzono ranie do mniejszej rury, podobnej do szklanego słoja. Tym razem zaledwie jeden wyraz powiedzieć mogłem, a już słoje zatrzymał się przed jakimś gmachem, a mój towarzysz wprowadził mnie na pierwsze piętro i krzyknął po angielsku: Prezydent!

Znalazłem się w wielkiej sali ze szkła i z żelaza, a naprzeciw mnie ujrzałem małego człowieka z niezmiernie Wysokim czołem, ubranego jak wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, których dotąd widziałem, z tym tylko wyjątkiem, że miał złote kółko przypięte na piersiach. Oddałem mu list od Ba- licla; prezydent przebiegł go szybko i z wielką uprzejmością przywitał mnie i pytał o wiadomości z Europy. Zdziwiło mnie, że w sali nic nie było prócz mebli i dwóch bardzo wiernych kopij Apollina Belwederskiego i Wenery z Milos, a na ścianie po za biurkiem prezydenta wisiała wielka mapa, podobna do naszych map statystycznych.

- Musi się panu u nas dziwnie wydawać? zapytał prezydent, znajduje pan dużo nowości?

— Od samej granicy spotykają mnie niespodzianki, których sobie wytlómaczyć nie umiem.

— Tak! panowie w Europie nie znacie jeszcze naszej kolonii, abys pan jednak o niej dokładne mógł wywieść wyobrażenie, oddaj mi się na kilka dni w opiekę.

Z wdzięcznością przyjąłem propozycją, a prezydent nie tracąc czasu, zaczął mi zaraz profesorskim tonem wykladać treściwie o urządzeniach swej Rzeczypospolitej.

— Otóż — mówił on — nasza Rzeczpospolita założona w umiarkowanej strefie, gdyż jak panu wiadomo, klimat tej strefy najbardziej sprzyja rozwojowi cywilizacji. Celem naszym jest osiągnięcie w jak najkrótszym czasie szczytu ludzkiej kultury i skłonienie całej ludzkości, aby nam uległa. Na podstawie najnowszych wyników wiedzy chcemy wychować społeczeństwo, któreby się w swych pracach przez żadne inne prześcignąć nie dało. .

Mowę pana prezydenta przerwało usunięcie się jednej

tafli z posadzki, kędy się ukazał stół zastawiony kilkoma potrawami.

— Otóż i nasz obiad — przerwał prezydent — obecnie w całym państwie obiadowa godzina i na stole każdego obywatela te same potrawy, gotowane w jednej fabryce, będącej zakładem państwa;

— Jaki? — w jednej fabryce — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak jest, tym sposobem oszczędza się siłę dwu milionów koni; nikt nie potrzebuje się bowiem troszczyć o jadło. Państwo gotuje śniadanie, obiad i kolację i rozsyła je elektrycznymi pociągami do każdej osady, a że ze Sparty do najdalszych krańców Rzeczypospolitej za dwie minuty dojechać można, więc jadło przybywa zupełnie świeże i ciepłe na miejsce.

Spojrzałem na półmisek. Zupa z jarzyn, surowe kotlety, chleb misternie upieczony z całych ziarn przynicy i jakiś napój stanowiły całą zastawę.

— ■ Nasz obiad może panu nie będzie smakował — odezwał się prezydent — ale mogę ręczyć, że wyjdzie na zdrowie. Nasi chemicy obliczają bowiem: jaki stosunek części składowych pożywienia jest najwłaściwszy dla ludzkiego organizmu i według najściślejszych przepisów sporządzają potrawy.

Zupa nie była wprawdzie dobra, ale można ją było jeść, surowych kotletów w żaden sposób jednak nie mogłem do ust przybliżyć, tak je czuć było chlorkiem.

— Kotlety jak widzę uie smakują panu — zauważył prezydent — trzeba się przezwyciężyć. Surowe mięso, jak może panu wiadomo, sprowadza czasem solitera, aby się od tego uchronić, moczy się go pierwej w chlorku, co jeszcze ma ten nadzwyczajny skutek, że chlorek desinfekcyonuje trzewia i oddala wszelkie choroby.

Westchnąłem głęboko i pomyślałem: bodaj to nasze nie-racjonalne beefsteaki!

Po owym spartańskim obiedzie zapytałem prezydenta, coby za znaczenie miała owa mapa-na ścianie, która z razu zwróciła moją uwagę?

— To mapa naszej ludności. Obywateli Rzeczypospolitej uzyskujemy za pomocą krzyżowania ras. W tym czerwonym pasie — mówił dalej wskazując na odpowiednie miejsce

raa-
py — chodujemy obrońców ojczyzny. Produkujemy tam rasę ludzi silnych, barczystych, wytrwałych, bitnych, którzy od młodości do późnego wieku niczem się nie trudnią jak tylko gimnastyką, robieniem bronią, strzelaniem, a możesz pan sądzić, że tym sposobem dojdziemy wkrótce do armii, której się żadne wojsko na świecie oprzeć nie zdoła.

— A cóż robicie z ludźmi słabymi, wątłymi, którzy się i tam przytrafiać muszą?

— Obyczajem spartańskim nie pozwalamy* dorastać kalekom, -złe zaraz w początku zabijamy. I my mamy nasz Tajgetos! wprawdzie nie wynosimy tam żywych dzieci na pożarcie dzikim zwierzętom, ale lekarze trują w pierwszym tygodniu każde dziecię uiezdolne do fizycznego wykształcenia się. Ciała tych dzieci pali się i rozsypuje po wierzchołkach gór.

O dym okazywał zdziwienie i oburzenie* dodał prezydent z flegmatyczną miną:

— • Jestto największe dobrodziejstwo, jakie może państwo wyrządzić tym istotom — nie pozwala im męczyć się p^zez długie lata, ale skraca ich cierpienia. Dobrze to zrozumiany humanitaryzm. — Wracając jednak do mapy, muszę ją panu dalej wyjaśnić: szmat kraju oznaczony zieloną barwą, produkuje ludność rolniczą; 'są to nasze najurodzajniejsze posiadłości, spichrz całej Rzeczypospolitej; ten mały skrawek brunatny mieści ludność fabryczną, a tamten niebieski przeznaczony dla części narodu, która się zajmuje umysłową pracą.

— A samo miasto, stolica Rzeczypospolitej — zapytałem — dla jakiej jest przeznaczona ludności?

* — Tutaj mieszkają tylko funkeyonariusze państwa, ludność wyborowa, wyprodukowana już w jednej z powyższych prowincyj.

Uśmiechnąłem się na widok małej figurki prezydenta, który nie przyniósłby zaszczytu postępowej chowoli ludzi; przypomniałem sobie jednak, co mi opowiadał Baliel, że prezydent niedawno się osiedlił w Rzeczypospolitej, a poprzednio był profesorem filozofii w Berlinie. Pewne śmiałe reformy, z którymi wystąpił w Neo-Sparcie, a mianowicie ustawa o małżeństwie, zjednały mu taki rozgłos, że wyjątkowo został obrany jako cudzoziemiec do senatu, a później powołany na

krzesło prezydenta. Sądząc, że mu przyjemność sprawię, pytając go o najważniejszą jego dzieło, o powyższą ustawę o małżeństwie, prosiłem go aby mi ją objaśnił.

— Rzecz bardzo prosta — odpowiedział — wypływająca z kierunku naszej Rzeczypospolitej i zdrowych zasad rozumu. Nikt bez pozwolenia państwa żenić się nie może, najwyższy urząd krzyżowania ras bada każdego, kto się stara o to pozwolenie.

— Co się dzieje z takimi, którym urząd odmówi pozwolenia?

— Mogą się przydać w innej kombinacji małżeńskiej, a jeżeli państwo uzna ich za nieprzydatnych do swoich celów, następuje banicya z Rzeczypospolitej. Takie bauicye/są jednak tylko tymczasową koniecznością, za lat bowiem kilkadziesiąt rasy obywateli Rzeczypospolitej tak się wykształcą, że nie zajdzie potrzeba wykluczania kogoś od reprodukcji.

Prezydent tak był łaskawym, że mnie zaraz zaprowadził do owej najwyższej magistratury krzyżowania ras.

— Przypatrzysz się pan w rzeczywistości temu, o cze- meśmy mówili.

Weszliśmy do długiego budynku. Mnóstwo mężczyzn i kobiet czekało na lekarskie badania; wszyscy się kłaniali prezydentowi z uszanowaniem.

W osobnej gajeryi zastaliśmy zebranych urzędników. Chodziło o małżeństwo młodego profesora historii z córką rolnika. W zasadzie była zatem przeszkoda, człowiekowi pracującemu bowiem umysłowo wolno się żenić tylko z panną ze swej kasty.

Jak się obywatel nazywa? pytał się urzędnik deliukwenta.

— Agatokles. — Trzeba bowiem wiedzieć, że Neospar- tanie tylko greckie i łacińskie mają nazwiska.

Urzędnik zaczął szukać w wielkiej księdze spisu ludności i zaraz znalazł rodzinę Agatoklesów.

—i To rodzina geniuszów! zauważył do prezydenta.

Zapytałem się: co znaczy to określenie? — Grzeczny prezydent zaraz mi wyjaśnił, że każda klasa ludzi dzieli się na trzy kategorie, osobno zapisane w księgach ludności. Do pierwszej należą rodziny geniuszów, zdolności pierwszej próby, do drugiej rodziny talentów, a do trzeciej zwykle zdolności.

Stosownie do tego są księgi geniuszów z kastą ludzi pracujących umysłowo, z kastą rolników, żołnierzy i fabrykantów.

— Nazwisko panny młodej? — pytał dalej urzędnik.

— Juno Sophia — odpowiedział ojciec za córkę, która się oblała rumieńcem i oczy na dół spuściła.

Przypatrzyłem się biedaczce: była rumiana, zdrowa i wcale przystojna. Odprowadzono ją do osobnego pokoju, gdzie miano badać jej fizyczne kwalifikacje. Tymczasem dwóch lekarzy zbliżyło się do Agatoklesa i dyktowało następujący protokół:

— Agatokles, Nr. 12ty drzewa genealogicznego, czoło wysokie na 13*02 centimetra, przewyższa zatem o 1*02 cent. przepisaną wysokość czoła jeniuszów; wypukłość głowy z tyłu znaczna, organ mowy mniej przydatny na profesora, zęby trochę zużyte; w przybliżeniu żyć może lat 59. Inne zdolności...

Wzgląd na szanownych czytelników nie pozwala mi przytoczyć dalszej treści protokołu, wchodzącego zbyt szczegółowo w fizyczne kwalifikacje człowieka.

Po chwili przyniesiono podobny protokół opisujący Juu- nę, z którego się okazało, że pretendentka stanu małżeńskiego ma dziwnym wypadkiem daleko więcej kwalifikacji na matkę stanu żołnierskiego, aniżeli na matronę mającą wychować "synów z zawodu umysłowego.

-f- Dziewięćdziesiąt pięć centymetrów szeroka w plecach — zauważył urzędnik.

Lekarze porozmawiali jeszcze z urzędnikami, poczem jeden z nich ogłosił wyrok: że państwo nie zezwala na małżeństwo Agatoklesa z Junoną, jemu każe sobie nowej szukać narzeczonej, a jej przykazuje wybierać męża ze stanu wojennego. Ażeby zaś uniknąć płaczów i prośb niepotrzebnych, wszystko jak było urządzone, że po ogłoszeniu wyroku w mgnieniu oka włożyli pachołki historyka w inną a Junonę w inną rurę szklaną i odwieźli do miejsca zamieszkania.

— Ależ to barbarzyństwo tak szybko ich rozdzielać! — zauważyłem do jednego z urzędników.

— Owszem, to wielce humanitarny uczynek; w ten sposób bowiem nie mają czasu rozwodzić wzajemnie swych żalów, uczucie nie zwiększa się w niepotrzebnych pożegnaniach, a oddalenie przyczynia się niemało do tego, że wkrótce o sobie

zapomną i staną tutaj w innej parze. W przeciągu roku, mój panie — dodał urzędnik z pewną dumą - po dziesięć razy staje czasem ta sama panna z coraz to innym kandydatem stanu małżeńskiego, dopóki nie dostanie pozwolenia.

— Mnóstwo przecież — zauważyłem, musi zostawać sta-remi pannami.

— Ani jedna-, gdyż każdą czterdziestoletnią pannę czeka banicya — to się jednak dość często zdarza, że mężatki uciekają ztąd do barbarzyńskich krajów.

Najwyższym urzędem jest biuro statystyczne, a tegoż organizacja mogłaby rzeczywiście wzbudzić podziwienie w Europie. Najdrobniejszy szczegół z życia neospartońskich obywateli jest tam zapisany i obliczony. Rzeczpospolita wie z największą dokładnością, ile kilogramów mięsa lub chleba zjada każdy z jej obywateli, ile wody wypije, ba nawet ile kroków ua dzień zrobi. Wskutek tych obliczeń polieya dochodzi do takich rezultatów, że wie naprzód o kilka miesięcy, który z Neospartanów zachoruje na zapalenie płuc, a który sobie gardło poderżnie. Dziwna bowiem rzecz, że w Rzeczypospolitej neospartańskiej daleko więcej się zdarza przypadków samobójstwa, aniżeli gdziekolwiek indziej na świecie. Tamtejsi uczeni tłumaczyli mi, że fakt ten nie jest szkodliwym, bo cóż państwu może zawadzić, że sobie odbierze życie obywatel, który nie ma już ochoty wykonywać swoich obowiązków ?

W Nowej-Sparcie zupełnie niema pieniędzy. Biuro statystyczne prowadzi ogólne rachunki, a ponieważ państwo żywi i okrywa każdego obywatela, więc prywatny człowiek nie potrzebuje nigdy środka wymiany. Państwo odbiera zapłatę za swe dobrodziejstwa w pracy obywateli.

— A cóż robicie, jeżeli kto nie chce robić? jeżeli kto jest nałogowym próżniakiem — pytałem się urzędnika biura statystycznego.

-- Nie posyła mu się śniadania lub obiadu, a zaraz wraca do pracy. • *

— Zupełnie jak u nas z dziećmi — odpowiedziałem.

Neospartanie nazywają wszystkie inne kraje barbarzyńskiemu

Po tyłu różnorodnych wrażeniach czekał mnie jeszcze tego samego dnia wielki koncert, na który mnie prezydent zaprosił. Miałem tam ujrzeć zebraną całą miejską publiczność.

Jedynie w rzeczach sztuki uznają Neospartanie europejskie powagi, z którego też powodu koncert rozpoczął się od jakiegoś utworu Wagnera. Siedzieliśmy w wielkim cyrku zbudowanym naksztalt cyrków starożytnych, ławki publiczności były wszakże nakryte szklanym dachem. Publiczność nieciekawa, gdyż będąc jednakowo ubraną, wygląda wielce jednostajnie. Wszyscy w sieraczkach, tak kobiety jak mężczyźni, a suknie tym samym zrobione krojem.

Zapytałem się z jakiego to powodu? na co mi odpowiedziano, że każdy obywatel dostaje ubiór z fabryk państwa, po dwa garnitury do roku, a dla urzeczywistnienia demokratycznej idei wszystkie suknie są jednakie, nic bowiem tak jak ubiór nie daje sposobności do wyróżnienia się od swoich bliźnich. Zwierzęta jednego i tego samego gatunku jednaką sierścią są pokryte.

Ciekawy byłem wagnerowskiej muzyki. Jakież było wszakże nioje zdziwienie, gdym się dowiedział, że nie ludzie będą grać, ale maszyny. Świst kotłów parowych uprzedził mnie o tem: proszę sobie wyobrazić skrzypce, basy, trąby, wszystko parowe. Dzikie zwierzęta pustyni byłyby pouciekały na odgłos tej orkiestry.

Szczególniejsze w swoim rodzaju było jednak wykonanie hymnu skomponowanego przez obywatela Rzeczypospolitej Neo-spartańskiej pana Sophoklesa, wykonane* na nowo wynalezionych organach działowych.

Zapytacie się, co to za instrument? Bardzo prosty: Wystawcie sobie organy, w których zamiast piszczałek są powsta-wiane działa i to od najcięższego do najlżejszego wagomiaru. Za pociśnięciem jednego klawisza wypala jedno działło i wydaje mocniejszy lub słabszy odgłos stósownie do wielkości działła. Powstaje muzyka godna uszów Neospartańczyków i

n.

Po kilkudniowym pobycie w Sparcie pojechałem z prezydentem zwiedzać kraj. Zaczęliśmy od prowincji ludzi przeznaczonych do umysłowych potrzeb Rzeczypospolitej. Prowincja ta jest terytoryalnie najmniejszą i wygląda jak wielkie miasto rzadko zabudowane, a pełne ogrodów. Ziemia bowiem jest tutaj przeznaczoną tylko na ogrody botaniczne, spacerowe, pola doświadczalne, wogóle ma służyć tylko do pomocy w nauce tamtejszej ludności.

Zaraz na wstępie uderzyło mnie, że cała ludność ma nadzwyczaj wysokie czoła, wypukłe głowy i pochylone barki. Wszyscy byli tutaj "podobni do owego Agatoklesa, którego w Sparcie widziałem. Krzyżowanie ras doprowadziło więc do znakomitych rezultatów. Wysokie czoła łatwo sobie było wytłómaczyć, pytałem się jednak co mają znaczyć pochylone barki? Odpowiedziano mi, że naumyślnie chodzą takich ludzi, aby ich nie męczyło schyłanie przy pisaniu, lecz owszem było najmiłszym ich położeniem ciała.

Weszliśmy do kolonii pierwszej, kolonii filozofów, mających za zadanie rozstrzygnąć wszystkie dotychczas niewyjaśnione tajniki natury, a przede wszystkim wynaleźć sposób robienia ludzi za pomocą maszyn. Neospartańska filozofia uważa bowiem za ostateczny cel nauki zupełne wyswobodzenie się z pod wpływów przyrody i dopiero wtedy będzie uważała swe zadanie za skończone, jeżeli stósownie do potrzeb państwa będzie można wytwarzać ludzi. Potrzeba np. znakomitego inżyniera, a więc chemicy dodają do rozczyntu, z którego robią ludzi, dwa grany amoniaku więcej—i jest inżynier; potrzeba wodza dla armii, uaskrobią trochę kamienia piekielnego — i mają wodza.

Dotychczas doprowadzili do tego, że zrobili psa, który aportuje, i tę tylko posiada wadę, że nie ma węchu; zając może go" w nos ugryźć, a pies się nie ruszy.

— Jestem jednak przekonany, mówił mi uczoney, który tego psa wymyślił, że i tę trudność wkrótce przewyciężyć potrafię, a nowy mój pies będzie uławiał jak tylko zająca obaczy. s

Zwróciło moją uwagę, że nigdzie, ani w stolicy, ani na prowincji nie widziałem obrazów, ani żadnych rycin, a około dróg i domów stały wszędzie jak najgorsze kopie posągów Apollina i Wenery z Milos. Sądziłem, że Neospartanie mają jakiś szczególny kult dla tych bóstw starożytnych, dowiedziałem się jednak, że jestem w błędzie, te dwa posągi bowiem, jako uznane najpiękniejsze kształty ludzkie mają służyć za wzór wszystkim matkom i ojcom, do którego w produkowaniu przyszłych generacji dążyć należy, wszelkie inne obrazy albo malowidła z tej samej przyczyny są wykluczone z domów, mogłyby bowiem wprowadzać odmiany od owych wzorów.

Zauważyłem wprawdzie, że wobec chodowania ludzi z wysokiemi czołami i przygarbionym grzbietem, trudno będzie dojść do kształtów Apollina lub Wenery, odpowiedziało mi jednak że z czasem da się wynaleźć sposób komprymowania mózgu w ten sposób, aby w jak najmniejszej objętości jak najwięcej miał siły: Wtedy już nie będzie potrzeby chodowania uczonych z wysokimi czołami, ale kształt ludzki da się zbliżyć do ideału, jakim "jest Apollo Belwederski.

Pozwoliłem sobie raz pewnego zwrócić uwagę prezydenta, że Rzeczpospolita nie jest bynajmniej ugruntowana na zasadach demokratycznych, jakby się to na pozór zdawać mogło, ale jest w najwyższym stopniu państwem kastowym, przewyższającym jeszcze dawne egipskie i indyjskie państwa. Człowiek jest tutaj niewolnikiem państwa, które tak dalece nim zawładnęło, że na kilka generacji naprzód śmie mu wyznaczać stanowisko w społeczeństwie i nagina na

wet jego naturę do swoich potrzeb i przywidzeń. Klasa ludzi przeznaczonych do umysłowych potrzeb państwa, albo klasa wojskowa, jako przedstawicielka fizycznej potęgi stanie się kiedyś wyłącznie panującą i będzie na swoją korzyść wyzyskiwała inne kasty.

Pan prezydent czuł się trochę dotkniętym moją uwagą, a osobliwie słowem "kasty" i wogóle nie mógł pojąć, jak człowiek nienależący do szkoły berlińskich filozofów śmie krytykować wymyślane przez nich mądre instytucje. Mając wzgląd jednak na to że byłem gościem, odpowiedział mi, że harmonia i równowaga tak jest w Rzeczypospolitej wskutek podziału na klasy wybornie utrzymaną, że społeczeństwo tylko za wzajemnym udziałem wszystkich klas istnieć może!

— Jakimże sposobem, pytał, mogą wojskowi stać się potęgą wyłącznie rządzącą, jeżeli w danym razie rolnicy odmówią im chleba, a fabrykanci broni i odzieży?

Pomyślałem sobie, że nic łatwiejszego jak wydrzeć ten chleb i tę broń jeżeli się jest silniejszym, nie chciałem się jednak sprzeciwiać memu dostojnemu gospodarzowi, który o ile mi się zdaje, więcej posiadał w swej głowie filozoficznych teorii aniżeli zdrowego rozsądku.

Niebawem pożegnał mnie prezydent, -powołany do stolicy z powodu ważnych spraw państwa, a mnie polecił jednemu z najznakomitszych uczonych p. Nikomedonowi. Nowy przewodnik zaprosił mnie do siebie do domu i z uprzejmością opowiedział o szczegółach swego życia.

Z wielką ciekawością oglądałem u niego po raz pierwszy jedyną gazetę jaka wychodzi w Neosparcie. Wychodzi ona codziennie w pięciu tomach ułożonych w sposób encyklopedyczny, ażeby każdy stósownie do potrzeby lub ciekawości mógł w niej znaleźć wiadomość.

— Czy też o moim pobycie co napisali? pomyślałem i otworzyłem literę B. i rzeczywiście pod słowem Bogorya wyczytałem co następuje:

"Jeden z barbarzyńskich potentatów polecił Jego najdoskonalszej Wysokości, naszemu panu Prezydentowi podróżnika, niejakiego pana Bogoryę, który się chce przekonać o mądrości naszych instytucji, o których rozgłośna sława obiega po całym świecie. Obywatelom Rzeczypospolitej zakazuje się* niniejszem, aby z tym podróżnikiem w jakiegokolwiek wchodzili stosunki, a przyjmować go mogą tylko ci, którzy mają do tego upoważnienie od Jego najdoskonalszej Wysokości pana prezydenta."

Zapytałem się mego gospodarza, coby to był za powód tak surowego zakazu. Wzbraniał się najprzód dać mi odpowiedzi, gdym mu jednak wytłómaczył, że za kilka dni wyjadę i z Neospartauami nic nie będę miał więcej do czynienia, nabrał do mnie zaufania, a oglądnąwszy się na około, czy kto nie słucha, tak do mnie mówił:

— Bardzo mnie dziwi, że prezydent pozwolił panu zwiedzać naszą Rzeczpospolitą, od lat pięciu jesteś trzecim dopiero Europejczykiem, którego ta łaska spotkała. Widzę, że jesteś prawym człowiekiem i nie zechcesz mojej zguby, powiem więc panu otwarcie, że rząd nasz boi się, aby przez zetknięcie się z zagranicą nie dostały się do nas idee rewolucyjne i aby się powiększyło stronnictwo niezadowolonych; boi się abyśmy nie poznali, że wszędzie lepiej aniżeli u nas.

— Jako? — więc jest u was stronnictwo niezadowolonych?

— Zrób mi pan jedną obietnicę, to ci wszystko opowiem, możesz być nam nadzwyczajnym użytecznym; jesteś jakby przysłanym przez Wielki Atom.

— Jeżeli to tylko będzie w mojej mocy — odpowiedziałem — i jeżeli tem nie naruszę praw gościnności.

— Zupełnie w twojej mocy, a wielkim swym czynem nietylko że nie naruszysz praw gościnności, ale co więcej na wieki się zasłużysz około szczęścia tutejszych mieszkańców.

— Krótka moja prośba — dodał cicho i drżąco. — Czy nie masz niepotrzebnego ubrania i czy nie mógłbyś mi go podarować?

Spojrzałem na niego z niemałym zdziwieniem, zawahałem się co odpowiedzieć, sądząc, że mam przed sobą człowieka, któryby się u nas kwalifikował do Bonifratrów? Zaspokoilem go jednak natychmiast, że z przyjemnością będę mu służył nowem paryskim ubraniem.

Nie widziałem w życiu większej radości! Szanowny Ni- komedon ścisnął mnie i całował, dziękując za dar tak znakomity, a po chwili .wyjaśnił mi całą doniosłość mego podarunku.

Otóż jest on naczelnikiem stronnictwa niezadowolonych, które stara się jednym zamachem zniszczyć republikę; rządy jednak spoczywają w bardzo silnych rękach i sprzysiężnicę łatwo się odkryć może. Wtedy niema dlań ratunku: albo śmierć, albo ucieczka. Ucieczka jednak jest niepodobną bez europejskiego ubrania, którego w całej republice nie dostanie, bo państwo, jak wiadomo, wszystkich swych obywateli jednostajnie okrywa sukniem.

— Ależ cię łatwo poznać mogą, obywatelu Nikomedonie ?

— Bardzo trudno, nikt nie przypuści na granicy, aby Neospartanin mógł mieć obcy ubiór, nie mając ani pieniędzy ani sukna, wydam się więc łatwo za posła europejskiego do prezydenta.

— A jakżeż się obejdziesz bez pieniędzy?

— Mam kilka dyamentów znalezionych w górach, te sprzedam za granicą.

Żał mi się biedaka zrobiło, dałem na początek nieco amerykańskiej monety. Nikomedon tak się tem rozczulił, że odtąd uważał mnie za największego swego dobrodzieja.

Mówiliśmy długo o stosunkach państwa, poczem zaprowadził mnie ukrytymi w podłodze drzwiami do wielkiej oświetlonej piwnicy, w której spostrzegłem najróżnorodniejsze maszyny z niezrozumiałem dla mnie przeznaczeniem.

— To cała nasza nadzieja i cała przyszłość republiki — powiedział, wskazując na maszyny. Poczem mi wyjaśnił, że jedynym jego życiem zadaniem jest wynaleźć taką chemiczną mieszaninę, której mała garść zdołałaby całe miasto Neo-Spartę wysadzić w powietrze.

Oślupiałem na takie zamysły, Nikomedon tak mi to jednak tłumaczył:

— Wszystkie sprężyny naszych nieszczęść gromadzą się w Neospartie, tam się zespala owa despotyczna organizacja, która nam nie pozwala żenić się według woli, która nam truje dzieci, jeżeli nie urodzą się odpowiednie do jej widoków, tam spisują każde nasze poruszenie, kontrolują najmniejszą czynność. Jeżeli Neospartę wysadzimy w powietrze, wtedy pękła cała organizacja i każdy z nas może uciekać z tego nieszczęsnego kraju, albo zaprowadzić sobie rządy, jakie są u was w Europie.

Pytałem się Nikomedona, jacy członkowie należą do sprzysiężenia ? z pozorów bowiem sądząc, zdawało mi się, że w Neospartie bardzo jest mało rewolucyjnych żywiołów.

— Więcej jak myślisz — odpowiedział Nikomedon — do stronnictwa niezadowolonych liczą się prawie wszyscy mieszkańcy naszej prowincji i prowincji fabrycznej; ludność zaś rolnicza i wojskowa najbardziej jest zacofaną.

Co do mnie, to ów brak pochopności w ludności rolniczej i wojskowej do wywołania społecznych przewrotów tłumaczy-łem sobie tem, że jedna i druga mogła mieć jeszcze jakieś złudzenia, jakieś nadzieje, podczas gdy neospartańscy uczeni najzupełniej zwątpili w swe instytucje, a mieszkańcy prowincji fabrycznej, jak się to później przekonamy, najniezwyklejszy prowadzili żywot.

Byłem zadowolony, gdy wyszedłem z owej fabryki piekielnych machin, dreszcz mnie przechodził na samą myśl o strasznym ich przeznaczeniu. Groźne wrażenia miały się jednak wkrótce zatrzeć innego rodzaju widokiem.

Nikomedon obiecał mnie zaprowadzić po południu do szkoły małych dzieci; trzeba bowiem wiedzieć, że w owej republice nie matki lub niania uczą mówić niemowlęta, ale i na nie państwo swe opiekuńcze rozciągnęło skrzydła.

O naznaczonej godzinie weszliśmy do dużego zabudowania, w którym ujrzelśmy kilkaset trzech- do pięcioletnich dzieci. Uderzyło mnie, że zamiast posadzki cały gmach wyłożony był pewnym rodzajem gutaperchowego bardzo miękkiego materaca.

Nikomedon wyjaśnił mi, że w ten sposób mogą dzieci swobodnie chodzić, a chociażby się przewróciły, nic złego sobie nie zrobią.

Pomiędzy dziećmi przechadzały się nauczycielki, zakładając im co chwila jakieś maszynki na usta podobne do owych —<przepasek, które suchotnicy noszą dla uchronienia się od wdychania zimnego powietrza. Ile razy jednak dziecku założono taką przepaskę, zdawało mi się, że krzyczy w niebogłosy, a przecież w sali tak było cicho, że brzęczenie muchy można było słyszeć.

Nikomedon znów przyszedł w pomoc mej niedomyślności.

— Jako? u was nie znają tego praktycznego wyna

lazku? Te przepaski, które pan widzisz, są-to maszynki do neutralizowania głosu, a jak tylko nauczycielka widzi, że dzieciak ma ochotę płakać, natychmiast zakłada mu przepaskę, która głosu nie przepuszcza. Inaczej pomiędzy taką masą dzieci byłoby nie do wytrzymania.

Chcąc się popisać mądrością wychowanków rzeczywospolitej, zgromadziła nauczycielka gromadkę dzieci około siebie i zaczęła im przy mnie zadawać pytania.

— Z czego się składa powietrze, którym oddychamy? — zapytała czteroletniego chłopca. Dzieciak się namyślił, zmarszczył czoło, a po chwili śmiało odpowiedział:

— Z cukru i z mleka...

Nauczycielka bardzo była niezadowolona z tej odpowiedzi i tłumaczyła mi, że widok obcego człowieka, ubranego w odmienne stroje, rozrywa uwagę dzieci i stał się powodem nedorzecznej odpowiedzi.

— Ten chłopak jednak, mój ulubieniec, będzie przytomnieją/y— dodała wskazując na jakiegoś tłuściocha z bardzo wysokim czołem.

— Jak daleko leży księżyc od ziemi? — zapytała go.

— Ptaszek śpiewa na dachu — odpowiedział chłopiec, widząc skowronka siadającego na szklanej tafli.

Rozgniewana nauczycielka uderzyła biedaka po palcach, chłopiec zaczynał krzyczeć, ale wprawna ochmistrzyni w tej chwili nałożyła mu pasek na usta, i odtąd widziałem wprawdzie najzabawniejsze miny na twarzy chłopaka, ale głosu jego nie słyszałem.

Pytałem się mego przewodnika, jakie zasady religii i moralności zwykli wpajać w dzieci?

•— Przedewszystkiem mówimy im prawdę, mówimy im, że świat się składa z siły i materii i że wszystko powstało z atomu. Jedną tylko trudność zachodzi: w wytłómaczeniu im głównych zasad umiejętności, gdyż zawsze wyobrażają sobie ów atom jako ojca albo nauczycielkę i ztąd jeszcze rodzi się w nich pewna niejasność pojęć. Sądzymy wszakże, że nasi pedagogowie zdołają z czasem przewyciężyć te drobnostki i wy- najdą sposób wpajania w dzieci prawdziwych pojęć o świecie i jego istnienia. Dążeniem naszym jest bowiem dojść do ta

kiego systemu pedagogicznego, aby człowiek niczego się nie uczył niepotrzebnie, żadnego nie widział przed sobą dzieła imaginacji, słowem od dzieciństwa czystą się karmił prawdą.

Zwiedzałem jeszcze z Nikomedonem akademią, w której się młodzież kształci na uczonych i z niemałym zdziwieniem zobaczyłem tam dwunastoletnich doktorów i piętnastoletnich profesorów, odzianych w togi i birety.

Dwóch takich mędrców mających razem lat dwadzieścia dwa, wiodło na posiedzeniu akademii uczoną dysputę nad istotą miłości. Jeden z nich w bardzo uczonej przemowie dowodził, że miłość jest nieświadomym w człowieku popędem, wzbudzającym nader szybki obieg krwi w sercu; drugi zbijał to twierdzenie, sądząc, że miłość jest w ludzkości pozostałością z czasów pierwotnych, z epoki barbarzyńskiej i podobnie jak zabobon albo wiara w szatana nie dała się w zupełności wykorzenić, ale z czasem zniknie pod wpływem wzmagającej się cywilizacji.

— Zapewne z tych panów żaden się jeszcze nie kochał? — zapytałem Nikomedona.

— Rzecz naturalna — odpowiedział tenże — że sami się nie kochali, ale czynili w szpitalu liczne spostrzeżenia nad zakochanymi.

— Jakto? czyż u was istnieje szpital dla zakochanych?

— Rzecz naturalna i wszak zdarzają się wypadki, że ten i ów młodzieniec nie chce wstąpić w związki małżeńskie, jeżeli mu biuro krzyżowania ras odmówiło pozwolenia. Zdaje mu się, że może żyć tylko z ową osobą, którą sobie obrał... Takich nieszczęśliwych zmusza się dyetą do wyszukania sobie innej narzeczonej, a jeżeli i to nie pomoże, oddaje się ich do szpitala jako umysłowo chorych.

— I czy bywają wypadki wyleczenia?

— Bywają. Właśnie ów młody doktor, którego przed chwilą słyszałeś dysputującego, opowiadał mi, że dziesięciu młodzieńców dyetą wyleczył z bardzo niebezpiecznego stanu zakochania.

— Jakaż-to była dyeta?

— Przez cały rok żywił ich tylko marchwią, a za jedyny napój dawał ciepłą wodę.

— Taką dietą nietylko z miłości, ale z życia można człowieka wyleczyć —
odpowiedziałem.

Wróciwszy z akademii do domu, uczułem ból głowy, gorączkę, i nie wiem czy-to skutkiem uciążliwej podróży, czy też neospartańskiego pożywienia dość mocno zachorowałem.

Nikomedon oświadczył mi, że musi dać znać do szpitala, aby po mnie przysłano. Prosiłem go bardzo, żeby tego nie czynił; ale oświadczył mi, że nie może na siebie tak wielkiej brać odpowiedzialności — nie wolno bowiem najbliższego nawet chorego pozostawiać w domu; tym sposobem bowiem łatwo rozszerzają się choroby, a zresztą w domu chory nie może mieć tak wybornej opieki jak w publicznym szpitalu.

Prośby moje na nic się nie przydały, znalazłem się za godzinę w szpitalu i ujrzałem około siebie ze dwunastu lekarzy. Każdy z nich po kolei do mnie przystępował i inną część ciała oglądał, każdy był bowiem specjalistą.

Mówiłem: że mnie głowa boli, jeden więc z lekarzy badał stan skóry na głowie, drugi przypatrywał się włosom przez mikroskop, inny nad brwiami się zastanawiał, a zanim doszli do oka, już z ośmiu mnie widziało. Dowiedziałem się w ten sposób z przerażeniem, że tam podział pracy pomiędzy lekarzami do takiej doszedł doskonałości, że inni są doktorowie do wielkiego a inni do małego palca, inni do prawego a inni do lewego oka, ba nawet dziurki w nosie mają swoich specjalnych lekarzy.

Trzeba było słyszeć, jak się ci liczni doktorzy zaczęli sprzeczać nad stanem mojej biednej głowy.

— Kolega nie masz o tem wyobrażenia, że ból głowy z żołądka może pochodzić — krzyczał jeden.

— Kolega nie możesz sądzić o lewej stronie głowy, nie znając natury lewego oka — wołał drugi.

Wśród tych sporów zasnąłem, a przebudziwszy się, zastałem przed sobą z piętnaście gatunków proszków, pigułek, mikstur, z których jedne miały być przeznaczone na uśmierzenie bólu w żyłę idącej pod samą skórą, inne miały działać na system nerwowy itd. itd.

Nie wiele myśląc, zmięszałem wszystkie te lekarstwa i wyrzuciłem za okno, a przespawszy się jeszcze kilka godzin, uczułem znaczne polepszenie i przekonałem się, że miałem zwykły katar.

Trzeba jednak było widzieć tryumf doktorów, gdym się zdrów z łóżka podnosił; pytali z dumą:

— Czyż macie takich lekarzy w Europie?..

Zwiedzanie akademii i choroba zbliżyła mnie do kilku słynnych uczonych, pomiędzy którymi znajdował się Aristoteles, jeden z najznakomitszych ludzi Neo-Sparty.

Miał on wielkie zadanie do rozwiązania. Uczeni neospartanscy sądzili, że położenie geograficzne ich ojczyzny nie sprzyja w zupełności rozwojowi społeczeństwa i że chcąc doprowadzić ludzkość do idealnego stanu, trzeba by wyszukać kraj o zupełnie odmiennych warunkach. Neospartańskie towarzystwo geograficzne z wielką sumiennością badało wszystkie zakątki ziemi, ale żaden kraj nie zdawał się odpowiadać trudnym warunkom, jakie stawiali. Aristoteles wpadł jednak na wielki, prawdziwie genialny pomysł:

— Zbudujmy sobie nowy świat! — zawołał, a ponieważ u Neospartanów nie ma zbyt śmiałego przedsięwzięcia, przeto prezydent rzeczypospolitej wyznaczył mu kilku uczonych i kilka fabryk do pomocy, aby wykonał doświadczenia, w jakoby sposób dała się zbudować, czy stworzyć mała ziemia, zawieszona w powietrzu, na którejby Neospartanie znaleźli się w normalnych warunkach rozwoju.

Rozciekawiony śmiałością owej idei, prosiłem Aristotelesa, aby mnie zaprowadził do gmachu doświadczeń. Uczynił to z wielką uprzejmością; wogóle neospartańskim uczonym trzeba przyznać, że bynajmniej nie są zazdrośni i chętnie dzielą się swą wiedzą.

Weszliśmy do kolosalnej szklanej rotundy, w której stał słoż czy retorta niezmiernej wielkości. W słożu pływała jakaś brudno-żółtawa masa, a pod spodem paliło się w piecu i termometr wskazywał kilkaset stopni gorąca.

— Co, się w słożu znajduje? — zapytałem.

— Dopiero chaos — odpowiedział Aristoteles, przypuszczając wraz z biblią, że ziemia z chaosu powstała. Uczony wykladał mi później całą teorię geologicznego tworzenia się ziemi, i był tego przekonania, że naśladijąc ten sposób, zdoła wytworzyć w przeciągu kilkunastu lat nowe ciało niebieskie,

mające 1000 mil kwadr, powierzchni, bujające w powietrzu i w zupełności odpowiadające wymogom rozwoju neospartau- skiego ludu.

Od Aristotelesa poszliśmy do Zcuxisa, pierwszego malarza Neosparty. Sztuki piękne bynajmniej nie są lekceważone w tem wzorowym społeczeństwie, jakeśmy się to zresztą już na wagnerowskim koncercie przekonać mogli.

Wszedłszy do pracowni zdziwiłem się cokolwiek, nie zobaczywszy ani jednego obrazu, ale natomiast mnóstwo pomocników rozcierających farby i maczających płótna w jakimś płynie.

— A gdzie są obrazy? — zapytałem naiwnie mego przewodnika.

— Zeuxis jeszcze nie-maluje obrazów — odpowiedział Nikomcdon — wychodzi on bowiem z zasady, że dotychczasowe malarstwo na zupełnie fałszywych spoczywało podstawach, używając łatwo niszczących się materiałów. Cóż przyjdzie ludzkości za kilka wieków z fresk Michała Anioła, jeżeli zupełnie zczernieją, albo czyż nie szkoda poświęcać na to życie, aby malować na płótnie, które ogień lub wilgoć uszkodzić potrafi? Otóż nasz mistrz, zanim się weźmie do wykonania swych wielkich pomysłów, chce poprzednio przygotować sobie takie malarskie materiały, któreby nie ulegały zniszczeniu. W tej mierze odbywają się właśnie u niego próby z ognio- trwałem płótnem i z farbami, któreby każdą zmianę temperatury wytrzymać zdołały.

Wielce pochwaliłem rozsądne dążenia artysty, ale zawiedziony wróciłem do domu.

Podział pracy, który Neospartanie do takiej doskonałości doprowadzili w naukach lekarskich, umieli w równie rozległy sposób zastosować w innych umiejętnościach, a nawet w literaturze nadobnej, w belletrystyce i poezyi.

Przedewszystkiem nie piszą historyi w ten sposób, jak nasi uczeni. Mówią oni, że jeden człowiek nie jest w stanie objąć ogromu dziejów, ani nawet jednej epoki, każdy historyk zajmuje się zatem tylko lat dziesiątkiem i to nie całością dziejów tej małej epoki, ale np. pieczęciami albo dyplomatami do niej należącemi. Taki Thierry, Gibbou nic zasługiwaliby u nich na

W każdej gałęzi literatury kwitnie podział pracy, i tak np.: poznałem znakomitego chemika, który się wslawił wiel- kiem dziełem, traktującym o tłuczeniu cukru. Dowodził on w niem, że cukru nie powinno się rąbać ale tłuc i dowód z wielkim talentem przeprowadził, najprzód metodą historyczną a następnie induktywną.

Podobnie się dzieje z powieściopisarstwem. Dumas nie wartby był rzemyka rozwiązać Glaukopisowi et Comp., najznakomitszym pisarzom Neospartanów. I u nas nieraz zdarzało się w ostatnich czasach, że dwa pokrewne sobie duchy piszą dramat lub powieść, a Erckman i Chatrian doszli tym sposobem do znakomitej sławy, w Neosparcie jednak spółka pisarska do jednej i tej samej książki składa się z dwudziestu, czasem czterdziestu pisarzy. Jeden jest mistrzem w opisywaniu pomieszkania bohaterów, drugi z niezwykłą namiętnością czule oddaje sceny, inny żywymi barwami maluje przyrodę, trzeci z nieporównaną żywością ppisuje ruchliwe zajścia. — W skutek tej zbiorowej pracy powstaje arcydzieło, podobne do owego bóstwa starożytności, które miało nogi z gliny, tułów ze złota, a oczy z drogiej kamieni.

Cieką wiście może, czy szlachetny naród Neospartanów wydał dotąd jakiego poetę? — tak jest, może się on i wieszczem poszczycić! Poznałem Homera, był to człowiek z rodu geniuszów o bardzo wy sokiem- czole i długich popas włosach, oczy miał niebieskie jak błękit morza, a długa broda na piersi mu spadała.

Rzeczpospolita zamówiła u niego hymn na pochwałę prezydenta i bohaterską epopeję, opisującą walkę Neospartanów z przyszłymi jej nieprzyjaciółmi z pomocą elektrycznych dział. Reskrypt prezydenta, tyżący się formy tego ostatniego poematu, przepisywał wyraźnie, aby w wierszach czuć było grozę, jaką wywołują sztuczne pioruny.

Niektóre z ostatnich poematów Wiktora Hugo cokolwiek przypominają wielki utwór neospartańskiego Homera; czytając to arcydzieło, słyszy się potok słów spadający po

kataraktach wierszy, ale wśród szumu bałwanów i kipiącej piany myśli

rozdzielić nie można. To jednak stanowi właśnie ową potęgę neospartańskiej poezji.

Wszystkie te cenne wiadomości zebrałem z pomocą mego nieocenionego Nikomedona, któremu za jego uprzejmość w pokazywaniu mi osobliwości swej prowincji nieskończenie byłem obowiązany.

Sądziłem, że już wszystko zwiedziłem i miałem zamiar wyjeżdżać, ale Nikomedon zatrzymał mnie jeszcze na wielką uroczystość, która się miała odbyć za dni kilka. Były to "wyścigi redaktorów."

'—Cóż to za nowy rodzaj zabawy? — zapytałem zdziwiony. -

— Są-to igrzyska podobne do tych, które się odbywały w Olimpii.

Objaśnienie to niewiele mnie nauczyło, to też z wielką ciekawością czekałem naznaczonych dnia.

Kilkunastu zapaśników, współredaktorów pisma, o którym powyżej wspomniałem, tudzież innych literatów i uczonych, zgromadziło się w sali akademii.

Delegat prezydenta ' otworzył zapieczętowaną kopertę i przeczytał następujące pismo:

"W celu podniesienia biegłości w układaniu książek, ogłasza prezydent, że kto z obywateli współzawodników w najkrótszym czasie napisze dzieło o dziejach pisania, ten wielką otrzyma nagrodę."

Zapytałem: na czym zależy ta nagroda, wiedziałem bowiem, że pieniędzy ani orderów nie znają Neospartanie. Odpowiedziano mi, że każda rządowa nagroda na tem zależy, że się nagrodzoną osobę na jakiś czas uwalnia od pracy; pozwala się jej próżnować, nie odbierając pożywienia. Tym razem nagrodą był: miesiąc próżniactwa.

Po przeczytaniu tematu rzucili się zaraz literaci do pisania. Żaden z nich nie pisał piórem, ale maszynką podobną do telegraficznego aparatu. Pisano pod zamknięciem.

Naturalnie nie miałem ochoty siedzieć w sali aż do ukończenia dzieł, trzeciego dnia jednak dowiedziałem się, że Lisippos, znakomity historyk, pierwszy skończył książkę i otrzymał przyrzeczoną nagrodę. — Wyścigi redaktorów przekonały mnie, że literatura neospartańska dąży obecnie do jak najszybszej i najobfitszej produkcji i że miarą znakomitego pisarza jest to: jak dużo i jak prędko się uapisało.

Ów Lisippos miał dopiero lat trzydzieści pięć, a już wydał 1000 tomów książek, więcej niż najpłodniejsi pisarze naszego świata.

Redaktorskie wyścigi były mojem ostatniem wrażeniem z prowincji uczonych.

III.

Pożegnawszy mego gospodarza i życząc mu szczęścia w jego niebezpiecznych planach, udałem się do prowincji rolniczej. Miałem od prezydenta polecenie do obywatela Boofila, człowieka z kategorii gospodarskich talentów. Pierwszy raz ujrzałem się tam w gronie neospartańskiej rodziny, zastałem bowiem i panią domu i jej dwie córki. Obywatelki wróciły właśnie z pola, gdzie pomagały przy maszynach do grabienia siana, przywitały mnie z nieśmiałością, gdyżmy jednak w toku rozmowy zeszedli na ich codzienne zajęcia, stały się tak rozmowne, że gdybym miał po dwie pary uszu zaledwiebym wystarczył, aby wszystko wysłuchać co mi opowiadały. Pod tym względem nie różniły się od obywaterek innych części świata.

Przedewszystkiem zapytałem się ich, czem się trudnią w braku gospodarskich i toaletowych zajęć, skoro państwo przysyła objady i stara się o ich stroje.

— Pracujemy w polu wraz z naszymi mężami, oftpo* wiedziała obywatelka Boofilowo — i dodała zaraz, że wszystkie Neospartanki nadzwyczaj zazdroszczą mieszkankom Europy, które podobno same się ubierają. U nich bowiem nietylko że inaczej ubierać się nic wolno jak państwo nakazuje, ale co więcej wielkim podlega się karom, jeżeliby stróż bezpieczeństwa znalazł w domu jakie środki toaletowe, kosmetyki, lub coś podobnego.

Zapytałem się panien, czy już zaręczone? co przyjęły z miłym uśmiechem, ale zarazem odpowiedziały, że u nich nie ma tego europejskiego zwyczaju, ślub bowiem następuje na drugi dzień po otrzymaniu od państwa zezwolenia.

— Codziennie szukamy w gazecie, wtrąciła matka, aby znaleźć odpowiednich mężów, ale to tak trudno, biuro krzyżowania ras tak ściśle stawia warunki...

— A czy kandydaci do stanu małżeńskiego zgłaszają się w gazecie? zapytałem.

— Tak jest, odpowiedziała obywatelka Boofilowa i wyjaśniła mi, że każdy dwudziestoletni młodzieniec i szesnastoletnia panna bywają w gazecie dokładnie opisywani, aby umożliwić wzajemne znalezienie się.

Przekonałem się, że i w Neosparcie matka kłopotczą się wydaniem córek za męża.

Podczas rozmowy z obywatelkami spostrzegłem na stole, przy którym siedzieliśmy, jakąś skrzyneczkę, czy pudełko z wieloma przegródkami, w których bardzo małe stały flasze- czki. Całość podobną była do homeopatycznej apteczki. Sądziłem zrazu, że to jakieś pachnidła, a może lekarstwa, ale obywatelki roześmiały się z tej niewiadomości i wyprowadziły mnie z błędu tłómacząc, że są-to sarkofagi ich przodków.

Zapomniałem bowiem powiedzieć, że Neospartanie tak wybornie palą ciała umarłych, że z dużego mężczyzny zostanie zaledwie mała flaszeczka popiołu. Otóż te flaszeczki ustawiają w pudełku, a im więcej flaszeczek tem ród jest znakomitszy. Ponieważ rzeczpospolita jest w zasadzie najzupełniejszą demokracją, a portretów rodzinnych ani herbów dlatego mieć nie wolno, aby tym sposobem nie dawać możności powstania rodowych ambicji, przeto arystokratyczne skłonności Neospartanów wynalazły sobie owe pokojowe grobowce przodków i w nich pokładają swą dumę. Człowiek dobrze wychowany zwraca natychmiast uwagę na owe pudełko, leżące na stole, a nie można większej zrobić domowi niegrzeczności, jak niezważając na chwałę domu i nie pytając się czyj popiół zamknięty w tej, a czyj w tamtej flaszeczce?

U nas tego rodzaju popielnice wzbudziłyby smutek a może i wstrętne uczucia, tam jednak nie przeszkadzają one zupełnie do najweselszej rozmowy, a dowodem tego, że panna Minerwa, starsza córka obywatelstwa Boofilów opowiedziała mi, gdym mówił o sarkofagu, że ta a ta babka, zamknięta

w tem a tem pudełku miała tak dobry apetyt, że senat rze- czypospolitej uchwalił na gorące prośby męża i całej rodziny, aby jej przysłać podwójny objad i kolący ą.

Po kilkodniowym pobycie u państwa Boofilów spostrzegłem, że pozytywne urządzenia Neosparty, wynalazki zmierzające do zrobienia sobie nowej ziemi i stworzenia człowieka, bynajmniej nie zdołały zniszczyć kierunku fantastycznego, znajdującego się w każdym najpozytywniejszym nawet społeczeństwie i że imaginacja zachowała tam swoje prawa.

Powodem tego była panna Minerwa. Słysnęła ona pomiędzy kobietami prowincji ze swego stosunku z ludźmi na księżycu. Po smacznie przespanej nocy opowiadała nieraz cuda o zwyczajach i prawach księżycowych mieszkańców, a nawet jak się później dowiedziałem przepowiadała, że ludzie z księżyca przylecą niebawem na skrzydłach do Neosparty i uwolnią jej obywateli od panowania prezydenta. Będzie wtedy wolno zawierać małżeństwa według woli, jeść cukry i pić słodkie wino, będzie można nosić sznury pereł na szyi i kwiatami stroić włosy. •

Neospartanki z ust do ust podawały sobie te radosne nowiny i na każdej pełni spodziewały się przybycia księżycowych zastępów.

Boofil w niemałym jednak z tego powodu był kłopotcie. Obawiał on się, żeby się rząd nie dowiedział o widzeniach jego córki, w takim bowiem razie z pewnością oddanoby ją do szpitala, albo skazano na ostry post. Żał mi było starego, gdyż bardzo był do niej przywiązany; to też widziałem go podczas pełni, jak się chyłkiem skradał do ogrodu aby zobaczyć, czy nie przybywają księżycowi goście.

Panna Minerwa umiała jednak każdym razem tak zręcznie i przekonywująco wytłumaczyć ich spóźnianie się, że wszyscy wtajemniczeni w jej sny czekali cierpliwie do następnej pełni.

Boofil zwierzył mi się, że chciałby pannę Minerwę wydać za syna swego sąsiada, obywatela Epaminondasa; związek ten napotka jednak na wielkie trudności, gdyż koń odgryzł mu kawałek palca, a biuro krzyżowania ras nie pozwoli mu może z tego powodu zawierać związków małżeńskich.

Wszystkirii tym trudnościom mieli koniec położyć mieszkańcy księżyca...

W kilka diiii" po moim przyjeździe oprowadził mnie Boóńl po' swtujem gospodarstwie, pokazał¹ oborę, zasiane pola — i rzeczy wiśbie było co widzieć! Przedewszystkiem byłem zachwycony laboratoryUm nalwozów. Co za porządek , óó za kómbi- nacye, jaki ład we wszystkim! Neospartańscy agronomowie wychodzą z zasady, że ziemia na której sieją jakieś zboże, pdwinna mieć właśnie tyle i takich części składowych; ile to zbOże potrzebuje. Wyrachują więc naprzód zei na pewiiym łanie zmieści się tyle a' tyle milionów kłósów i' stósownie do tego sypią na rolę odpowiednią ilość marglu, krzemienia etc. etc. Tym sposobem zaprowadzili ogromną oszczędność nawozu, bo nic na marność nie idzie.

Deszcze bynajmniej im w zbiorach nie przeszkadzają, jeżeli bowiem słota trwa za długo, rozpościerają w okamgnieniu nad łanem wielki dach z ceraty i wygodnie w ten sposób mogą żąć i zbierać. Zboża też ich nie są takie jak nasze; obywatel Boofil roześmiał'się, gdym mu opowiedział jak małe są ziarnka naszej pszenicy. Oni doszli za pomocą szczepienia pszenicy na burakach a owsa na kartoflach do tego, że ziania pszeniczne są u nich wielkości bułek, a ziarnka owsa tak duże jak strączki fasoli. W prawdziwy podziw wprowadziły innie jednak szczególnych "kształtów kwiaty, które tamtejsi ogrodnicy po przedsięwzięciu najróżnofódniejszych prób stworzyć umieli. KÓże np. wydają kwiaty barwą podobnO do zgniłych' ogórków, a fiołki są pokryte zielonąwą pleśnią. Nie powiem żeby te kwiaty miały być piękne, ale jeżeli chodzi o to, żeby mieć różę niepodobną db róży, a fiołek'zupelnie odmienny od fiołka, to neospartańscy ogrodnicy rzeczywiście doprowadzili do tej doskonałości.

Dotąd sądziłem, że szczepienie gruszek na wierzbie jest wymysłem imaginacji, tam wszakże widziałem bery wielkości kapelusza na kruchych gałązkach wierzby.

Sztuczne gospodarstwo Neospartanów dosięęło szczytu w chowie bydła. Boofil miał pod sobą zarząd najpiękniejszej obory. Wprowadził mnie tam — i o dziwo, zobaczyłem woły z tak grubeimi przed niemi nogami, że z jeduego zwierzęcia można było mieć czt^y polędwice. Do jakibh to cudów dópńfc

wadza krzyżowanie ras! Co więcej: neospartańscy agronomowie chodują owce z purpnrowem runem, a stado takich owiec przedstawia w polu nadzwyczaj oryginalny widok. Widząc moje zdziwienie tłumaczył mi Boofil, że bardzo łatwo dojść do tak zadziwiających na pozór rezultatów. Przyzwyczajają oni bowiem owce do jedzenia wraz z paszą jakiejś czerwonej farby, a prócz tego kąpią je w purpurowej wodzie, a skutek nigdy nie zawodzi.

Słówby mi zabrakło na opisanie wszystkich wynalazków i ulepszeń gospodarskich, jakie widziałem w prowincyi rolni-¹ czej, nie będę ich więc dokładnie opisywał, i wspomnę tylko o wyścigach, na które zjechał sam prezydent.

Nie trzeba sobie wystawiać, że w Neosparcie konie z końmi współzawodniczą na torze, bynajmniej, tam konie z maszynami parowemi walczą o lepsze.

Ponieważ odległość do mety wynosiła kilkanaście mil, a ze zwykłej trybuny nie możnaby wzrokiem objąć tak wielkiej przestrzeni, przeto publiczność siedziała w balonach przywiązanych do ziemi, co wcale zajmujący przedstawiało widok.

W balonie, w którym dla mnie przeznaczono miejsce, znalazło się kilkanaście osób, pomiędzy innymi rodzina Boo- filów.

Piętnaście koni i dwie lokomobile stanęły do biegu. Lo- komobile nie wielkie ale na ogromnych kołach, konie natomiast jak potwory, nigdy takich nie widziałem.

— Któż konie prowadzi? gdzie są żokiej? pytałem Boofila nie widząc na grzbiecie rumaków nic prócz małego czarnego punktu, który brałem za siodło.

— Jakto? nie widzisz pan owego czarnego punktu? to żokiej.

Lepiej się przypatrzawszy spostrzegłem rzeczywiście dziwnej małości karłów .siedzących na koniach. Neospartanie doszli pod tym względem do doskonałości, krzyżując rasę angielskich i amerykańskich żokiejów, i mają okazy liliputów nie ważące więcej nad 10 kilogramów. Ażeby w biegu wiatr nie uniósł małego człowieczka przywiązują go do konia rzemieniami.

Towarzystwo, w którym się znajdowałem, nadzwyczaj było zajęte wynikiem walki: jedni utrzymywali, że zwycięży znany koń "Pegaz," inni że go wyprzedzi lokomobila "Tytan." Boofil należał do stronników Pegaza i założył się ze swoim sąsiadem o objad, że lokomobila ulegnie w nierównej walce.

Niestety, lokomobila pierwsza stanęła u mety, a mnie nazajutrz tak było żal zgłodniałego Boofila, że mu odstąpiłem połowę mego objadu, a mogłem to zrobić bez wielkiego uszczerbku, albowiem dawano mi poreye przeznaczone dla gości, a daleko większe od racyj ściśle wymierzonych dla obywateli rzeczypospolitej.

Po wyścigach pożegnałem Boofilów, życząc pannie Mi- nerwic, aby poszła za Epaminondasa i pojechałem do dwóch najmniejszych prowincyj, do prowincyi fabryk i prowincyi wojskowej.

iy.

Piekło chyba tak jest urządzone, jak prowincja fabryk w Neosparcie. Nigdzie zielonej trawki, nigdzie wesołego drzewa, ptaka nawet nie ujrysz w powietrzu. Fabryka koło fabryki, a wśród nich chodzą ludzie osmoleni, z długimi jak u małp rękami.

Naczelnik fabryk, Agamemnon, wiedział już od prezydenta o moim przyjeździe i przyjął mnie bardzo, uprzejmie. Należał on do geniuszów fabrycznych, ręce miał takie długie, że mu sięgały niżej kolan, i w ten sposób zbliżał się do pierwowzoru darwinowskiego człowieka, do małpy. Długie ręce nadzwyczaj są tam cenione gdyż o wiele ułatwiają pracę i są znamieniem fabrycznej arystokracji.

Wyobraziłem sobie, że naczelnik zakładów fabrycznych Neosparty musi być znakomitą inteligencją i że z przyjemnością i korzyścią przepędzę u niego czas dłuższy. Po krótkiej jednak rozmowie spostrzegłem, że mam do czynienia z umysłem obracającym się w nader ciasnym zakresie; którego prócz fabryk nic a nic nie obchodzi. Wogóle wszyscy ludzie zdawali mi się tam stać na nadzwyczaj niskim stopniu umysłowego rozwoju, a nawet śmiem utrzymywać, że prowincja fabryczna po większej części zaludniona kretykami, którzy wprawdzie w podziwiania godny sposób posiadają zręczność robienia np. główki od szpilki, albo zęba do koła maszyny, ale po za tą zręcznością nic nie umieją i o niczem nie mają wyobrażenia.

Jednemu z wyrobników długo musiałem tłumaczyć co to jest krowa? i dopiero po rozlicznych opisywaniach przy- Bzedł do przekonania, że to jest coś podobnego do konia. Konia bowiem widział w swem życiu, krowy jednak nie znał, nie wydalając się nigdy ze swej prowincji i nie ucząc się, jak tylko robić pewien gatunek małych gwoździ.

Ciekaw byłem, jakie ci ludzie mają wyobrażenie o Bogu, o świecie, o społeczeństwie, wdałem się też z tym wyrobnikiem w dłuższą rozmowę, ale przekonałem się, że jest najzupełniej dzikim człowiekiem i o niczem nie myśli, jak tylko o gwoździach i o jedzeniu. Wiedział wprawdzie, że wielki atom istnieje, ale nie zastanawiał się nad tem, kto stworzył Żelazo na gwoździe i dlaczego słońce wschodzi i zachodzi?

Na pierwszy rzut oka na stosunki tej prowincji, przyszedłem do przekonania, że tam mądrzejsze maszyny od ludzi i że ludzie tak dalece wszystkie swe zdolności złożyli w martwe żelazo, że dla nich nic się nie zostało. Widziałem np. maszynę przeznaczoną dla prowincji rolniczej, która z jednej strony żęła zboże, a z drugiej wyrzucała chleb upieczony, albo przyrząd robiący w przeciągu pięciu minut gotowe buty z surowej jeszcze skóry.

Patrząc na tych ludzi, przypomniałem sobie zamiary Ni- komedesa wysadzenia Neosparty - w powietrze i jego nadzieje, że w prowincji fabrycznej najwięcej znajdzie spiskowych w razie potrzeby. Nikomedes miał zupełną słuszość; ci ludzie nie mieli w życiu żadnej poezji, do niczego nie byli przywiązani, boć do gwoździa lub główki od szpilki trudno się przywiązać; pierwszą myślą która się im nasunąć mogła: była myśl, aby wszystko zburzyć, zemścić się nad tem, co ich jałową zatrudniało pracą. Tyle się w nich nagromadziło jadu przeciw rzeczywistości, że radzi byli ją zapewne zniszczyć nie myśląc nawet, że sami wśród ruiny zginąć mogli. Rzeczpospolita najgorzej postępuje nie dbając o moralne potrzeby fabrycznej ludności, nie krzując pewnej idealnej wiary w wielki atom, bo człowiek stokroć łatwiej i chętniej zniesie największą pracę, największe przykrości jeżeli ma jakiś świat ideału, o którym może marzyć i upiększyć go sobie nadziejami.

Mówiłem w tej myśli z Agamemnonem, ale on mi na to odpowiedział, że najlepsi są ci robotnicy, którzy o niczem

innem nie myślą prócz o swej pracy i nic innego nie umieją prócz swej specjalności. Na dowód zaś do jak znakomitych rezultatów doprowadziła kunszt tamtejsza ludność fabryczna, pokazał mi wielką osobliwość.

Na wolnym, czarnym od węgla polu, leżała na podmurowaniu niezmiernej wielkości żelazna rura podobna do działa. Otwór w tej rurze był tak wielki, że trzechpiętrowa kamienica z łatwością weń zmieścićby się mogła.

— Cóż to za gmach, spytałem zdziwiony — i jakie jego przeznaczenie ?

— Największa armata w świecie, z dumą odpowiedział Agamemnon, a przeznaczona do odwrócenia od ziemi najstraszniejszej katastrofy jaka ją spotkać może.

Na razie nie zrozumiałem o co chodzi; Neospartanin rozciekawiony mnie poprzednio dla spotęgowania wrażenia wytłómaczył mi, że według badań tamtejszych uczonych, koniec świata, czyli raczej koniec ziemi wtedy nastąpi, kiedy księżyc zanadto się zbliży do ziemi, wtedy bowiem wody wystąpią z łożysk i powszechny potop wszystko zaleje. Otóż ażeby zapobiedz tak straszemu wypadkowi, wymyśleli Neospartanie owe ogromne działa i będą z niego strzelać do zbliżającego się księżyca. Obywatel Agamemnon miał zaś najzupełniejsze przekonanie, że kilka strzałów wystarczy, aby wzruszyć księżycem i cofnąć go w niebezpiecznym biegu.

Nie wiedziałem co podziwiać w mieszkańcach rzeczy por spolitej: czy nadzwyczajną przezorność, czy śmiałość pomysłów ? widocznie o niczem nie wątpili — wiara w potęgę rozumu ludzkiego była u nich tak wielką, że prowadziła wprost do niedorzeczności.

Agamemnon popisывał się jeszcze wieloma innymi przedemną wynalazkami; jednostajność wszakże fabrycznych wyrobów tak mnie zmęczyła, że zabawiwszy zaledwie dni kilka w tej prowincyi, z przyjemnością pojechałem do prowincyi wojskowej, spodziewając się umysł nowymi ożywić wrażeniami.

Znalazłem się tam pomiędzy samymi wielkoludami, podobnymi do tych, których spotkałem na granicy rzeczypospolitej. Naczelnym dowódcą armii, Xenofon nazwiskiem, przyjął mnie chłodno, a nawet z pewnym lekceważeniem, uważając się widocznie z powodu wielkości swego ciała za daleko szlachetniejszą istotę, aniżeli inni ludzie. Gdym mu jednak zaczął opowiadać o militaryjnych urządzeniach w Europie, stał się rozmownym i obiecał mi, że nazajutrz wyjedzie ze mną na przegląd wojsk rzeczypospolitej i że mi pokaże swe wojenne wynalazki.

— Armia nasza szczęście świata przyniesie — odezwał się w toku rozmowy — jakkolwiek liczebnie nie jest wielką, z pomocą jednak naszej artylerji do lat dziesięciu świat cały podbić potrafimy.

Zapytałem się, na czemby to szczęście zależało, którem Neospartanie świat obdarzyć mają? — i wyraziłem zdanie, że ludzkość najbardziej tych nienawidzi, którzy ją chcą uszczęśliwić pomimo jej woli.

— Czyż nasze instytucje nie są najwyższym szczęściem, do jakiego ludzie dojść mogą — spytał Xenofon — czyż w naszym posłannictwie mają być zaporą względy, że ten lub ów naród może być niezadowolonym? Wszak i u was mnóstwo jest niechętnych zaprowadzaniu dróg żelaznych, a przecież lokomotywa coraz to nowe przebiega kraje — Ludzkość jest zanadto niedorzeczną, aby w przeprowadzeniu wielkich społecznych idei na nią się oglądać można.

— A zkądże panowie macie to przekonanie — pozwoliłem sobie zapytać — że prawda w Neospartańskich tylko zabłysła głowach?

Jenerał roześmiał się homerycznym głosem, tak naiwnym wydało mu się moje zapytanie.

— Wybacz pan — odpowiedział — ale dajesz mi naj- najlepszy dowód, jak nisko stoicie w Europie, jeżeli nadzwyczajnej naszej wyższości nad waszym społeczeństwem pojąć nie możecie.

Widząc, że prędzejbyś stal nagiąć potrafił aniżeli pojęcia neospartańskiego wojownika; zacząłem mówić o czym innym i z niecierpliwością oczekiwałem rewii owych wojowników, co świat podbić mają.

Następnego dnia obudzono mnie bardzo rano i posadzono

na ogromnego konia, na którym wyglądałem jak kawka na wieży.

Plac rewii szczególnie przedstawiał widok: w środku stało ze dwa tysiące piechoty uzbrojonej w karabiny niosące na 25 mil angielskich, na skrzydłach jazda, ale nie na koniach, tylko na małych lokomobilach. Nad pułkiem kawalerii unosił się więc wielki słup dymu jak nad domem kolei żelaznej, na którym kilkadziesiąt przygotowanych do biegu stoi lokomotyw.

— A te balony co znaczą? — zapytałem generała, spostrzegłszy kilkadziesiąt balonów unoszących się w powietrzu.

— To nasza elektryczna artyleria.

Na razie nie zrozumiałem doniosłości tej broni; w toku rozmowy objaśnił mi jednak mój towarzysz, że w każdym balonie jest bateria elektryczna mogąca na wojska nieprzyjacielskie rzucać piorunami.

— Zrozumiesz — mówił z dumą generał — że takiej broni nikt w świecie oprzeć się nie zdoła.

— Dopóki wiatru nie ma — pomyślałem — a balony nie rozbiegną się na cztery części świata.

— Niebawem dojdziemy do tego — mówił dalej — że nikt z nami wojny nie będzie mógł prowadzić; wtedy spokój zapanuje na ziemi, gdyż wobec nas nikt się o władzę nie pokusi.

— Jakież cel macie w przygotowaniu się do podboju wszystkich narodów? czyż wam władza tak schlebia, czy też owo szczęście ludzkości spać wam nie daje.

— Wychodzimy z humanitarnego stanowiska. Im więcej rządów, im więcej władz na ziemi, tem więcej wojen i krwi rozlewu; skoro wszelka władza w naszych się zespoli rękach, wojna będzie niemożliwa — spokój zapanuje na ziemi.

Generał mówił w dobrej wierze, a jego dobra wiara przekonała mnie, że nie masz egoistycznej idei, którejby się nie dał podsunąć cel szlachetny.

Zarozumiał generał tak dobre miał wyobrażenie o potędze swej armii i jej cywilizacyjnym posłannictwie, że nie przeczuwał tego, o czym ja wiedziałem: o spisku, którego celem było wysadzić w powietrze Neospartę; nie myślał o tem, że dowcip ludzki jest niewyczerpany w sposobach zniszczenia

swych nieprzyjaciół i że nie masz siły na świecie, na której pokonanie jeszczeby się większa nie znalazła siła.

Najciekawszy oddział broni pokazał mi generał na samym ostatku — była to morska piechota, maszerująca na dnie morza jak po powierzchni ziemi i mogąca niepostrzeżenie wyjść tam na wybrzeże, gdzie jej nieprzyjaciół nie oczekuje. Każdy żołnierz był w ubraniu nurka, a psy morskie ciągnęły za wojskiem wielkie wozy napelnione powietrzem i połączone rurami gutaperkowymi z szeregami oryginalnych wojowników. Kiedy się najmniej tego spodziewałem, podmorska piechota zaczęła wychodzić z głębin morskich — a widok rzeczywiście był oryginalny.

Y.

Poznawszy prowincją Neosparty, chciałem raz jeszcze być w stolicy — częścią, aby podziękować prezydentowi za uprzejme przyjęcie i listy polecające, częścią aby widzieć parlament rzeczypospolitej, który właśnie rozpoczął swe posiedzenia. A że w Neosparcie czyn w kilka minut po myśli następuje, więc też w mgnieniu oka znalazłem się w pałacu prezydenta, a nazajutrz siedziałem w jego łoży w Izbie.

Widok był dla mnie bardzo zajmujący, gdyż po raz pierwszy ujrzałem kobiety wraz z mężczyznami na poselskich ławach. Posiedzenie miało się rozpocząć o dziewiątej zrana, z uderzeniem też godziny wszyscy posłowie zajęli swe miejsca.

Na porządku dziennym była zmiana kodeksu karnego, który, ułożony na wzór europejskich, uchodził w Neosparcie za przestarzały i nieodpowiedni postępowym ideom. Mnóstwo posłów zapisało się do głosu. Xenokratesa, z prowincyi uczonych wybrano generalnym mówcą.

Oczekiwałem z niecierpliwością rozpoczęcia debaty. Xenokrates, o nadzwyczaj wysokim czole i rozburzonych włosach, tak mniej więcej mówił:

— Neospartauie! Uroczysta chwila przed nami! Mamy topór przyłożyć do ostatniej belki, która jeszcze u nas pozostała z zastarzałej budowy europejskiego obłędu, zwanego tam cywilizacją. Potężna nasza kultura potrafiła już obalić wszystkie pogańskie bałwany, jeden tylko jeszcze pozostaje kodeks karny... Zaiste dziwić się należy, żeśmy potrafili dotąd cierpieć owe zapleśniałe pojęcia i pozwalać, aby w imię sprawiedliwości największe się działy bezprawia.

W podobny sposób rozwijał mówca swe myśli dowodząc, że dotychczasowe pojęcia o złem były najzupełniej fałszywe, że wiele czynów uchodziło za zbrodnie lub występki, które przynoszą wprawdzie szkodę społeczeństwu lub jednostkom, ale kary w żaden sposób za sobą pociągać nie mogą.

Człowiek nie za wszystkie swe czyny odpowiadać może; jedne bowiem spełnia świadomie, ale większą część nieświadomie. Jeżeli ma wrodzony popęd do zabijania ludzi lub przywłaszczania sobie cudzej własności, cóż on temu winien, że mu się kogoś zabić albo zrabować przydarzy? Czynów jego za zbrodnie uważać nie należy, boć przecież i według europejskich zasad do karygodnego czynu potrzeba złego zamiaru.

Po przeprowadzeniu długiego dowodu wniósł mówca, aby tylko te zbrodnie karać, które nie pochodzą z wrodzonego człowiekowi zbrodniczego charakteru lub z systemu nerwowego.

Ciekawy byłem w jaki sposób sędziowie mieliby się przekonać czy zbrodniarz postąpił z wolnej woli, Czy też nieświadomie, zmuszony ową górującą nad wszystko siłą — odziedziczonym charakterem. Wnioskodawca wybrnął jednak bardzo łatwo z tej trudności, pozostawiając lekarzom orzeczenie o usposobieniu zbrodniarza.

— Proszę o głosi — odezwała się jakaś kobieta, gdy Xenokrates skończył swą mowę.

Była to obywatelka Andromache i w ten sposób mówić zaczęła:

— W zupełności zgadzam się z szanownym moim poprzednikiem, że wszelkie szkodliwe czyny wypływające z błędnego systemu nerwowego nie powinny być karane. Chciałam tylko dla wyjaśnienia tak ważnego pytania postawić poprawkę, aby i zbrodnie lub występki wypływające z miłości zaliczyć do powyższych czynów, miłość bowiem, jak wiadomo, w systemie nerwowym ma swój początek. Miłość, podobnie jak zaspokojenie głodu, jest złem koniecznym; nie dość zatem, że człowiek musi to złe znosić, ale jeszcze miałby być karanym za tegoż skutki?

Rzęsiste oklaski posypały się na potwierdzenie arcyamą-

drego zapatrywania się Neospartanki, a kilku- pólów-kobiet przyszło uściskać rękę koleżanki za poruszenie tak ważnej zasadniczej sprawy.

Nawiązując do myśli Andromachy, mówiła inna Neospartanka w te słowa:

— Najstraszniejsza kara, jaką Wielki Atom może spuścić na człowieka, jest itiiłość; każda z nas była szczęśliwszą dopóki jej nie znała. Gdy ją, wszakże ta straszna opanowała choroba; przepadło szczęście, spokój uleciał: Mojem zdaniem musi to być epidemia, która dopiero od niedawnego czasu rozpowszechniła się pomiędzy ludźmi, gdyż dawni autorowie i dawne podania wspominają nam o niej jako o czemś dobrem i przyjemnem. W ciągu wieków miłość zmieniła swą istotę: z dobrego stała się złem-, z rozkoszy — chorobą. Lekarze nasi badają wprawdzie ten stan' chorobliwy, sądzą wszakże, że się nim za mało zajmują i nie widzą tego spustoszenia, jakie ta zaraza sprawia w ludzkości, gorsza od cholery i morowego powietrza. Wnoszę z tego powodu, aby wysadzić komisyę, któraby zbadała, czy miłość nie jest chorobą zaraźliwą i epidemiczną i czy nie potrzeba zaprowadzić kwarantanny w celu ograniczenia jej do jak najmniejszych rozmiarów.

Po dłuższej jeszcze debacie uchwalono nowy kodeks karny, przy czem wiele podobnych, bardzo oryginalnych poruszono myśli.

Nazajutrz było jeszcze. ciekawsze posiedzenie. W kołach poselskich powtarzano sobie z cicha że Phoibos, obywatel z prowincyi uczonych wystąpi z jakimś nadzwyczajnym wnioskiem. Phoibos sływał z tego w Neosparcie, że już z pięćdziesiąt razy stawał przed urzędem krzyżowania ras, aby dostać pozwolenie do zawarcia małżeństwa, ale zawsze urząd wynalazł jakąś przeszkodę. Mówiono, że państwo chętnieby zrobiło dla niego wyjątek od powszechnie obowiązujących zasad i pozwoliłoby mu pozostać db' śmierci starym kawalerem, nie miano bowiem wiele nadziei, aby odpowiedział w zupełności warunkom magistratury krzyżowania ras. Uchodził on jednak za bardzo rozumnego człowieka i ocytany był nawet w europejskiej literaturze.

Nim wszakże Phoibos w izbie wystąpił, przyszedł na porządek dzienny wniosek naglący Lysokratesa, posła z prowincyi rolniczej, żądający powiększenia obiadu dawanego obywatelom neospartańskim o jedną mięsną potrawę, dotychczasowe bowiem pożywienie jest niedostateczne dla młodego, silnego człowieka, a poseł nie raz bywa bardzo głodnym.

Jakiś członek stronnictwa środkowego sądził, żeby najlepiej było odesłać ten wniosek do komisji budżetowej, minister finansów jednak wyjaśnił, że przyczynienie jednej potrawy na obiad kosztowałoby w całej Rzeczypospolitej 500 milionów rocznie, i że państwo nie może wystarczyć na taki wydatek przy obecnym stanie finansów. Skończyło się na tem, że jedna z reprezentantek Rzeczypospolitej wiedzioną litością prosiła izbę, aby osobną ustawą: uchwaliła, że Lysokrates od dnia uchwały będzie dostawał podwójną rację pożywienia;

W fługiej mowie, przedstawiającej w żywych barwach straszne cierpienia z. głodu wpływające, dziękował szanowny poseł za wielką łaskę, którą mu wyświadczyła reprezentacja Rzeczypospolitej.

Po skończeniu tej, mowy zrobiła się wielka cisza w Izbie. Phoibos wstąpił na mównicę i tak począł:

— Zdaje mi się, że wypowiem przekonanie: wszystkich Neospartańczyków, jeżeli postawię zasadę, pewnik, że życie jest złem koniecznem, które znosić musimy, że nieistnienie na świecie byłoby daleko bardziej pożądanera aniżeli istnienie. Przekonanie to tkwi w nas wszystkich, a nawet zacofani uczeni starej Europy od dawna je uznali. Europa bardzo wysoko stawia niejakiego Kanta, filozofa wielkiego rozgłosu; otóż ten myśliciel mówi w swoich dziełach, "że trzeba się nie rozumieć na. wartości życia, jeżeli się chce, aby życie dłużej trwało, aniżeli trwa rzeczywistość; przedłużenie bowiem życia byłoby tylko przedłużeniem igraszki mającej na celu pokonanie ciągłych utrapień." Kant więc nie miał zbyt pochlebnego o życiu

wyobrażenia. To samo mówi inny europejski filozof niejaki Szelling; utrzymuje on, że każde cierpienie pochodzi z istnienia. Gdyby się zatem nie istniało, nie byłoby cierpień. Wspomnieć także muszę, że słynący obecnie w najznakomitszej części Europy filozofowie jak Schoppenhauer i Edward Hartman postawili sobie za zadanie dowieść, że życie jest największym złem, jakie człowieka spotkać mogło.

— Do rzeczy! do rzeczy I — zaczęli wołać niektórzy posłowie, nie wiedząc do czego zmierza mowa Phoibusa.

— Pozwólcie szanowni reprezentaci neospartańskiego ludu, abym wobec ważności mego wniosku przynajmniej co ważniejsze przytoczył powody. Otóż zastanówcie się nad istotą życia, a do tego samego co europejscy filozofowie przyjdziecie przekonania. Wszelka radość, wszelkie szczęście na ziemi jest złudzeniem; mówicie: że młodość, że wolność i zdrowie są przyjemnością, są znakomitem dobrem. Zdanie wasze jest wszakże najzupełniejszym fałszem, bo młodość, wolność lub zdrowie dopiero wtedy cenicie, kiedyście starzy, pozbawieni swobody albo chorzy I • Młodość, wolność lub zdrowie jest zatem mniejszym tylko złem aniżeli starość, niewola lub choroba — ale nie jest bynajmniej dobrem.

Zdanie to rozwijał mówca jeszcze dłużej, a gdy się już Izba niecierpliwiła, skończył wnioskiem, że ponieważ gorzej jest istnieć na ziemi aniżeli nie istnieć, przeto ród ludzki powinien dążyć do tego, aby zakończyć swój marny żywot — powinien się wstrzymać od reprodukcji.

Mówca chciał odczytać projekt do ustawy o zapobieżeniu rozmnażania się rodu ludzkiego, ale lewica, gdzie po większej części żeńscy siedzieli posłowie, taki krzyk i pisk podniosła, że się zdawało, iż cała się Izba zawali. Na prawicy i w centrum widziałem jednak mnóstwo zwolenników projektu niecierpliwiących się na piskliwą rzeszę. Co się dalej działo, nie mogę opisać, gdyż na raz dostałem mocnego zawrotu głowy, upadłem, straciłem przytomność i dopiero przebudziłem się w balonie o jakie 3000 metrów nad powierzchnią ziemi. — Obok siebie ujrzałem JBaliela.

— Cóż to się stało? — zapytałem go zdziwiony.

— Posłuchaj, a zrozumiesz — odpowiedział Baliel i kazał mi się w dół patrzeć.

. W tej chwili rozległ się w przestworzu taki huk, jak gdyby się ziemia w swych zatrzęsła posadach; niezmierny słup ognia i dymu powstał w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą rozróżnić było można Neospartę.

— To stronnictwo niezadowolonych; Nikomedon wysadził miasto w powietrze I — zawołałem z przerażeniem; — piekielna machina skutek swój wywarła.

— Tak jest! odpowiedział Baliel — to dzieło Nikomedona. Postąpił on daleko racjonalniej aniżeli chciał postąpić Phoibos, na cóż bowiem było skazywać neospartańską ludność na powolną, pełną umartwień zagładę, jeżeli można było od razu zakończyć jej istnienie. Wszak to było radykalne lekarstwo na niezadowolonych z życia.

Po chwili balon przeniósł się w inne strony, a Baliel prowadził z Bogoryą następującą rozmowę:

— Jakież wrażenie wyniosłeś z odbytej podróży? pytał pierwszy.

— Że żadna z ludzkich instytucyj nie jest ani bezwzględnie mądrą, ani też bezwzględnie niorozeczną. Absolutna prawda zdaje się być na tym świecie marzeniem. Ludzie skrajnego postępu rzucają się nieraz z całym zapalem na instytucje, które zgrybiała przeszłość ze sobą przyniosła; głupi! nie widzą że spośród rdzy i śniedzi wyglądają tam gdzieś żyłki czystego złota. Przeciwnie widzę na około siebie wielu wsteczników, dla których nie masz mądrości jak tylko w dawnych latach, a wszystko co terazniejszość ze sobą przynosi nie warte nawet spojrzenia. Ci także nie mądrzy! zaprzeczają własnym władzom duchowym, wierzą w to, że nasi ojcowie byli rozumne- mi istotami, a myśmy zeszedli do rządu bezdusznych stworzeń.

—< Nie możesz przecież zaprzeczyć żeś był w kraju, który się bezwzględnie rządzi teoryjami rozumu? Wszystkie zasady, do których doszła statystyka, nauki przyrodnicze, znalazłeś zastosowane w Rzeczypospolitej Neospartańskiej.

— Znalazłem tam samych głupców, bo zapomnieli o istnieniu serca i uczucia.

— A czy pamiętałeś o sercu i uczuciu przed laty, osiadłszy w swej pustelni w górach, zasklepiony w egoizmie, niechący się wdawać z ludźmi, których za głupców uważałeś?

— Sprowadziłeś mnie przyjacielu dawno z tej drogi, los mnie od tego czasu nie mało doświadczał, przejrzałem, a ludzkość nie przedstawia mi się już ową trzodą głupców dla której żyć i działać nie warto, — ale dla której cierpieć jest najpiękniejszym zadaniem serca pełnego miłości. Nic człowieka nie może bardziej uszczęśliwić, wlać więcej w duszę spokoju, nad

czyny miłości; pozwól mi wrócić w góry, do pierwszej lepszej osady, nie aby się zamknąć w szczelnych ścianach dumy i egoizmu, lecz aby dobrze działać choćby w najszczęśliwszym zakresie.

— Idź Bogoryo; a "gdziekolwiek spojrzysz znajdziesz żyzne dla swej pracy pole. — Nie pierwszemu tobie dałem tę naukę, tysiące was ludzi dzisiaj te same przechodzi koleje. Wylatujecie jak orły z gniazda, zdaje się wam że wzrokiem swym przebijecie obłoki, że źrenica wasza wytrzyma jasne światło słonecznego promienia. Od młodości mówią wam że żyjecie w wielkim wieku, pełnym cudownych wynalazków, że przeszłości nie warto-rozwiązać rzemyka waszym złotym bogom. Nie dziw też, że wzbijacie się w dumę, że myślicie świat zreformować, że wierzycie tylko w wasz rozum. — Po pierwszym niepowodzeniu następuje zniechęcenie, zwątpienie, jak niemoc po wielkiej gorączce Tymczasem jest ktoś, kto was najczęściej podźwignie z tej moralnej prostracyi, jest ktoś, kto wam poda rękę i wleje więcej hartu w duszę. Tym dobroczyńcą jest doświadczenie, a jam jest dobrym duchem, duchem doświadczenia.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Wstęp

CZEŚĆ PIERWSZA.

- I. Monarsze kłopoty
- IX. Cokolwiek o sztuce rządu
- III. Bogorya trybunem
- IV. Ofiara towarzystwa i stosunków.
- V. Bogorya za bankierem
- VI. Niema jak naiwność!
- VII. Niema jak mądra żona VIII. Czemże jest miłość bez zazdrości? .

CZEŚĆ DRUGA.

- I. Baliel zapisuje Bogoryi majątek ziemski .
- II. Bogorya zakłada towarzystwo tępienia myszy
- III. Pan prefekt i pani prefektowa
- IV. Jak niebezpiecznie dążyć do harmonii
- V. Niebezpieczne stosunki Bogoryi z dyplomacją
- VI. Gospodarskie kłęski i projektu .
- VII. Nie każda stara panna umie być starą panną
- VIII. Nie pożyczaj, dobry zwyczaj ...
- IX. Losy rolników osady nad Nilem .